



Julie
Garwood
Spotkanie



Ex libris

*Julie
Carwood
Spotkanie*



*przełożyła
Małgorzata Żbikowska*

Ex libris

Tytuł oryginału
MERCY

Copyright © 2001 by Julie Garwood

Projekt okładki
Robert Maciej

Skład i łamanie
„Kolonel”

For the Polish translation
Copyright © 2002 by

For the Polish edition
Copyright © 2002 by

Wydanie I

ISBN 83-88455-87-7

*Mojej siostrze Mary Colette (Cookie) Benson
za poczucie humoru i serce*

*Miałem ambicję,
która straciła w otchłań anioły.
Piąłem się w górę, aż krok za krokiem
dotarłem do piekła.*

W.H. Davies *Ambicja*

Prolog

Dziewczynka posługiwała się nożem ze zdumiewającą wprawą. To wrodzony talent, dar od Boga, twierdził jej ojciec Jake Renard. Kiedy miała pięć i pół roku, sprawiła pstrąga niczym zawodowiec. Jake był taki z niej dumny, że wziął ją na barana i zaniósł do swojego ulubionego baru Pod Łabędziem. Posadził córkę na kontuarze i zwołał przyjaciół, by przyrzekli się, jak mała patroszy rybę, którą przyniósł w tylnej kieszeni kombinezonu. Milo Mullen zaproponował mu za małą pięćdziesiąt dolarów, przechwalając się, że w ciągu tygodnia zarobi trzy razy więcej, wynajmując dziecko miejscowym rybakom łowiącym na bagnistych rozlewiskach.

Jake wiedział, że Milo chciał być jedynie miły, toteż nie poczuł się dotknięty jego propozycją. Poza tym Milo postawił mu kolejkę i wzniosł naprawdę sympatyczny toast za utalentowaną córkę.

Jake miał trójkę dzieci. Najstarszy Remy i o rok młodszy John Paul, chociaż nie weszli jeszcze w wiek młodzieńczy, zapowiadali się na wspaniałych chłopaków. Były z nich prawdziwe pistolety, psotliwe i kute na cztery nogi, ale to mała Michelle była jego oczkiem w głowie. Nigdy nie wypominał jej, że przychodząc na świat, omal nie zabiła matki. Jego słodka Ellie dostała podczas porodu rozległego wylewu. Gdy córeczkę umyto i owinięto w czysty kocyk, jej matkę zabrano do szpitala w St. Claire. Tydzień później, kiedy okazało się, że nigdy z tego nie wyjdzie, przeniesiono ją do miejskiego ośrodka. Opiekujący się nią lekarz nazwał to miejsce domem opieki, ale otoczony ponaddwumetrowym płótem szary budynek wcale nie przypominał domu, a raczej czyściec, ziemską poczekalnię, w której biedne, zagubione dusze odbywały pokutę, oczekując na przyjęcie do nieba.

Jake rozplakał się, kiedy pierwszy raz przyszedł odwiedzić żonę, potem już nie uronił ani jednej łzy. Ellie i tak się od tego

nie polepszy, a okropne miejsce, w którym się znalazła, też nie stanie się ładniejsze. Ściany w zakładzie miały niebieskozielony kolor, na podłogach leżała szara wykładzina, stare rozklekotane łóżka skrzypiały za każdym razem, gdy opuszczano lub podnoszono barierki. Ellie leżała w wielkiej sali z jedenastoma innymi pacjentkami, w podobnym jak ona stanie. Nie było tu miejsca, by przysunąć krzesło do jej łóżka, posiedzieć chwilę czy porozmawiać. Na szczęście nie zdawała sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje, bo umysł miała pogrążony we śnie, więc to, o czym nie wiedziała, nie mogło jej zdenerwować.

W każde niedzielne popołudnie Jake zrzucił z siebie jarzmo codziennych trosk i szedł z Michelle odwiedzić żonę. Stawali przy jej łóżku i patrzyli na nią przez dziesięć lub piętnaście minut. Czasami mała przynosiła matce splecione w wianek polne kwiaty i kładła je na poduszce, by chora mogła poczuć ich słodki zapach. Nieraz plotła wianek ze stokrotek i wkładała matce na głowę. Jake zapewniał córkę, że dzięki tej kwietnej koronie mama wygląda jak księżniczka.

Kilka lat później szczęście uśmiechnęło się do niego, bo wygrał w loterii liczbowej sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Była to nielegalna gra, toteż nie musiał płacić podatku. Postanowił za te pieniądze przenieść Ellie w bardziej przyjazne miejsce, lecz wewnętrzny głos skarcił go za niepotrzebną rozrzutność, nakazując przeznaczyć wygraną na pożyteczniejszy cel. Postanowił więc kupić bar Pod Łabędziem. Chciał w ten sposób zapewnić przyszłość synom, kiedy dorosną, przestaną uganiać się za spółniczkami i założą własne rodziny. Resztę pieniędzy schował z myślą o własnej emeryturze.

Gdy Michelle wracała ze szkoły do domu, ojciec zabierał ją wszędzie tam, dokąd sam szedł; edukację córki uważał za rzecz zbędną, lecz władze były przeciwnego zdania. Często chodzili też na ryby. Paplała wówczas jak najęta albo czytała mu książki, które wypożyczał dla niej z biblioteki. W czasie gdy on ucinął sobie popołudniową drzemkę, nakrywała do stołu, a bracia przygotowywali kolację. Była z niej prawdziwa gosposia; utrzymywała dom w czystości, co przy trójce bałaganiarzy było nie lada wyczynem. Latem pilnowała, aby w wazonach zawsze stały świeże kwiaty.

Wieczorami szła z ojcem do baru Pod Łabędziem. Zdarzało się, że zasypiała zwinięta w kłębek w kącie sali; przenosił ją wtedy

do pomieszczenia na zapleczu i kładł na specjalnie dla niej przygotowanym tapczanie. Cieszył się każdą spędzoną z nią chwilą, wiedział bowiem, że podobnie jak większość okolicznych dziewcząt, gdy skończy osiemnaście lat, zajdzie w ciążę i założy rodzinę. Nie dlatego, że nisko ją cenił, ale był realistą. Wszystkie ładne dziewczyny z Bowen w Luizjanie wychodziły młodo za mąż i nie wyobrażał sobie, by córka postąpiła inaczej. Cóż innego mogli w takiej mieścinie robić młodzi? Dlatego dziewczęta szybko stawały się matkami i żonami.

Jake miał ćwierć akra ziemi. Po ślubie z Ellie zbudował dla nich dwuizbową chatę, a potem, gdy rodzina się powiększyła, dobudował następne pokoje. Kiedy chłopcy podrosli i mogli mu pomóc, podwyższył dom o poddasze, by Michelle miała własny kąpiel. Mieszkali na moczarach, przy końcu krętej polnej drogi zwanej Mercy Road. Niektóre z rosnących tu drzew miały nawet po sto lat. Na tyłach domu rosły dwie wierzby płaczące, obrośnięte mchem zwieszającym się z gałęzi niczym szydełkowe dywaniki. Kiedy skapany w świetle księżycy świat zasnuwała mgła nad bagnianych rozlewisk, a wiatr zawodził wśród drzew, dywaniki nabierały tajemniczego, widmowego wyglądu. W takie noce Michelle uciekała z poddasza i wsuwała się do łóżka któregoś z braci.

Z ich domu do St. Claire, najbliższego miasta, szło się dwadzieścia minut szybkim marszem. Ulice miały tam chodniki, lecz nie dorównywało ono urodą Bowen. Mieszkańcy nie należeli do zamożnych, robili jednak, co mogli, by wyciągnąć jakiś dochód z bagien i rozlewisk, a nawet udawało im się zaoszczędzić dolara na loterię liczbową w każdą środę w nadziei, że im też kiedyś, jak Jake'owi Renardowi, dopisze szczęście.

W życiu Renardów nastąpił nieoczekiwany zwrot, gdy Michelle rozpoczęła naukę w trzeciej klasie, a do szkoły podstawowej imienia Horatia Heberta przyszła nowa nauczycielka, panna Jennifer Perine. W czwartym tygodniu nauki zrobiła dzieciom testy, a po ich sprawdzeniu wezwała ojca Michelle na zebranie rodzicielskie.

Jake nigdy na nich nie był, pomyślał więc, że córka wpadła w kłopoty. Pewnie wdała się w jakąś bójkę; przyparta do muru potrafiła wpaść w złość, a bracia nauczyli ją, jak się bronić. Była drobna jak na swój wiek, uznali więc, że siostra może się stać łatwym celem dla szkolnych rozrabiaków, i postarali się, by wiedziała, jak się bić i wygrywać, niekoniecznie w uczciwy sposób.

Jake pomyślał, że będzie musiał jakoś ułagodzić nauczycielkę. Włożył odświętne ubranie, skropił się Aqua Velva, której używał tylko na specjalne okazje, i przeszedł ponad dwa kilometry do szkoły.

Panna Perine okazała się dość upierdliwą osobą, czego się spodziewał, nie przypuszczał jednak, że będzie ładna. Natychmiast wzbudziło to jego podejrzenia. Co atrakcyjna, młoda i samotna kobieta robi w takiej dziurze jak Bowen? Z jej urodą i figurą mogła wszędzie zdobyć pracę. I dlaczego jeszcze nie wyszła za mąż? Skończyła pewnie dwadzieścia lat, a dwudziestolatki uchodziły już za stare panny.

Nowa nauczycielka zapewniła go, że nie ma do przekazania żadnych złych wiadomości. Wprost przeciwnie, chciała mu powiedzieć, że Michelle jest wyjątkowym dzieckiem. Jake zeszywniał. Oznaczało to, że jego córka ma nie w porządku z głową. Wszyscy w okolicy nazywali Buddy'ego Duponda wyjątkowym dzieckiem, nawet wtedy, gdy policja złapała go i zamknęła w domu wariatów za podpalenie domu rodziców. Buddy nie chciał nikogo skrzywdzić ani zabić, po prostu fascynowały go płomienie. Rozniecił ponad dwanaście pożarów, wszystkie na bagnach, gdzie nikomu nie szkodziły. Powiedział mamie, że kocha ogień. Lubił jego zapach, kolor płomieni jarzących się w ciemnościach na pomarańczowo, żółto i czerwono, a najbardziej, jak strzelają i trzeszczą. Zupełnie jak płatki śniadaniowe. Lekarz, który badał chłopca, stwierdził, że jest wyjątkowy, i nazwał go tak śmiesznie: piroman.

Jake odetchnął z ulgą, kiedy się okazało, że panna Perine nie chciała obrazić jego dziewczynki. Poinformowała go, że otrzymała wyniki testów, które przesała ekspertom do sprawdzenia. Jake nie miał pojęcia, co to jest współczynnik IQ i jak eksperci mogli zmierzyć inteligencję ośmioletniej dziewczynki, nie był jednak zdziwiony, że z Michelle taki bystrzak.

Należało pomóc dziewczynce, stwierdziła panna Perine. Michelle czyta już książki dla dorosłych i w przyszły poniedziałek zostanie przeniesiona o dwie klasy wyżej. Czy Jake wie, że jego córka wykazuje zdolności do nauk przyrodniczych i matematyki? Z całej tej mądrej gadaniny wysnuł wniosek, że mała to urodzony geniusz.

Panna Perine dodała, że uważa się co prawda za dobrą nauczycielkę, lecz nie zdoła sprostać wymaganiom Michelle. Dziel-

czynkę należałoby przenieść do prywatnej szkoły, gdzie mogłaby rozwijać swoje zdolności w indywidualnym toku nauczania.

Jake wstał, uściśnął dłoń nauczycielce i podziękował za wszystkie miłe rzeczy, jakie usłyszał od niej na temat Michelle. Stwierdził jednak, że nie zamierza nigdzie córki wysyłać. Jest jeszcze zbyt mała, by żyć z dala od rodziny.

Panna Perine nie dała się tak szybko zbyć. Poczęstowała go szklanką lemoniady i poprosiła, by usiadł. Na stole pojawił się również talerz z ciasteczkami, nie pozostało mu więc nic innego, jak jej wysłuchać.

Zaczęła mu opowiadać o korzyściach płynących z nauki w dobrej szkole. On jako ojciec nie chciałby chyba pozbawić córki wspaniałych możliwości, jakie się przed nią otwierały. Z szuflady biurka nauczycielka wyjęła różowy folder, by mógł go obejrzeć i przekonać się, jak ta szkoła wygląda. Michelle na pewno się spodoba. Oczywiście będzie musiało ciężko pracować, ale czas na zabawę też się znajdzie.

Jake chciał dla córki wszystkiego co najlepsze, chłonał więc każde słowo. Panna Perine okazała się miłą osobą i rozmowa przebiegała w przyjaznej atmosferze przy lemoniadzie i ciasteczkach z masłem orzechowym. Nauczycielka uraziła go jednak, sugerując, że mógłby się ubiegać o pomoc stanową na kształcenie córki, a nawet otrzymać bezzwrotną pożyczkę. Wytłumaczył sobie, że panna Perine jest tu nowa i nie zna tutejszych zwyczajów. Nie wiedziała, ile w tych stronach znaczy honor. Pozbawić męża – czynną honoru, to jak wbić mu nóż w serce. Zaciśnął więc zęby i wyjaśnił grzecznie, że nie potrzebuje niczyjej łaski i nie pozwoli, by ktoś płacił za naukę córki. Uchodził przecież za zamożnego człowieka, ona jednak o tym nie wiedziała. Nie przejął się, że swoją opinię o zamożności rodziny opierała na tym, jak ktoś się ubiera czy jak mieszka. Skoro postanowił wysłać swoją dziewczynkę do luksusowej szkoły, przeznaczy na to pieniądze odłożone na emeryturę, a jeśli będzie mało, synowie wezmą dodatkową robotę, by pokryć wydatki.

Najpierw jednak musiał omówić tę sprawę z żoną. Rozmawiał z Ellie przez cały czas, oczywiście w myślach, i lubił sobie wyobrażać, że ona się z tego cieszy i pomaga mu podejmować decyzje.

Postanowił też porozmawiać z Michelle. Miała prawo decydować o swojej przyszłości.

W niedzielę zabrał ją na ryby. Siedzieli na pomoście, mocząc wędkę w ciemnej wodzie. Obok leżał skórzany worek, a w nim wielki nóż Jake'a, który służył mu do obrony przed drapieżnikami.

- Nie biorą? - powiedział, zastanawiając się, jak zagaić rozmowę o szkole.

- Pewnie że nie. Nie rozumiem, dlaczego łowimy o tej porze. Zawsze mi mówiłeś, że ryby najlepiej biorą wczesnym rankiem. Czemu chciałeś iść na ryby tak późno? Już prawie czwarta.

- Wiem, która jest godzina, panno mądralińska. Chciałem, by nikt nam nie przeszkadzał, bo muszę porozmawiać z tobą o czymś... ważnym.

- No to wal.

- Nie pyskuj.

- Wcale nie pyskuję. Słowo honoru - dodała z ręką na sercu.

Słodkie z niej dziewczątko, pomyślał, patrząc w duże niebieskie oczy córki. Trzeba jej podciąć grzywkę, bo sięga już do tych długich rzęs. Zrobi to po kolacji.

- Panna Perine to miła kobieta. I ładna.

Michelle utkwiała wzrok w wodzie.

- Nie znam się na tym. Ładnie pachnie, ale rzadko się uśmiecha.

- Nauczanie to poważna sprawa - odpowiedział. - Dlatego pewnie rzadko się uśmiecha. Dogadujesz się z nią?

- Chyba tak.

- Ucieliśmy sobie bardzo miłą pogawędkę na twój temat.

- Więc o tym chcesz ze mną rozmawiać, tak? Wiedziałam.

- Uspokój się i posłuchaj: panna Perine uważa, że jesteś wyjątkowym dzieckiem.

Oczy Michelle się rozszerzyły.

- Ja nie podkładam ognia, tato. Słowo honoru.

- Wiem. Jej nie chodziło o to, że jesteś jak Buddy Dupond.

Uważa cię za mądrą dziewczynkę.

- Nie lubię jej.

Gdy odwróciła głowę, ojciec trącił ją lekko, by znów na niego spojrziała.

- Dlaczego jej nie lubisz? Za dużo ci zadaje? A może za dużo od ciebie wymaga?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, tato.

- Czy lekcje są dla ciebie zbyt trudne?

Zachichotała, jakby powiedział jakiś żart.

- Nie, są strasznie łatwe i czasami się nudzę, bo zdązę już wszystko zrobić i muszę czekać, aż panna Perine zada mi coś nowego. Niektóre dzieci dopiero uczą się czytać, a ja czytałam od małości.

Jake uśmiechnął się.

- Pamiętam, jak czytałaś mi gazetę, kiedy się goliłem. Sama się tego nauczyłaś.

- Nieprawda, to ty nauczyłaś mnie liter.

- A ty nauczyłaś się je składać. Ja ci tylko czytałem, a ty wszystko w lot chwyciłaś. Nauczyłaś się czytać jak kaczką...

- Pływać? - dokończyła.

- Właśnie. Powiedz mi, czemu nie lubisz panny Perine? Bo musisz czekać, aż zada ci coś nowego?

- Nie.

- Więc czemu?

- Bo chce mnie odesłać - odparła drżącym głosem, a z oczu popłynęły łzy. - Powiedziała mi, że przekona cię, abys mnie wysłał do innej szkoły, gdzie nikogo nie będę znała.

- Po pierwsze, to nikt nie przekona twojego taty do czegoś, czego nie chce zrobić, ale ta panna Perine... dała mi do myślenia.

- To wścibska baba. Nie przejmuj się nią.

Jake pokręcił ze zdumieniem głową. Córka posłużyła się jednym z jego ulubionych powiedzeń. Gdy bracia jej dokuczali, mówił zawsze, żeby się nimi nie przejmowała.

- Ona mówi, że masz bardzo wysokie IQ.

- Nie robiłam tego specjalnie.

- To nic złego być mądrą. Panna Perine uważa, że powinniśmy się zastanowić nad tym, jak zapewnić ci najlepsze wykształcenie. Ona twierdzi, że powinnaś coś ze sobą zrobić. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale gdzie jest napisane, że musisz wyjść za męża i rodzić dzieci. Może należałoby mierzyć nieco wyżej.

- Może.

Z tonu głosu córki wywnioskował, że próbuje go udobruchać.

- Ale ja nie chcę niczego zmieniać - dodała po chwili.

- Wiem - odparł. - Twoja mama chciałaby, żebyśmy podjęli właściwą decyzję.

- Czy mama jest mądra?

- Pewnie że tak.

- Ale wyszła za męża i rodziła dzieci.

Rzeczywiście bystre z niej dziecko. Dlaczego dopiero nowa nauczycielka mu to uświadomiła?

- Bo ja się zjawiłem i natychmiast się we mnie zakochała.
- Nie można ci się oprzeć, prawda?
- To prawda.
- Może powinieneś porozmawiać z mamą, zanim wyślesz mnie do szkoły. Musi wiedzieć, co zamierzasz zrobić.
- Jake drgnął gwałtownie, zaskoczony jej słowami.
- To ty wiesz, że lubię radzić się mamy?
- Mhm.
- Skąd?
- Uśmiechnęła się i spojrzała na niego rozjaśnionym wzrokiem.
- Bo czasami mówisz sam do siebie. W porządku, tatusiu. Ja też lubię radzić się mamy.
- Dobrze więc. Kiedy jutro pójdziemy do mamy, oboje jej o tym powiemy.
- Michelle zaczęła chlapać nogami w wodzie.
- Na pewno powie, żebym została w domu z tobą, Remyem i Johnem Paulem.
- Posłuchaj...
- Opowiedz mi, jak się poznaliście. Sto razy już mi opowiadałeś, ale nigdy mnie to nie nudzi.
- Domyślił się, że specjalnie zmienia temat.
- Nie mówimy teraz o mnie i o mamie. Mówimy o tobie. Chcę ci zadać ważne pytanie. Odłóż wędkę.
- Usłuchała i złożyła dłonie na kolanach. Prawdziwa z niej dama, pomyślał. Jak ktoś taki mógł się wychowywać wśród trójki nieokrzesanych matołów?
- Gdybyś mogła wybierać, kim chciałabyś zostać? - Gdy córka zaczęła przebierać palcami, chwycił ją za koński ogon i zmusił, by spojrzała mu w oczy. - Nie musisz się wstydzić swojego taty.
- Nie wstydzę się.
- Włosy robią ci się całkiem rude, piegi też.
- Zachichotała.
- Moje włosy już są czerwone, a piegi nie mogą zmienić koloru.
- Powiesz mi czy nie?
- Ale musisz mi obiecać, że nie będziesz się śmiała.
- Nie będę się śmiała.
- Remy i John Paul pewnie by się śmiali.
- Twoi bracia to głupcy. Śmieją się ze wszystkiego, ale bardzo cię kochają i zrobią wszystko, byś dostała, co chcesz.
- Wiem - odparła.

- Powiesz mi czy nie? Wygląda na to, że już wiesz, kim chciałabyś być.
- Wiem - przyznała Michelle. Popatrzyła ojcu w oczy, by się upewnić, że nie będzie się śmiał, po czym wyszeptwała: - Chciałabym być lekarzem.
- Ukrył zaskoczenie i przez chwilę rozważał w myślach jej słowa.
- Dlaczego chciałabyś zostać lekarzem? - spytał, zadowolony z pomysłu córki.
- Bo wtedy mogłabym coś naprawić. Od dawna o tym myślałam, jeszcze jak byłam mała.
- Wciąż jesteś mała - powiedział. - A lekarze naprawiają ludzi, nie rzeczy.
- Wiem o tym, tato - odrzekła z taką godnością, że mimowolnie się uśmiechnął.
- A kogo chciałabyś naprawić? - Objął córkę ramieniem i przytulił. Znał odpowiedź, ale chciał ją usłyszeć.
- Michelle odsunęła na bok grzywkę.
- Pomyślałam sobie, że mogłabym naprawić głowę mamy. Wtedy wróciłaby do domu.

1

Czasy współczesne, Nowy Orlean

Przede wszystkim należało skrócić jej cierpienia.

Umierała powolną śmiercią. Każdy dzień przynosił kolejne upokorzenie jej wspaniałemu ciału, które choroba odzierała z godności. Biedna Catherine. Zaledwie siedem lat temu była piękną panną młodą o wąskiej talii i ponętnie zarysowanych biodrach, których mężczyźni pożąдали, a kobiety zazdrościły. Teraz figura klepsydry obrosła zwałami tłuszczu, a alabastrowa skóra zmieniła się w krostowatą i ziemistą. Bywały chwile, gdy John jej nie poznawał. Cudowne błyszczące zielone oczy, które tak go urzekły, stały się szkliste i matowe od środków przeciwbólowych. Choroba niszczyła jego piękną żonę z bezlitosną konsekwencją.

Nie miał już ochoty wracać do domu. Po drodze zatrzymywał się na Royal Street i kupował pudełko czekoladek Godiva. Wprowadził ten zwyczaj przed dwoma miesiącami, by udowodnić żonie, że nadal ją kocha. Mógłby kazać je dostarczać w ciągu dnia, lecz wówczas rzadziej by ją widywał. Rano puste pudełko po czekoladkach leżało w porcelanowym pojemniku na śmieci, stojącym przy wielkim łożu z baldachimem. Udawał, że nie dostrzega jej zamiłowania do słodyczy, a ona również się do tego nie przyznawała. Nie potępiał jej za to; czekoladki były jedyną przyjemnością w smutnym, tragicznym życiu, jakie musiała wieść.

Czasami po kupieniu bombonierki wracał jeszcze do biura i rzucał się w wir pracy, póki zmęczenie nie dało o sobie znać i kazało wracać do domu. Jadąc BMW ulicą St. Charles do Garden District, zaczynał drzeć mimowolnie, a po wejściu do holu utrzymanego w czarno-białej tonacji czuł się chory. Ściskając w rękę pudełko ze słodyczami, odkładał na stół teczkę od Gucciego i stawał przed złocnym lustrem. Patrzył na swoje odbicie i od-

dychał głęboko, by się uspokoić. Chociaż niewiele mu to pomagało, robił tak co wieczór. Chrapliwy oddech mieszał się z tykaniem zegara, które kojarzyło mu się z tykaniem zapalnika w bombie tkwiącej w jego głowie i gotowej w każdej chwili eksplodować.

Wyrzucając sobie tchórzostwo, ruszał kręconymi schodami na górę. Mięśnie ramion miał napięte, żołądek boleśnie ściśnięty, a nogi ciężkie, jakby przywiązano do nich kłody. Kiedy docierał do końca korytarza, ciało lepiło mu się od potu.

Wycierał chusteczką mokre czoło, przybierał na twarz uśmiech i otwierał drzwi, starając się nie czuć ciężkiego odoru wypełniającego pokój. Zapach pigułek zawierających żelazo mieszał się z waniliowym odświeżaczem powietrza, który rozpylały pokojówki, co tylko potęgowało zaduch. Czasami nie mógł tego wytrzymać i uciekał z pokoju pod byle pretekstem, by żona nie zauważyła, że się dusi.

Na ogół jednak panował nad sobą. Pochylał się, zamykał oczy i całował Catherine w czoło, po czym chwilę z nią rozmawiał. Stawał wtedy obok bieżni, którą kupił jej rok po ślubie. Nie pamiętał jednak, by kiedykolwiek na niej ćwiczyła. Służyła teraz za wieszak dla stetoskopu i dwóch wielkich kwiecistych szlafroków z jedwabiu. Czasami kiedy nie mógł patrzeć na żonę, wpatrywał się w zwieńczone łukowato okna wychodzące na tonący w mroku angielski ogród na tyłach domu, otoczony czarnym płótem z kutego żelaza.

Cały czas grał głośno telewizor, który pracował przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i emitował albo talk-show albo teledyski. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by wyłączyć odbiornik, gdy z nią rozmawiał. W końcu przestał zwracać na niego uwagę. Chociaż nauczył się nie słyszeć bezustannej paplaniny, to wciąż dziwiło go, jak ona może przez tyle godzin oglądać te bzdury? Zanim choroba zawładnęła jej życiem i umysłem, była błyskotliwą rozmówczynią i potrafiła dotknąć adwersarza ciętą, inteligentną ripostą. Uwielbiała dyskusje polityczne, czemu dawała wyraz podczas proszonych kolacji, prezentując poglądy konserwatystki i zyskując tym powszechny aplauz. Tera/jednak potrafiła mówić jedynie o dolegliwościach żołądkowych i oczywiście o jedzeniu.

Często wracał myślami do dnia ich ślubu i przypominał sobie, jak rozpaczliwie jej pragnął. Teraz bał się przebywać z nią w jednym pokoju - sypiał w części przeznaczonej dla gości. Męczarnie, które cierpiał, były jak kwas żrący mu żołądek.

Catherine kazała urządzić swój pokój w odcieniach jasnej zieleni i wypełniła go meblami w stylu włoskiego renesansu. Stały w nim nawet gipsowe popiersia dwóch wielkich rzymskich poetów Owidiusza i Wirgiliusza. Tak mu się spodobał ten wystrój, że zaproponował młodej dekoratorce, aby urządziła także jego biuro. Teraz jednak znieawidził sypialnię żony, bo przypominała mu o tym, co stracił.

Chociaż bardzo się starał, nie mógł wyrzucić z myśli wspomnień. Przed kilkoma tygodniami umówił się ze swoim współnikiem na lunch w modnym nowym bistro w Bienville. Kiedy wszedł do środka i zobaczył jasnozielone ściany, żołądek podszedł mu do gardła i pozbawił oddechu. Przez kilka strasznych minut obawiał się, że to atak serca. Już chciał dzwonić po karetkę, lecz wybiegł na zalaną słońcem ulicę i kilka razy głęboko odetchnął. Ciepłe promienie słońca na twarzy przyniosły mu ulgę. Był to jedynie atak paniki. Niekiedy też miał wrażenie, że traci zmysły.

Na szczęście miał trójkę przyjaciół. Spotykał się z nimi w każdy piątek po południu. Te piątki trzymały go przy życiu. Mógł się wtedy odprężyć i zwierzyć ze swoich kłopotów. Przyjaciele potrafili go wysłuchać, okazać współczucie i pocieszyć.

Tylko że gdy on popijał sobie z kolegami, Catherine umierała w samotności. Skoro już ktoś musiał ponieść karę za popełnione grzechy, to dlaczego nie on? Catherine była uczciwą żoną i przestrzegała zasad moralności. Nigdy nie złamała prawa, nie dostała nawet mandatu za złe parkowanie. Byłby to dla niej szok, gdyby się dowiedziała, co on i jego trójka przyjaciół mają na sumieniu.

Nazwali się Stowarzyszeniem Siewców. Najstarszym członkiem był trzydziestoczteroletni Cameron, Dallas i John mieli po trzydzieści trzy lata; najmłodszego trzydziestodwuletniego Prestona zwano Przystojniaczkiem, ze względu na urodę południowca. Wszyscy chodzili do tej samej prywatnej szkoły i chociaż trafili do różnych klas, przyciągnęły ich do siebie wspólny cel i ambicja, kosztowne zamiłowania i brak jakichkolwiek oporów przed łamaniem prawa, by zdobyć to, co chcieli. Weszli na drogę przestępstwa drobnymi kradzieżami. Nikt ich nie złapał, przekonali się jednak, że nie przynioszą one wielkich zysków. Pierwszego poważnego przestępstwa dokonali, będąc w college'u - okradli sklep jubilerski i sprzedali łup paserowi. Potem jednak John, mózg grupy, uznał, że ryzyko jest zbyt duże, bo nawet najlepsze plany mogą nie wypalić z powodu nieprzewidzianych okoliczności. Przerzucili się

więc na bardziej wyrafinowane przestępstwa, wykorzystując do tego zdobytą wiedzę.

Pierwszy sukces odnieśli dzięki Internetowi. Za jego pośrednictwem kupili bezwartościowe akcje pod fałszywymi nazwiskami. wprowadzili fałszywe dane, a potem, gdy akcje gwałtownie skoczyły w górę, sprzedali je, zanim kontrolerzy giełdowi odkryli, co się stało. Dzięki temu przedsięwzięciu osiągnęli ponad pięć tysięcy procent zysku. Każdy wymuszony czy ukradziony dolar przelewali na konto Stowarzyszenia Siewców na Kajmanach. Do chwili ukończenia studiów i otrzymaniu posad w Nowym Orleanie zdążyli zgromadzić ponad cztery miliony dolarów.

To zaostriżyło im apetyty.

Na jednym ze spotkań Cameron stwierdził, że gdyby zbadał ich psychiatrę, orzekłby, że są socjopatami. John nie zgodził się z nim; według niego socjopata nie troszczy się o potrzeby i pragnienia innych, oni zaś założyli stowarzyszenie i zawarli pakt, na mocy którego zrobią wszystko, by osiągnąć cel. A było nim zdobycie ośmiu milionów dolarów do czasu, gdy najstarszy z nich skończy czterdzieści lat. Kiedy Cameron obchodził trzydzieste urodziny, mieli już połowę.

Każdy z członków wniósł własny talent, wiedzieli jednak, że to John jest mózgiem i bez niego nie zaszliby tak daleko. Nie mogli go stracić, toteż bardzo się niepokoił stanem jego umysłu.

Miał kłopoty, a pozostała trójka nie wiedziała, jak mu pomóc. Słuchali więc cierpliwie, gdy wylewał swoje żale. Tematem numer jeden była oczywiście ukochana żona i jej choroba. Od lat nie widywali Catherine. Sama o tym zdecydowała; chciała, aby zapamiętali ją taką, jaka była niegdyś. Naturalnie nie zapomnieli o niej, przy różnych okazjach przesyłali prezenty i kartki z życzeniami. John był dla nich jak brat i chociaż współczuli mu z powodu choroby żony, bardziej jednak martwili się o niego. W końcu Catherine to przegrana sprawa, on nie. Widzieli też to, czego on nie dostrzegał: że zmierza ku katastrofie. Miał kłopoty z koncentracją, co było bardzo niebezpieczne, i dużo pił.

Dziś też się zalał. Preston zaprosił ich do nowego luksusowego apartamentu, by uczcić ostatni sukces. Siedzieli przy stole w jadalni w pluszowych fotelach. Z okien roztaczał się widok na Missisipi. Dochodziła północ i w atramentowej ciemności połyskiwały światła. Rozlegający się co kilka minut ponury dźwięk syreny przeciw mgielnej wprawiał Johna w melancholijny nastrój

- Od jak dawna się przyjaźnimy? - spytał bełkotliwie.
- Od bardzo dawna - odparł Cameron i sięgnął po butelkę Chivasa.

Dallas prychnęła śmiechem.

- Kurczę, to już kawał czasu, co?

- Od szkoły średniej - powiedział Preston. - Odkąd założyliśmy stowarzyszenie. - Spojrzał na Johna. - Cholernie się ciebie bałem. Byłeś taki ugrzeczniony i pewny siebie. Bardziej gładki od nauczycieli.

- A ja? - spytał Cameron.

- Nerwowy - odpowiedział Preston. - Zawsze byłeś taki... drażliwy. No wiesz, co mam na myśli. I nic się nie zmieniłeś.

- Jesteś z nas najostrożniejszy - dodała Dallas.

- Wiecznie się czymś martwisz - ciągnął Preston. - Natomiast Dallas i ja jesteśmy bardziej...

- Odważni - dokończyła Dallas. - Gdyby nie John, nigdy bym się z wami nie zaprzyjaźniła.

- Dostrzegłem w tobie to, czego sama nie widziałaś - powiedział John. - Talent i chciwość.

- Nasze zdrowie. - Cameron wzniosł kieliszek w żartobliwym toaście.

- Kiedy zakładaliśmy stowarzyszenie, miałam dopiero szesnaście lat - zauważyła Dallas.

- I byłaś jeszcze dziewicą - dodał Cameron.

- Coś ty. Straciłam cnotę, jak miałam dziewięć lat.

Cała trójka ryknęła śmiechem.

- No dobra, może byłam trochę starsza.

- Ale były z nas zarozumiałe dupki, co? - rzekł Preston. - Myśleliśmy, że jesteśmy tacy sprytni.

- Bo byliśmy sprytni - uściślił Cameron. - I mieliśmy cholerne szczęście. Tak głupio ryzykowaliśmy.

- Kiedy tylko chcieliśmy się upić, zwoływaliśmy walne zebranie stowarzyszenia. Szczęście, że nie wpadliśmy w alkoholizm.

- A kto mówi, że nie? - spytał Cameron i wszyscy się roześmiali. John wzniosł kieliszek.

- Za stowarzyszenie i za pokazną sumkę, którą udało nam się zarobić dzięki słodkiej informatorce Prestona.

- Zdrowie! - zawołał Cameron, stukając się kieliszkami z innymi. - Wciąż jednak nie mogę zrozumieć, jak udało ci się zdobyć tę informację.

- A jak myślisz? - spytał Preston. - Upiłem ja, wydymałem jej mózg, a kiedy zemdlała, zajrzałem do jej komputera. Wszystko w jeden wieczór.

- Posiadłeś ją? - jęknął Cameron.

- Posiadłem? Kto dziś tak mówi? - zdziwił się Preston.

- Ale jak to osiągnąłeś? - dopytywała się Dallas. Widziałam tę kobietę. To istny maskaron.

- Zrobiłem, co musiałem. Myślałem tylko o tych ośmiuset tysiącach, które mogliśmy zdobyć, i...

- I co? - nie dawał za wygraną Cameron.

- Zamknąłem oczy, wystarczy? Ale drugi raz tego nie zrobię. Teraz wasza kolej. To jest zbyt obleśne - dodał ze znaczącym uśmiechem.

Cameron opróżnił kieliszek i sięgnął po butelkę.

- Wielka szkoda - stwierdził. - Kobiety to była twoja działka. Szalały na punkcie tych nadmuchanych mięśni i gwiazdorskiej urody.

- Jeszcze pięć lat i będziemy ustawieni na całe życie. Będziemy mogli odejść, a jeśli trzeba, nawet zniknąć i robić, co nam się podoba. Nie traćcie z oczu głównego celu - przypomniała Dallas.

- Nie wiem, czy zdołam wytrzymać jeszcze pięć lat. - John pokręcił głową. - A właściwie wiem, że nie dam rady.

- Musisz wziąć się w garść - napomniął go Cameron. - Mamy zbyt wiele do stracenia. Nie możesz zrezygnować. Jesteś mózgiem całego interesu, a my tylko... - Nie mógł znaleźć właściwego słowa.

- Wspólnikami? - odpowiedział Preston.

- Ale każde z nas ma swoje zadanie do wykonania - zauważyła Dallas. - Nie tylko John ma głowę na karku. Nie zapominajcie, że to ja wynalazłam Monka.

- Na litość boską, nie czas teraz na licytację - zirytował się Preston. - Nie musisz nam przypominać, ile dla nas zrobiłaś. Wiemy, jak ciężko pracujesz. Prawdę mówiąc, to żyjesz tylko pracą i stowarzyszeniem. Kiedy ostatni raz wzięłaś sobie wolne i poszłaś na zakupy? Wciąż nosisz ten sam czarny albo granatowy kostium, a na lunch przychodzisz z brązową torebką. Założę się, że następnego dnia też ją ze sobą zabierasz. Ciekawe, czy kiedykolwiek płaciłaś jakiś rachunek.

- Chcesz powiedzieć, że jestem skapa? - odparowała Dallas.

- Zamknijcie się - rzekł Cameron, zanim Preston zdążył odpowiedzieć. - Nie ma znaczenia, które z nas jest mądrzejsze albo

ciężej pracuje. Wszyscy w tym siedzimy. Zdajecie sobie sprawę z tego, co nam grozi, gdyby ktoś się dowiedział, co robimy?

- Nikt się nie dowie - rzucił gniewnie John. - Nie będą wiedzieli, gdzie szukać. Dopilnowałem tego. Nie ma na to żadnych dowodów z wyjątkiem plików w moim osobistym komputerze. A do nich trzeba mieć dostęp. Nie istnieją żadne zapisy, żadne rachunki telefoniczne. Nawet gdyby policja albo nadzór giełdowy zaczął coś podejrzewać, nie znajdą śladu dowodu. Jesteśmy czyści jak łąza.

- Monk mógłby ściągnąć nam na kark policję. - Cameron nie ufał temu kurierowi czy płatnemu pomocnikowi, jak nazywał go John. Potrzebowali jednak kogoś zaufanego i kompetentnego, a Monk spełniał ich wymagania. Był równie chciwy i zdeprawowany, jak oni, a gdyby nie zrobił tego, co chcieli, straciłby wszystko.

- Pracuje dla nas na tyle długo, byś wreszcie zaczął mu ufać - powiedział Preston. - Poza tym gdyby zawiadomił policję, miałby więcej do stracenia niż my.

- Trafnie to ująłeś - mruknął John. - Słuchajcie, wiem, że mieliśmy ciągnąć to do czterdziestych urodzin Camerona, ale ja nie mogę tak długo. Czasami mam wrażenie, że z moją głową... Cholera, sam nie wiem. - Wstał z fotela, podszedł do okna, splótł ręce na plecach i zapatrzył się w ciemność. - Opowiadałem wam, jak się poznaliśmy z Catherine? To było w Centrum Sztuki Współczesnej. Oboje chcieliśmy kupić ten sam obraz i w czasie gorącej dyskusji zakochałem się w niej. Cóż to było za iskrzenie! I nadal jest. A teraz ona umiera, a ja nie mogę nic zrobić.

Cameron wymienił spojrzenia z Prestonem i Dallas.

- Wiemy, jak bardzo kochasz Catherine - powiedział.

- Nie rób z niej świętej, John - dodała Dallas. - Nie jest przecież ideałem.

- Jezu, to nie było przyjemne - mruknął Preston.

- W porządku. Wiem, że Catherine nie jest ideałem - odparł John. - Jak my wszyscy ma swoje kaprysy. Któż ich nie ma? Ona na przykład musi mieć każdą rzecz w dwóch egzemplarzach. Przy jej łóżku stoją dwa telewizory. Jeden gra cały dzień i noc, ale ona boi się, że może się zepsuć, i woli mieć drugi w zapasie. Tak samo robi, gdy zamawia coś ze sklepu lub z katalogu. Zawsze kupuje po dwa egzemplarze, ale cóż w tym złego? Nikogo tym nie krzywdzi, a tak mało ma radości w życiu. Jest ze mną, bo mnie kocha. - Spuścił głowę i wyszeptał: - Jest całym moim życiem.

- Wiemy - odrzekł Cameron. - Martwimy się jednak o ciebie. John odwrócił się w ich stronę z twarzą wykrzywioną gniewem.
 - O siebie się martwicie. Myślicie, że mogę wszystko spięprzyć, co?
 - Przemknęło nam to przez myśl - przyznał Cameron.
 - John, nie możemy dopuścić do tego, byś zwiariował - powiedział Preston.
 - Jeszcze nie zwiariowałem.
 - Dobra - odparła Dallas. - Zrobimy tak: Jeśli John będzie potrzebował naszej pomocy, powie nam. W porządku?
 - W porządku. - John skinął głową.
- Przestali drażyć ten temat i do końca wieczoru omawiali nowe przedsięwzięcie.

Przy następnych spotkaniach nie wspominali już o pogłębiającej się depresji Johna, zresztą żadne z nich nie wiedziało, jak jej zaradzić.

Minęły trzy miesiące bez wzmianki o Catherine. Wtedy to John się załamał. Oświadczył, że nie może już dłużej patrzeć, jak żona się męczy. Powiedział też, że martwi się o pieniądze, co jest śmieszne, skoro na koncie stowarzyszenia leżą miliony, których przez kolejne pięć lat nie mogą tknąć. Ubezpieczenie pokrywało zaledwie znikomą część wydatków na opiekę żony i jeśli to dłużej potrwa, jej fundusz powierniczy wyczerpie się, a on będzie zrujnowany. Chyba że wyrażą zgodę na to, by sięgnął do konta stowarzyszenia.

- Wszyscy wiecie, że jestem w trakcie rozwodu i mnie też potrzebne są pieniądze - powiedział Cameron. - Ale jeżeli naruszmy konto przed zamknięciem rachunku, pozostanie po tym ślad w dokumentach i fiskus...

- Wiem - przerwał mu John. - To zbyt ryzykowne. Nie powinienem poruszać tej sprawy. Wymyślę coś innego.

W następny piątek spotkali się w ulubionym barze U Dooleya. Na dworze grzmiało i padało, a Jimmy Buffett śpiewał o Margaritaville. John pochylił się nad stolikiem i półgłosem wypowiedział mroczne życzenie: chciałby ze sobą skończyć, bo ma dość tej męki.

Przyjaciele byli zaskoczeni i oburzeni. Jak on może nawet myśleć o czymś tak szalonym? Przekonali się jednak, że ich wyrzuty pogłębiły tylko jego rozpacz i przygnębienie. Pospiesznie więc zmienili ostre słowa na niosące troskę i pociechę. Jak mogliby mu pomóc? Na pewno jest jakiś sposób.

Dyskutowali o tym bardzo długo przy stoliku w rogu baru, wreszcie koło północy któreś z nich znalazło dość odwagi, by zaproponować to, o czym wszyscy od dawna myśleli. Ta nie-szczęсна kobieta była skazana na śmierć. Jeżeli ktoś miał umrzeć, to właśnie biedna, cierpiąca żona Johna. Później nikt już nie pamiętał, kto wysunął propozycję zamordowania Catherine.

Dyskutowali o tym przez kolejne trzy piątki, kiedy jednak rozpoczęli głosowanie, nie było już odwrotu. Decyzja została podjęta jednogłośnie, bez wahań i wątpliwości. Była tak oczywista jak zaschnięta krew na białym dywanie.

Żadne z nich nie uważało się za potwora, nie przyznali też, że kieruje nimi chciwość. Byli ludźmi interesu, którzy ciężko pracowali i ostro grali, ryzykantami, których inni się obawiali, bo mieli władzę. Uchodzili za prawdziwych mistrzów w rozbijaniu banków. Mimo całej arogancji nie odważyli się nazwać tego morderstwem, zmieniając na bezpieczne „zdarzenie”.

Musieli mieć nerwy ze stali, biorąc pod uwagę fakt, że bar U Dooleya mieścił się niedaleko ósmego posterunku policji. W chwili planowania morderstwa w barze pełno było detektywów i mundurowych. Bywali w nim również agenci z Federalnego Biura Śledczego, a także początkujący adwokaci, szukający korzystnych znajomości. Za swój lokal uważali go przepracowani i niedoceniani studenci medycyny z uniwersytetu stanowego i lekarze ze Szpitala Miłosierdzia. Grupy te jednak rzadko się ze sobą mieszały.

Członkowie stowarzyszenia nigdy nie siadali przy bocznych stolikach, lecz zawsze w rogu. Wszyscy ich tu znali, stałe ktoś do nich podchodził, współpracownicy albo ci, którzy chcieli się podlizzać. Tak, trzeba było mieć nerwy ze stali, by w samym centrum Nowego Orleanu spokojnie planować morderstwo.

Nigdy nie zrealizowaliby swego planu, gdyby nie mieli odpowiednich znajomości. Monk był płatnym zabójcą i na pewno bez skrupułów zgodzi się zabić jeszcze raz. To Dallas dostrzegła tkwiące w nim możliwości i postarała się, by nie wpadł w ręce policji. Monk zrozumiał, że ma wobec niej dług wdzięczności, i obiecał zrobić wszystko, pod warunkiem że ryzyko nie będzie zbyt wygórowane i zapłata odpowiednia. Nie bawił się w sentymenty, bo był człowiekiem interesu.

Spotkali się, by omówić warunki, w jednej z ulubionych knajp Monka - U Frankiego. Był to szary barak przy Interstate 10,

na końcu Metairie. Pachniało w nim tytoniem, fistaszkami, które klienci łuskali wprost na zniszczoną drewnianą podłogę, i gnijącą rybą. Można tu było zjeść najlepsze smażone krewetki na całym Południu.

Monk, który się spóźnił, bez słowa przeprosin usiadł, złożył ręce na blacie stołu i przedstawił swoje warunki. Był wykształconym człowiekiem i między innymi dlatego Dallas uratowała go przed komorą gazową. Potrzebowali kogoś bystrego. Miał też dystyngowany wygląd, eleganckie manieri i czyste konto. Po zawarciu umowy z Dallas z dumą przedstawił okazałą listę dokonań, obejmującą podpalenia, szantaż, wymuszenia i morderstwa. Policja oczywiście nie miała pojęcia o jego działalności, ale oni mieli dość dowodów, by oskarżyć go o morderstwo.

Poznali Monka w mieszkaniu Dallas i z miejsca zrobili na nich wrażenie. Spodziewali się zбира, tymczasem zobaczyli kogoś, kto mógł być jednym z nich, wysokiej klasy profesjonalistę. Zdradzały go tylko oczy - zimne i pozbawione uczuć jak u ryby. Jeśli wierzyć twierdzeniu, że oczy są zwierciadłem duszy, to Monk oddał swoją diabłu.

Zamówił piwo, po czym usiadł wygodnie w kapitańskim fotelu i spokojnie zażądał dwa razy więcej od tego, co zaproponowała mu Dallas.

- Chyba żartujesz - rzucił Preston. - To wymuszenie.

- Nie, to morderstwo - sprostował. - Wyższe ryzyko to wyższa zapłata.

- To nie jest morderstwo - zaprotestował Cameron - lecz wyjątkowa sytuacja.

- A cóż w niej takiego wyjątkowego? - zdziwił się Monk. - Chcecie, żebym zabił żonę Johna, tak?

- Tak, ale...

- Ale co, Cameron? Drażni cię, że mówię bez ogródek? Mogę użyć innego słowa, ale po to mnie przecież wynajęliście. - Monk wzruszył ramionami. - Chcę więcej pieniędzy.

- Już jesteś bogaty dzięki nam - zauważył John.

- To prawda.

- Słuchaj, dupku, umówiliśmy się co do ceny! - podniósł głos Preston, po czym obejrzał się przez ramię, czy nikt go nie słyszał.

- To prawda - powtórzył spokojnie Monk. - Ale nie wyjaśniliście, co chcecie zrobić. Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, kiedy Dallas przedstawiła mi szczegóły.

- Co ci powiedziała? - spytał Cameron.

- Że chcecie wyeliminować pewien problem. Teraz, gdy wiem, o jaki problem chodzi, podwajam stawkę. Myślę, że to rozsądne. Ryzyko jest większe.

Zapadła cisza.

- Jestem splukany - oznajmił Cameron. - Skąd weźmiemy tyle pieniędzy?

- To mój problem - odezwał się John. - Dorzucę ci jeszcze dziesięć tysięcy, jeśli zgodzisz się poczekać do odczytania testamentu.

Monk spuścił głowę.

- Dziesięć tysięcy ekstra. Jasne, że zaczekam. Wiem, gdzie cię znaleźć. A teraz podajcie szczegóły. Wiem, kogo chcecie zabić, nie wiem tylko kiedy, gdzie i jak bardzo ma cierpieć.

John spojrział na niego zaskoczony. Odchrząknął i wypił duszkiem pół szklanki piwa.

- Nie - wyszeptał. - Nie chcę, żeby cierpiała. Już dość się nacierpiała.

- Jest śmiertelnie chora - wyjaśnił Cameron.

- Nie ma dla niej nadziei - dodał John. - Nie mogę patrzeć, jak się męczy. Ja... - Nie był w stanie mówić dalej.

- Kiedy John zaczął mówić o samobójstwie, uznaliśmy, że musimy mu jakoś pomóc - wyjaśnił prędko Cameron.

Monk dał znak, żeby zamilkł, bo do ich stolika podeszła kelnerka. Postawiła pełne szklanki z piwem i powiedziała, że wróci za chwilę, by przyjąć zamówienie.

- Nie wiedziałem, John, że twoja żona jest chora - podjął temat Monk, kiedy zostali sami. - Zachowałem się jak gbur. Przepraszam.

- Skoro czujesz się winny, to może obniżysz cenę - zaproponował Preston.

- Nie na tyle.

- Więc zajmiesz się tym czy nie? - spytał niecierpliwie John.

- To interesujące - stwierdził Monk. - Zrobiłbym dobry uczynek, nie?

Zaczął pytać o stan zdrowia Catherine i rozkład dnia. Kiedy John udzielał odpowiedzi, Monk pochylił się i rozprostował palce na blacie stołu. Miał zadbane dłonie, smukłe i bez żadnych zgrubień. Patrzył przed siebie, jakby układał w myślach plan działania.

John opisał mu rozkład domu, system alarmowy i codzienne zajęcia pokojówki.

- Pokojówka wraca na noc do domu, tak? A co z gospodynią?

- Nazywa się Rosa... Rosa Vincetti - odpowiedział John. - Zostaje do dziesiątej wieczór z wyjątkiem poniedziałków, bo wtedy jestem w domu. Wychodzi wówczas o szóstej po południu.

- Czy twoja żona ma jakichś przyjaciół albo krewnych?

John pokręcił przecząco głową.

- Dawno temu zerwała kontakty z przyjaciółmi. Nie lubi gości.

Krępuje ją jej stan.

- A co z krewnymi?

- Ma wuja i kuzynów, ale nie utrzymuje z nimi kontaktów. Mówi, że to biedota. Wuj telefonuje do niej raz w miesiącu. Stara się być miła, ale nie rozmawia długo. Męczy ją to.

- Czy ten wuj może ją odwiedzić bez zaproszenia?

- Nie. Od lat go nie widziała. Nie musisz się nim przejmować.

- W takim razie nie będę - stwierdził Monk.

- Nie chcę, żeby cierpiała... To znaczy, kiedy ty... Czy to możliwe?

- Naturalnie. Mam litościwy charakter. Nie jestem potworem. Może mi nie uwierzysz, ale mam swoje zasady - dodał Monk z dumą i żaden z mężczyzn nie ośmielił się zaśmiać.

Zawodowy morderca z zasadami? Czyste szaleństwo. Pokiwali jednak głowami. Jeśli powiedziałyby, że umie chodzić po wodzie, udaliby, że mu wierzą.

Monk oświadczył Johnowi, że nie uznaje okrucieństwa i zadawania niepotrzebnego bólu. Obiecał, że zrobi to delikatnie, zaproponował jednak, by na wszelki wypadek zwiększył dawkę środków znieczulających, które żona bierze przed snem. Poza tym miał niczego nie zmieniać: włączyć alarm na noc, a potem pójść do swojego pokoju i nie wychodzić z niego. Rano Catherine nie będzie już żyła.

Dotrzymał słowa. Zabił ją w nocy. Jak się dostał do domu i jak z niego wyszedł, nie uruchamiając alarmu, pozostało jego tajemnicą. John zamontował wewnątrz czujniki wrażliwe na ruch i wszelkie odgłosy, a otoczenie wokół domu rejestrowały kamery. Tymczasem Monk wszedł do środka niezauważony i przeniósł cierpiącą kobietę na tamten świat. Na dowód swojej bytności zostawił różę na poduszce Catherine, by nie było wątpliwości, komu należy się zapłata za wykonanie zadania. John usunął kwiat, zanim zatelefonował po pomoc.

Zgodził się na przeprowadzenie autopsji, by uniknąć ewentualnych pytań. Raport patologa stwierdził, że przyczyną zgonu było uduszenie się czekoladką. Kawałek oblanego karmelem cukierka utkwiał w przełyku. Znalaziono też sińce wokół szyi, ale uznano, że zmarła sama je zrobiła, usiłując wyjąć tkwiący w gardle kawałek. Jej śmierć uznano za nieszczęśliwy wypadek, sprawę zamknięto, a ciało wydano mężowi, by mógł je pochować.

Przedsiębiorca pogrzebowy wyjaśnił Johnowi, że ze względu na tuszę nieboszczki trzeba byłoby zamówić specjalną trumnę, którą musiałyby nieść ośmiu silnych mężczyzn. Zaproponował pogrążonemu w smutku wdowcowi, by skremował ciało, na co on natychmiast się zgodził.

Pogrzeb był skromną uroczystością, na którą przyszło kilku krewnych z rodziny Johna i garstka najbliższych przyjaciół. Z ich czwórki pojawił się tylko Cameron, Dallas i Preston wykręcili się. Była również gospodyni Catherine; wychodząc z kościoła, John słyszał jej płacz. Zobaczył ją również w kruchcie, ściskającą w palcach różaniec i wpatrującą się w niego wymownie, jakby chciała powiedzieć: niech cię piekło pochłonie za to, co zrobiłeś. Wyrzucił ją z myśli bez zbędnych sentymentów.

Przyjechały też dwie osoby z rodziny zmarłej. Gdy skromny kondukt podążał w stronę mauzoleum, szły z tyłu za innymi. John spoglądał przez ramię na nieznaną mu parę. Miał uczucie, że się w niego wpatrują. Wywoływali w nim dziwny niepokój, toteż odwrócił się i pochylił głowę.

Niebiosa opłakiwały Catherine i śpiewały jej pieśń pochwalną. Kiedy pastor wypowiadał słowa modlitwy, błyskawica przecięła niebo i rozległ się grzmot, a gdy urna z prochami spoczęła we wnętrzu grobowca, spadła rześista ulewa.

Catherine spoczęła w pokoju i udręka męża dobiegła końca. Przyjaciele spodziewali się, że pogrąży się w smutku, czuli jednak ulgę, że jego ukochana żona przestała cierpieć.

Wbrew namowom John nie wziął urlopu i wrócił do pracy dzień po pogrzebie. Stwierdził, że musi się czymś zająć, by nie myśleć o bólu.

Był słoneczny bezchmurny dzień, kiedy jechał ulicą St. Charles do swego biura. Promienie słońca ogrzewały mu plecy, a w wilgotnym powietrzu unosił się zapach kapryfolium. Z głośników rozbrzmiewał jego ulubiony utwór *Hurts So Good* zespołu Mel-lencamp.

Zaparkował samochód tam gdzie zwykle, po czym wjechał windą na górę do biura. Kiedy otworzył drzwi oznaczone jego nazwiskiem, podeszła sekretarka, by złożyć kondolencje. Powiedział jej, że żona kochała takie piękne letnie dni. Gdy jakiś czas później opowiadała o tym koleżankom, twierdziła, że szef miał łzy w oczach.

Dni mijały, a on sprawiał wrażenie, jakby zmagał się ze smutkiem. W czasie pracy wydawał się zamknięty w sobie i daleki, a codzienne obowiązki wykonywał jak w transie. Niekiedy jednak był zaskakująco wesoły. To dziwaczne zachowanie martwiło jego podwładnych, ale tłumaczyli je depresją po śmierci żony. Najlepsze, co mogli zrobić, to zostawić go w spokoju. John nie należał do osób, które zwierzają się ze swoich uczuć, i bardzo cenił prywatność. Nie wiedzieli też, że jest bardzo pracowitym chłopcem.

Dwa tygodnie po „zdarzeniu” pozbył się wszystkiego, co przypominało mu żonę, łącznie z meblami w stylu włoskiego renesansu, które tak kochała. Zwolnił jej wiernych służących i zatrudnił nową gospodynię. Cały dom, od strychu aż po dach, przemaalował w jasne, śmiałe kolory i na nowo urządził ogród. Wybudował fontannę, o której marzył od lat, taką z cherubinkiem plującym wodą z ust. Kiedy pokazał ten projekt Catherine, odparła, że jest zbyt krzykliwy.

Urządził dom zgodnie z własnymi upodobaniami. Wybrał współczesne meble o gładkich, prostych liniach. Gdy przywieziono je z magazynu, ich ustawieniem zajęła się specjalistka. Kiedy ostatnia ciężarówka odjechała z podjazdu, John i piękna młoda dekoratorka wypróbowali nowe łóżko. Kochali się przez całą noc w czarnym, lśniącym, wspartym na czterech słupkach łożu, tak jak jej obiecał ponad rok temu.

2

Theo Buchanan nie mógł pozbyć się wirusa. Wiedział, że ma gorączkę, bo bolały go wszystkie kości i czuł dreszcze, nie chciał jednak przyjąć do wiadomości, że jest chory. Był tylko w trochę gorszej formie, to wszystko. Zwalczył to. Zresztą ostry ból w boku zmienił się w tępe pulsowanie, co z pewnością oznaczało, że idzie ku lepszemu. Jeśli to ten sam wirus, który złapała większość pracownikó w jego bostońskim biurze, przejdzie mu w ciągu dwudziestu czterech godzin i do jutra rana będzie czuł się jak nowo narodzony. Tylko że pulsujący ból w boku nie opuszczał go od kilku dni.

Wszystko przez jego brata Dylana. Nieźle go przycisnął w czasie meczu futbolowego, który rozegrali podczas rodzinnego spotkania w Nathan's Bay. Tak, nadszła chwila, w której to wino Dylana. Jeśli Theo nie będzie zwracał uwagi na ból, to w końcu przejdzie.

Cholera, ostatnio czuł się jak starzec, chociaż nie miał jeszcze trzydziestu trzech lat. Nie mógł sobie pozwolić na złapanie wirusa, nie miał czasu na leżenie w łóżku. Przyleciał z Bostonu do Nowego Orleanu, by wygłosić przemówienie na sympozjum poświęconym zorganizowanej przestępczości. Miał tam otrzymać odznaczenie, na które wcale nie zasługiwał. Robił przecież tylko to, co do niego należało.

Wsunął pistolet do kabury. Nie lubił broni, ale kazano mu ją nosić, przynajmniej dopóki nie ustaną te listy z pogróżkami, jakie ostatnio otrzymywał. Włożył smoking i poszedł do hotelowej łazienki zawiązać krawat. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Wyglądał fatalnie. Twarz miał mokrą od potu.

Dziś był pierwszy z trzech galowych wieczorów. Kolację miało przygotować pięciu najlepszych mistrzów kuchni w Nowym Or-

leanie. Jeśli chodzi o niego, to strata czasu. Na myśl o przełknięciu czegokolwiek, choćby wody, ścisnął mu się żołądek. Od wczorajszego popołudnia nie miał nic w ustach. Nie nęciła go też perspektywa zdawkowych rozmów.

Wsunął do kieszeni klucz i sięgał do klamki. W tym momencie zadzwonił telefon.

- Co słyhać? - posłyszał w słuchawce głos swego brata Nicka.
- Właśnie wychodzę - odparł. - Skąd dzwonisz, z Bostonu czy z Holy Oaks?
- Z Bostonu. Pomogłem Laurant zamknąć domek nad jeziorem i wróciliśmy razem.
- Zostanie u ciebie do ślubu?
- Chyba żartujesz. Tommy wysłałby mnie prosto do piekła. Theo wybuchnął śmiechem.
- Szwagier pastor przystępuje twoje życie intymne.
- Za dwa miesiące będę żonatym mężczyzną. Trudno w to uwierzyć, co?
- Trudno uwierzyć, że jakaś kobieta cię zechciała.
- Laurant jest krótkowidzem. Powiedziałem, że jestem przy stojny, a ona mi uwierzyła. Zamieszka u mamy i ojca, a potem wszyscy pojedziemy do Iowy na ślub. Co robisz dziś wieczorem?
- Wybieram się na uroczystą kolację - odpowiedział Theo. - Czego chcesz?
- Pomyślałem, że zadzwonię i zapytam, co słyhać.
- Nieprawda. O co chodzi? Daj spokój, Nick, jestem już spóźniony.

- Theo, musisz przystopować. Nie możesz tak gnać do końca życia. Wiem, co myślisz: że jeżeli poświęcisz się pracy, nie będziesz myślał o Rebecce. Minęły cztery lata od jej śmierci, a ty...

- Podoba mi się to, co robię - przerwał mu Theo - i nie mam ochoty rozmawiać o Rebecce.
- Jesteś pracoholikiem.
- Dzwonisz po to, żeby prawić mi kazania?
- Nie, dzwonię, żeby się dowiedzieć, co porabiasz.
- Hm.
- Jesteś w pięknym mieście, pełnym pięknych kobiet i wspa-
niałego jedzenia...
- Czego chcesz?
- Tommy i ja chcielibyśmy wziąć twoją żaglówkę - przyznał wreszcie Nick.

- Wielebny Tom jest z tobą?
 - Tak. Przyjechał z nami.
 - Więc tak: ty i Tommy chcecie wziąć moją żaglówkę, ale żaden z was nie ma pojęcia o żeglowaniu.
 - O co ci chodzi?
 - Czemu nie weźmiecie „Mary Beth”? Jest trwalsza.
 - Nie chcemy łowić ryb. Chcemy pożeglować. Theo westchnął ciężko.
 - Postarajcie się jej nie zatopić, dobrze? I nie pozwól, żeby Laurant popłynęła z wami. Rodzina ją lubi. Nie chcemy, żeby utonęła. Muszę już kończyć.
 - Zaczekaj, jest jeszcze coś.
 - Co?
 - Laurant nalegała, żebym do ciebie zatelefonował.
 - Jest w pobliżu? Daj jej słuchawkę.
- Theo usiadł na łóżku. Poczł się znacznie lepiej. Narzeczona Nicka miała zbawienny wpływ na wszystkich braci Buchananów. Dzięki niej każdy czuł się dobrze.
- Nie ma jej. Wyszła z Jordan. Znasz naszą siostrę. Nie wiadomo, kiedy wróca. Ale obiecałem Laurant, że cię złapię i spytam...
 - O co?
 - Chciała, żebym cię spytał, ale chyba nie muszę. To oczywiste.
 - Co jest oczywiste? - spytał z ciężkim westchnieniem Theo.
 - Czy zgodzisz się być świadkiem na naszym ślubie.
 - A Noah?
 - Będzie drużbą, chciałbym jednak, żebyś ty był świadkiem. Chyba się domyślałeś, ale Laurant uważa, że powinienem cię poprosić.
 - Dobrze.
 - Co dobrze?
 - Zgadzam się - odparł z uśmiechem Theo.
 - No to w porządku - stwierdził Nick. - Wygłosiłeś już swoją mowę?
 - Dopiero jutro wieczorem.
 - Kiedy dostaniesz nagrodę?
 - To medal. Otrzymam go tuż przed przemówieniem.
 - Więc jeśli je schrzanisz i uśpisz tych wszystkich agentów, nie będą mogli ci go zabrać, tak?
 - Odkładam słuchawkę.

- Hej, Theo choć raz przestań myśleć o pracy. Zwiedź miasto, odpocznij... no wiesz, zabaw się. Wiesz co? Zadzwoń do Noaha. Przez kilka miesięcy będzie w Biloxi. Mógłby przyjechać do Nowego Orleanu. Zabawilibyście się.

Rzeczywiście, co jak co, ale Noah Clazborne bawić się umiał. Był bliskim przyjacielem rodziny. Jako agent FBI współpracował z Nickiem przy kilku sprawach, a potem pomagał Theo przy śledztwach, które jako prokurator federalny prowadził dla Ministerstwa Sprawiedliwości. Był dobrym człowiekiem, ale miał diabelskie poczucie humoru, a Theo nie miał raczej ochoty na wieczorną hulankę.

- Dobra, zastanowię się.

Odłożył słuchawkę, wstał i zgiął się wpół z bólu, który eksplodował w prawym boku. Zaczął się w okolicy brzucha, po czym zszedł niżej i palił jak ogniem.

Głupia kontuzja nie zatrzyma go w hotelu. Mruczając pod nosem przekleństwa, wyjął telefon komórkowy z ładowarki, włożył go do wewnętrznej kieszeni razem z okularami i wyszedł z pokoju. Kiedy dotarł do holu, ból zelżał i Theo znów poczuł się jak człowiek. To potwierdzało zasadę, którą się kierował: nie zwracaj uwagi na ból, a sam minie. Buchananowie byli twardzi.

3

To była niezapomniana noc.

Michelle nigdy nie uczestniczyła w tak eleganckim przyjęciu i kiedy stała na schodach, patrząc na salę balową, czuła się jak Alicja, która trafiła do krainy czarów.

Pomieszczenie tonęło w pięknych wiosennych kwiatach, ułożonych w bukiety w ogromnych rzeźbionych wazonach i w kryształowych wazach na przykrytych białymi obrusami stołach. W samym środku sali, pod wspaniałym kryształowym żyrandolem, pyszniły się kwitnące magnolie, które rozsiewały niebiańskie zapachy.

Wśród tłumu gości przemykali kelnerzy, roznosząc na srebrnych tacach szampan w smukłych kieliszkach, inni zaś biegali od stołu do stołu i zapalali długie białe świece.

Towarzyszająca jej przyjaciółka z dziecinnych lat, Mary Ann Winters, nie mogła oderwać wzroku od tego przepychu.

- Nie pasuję do tego miejsca - szepnęła Michelle. - Czuję się jak niezdarna nastolatka.

- Wcale tak nie wyglądasz - odparła Mary Ann. - To mnie mogłoby tu nie być. Założę się, że wszyscy mężczyźni patrzą tylko na ciebie.

- Nie, oni patrzą na moją nieprzyzwoicie obcisłą suknię. W sklepie na wieszaku wyglądała tak prosto i zwyczajnie, a...

- A na tobie zbyt seksownie, tak? Przylega tam, gdzie trzeba. Musisz się pogodzić z tym, że masz fantastyczną figurę.

- Nie powinnam wydawać tyle pieniędzy na sukienkę.

- Na litość boską, Michelle, to Armani. Kupiłaś ją półdarmo.

Michelle nieświadomie przesunęła dłonią po miękkim materiale. Pomyślała, że za tę cenę powinna włożyć suknię co najmniej

dwadzieścia razy. Ciekawe, czy inne kobiety też próbują znaleźć racjonalne wytłumaczenie lekkomyślnego wydatku. Za te pieniądze kupiłaby mnóstwo znacznie potrzebniejszych rzeczy. Poza tym kiedy, na litość boską, będzie znowu miała okazję, by włożyć tę suknię? Na pewno nie w Bowen.

- Gdzie ja miałam rozum? Nie powinnam była jej kupować.

Mary Ann niecierpliwym gestem odsunęła z twarzy pasemko jasnych włosów.

- Nie waż się znowu mówić o cenie. Nigdy sobie nic nie kupujesz. Założę się, że to pierwsza w twoim życiu tak wspaniała kreacja. Wyglądasz cudownie. Obiecuj, że przestaniesz się zamartwiać i będziesz się dobrze bawić.

- Nie będę się martwić - obiecała Michelle.

- To dobrze. A teraz włączajmy się w tłum gości. Na tarasie są przekąski i możemy ich zjeść za co najmniej tysiąc dolarów. Słyszałam, że tyle kosztował bilet wstępu. Spotkamy się na miejscu.

Michelle ruszyła schodami w dół. W tej samej chwili doktor Cooper zauważył ją i dał znak, by podeszła. Był szefem chirurgii w szpitalu Brethren, gdzie przez ostatni miesiąc pracowała. Zwykle zachowywał się powściągliwie, lecz szampan pozbawił go zahamowań i uczynił bardziej przyjacielskim i wymownym. Doktor Cooper zapewnił ją, że jest szczęśliwy, że skorzystała z biletów, które jej dał, i że tak pięknie wygląda. Jeszcze chwila, a rozpląnąłby się z tej szczęśliwości. Kiedy zaczął się rozwodzić nad zaletami langusty, plując śliną przy spółgłoskach przedniojęzykowych, odsunęła się na bezpieczną odległość. Kilka minut później podeszła do nich żona doktora w towarzystwie innej pary. Michelle skorzystała z okazji i uciekła. Nie chciała siedzieć obok Cooperów podczas kolacji. Już podchmielony szczęśliwiec był wystarczająco nieznoszny, co dopiero flirtujący, a na to się zapowiadało. Oboje z żoną stali tuż przy wejściu na dziedziniec, wymknęła się więc na przylegający do sali korytarz z nadzieją, że znajdzie drugie wejście.

Wtedy go zobaczyła. Zgięty wpół, opierał się o filar. Był wysokim, dobrze zbudowanym, barczystym mężczyzną o ziemisto-toszarzej twarzy. Kiedy podeszła bliżej, skrzywił się i chwycił za brzuch. Dotknęła jego ramienia. Wyprostował się z trudem i na nią spojrział. Szare oczy były szkliste z bólu.

- Potrzebuje pan pomocy?

Kolana się pod nim ugięły, jakby miał upaść. Michelle objęła

go w tali z zamiarem położenia na podłogę, lecz mężczyzna zachwiał się i runął na nią.

Theo posłyszał, że kobieta jęknęła, i spróbował wstać. Pomyślał, że umiera i może nie byłoby to takie złe, bo wtedy przestałoby go boleć. Żołądek znowu się odezwał i zalała go kolejna fala nieznośnego bólu, zupełnie jakby ktoś raz po raz dźgał go nożem. Zemdlał. Kiedy otworzył oczy, leżał na podłogę, a kobieta pochylała się nad nim.

Spróbował skupić wzrok na jej twarzy. Miała piękne niebieskie oczy z przewagą fioletu i piegi na nosie. Pałący ból powrócił, tym razem znacznie intensywniejszy. Żołądek zareagował skurczem.

- Cholera! - jęknął Theo.

Kobieta coś do niego mówiła, lecz nie mógł zrozumieć słów. Co ona, u diabła, wyrabiała? Czyżby chciała go okraść? Jej dłonie były wszędzie, szarpały marynarkę, krawat, koszulę. Usiłowała też wyprostować mu nogi. Sprawiała mu ból, lecz za każdym razem, gdy odpychał jej rękę, wracały, by cisnąć go i kłuć.

Co chwila tracił przytomność i znowu ją odyskiwał. Poczul, że się kołysze; gdzieś nad głową wyła syrena. Niebieskie oczy nadal były przy nim i nie dawały spokoju. Znowu zadawała mu pytania. Coś na temat alergii. Czy chciała, żeby był na coś uczulony?

- No jasne.

Poczul, że rozsuwa mu marynarkę. Wiedział, że za chwilę zobaczy pistolet. Ból mącił mu mózg i nie pozwalał jasno myśleć. Nie może dopuścić, by zabrała mu broń.

Cholerna z niej gaduła. Dobra, niech sobie gada. Wyglądała uroczo. Urocza jęzda, która zadaje ból.

- Możesz sobie wziąć portfel, panienko, ale wara od broni.

Kiedy wbiła mu palce w bok, instynktownie wymierzył cios. Musiał trafić w coś miękkiego, bo posłyszał jej krzyk i zemdlał.

Gdy otworzył oczy, poraziło go jaskrawe światło. Gdzie on, u diabła, jest? Nie miał siły się ruszyć. Leżał chyba na stole, w dodatku twardym i zimnym.

- Gdzie ja jestem?

W ustach miał tak sucho, że nie był w stanie mówić.

- W szpitalu Brethren, panie Buchanan - dobiegł go gdzieś z tyłu męski głos.

- Złapali ją?

- Kogo?

- Tę kobietę.

- Majaczy - stwierdził ktoś tym razem kobiecym głosem.
 Nagle uświadomił sobie, że już go nie boli. Czuł się świetnie. Miał ochotę latać, ale nie mógł ruszyć rękami. Na ustach i nosie miał maskę. Odwrócił głowę, by się jej pozbyć.

- Za chwilę pan usnie, panie Buchanan.

Podniósł wzrok i znowu ujrzał tę kobietę. Wyglądała jak anioł w złocistej aureoli. Chwileczkę. Co ona, u diabła, tu robiła?

- Mike, będziesz w stanie coś zobaczyć przez to oko? Nie wygląda dobrze.

- Nic mi nie będzie.

- Jak to się stało? - spytał ktoś za nim.

- Uderzył mnie.

- Pacjent tak cię urządził?

- Tak - odparła, patrząc mu w oczy. Na twarzy miała maskę, ale Theo wiedział, że się uśmiecha.

W głowie mu szumiało i powieki stawały się ciężkie. Wokół niego toczyła się rozmowa, ale nie mógł pojąć jej sensu.

- Gdzie pani go znalazła, pani doktor? - rozległ się kobiecy głos.

- Na przyjęciu.

Pochyliła się nad nim jakaś kobieca twarz.

- Fiu fiu!

- Czy to miłość od pierwszego wejrzenia?

- Sama oceń. Rzucił się na mnie i zniszczył mi suknię.

Rozległ się czyjś śmiech.

- Według mnie to miłość. Pewnie jest żonaty. Wszyscy przystojni faceci są żonaci. A ten jest nieźle zbudowany. Widziałaś te wspaniałości, Annie?

- Mam nadzieję, że już usnął.

- Jeszcze nie - odpowiedział jakiś mężczyzna. - Ale niczego nie będzie pamiętał.

- Gdzie asysta?

- Szoruje się.

Najwyraźniej trwało tu jakieś przyjęcie. W pomieszczeniu było chyba ze dwadzieścia, trzydzieści osób. Czemu tu jest tak cholernie zimno? I skąd to całe zamieszanie? Chciało mu się pić. W ustach miał piasek.

- Gdzie jest doktor Cooper?

- Pewnie przy deserze - odpowiedziała błękitnooka.

Ma piękny głos, pomyślał. Cholernie seksowny.

- Więc widziała pani doktora Coopera na przyjęciu?

- Mhm - odparła błękitnooka. - Nie ma dziś dyżuru. Ciężko pracuje, więc należy mu się trochę rozrywki. Mary Ann też pewnie dobrze się bawi.

- Proszę pani - wydusił z trudem Theo. Kiedy otworzył oczy, pochylała się nad nim, zastaniając jaskrawe światło.

- Najwyższy czas, żeby pan zasnął, panie Buchanan.

- Broni się przed tym.

- Czego... - zaczął Theo.

- Tak?

- Czego pani ode mnie chce?

- Mike chce pański wyrostek robaczkowy - odpowiedział z tyłu jakiś mężczyzna.

Theo nie miał nic przeciwko temu. Zawsze chętnie spełniał zachcianki pięknych kobiet.

- W porządku - wyszeptał. - Jest w moim portfelu.

- Jesteśmy gotowi.

- Najwyższy czas - stwierdził mężczyzna.

- Kogo chciałyby pani dziś posłuchać, pani doktor?

- Czy musisz o to pytać, Annie?

Przez salę przeszedł jęk, potem coś kliknęło. Theo posłyszał skrzypnięcie krzesła i ktoś polecił mu, by głęboko oddychać. Wreszcie dotarło do niego, kim jest ten mężczyzna z tyłu. Niech go diabli, jeśli to nie Willie Nelson. Śpiewał coś o niebieskich oczach płaczących w deszczu.

To było dopiero przyjęcie.

4

Kiedy obudził się rano, leżał w szpitalnym łóżku. Boczne poręczce były podniesione. Zamknął oczy i usiłował sobie coś przypomnieć. Co mu się stało?

Minęła dziesiąta, gdy ponownie otworzył oczy. Błękitnooka pochylała się nad nim i okrywała go prześcieradłem wokół talii. A więc istniała naprawdę.

Wyglądała dziś inaczej. Miała na sobie lekarski kitel, ale tym razem nie chowała włosów pod czepkiem. Spływały jej na ramiona ciemną kasztanową falą. Była znacznie ładniejsza, niż sądził.

- Dzień dobry - powiedziała. - Jak się pan czuje? Nadal senny?

Widząc, że pacjent próbuje usiąść, sięgnęła po sznur i wcisnęła guzik. Górna część łóżka wolno się uniosła. Poczował, że ciągnie go w boku, a potem lekkie klucie.

- Proszę powiedzieć kiedy.

- Już - odrzekł. - Dziękuję.

Wzięła kartę choroby i zaczęła coś w niej zapisywać, on zaś nie spuszczał z niej wzroku. Czuł się dziwnie niepewnie w szpitalnym łóżku i koszuli. Pragnął powiedzieć coś mądrego, lecz w głowie miał pustkę. Po raz pierwszy w życiu chciał być czarujący, ale nie wiedział, jak to zrobić. Nie miał dotąd czasu na słowne zabawy. W ciągu czterech lat od śmierci żony stał się bezceremonialny, szorstki i konkretny, bo to oszczędzało czas, a on stale się spieszył. A teraz chciał być czarujący. Dobrze sobie, jakby powiedział jego młodszy brat Zack. Ale co tam, nie takie rzeczy się robiło.

- Pamięta pan, co się stało wczoraj wieczorem? - spytała, unosząc wzrok znak karty.

- Miałem operację.

- Tak. Usunięto panu wyrostek. Jeszcze piętnaście minut, a mógłby pęknąć.

- Niewiele pamiętam. Co się pani stało w oko?

Uśmiechnęła się i znów zaczęła pisać.

- Nie uchyliłam się na czas.

- Kim pani jest?

- Doktor Renard.

- Mike?

- Słucham?

- Ktoś mówił do pani Mike.

Skończyła pisać, wsunęła długopis do kieszeni fartucha i spojrzała na niego z uwagą. Pielęgniarki miały rację. Theo Buchanan był boski... i seksowny jak diabli. Ale nie powinno to mieć znaczenia. Była tylko chirurgiem, nikim więcej, mimo to jako kobieta nie mogła patrzeć obojętnie na tak wspaniały okaz męzczyzny. Przecież to nic złego. Chyba że on zauważył, że to zauważała.

- Zdaje się, że o coś pan pytał - odezwała się po chwili.

Miał wrażenie, że ją zirytował, tylko nie wiedział dlaczego.

- Słyszałem, że ktoś powiedział do pani Mike.

Skinęła głową.

- Tak, pielęgniarki tak mnie nazywają. To skrót od Michelle.

- Michelle to ładne imię.

- Dziękuję.

Nagle zaczęła mu wracać pamięć. Był na przyjęciu, była tam też piękna kobieta w obcisłej czarnej sukni. Wyglądała oszałamiająco. Miała zabójczo niebieskie oczy i towarzyszył jej Willie Nelson. Śpiewał jakąś piosenkę. Nie, to niemożliwe. Najwyraźniej coś mu się pokręciło.

- Rozmawiała pani ze mną po operacji - powiedział.

- Kiedy pan się wybudził. Ale to raczej pan mówił. - Uśmiechnęła się.

- Tak? A co mówiłem?

- Przeważnie bzdury - odparła.

- Gdzie jest mój pistolet?

- W szpitalnym sejfie z innymi rzeczami osobistymi. Doktor Cooper dopilnuje, by go panu zwrócono, gdy będzie pan opuszczał szpital. Przejmie nad panem opiekę. Pozna go pan, kiedy będzie robił obchód.

- Dlaczego?

- Dlaczego co, panie Buchanan?

- Theo - poprawił. - Mam na imię Theo.

- Tak, wiem. Brat mi powiedział.

- Który brat?

- A ilu ich masz?

- Pięciu. I dwie siostry. No to z kim rozmawiałaś?

- Z Nickiem. Podałeś mi jego numer telefonu i prosiłeś, żebym do niego zadzwoniła. Zaniepokoił się i kazał mi przyrzec, że zatelefonuję do niego po operacji. Kiedy tylko wybudziłeś się z narkozy, zatelefonowałam i zapewniłam go, że wszystko poszło dobrze. Chciał przyjechać - dodała - ale odetchnął z ulgą, gdy mu powiedziałam, że nie musi.

- Nick nienawidzi latania samolotem - wyjaśnił. - Kiedy dałem ci jego numer telefonu? Nie pamiętam.

- Tuż przed operacją. Byłeś bardzo rozmowny po tym, jak daliśmy ci środek usmierzający ból. Aha, moja odpowiedź brzmi: „Nie”, nie wyjdę za ciebie.

Uśmiechnął się, przekonany, że żartuje.

- Nic z tego nie pamiętam. Za to pamiętam ból. Bolało mnie jak cho...

- Nie wątpię.

- Ty mnie operowałaś, tak? Nie wymyśliłem sobie tego?

- Tak, ja. - Odwróciła się w stronę drzwi.

Nie chciał, żeby wyszła. Chciał się dowiedzieć o niej czegoś więcej. Cholera, żałował, że nie jest lepszy w takich pogawędkach.

- Zaczekaj.

Przystanąła.

- Tak?

- Mógłbym... czy mógłbym dostać szklankę wody?

Podeszła do szafki przy łóżku, wlała odrobinę wody do szklanki i podała mu.

- Ale tylko trochę - powiedziała. - Jeżeli dostaniesz mdłości, zniszczysz moje szwy.

- Dobrze - odparł. Wypił wodę, po czym oddał jej szklankę. - Jesteś zbyt młoda jak na chirurga. - To głupie, pomyślał, ale tylko to przyszło mu do głowy.

- Ciagle to słyszę.

- Wyglądasz raczej na uczennicę college'u. - To zdanie było jeszcze gorsze od poprzedniego.

- Już raczej na studentkę - odpowiedziała. - Pozwolili mi operować.

- Pani doktor, można na chwilę? - W drzwiach stanął pielęgniarz z wielkim tekturowym pudłem pod pachą.

- Tak, Bobby?

- Doktor Cooper zapakował tu sprzęt medyczny dla pani - wyjaśnił młody człowiek. - Co mam z tym zrobić? Doktor Cooper zostawił to pudło w gabinecie zabiegowym, ale pielęgniarki kazały je zabrać, bo przeszkadzało.

- Mógłbyś je włożyć do mojej szafki?

- Nie zmieści się. Ale nie jest ciężkie, mogę je zanieść do pani samochodu.

- Mój ojciec ma samochód - odpowiedziała. Rozejrzała się, po czym zerknęła na Theo. - Miałyś coś przeciwko temu, gdyby Bobby zostawił tu to pudło? Ojciec po nie przyjdzie.

- Proszę bardzo - odrzekł.

- Już się nie zobaczymy. Wracam dziś do domu, ale nie martw się, znajdziesz się w dobrych rękach. Doktor Cooper jest ordynatorem chirurgii, będziesz więc pod fachową opieką.

- A gdzie jest ten dom?

- Na moczarach.

- Żartujesz.

- Nie - odparła z uśmiechem, ukazując mały dołeczek w policzku. - To mała miejscowość otoczona bagnami. Nie mogę się już doczekać powrotu.

- Nostalgia za domem?

- Tak - przyznała. - W głębi duszy jestem prowincjonalną dziewczyną. Życie w miasteczku trudno nazwać fascynującym, ale to właśnie mnie w nim pociąga.

- Pociąga cię życie na moczarach.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie, ale mimo to odpowiedziała.

- Wyglądasz na szokowanego.

- Nie, tylko się dziwię.

- Pochodzisz z wielkiego miasta, pewnie by ci się tam nie podobało.

- Dlaczego tak sądzisz?

Wzruszyła ramionami.

- Sprawiasz wrażenie światowca.

Trudno powiedzieć, czy był to komplement, czy krytyka.

- Czasami człowiek nie może wrócić do domu. Chyba przeczytałem to w jakiejś książce. Poza tym wyglądasz jak mieszkanka Nowego Orleanu.

- Kocham to miasto. Można tu pójść na wspaniałą kolację.

- Ale nigdy nie będzie domem.

- Właśnie.

- Będziesz w tym swoim miasteczku prowadzić praktykę lekarską?

- Tak. Otwieram tam ambulatorium. Nie będzie to nic nadzwyczajnego, ale brakuje nam przychodni. Ludzie nie mają gdzie się leczyć.

- Będą więc szczęśliwi, mając ciebie.

Pokręciła głową.

- O nie, to ja będę szczęśliwa. - Zaśmiała się. - Mówię jak siostra miłosierdzia, ale naprawdę czuję się szczęśliwa. Ludzie są wspaniali, przynajmniej tak sądzę, i dają mi znacznie więcej, niż mogę im ofiarować. - Kiedy to powiedziała, jej twarz zajaśniała blaskiem. - Wiesz, co najbardziej mi się w nich podoba?

- Co takiego?

- Że nie bawią się w żadne gierki. W większości to uczciwi, prości ludzie, którzy usiłują jakoś związać koniec z końcem. Nie tracą czasu na głupoty.

- I wszyscy się kochają? - spytał, marszcząc czoło.

- Nie, oczywiście że nie. Ale ja znam swoich wrogów. Nie będą się skradać za plecami i atakować zniecka. To nie w ich stylu. - Uśmiechnęła się. - Mówią prosto z mostu, co bardzo mi odpowiada. Żadnych podchodów. Po praktyce, którą odbyłam, to przyjemna odmiana.

- Nie będzie ci brakować pięknego gabinetu i wszystkich tych dodatków?

- Niespecjalnie. Są rzeczy ważniejsze od pieniędzy. Oczywiście byłoby wspaniale mieć całe to wyposażenie, ale dam sobie radę. Wiele lat się do tego przygotowywałam, a poza tym... złożyłam obietnicę.

Zadawał jej pytania, by nie przestawała mówić. Z zainteresowaniem słuchał informacji na temat jej rodzinnej miejscowości, bardziej jednak fascynował go sam głos. Było w nim tyle pasji, radości i oczy tak jej błyszczały, gdy opowiadała o rodzinie, przyjaciołach i dobrych uczynkach, które miała nadzieję spełniać.

Przypominała mu jego samego, kiedy zaczynał karierę prawnika.

On też chciał zmieniać świat, uczynić go lepszym. Rebecca położyła temu kres. Patrząc w przeszłość, uświadomił sobie, że zawiodł na całej linii.

- Zmęczyłam cię tymi opowieściami. Powinieneś odpocząć.

- Kiedy będę mógł wyjść?

- O tym zadecyduje doktor Cooper, ale gdyby to ode mnie zależało, zatrzymałabym cię jeszcze na jedną noc. Przeszedłeś poważną operację. Musisz się oszczędzać przez kilka tygodni i brać antybiotyki. Powodzenia, Theo.

Zniknęła, a on stracił okazję, by dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Nie wiedział nawet, gdzie mieszka. Zapadł w sen, zastanawiając się, jak ją znaleźć.

5

Kiedy Theo obudził się, pokój tonął w kwiatach. Z korytarza dobiegały czyjeś szepty. Otworzył oczy i zobaczył pielęgniarkę rozmawiającą ze starszym mężczyzną; wskazywała na pudło, które zostawił pielęgniarz.

Nieznajomy wyglądał jak były futbolista albo bokser. Jeśli był ojcem doktor Renard, to urodę musiała odziedziczyć po matce.

- Nie chciałbym przeszkadzać - powiedział mężczyzna z ciężkim Luizjańskim akcentem. - Zabiorę tylko to pudło, które doktor Cooper przygotował dla mojej córki, i uciekam.

- Proszę wejść - powiedział Theo. - Jest pan ojcem doktor Renard?

- Tak. Nazywam się Jake Renard. - Mężczyzna podszedł do łóżka i wyciągnął rękę. Theo nie musiał się przedstawiać. Jake wiedział, kim jest ten policjant. - Córka opowiadała mi o panu.

- Naprawdę? - zdziwił się Theo.

Jake skinął głową.

- Musisz być naprawdę szybki, synu, bo Mike umie się bronić.

Theo nie miał pojęcia, o czym mężczyzna mówi.

- Byłem szybki?

- Gdy jej przyłożyłeś - wyjaśnił Jake. - A niby skąd ma to podbite oko?

- Ja to zrobiłem? - Theo nie mógł w to uwierzyć. Niczego nie pamiętał, a ona o tym nie wspominała. - Jest pan pewny?

- Oczywiście. Domyślam się, że nie chciałeś jej uderzyć. Mówiła mi, że bardzo cierpiełeś. Miałeś szczęście, że tam była. - Jake założył ręce na piersi i oparł się o poręcz łóżka. - Córka rzadko opowiada o pacjentach, ale miała iść na eleganckie przyjęcie i włożyć nową sukienkę, na którą wydała mnóstwo pieniędzy,

więc spytałem, czy dobrze się bawiła, a ona opowiedziała mi o tobie. Zamiast się bawić, musiała jechać do szpitala. Nie zdążyła nawet nic zjeść.

- Powiniennem ją przeprosić.

- Podarłeś jej suknię. Za to też powinieneś ją przeprosić.

- Podarłem jej suknię?

- Kiedy się na nią rzuciłeś - dodał Jake ze śmiechem. - Zniszczyłeś suknię za czterysta dolarów.

Theo jęknął; teraz sobie przypominał.

- Potrzebny ci odpoczynek. Jeżeli zobaczysz moją córkę, powiedz jej, że czekam na dole w holu. Miło mi było cię poznać.

- A może tu by pan zaczekał - zaproponował Theo. - Spałem tyle, ile trzeba - dodał. - Gdy pańska córka tu zajrzy, będę mógł jej podziękować.

- Mogę chwilę posiedzieć, ale czy to cię nie zmęczy, synu?

- Nie.

Jake przysunął krzesło do łóżka i usiadł.

- Skąd jesteś? - spytał. - Po akcencie domyślam się, że ze Wschodniego Wybrzeża.

- Z Bostonu.

- Nigdy tam nie byłem. Jesteś żonaty?

- Byłem.

- Rozwiedziony?

- Nie, moja żona zmarła. - Ton głosu Theo wskazywał, że nie chce drażnić tego tematu.

- A rodzice żyją?

- Tak. Pochodzę z licznej rodziny. Jest nas ośmioro, sześciu chłopaków i dwie dziewczyny. Ojciec jest sędzią. Usiłuje przejść na emeryturę, ale nie bardzo wie, jak to zrobić.

- Nigdy nie znałem żadnego sędziego - stwierdził Jake. - Moja żona Ellie chciała mieć dużą rodzinę i gdyby Pan Bóg nas nią obdarzył, pewnie znalazłbym sposób, jak ją wyżywić. Starałem się, ale musieliśmy poprzestać na trójce, dwóch chłopcach i dziewczynce.

- Gdzie właściwie jest pański dom? Pańska córka mówiła coś o ambulatorium, ale nie wymieniła nazwy miasta.

- Mów mi Jake. W Bowen, w Luizjanie, ale wątpię, byś słyszał o takiej miejscowości. To mała osada, nie znajdziesz jej na mapie, ale za to jaka! W całej Luizjanie nie ma piękniejszej okolicy. Gdy słońce zachodzi i zrywa się wiatr, torfowiska zaczynają falować,

promienie odbijają się w rozlewiskach, a żaby i aligatory zaczynają swoje pieśni. Wtedy myślę sobie, że mieszkam w raju, tak tam pięknie. Najbliższe miasto to St. Claire i tam ludzie jeżdżą na sobotnie zakupy. Nie jesteśmy kompletnie odcięci od świata. Mamy nawet szpital, stary, ale dobry.

- Czy twoi synowie mieszkają w Bowen?

- Remy, mój starszy, mieszka w Kolorado. Jest strażakiem i jeszcze się nie ożenił. Od czasu do czasu przyjeżdża do domu. Młodszy, John Paul, kilka lat temu wyszedł z wojska i wrócił do Bowen. Też się nie ożenił. Pewnie nie ma na to czasu. Mieszka w małej chatce na moczarach i kiedy nie pomaga mi w barze, zajmuje się ciesielką. W zeszłym roku otworzyliśmy szkołę średnią i John Paul pomagał ją budować. Szkoła nosi imię Daniela Boone'a, to miejscowa osobistość.

- Masz na myśli tego Daniela Boone'a, który pomagał zasiedlać Kentucky, pioniera amerykańskiej kolonizacji?

- Tego samego.

- Twierdzisz, że Boone mieszkał w Bowen?

Jake pokręcił przecząco głową.

- Nie, synu, nie możemy się tym pochwalić, ale legenda mówi, że polował i łowił ryby na tych terenach. Oczywiście było to w osiemnastym wieku, zanim powstało Bowen. Ale wyobrażamy sobie, że łowił w naszych rzekach i biwakował gdzieś w okolicy.

Theo z trudem powstrzymał śmiech. Wyglądało na to, że mieszkańcy tego miasteczka bardzo chcieli mieć jakiegoś bohatera.

- Skąd się wzięła nazwa Bowen?

- Od słowa *bowie* oznaczającego nóż myśliwski.

- A może od nazwiska Bowie, Jima Bowiego, założyciela Arkansas. Też tędy przejeżdżał?

- Lubimy tak myśleć.

- Nabierasz mnie.

- Wcale nie - odparł Jake. - Oczywiście Jim nie przybył tu w tym samym czasie co Daniel. Było to wiele lat później, w dziewiętnastym wieku.

- Jesteś pewien, że nie pomyliliście Daniela Boone'a z Davym Crockettem?

- Mam nadzieję, że nie. Jest już wybitny napis na tablicy pamiątkowej.

- Czy jest jakiś dowód, że Boone był w Bowen?

- Nic godnego uwagi - odparł Jake z błyskiem w oku. - Ale

wierzmy, że to prawda. Jak już mówiłem, dzieciaki musiały jeździć zatłoczonym autobusem do szkoły średniej w St. Claire. Kiedyś mieliśmy własny. Mieliśmy też drużynę futbolową. Bardzo byliśmy z niej dumni, póki nie zobaczyliśmy, jak grają. Żałosny widok, delikatnie mówiąc. Nigdy jednak nie opuściłem żadnego meczu i w tym roku też nie opuszczę. Teraz, kiedy moja córka wraca do domu, będziemy chodzić razem. Mike zgodziła się zostać lekarzem drużyny, co oznacza, że będzie musiała siedzieć na boisku i opatrywać kontuzje. Wszyscy wiedzą, że znowu dostaną lanie, ale trzeba ich dopingować. W zeszłym roku nie wygraliśmy ani jednego meczu. Mamy kilku wielkich chłopaków, nie wiedzą jednak, co robić z piłką. Nie wiedzą nawet, jak uderzyć. Lubisz oglądać mecze futbolowe?

- Jasne.

- Grałeś kiedyś?

- Tak - odpowiedział Theo. - W szkole średniej i w college'u, póki nie rozwaliłem sobie kolana.

- Na jakiej pozycji? Jesteś wysoki i barczysty, pewnie w młynie.

- Zgadza się. - Theo kiwnął głową. - Ale to było wieki temu. Jake spojrzał na niego z nagłą uwagą w oczach.

- Myślałeś kiedyś o trenowaniu?

Theo wybuchnął śmiechem.

- Nie.

- Mike mogłaby naprawić ci kolano.

- Musisz być dumny z córki. Wraca do domu, by otworzyć ambulatorium.

- Jestem dumny - odrzekł Jake. - Ale nie pozwolę, by zaharowywała się na śmierć. Są inni lekarze w St. Claire i będą się dzielić dyżurami, tak by każdy mógł mieć wolne od czasu do czasu.

- Dlaczego pracuje w tym szpitalu?

- Żeby zarobić trochę pieniędzy. Nazywają to pracą na czarno, ale już z tym skończyła i więcej tu nie wróci. Lubisz łowić ryby?

- Kiedyś łowiłem, ale od kilku lat nie miałem na to czasu - odpowiedział Theo. - Wspaniale jest siedzieć i...

- W jednej ręce trzymać wędkę, a w drugiej butelkę zimnego piwa, co?

- Właśnie. Nie ma nic lepszego.

Zaczęli rozmawiać o przynętach, przechwalać się na temat wielkości ryb, które złowili. Jake był pod wrażeniem. Nie sądził,

że spotka kogoś, kto będzie rozumiał lub kochał wędkowanie tak jak on, tymczasem miał przed sobą bratnią duszę.

- Musisz koniecznie przyjechać do Bowen. Mamy najlepsze łowiska w całym stanie. Wiem, co mówię. Znam takie miejsca, których nikt nie zna.

- Może kiedyś skorzystam z zaproszenia - odparł Theo.

- Czym się zajmujesz? - spytał Jake.

- Jestem prawnikiem.

- Dlaczego naczelnik policji przysłał ci kwiaty? - Jake zmieszał się, po czym dodał: - Stały na stole w pokoju zabiegowym, zanim je tu przyniesiono. Przeczytałem wizytówkę.

- Przyjechałem do Nowego Orleanu wygłosić mowę - wyjaśnił Theo, pomijając fakt, że został odznaczony przez tutejsze władze. - Pracuję dla Ministerstwa Sprawiedliwości.

- Co dokładnie robisz?

- Przydzielono mnie do specjalnej grupy zadaniowej - odrzekł Theo wymijająco, lecz natychmiast dodał: - Chodziło o zorganizowaną grupę przestępczą. Właśnie zakończyłem sprawę.

- Złapałeś, kogo trzeba?

- Tak. - Theo uśmiechnął się.

- Jesteś teraz wolny?

- Nie. Ministerstwo chce, bym nadal dla nich pracował, ale jeszcze się nie zdecydowałem.

Jake nie przestawał pytać. Theo pomyślał, że byłby wspaniałym prokuratorem; miał bystry umysł i inteligencję.

- Myślałeś o prowadzeniu prywatnej praktyki? - wypytywał dalej.

- Czasami.

- W Bowen nie ma dobrych prawników. Jest dwóch w St. Claire, ale zedrą z ciebie ostatnią koszulę. Ludzie ich nie lubią.

Kiedy Jake opowiadał o mieście, Theo zastanawiał się, jak zapytać go o Michelle.

- Czy twoja córka jest mężatką? - Nie ma to jak subtelność.

- Ciekaw byłem, kiedy zaczniesz pytać o Mike. Odpowiedź brzmi: Nie, nie jest mężatką. Nie miała na to czasu. Oczywiście mężczyźni w Bowen i St. Claire próbowali przyciągnąć jej uwagę, ale była zbyt zajęta urzędowaniem w ambulatorium. Jest jeszcze młoda. I bardzo bystra. Skończyła college przed dwudziestką, a potem poszła na medycynę. Musiała wyjechać do innego stanu, by odbyć praktykę, ale jak tylko mogła, przyjeżdżała do domu. Kocha rodzinę - dodał Jake. - I ładna z niej dziewczyna, prawda?

- Tak.

- Pewnie już to zauważyłeś. - Jake wstał i odstawił krzesło pod ścianę. - Miło się z tobą gadało, ale czas na mnie. Prześpij się, a ja zaniosę to pudło do samochodu. Doktor Cooper dał mojej córce stare instrumenty chirurgiczne. Kiedy poprosiła mnie, żebym przyjechał i je zabrał, cieszyła się, jakby dostała gwiazdkę z nieba. Jeżeli kiedyś przyjedziesz do Bowen, wpadnij Pod Łabędzia. To mój bar - wyjaśnił. - Drinki na koszt firmy.

- Jeżeli nie zobaczę twojej córki, podziękuj jej w moim imieniu i powiedz, że przykro mi z powodu tej sukni - powiedział Theo.

- Na pewno powiem.

- Może jeszcze się kiedyś spotkamy.

- Może. - Jake skinął głową.

6

Przyjaciele Johna nigdy by się tego nie spodziewali.

Dwa tygodnie po pogrzebie Catherine Cameron spotkał pogrążonego w żałobie wdowca w Commander Palace, czterogwiazdkowej restauracji w Garden. Cameron czekał właśnie na adwokata, z którym miał omówić ciągnące się w nieskończoność i obrzydliwie nudne warunki rozwodu. Żona postanowiła go zrujnować i publicznie upokorzyć i wszystko wskazywało na to, że jej się uda.

John siedział przy stoliku w towarzystwie młodej kobiety. Blondynka wydała się Cameronowi znajoma. Siedziała z pochyloną głową i pisała coś w terminarzu. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie widział tę kobietę, ale ucieszył się, że przyjaciel spotyka się z kimś, choćby nawet w interesach. Od śmierci żony miewał zmienne nastroje. Raz był wesoły, innym razem pogrążał się w depresji i rozczulał nad sobą.

Blondynka uniosła głowę i Cameron mógł się jej przyjrzeć. Jest całkiem niebrzydka, pomyślał, nadal jednak nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją widział. Postanowił podejść do ich stolika i się przywitać. Zamówił podwójną whisky bez wody, by wzmocnić się przed czekającą go ciężką rozmową z adwokatem, i ruszył w stronę stolika przyjaciela.

Gdyby nie upuścił pióra, nigdy nie poznałby prawdy. Pochylił się, by je podnieść, i wówczas zobaczył, jak John wsuwa rękę pod biały obrus i kładzie ją na udzie blondynki. Kobieta rozsunała nogi, unosząc się lekko i pochylając w stronę dłoni, która zniknęła pod sukienką.

Cameron tak zaskoczyła intymność sceny, że omal nie upadł. Opanował się jednak i wyprostował. Ani John, ani jego towarzysza

nie zauważyli go. Kobieta odwróciła głowę i z błogim wyrazem twarzy wpatrywała się w przestrzeń.

Cameron nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył, lecz po chwili niedowierzanie zmieniło się w zaskoczenie. Przypomniał sobie bowiem, kim była blondynka: dekoratorką wnętrz, którą spotkał kiedyś w biurze Johna. Nie miała ani gustu, ani talentu. Zmieniła biuro przyjaciela w burdelowy salonik, pokrywając piękną boazerię z orzecha włoskiego farbą w musztardowym kolorze.

Widocznie miała talent w innej dziedzinie. Ze sposobu, w jaki John wpatrywał się w jej wydatne wargi, można było wnioskować, że jest świetna w łóżku.

Cameron stał jak przymurowany; nie był w stanie oderwać wzroku od pleców przyjaciela. Ten sukinsyn wyprowadził ich wszystkich w pole.

Nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia i czując rosnący w nim gniew, odwrócił się gwałtownie i ruszył do swojego stolika. Usiłował przekonać siebie, że wyciągnął mylne wnioski. Znał przecież Johna od lat i całkowicie mu ufał.

Aż do dzisiaj. Cholera, co on narobił? Oszustwa to jedno, a morderstwo to druga rzecz. Jeszcze nigdy nie posunęli się tak daleko. I to, co najbardziej mroziło krew w żyłach, to ich przekonanie, że robią dobrze. Sędziowie będą mieli ubaw.

Dobry Boże, czy Catherine rzeczywiście umierała powolną śmiercią, czy John ich okłamał, by namówić do morderstwa? Nie, to niemożliwe, przecież kochał żonę.

Nagle Cameronowi zrobiło się niedobrze. Nie miał pojęcia, co o tym myśleć, wiedział jednak, że nie powinien potępiać przyjaciela, nie znając wszystkich faktów. Przyszło mu do głowy, że ten romans, jeśli to rzeczywiście był romans, mógł się zacząć już po śmierci Catherine i uchwycił się tej myśli. Przecież mogło tak być. John poznał tę kobietę przed śmiercią żony. Catherine wynajęła ją do przemeblowania sypialni, po śmierci żony John czuł się załamany i samotny, a ta kobieta była pod ręką. Pewnie wykorzystała jego słabość po pogrzebie.

Wątpliwości nie dawały jednak Cameronowi spokoju. Jeżeli ten romans był niewinny, to dlaczego John im o nim nie powiedział? Dlaczego ukrywał go przed nimi? Może dlatego, że nie ostygły jeszcze popioły żony. Tak, John zdawał sobie sprawę z tego, że nie wyglądałoby to najlepiej, gdyby związał się z inną kobietą tuż po śmierci Catherine. Ludzie uznaliby to za dziwne, zaczęłyby

gadać, spekulować, a oni nie mogli sobie na to pozwolić. John miał dość rozumu, by się z tym nie afiszować.

Cameron prawie przekonał siebie, że to, co zobaczył, było zupełnie niewinne, jednak musiał się upewnić. Zapłacił rachunek i wymknął się z restauracji. Kazał pracownikowi Commander Palace przyprowadzić używanego forda sedana, którym teraz jeździł, bo żona zabrała mu ukochanego jaguara. Zatrzymał się przy najbliższej przeczynicy i czekał. W tym czasie zatelefonował do adwokata i odwołał spotkanie.

John i blondynka pojawili się dwadzieścia minut później. Stanęli przy krawężniku, z dala od siebie, zachowując sztywną uprzejmość, jakby byli sobie obcy. Kiedy pojawił się jej samochód, wsunęła torebkę pod ramię i pożegnała się z Johnem. Pracownik restauracji przytrzymał drzwi wiśniowej hondy, kobieta wsiadła i odjechała, nie oglądając się za siebie. Dla przypadkowego obserwatora było to pożegnanie dwojga ludzi, którzy spotkali się w interesach.

Chwilę później podjechało szare BMW z otwieranym dachem. John zdjął marynarkę, oczywiście od Valentina, bo innych nie nosił, i położył ją na tylnym siedzeniu. Cameron przyglądał się temu z goryczą. Sześć miesięcy temu on też miał szafę pełną garniturów od Josepha Abbouda, Calvina Kleina i Valentina, ale żona w napadzie pijackiej wściekłości pocięła je nożem na strzępy. W jednej chwili zniszczyła ubrania warte ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Boże, jak on pragnął się zemścić. Nocami, kiedy leżał w łóżku, wyobrażał sobie, jak ją morduje. Najważniejszym elementem w tych fantazjach był ból. Pragnął, żeby ta dziwka umierała powolną śmiercią. Do jego ulubionych scen należała ta, gdy wbija suce głowę w okno, a kawałek szkła przebija tętnicę. Pragnął, by cierpiała, tak jak on cierpiał przez to, że pozbawiła go dawnego życia. Zablokowała jego wszystkie dochody do czasu uzgodnienia warunków rozwodu. Wiedział jednak, że zamierza odebrać mu wszystko.

Na szczęście nie miała pojęcia o stowarzyszeniu i tajnym koncie. Jej adwokat niczego nie znajdzie, nawet gdyby szukał. Miliony dolarów leżały sobie spokojnie na Kajmanach, lecz nikt nie mógł udowodnić, że są jego.

W tej chwili jednak nie miało to znaczenia, nie mógł ich bowiem ruszyć, póki nie skończy czterdziestki. Taką mieli umowę. Żadnemu

z nich nie wolno było naruszyć kapitału, bo wiązało się to ze zbyt dużym ryzykiem. Dlatego przez kolejne pięć lat będzie musiał zacisnąć zęby i żyć jak biedak.

John był cholernym szczęściarzem. Po śmierci Catherine otrzymał to, co zostało z jej funduszu powierniczego, i z nikim nie będzie musiał się dzielić.

Cameron patrzył z zazdrością, jak przyjaciel wkłada na głowę baseballówkę, by ukryć łysinę. Kiedy John skończy pięćdziesiąt lat, będzie kompletnie łysy, tak jak wszyscy mężczyźni w jego rodzinie. Ale czy miało to jakieś znaczenie? Kobiety uważały go za przystojnego. Gdy w grę wchodzi pieniądze, braki w urodzie się nie liczą.

Przestań się nad sobą użalać, zwymyślał się Cameron w duchu. To niczego nie zmieni. Jakoś przetrzyma te pięć lat, a potem przejdzie na emeryturę jako multimilioner, wyjedzie na południe Francji i jego eks-żona nic nie będzie mogła na to poradzić.

John wsunął się na skórzane siedzenie samochodu, rozluźnił krawat, poprawił wsteczne lustro i odjechał.

Czy powinien go śledzić? Cameron przeczesał włosy palcami. To nie fair. Poza tym nie powinien ulegać podejrzeniom. John kochał żonę i gdyby wyleczenie było możliwe, wydałby ostatniego dolara, by ją uratować.

Niepewność nie dawała jednak Cameronowi spokoju, pojechał więc za przyjacielem. Gdyby tylko mógł z nim porozmawiać, z pewnością wyjaśniliby to... nieporozumienie. John pewnie powiedziałby, że te podejrzenia to skutek wyrzutów sumienia, jakie czuli po... śmierci Catherine.

Cameron musiał się upewnić. Pojechał krótszą drogą i dotarł do domu przyjaciela przed nim. Piękny dom w wiktoriańskim stylu stał na narożnej parceli. Dwa wielkie stare dęby i krzew magnolii rzucały długie cienie na dziedziniec. Cameron zatrzymał się przy bocznej uliczce, przy której była otwierana elektronicznie brama, wyłączył światła, potem silnik i czekał ukryty pod gęstym konarem. Dom tonął w ciemnościach. Kiedy nadjechał John, Cameron sięgnął do drzwi i znieruchomiał.

- Cholera! - szepnął.

Gdy brama się otworzyła, zobaczył, że na podjeździe prowadzącym do domu stoi blondynka. Uniosły się drzwi do garażu, a w środku stała zaparkowana jej wiśniowa honda. John wprowadził swój samochód i wyszedł na zewnątrz, wówczas kobieta podbiegła

do niego. Jej wielkie piersi kołysały się niczym silikonowe kule pod obcisłą sukienką. Pogrążony w smutku wdowiec nie mógł się doczekać, kiedy wejdą do domu. Zwarli się w uścisku niczym wściekłe psy. W ciągu paru sekund czarna sukienka opadła do talii, a dłoń Johna zacisnęła się na krągłej piersi. Potykając się, ruszyli do drzwi. Jego gardłowe pomruki mieszały się z piskliwym chichotem kobiety.

- Sukinsyn! - mruknął przez zęby Cameron.

Dość już zobaczył. Wrócił do wynajętego mieszkania w niezbyt atrakcyjnej dzielnicy, w której mieściły się przeważnie magazyny, i zaczął chodzić po pokoju, dysząc z wściekłości. Butelka szkockiej tylko podsycala jego gniew.

Około drugiej w nocy para pijaków wdała się w bójkę pod jego oknem. Obserwował tę scenę z mieszaniną wstępu i ciekawości. Jeden z walczących miał nóż i Cameron czekał, aż ten dźgnie przeciwnika i wreszcie go uciszy. Ktoś w końcu musiał wezwać policję, bo kilka minut później rozległy się syreny. Z wozu wysiadło dwóch funkcjonariuszy, wyrwali pijakowi nóż i pchnęli obu mężczyzn na ścianę. Jeden z awanturników upadł na chodnik, a z rozciętej głowy popłynęła krew, połyskując w ostrym świetle lampy ulicznej.

Policjant, który użył siły, cisnął w leżącego stekiem przekleństw, pchnął nieprzytomnego na brzuch, wykręcił mu ręce na plecach i założył kajdanki. Potem zawlókł do samochodu. Drugi pijak potulnie czekał na swoją kolej i po dwóch minutach obaj siedzieli już w wozie zmierzającym do miejskiego więzienia.

Cameron wypił whisky i wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Scena za oknem, a zwłaszcza kajdanki, poruszyły jego wyobraźnię. Nie zniósłby, gdyby zakuto go w kajdanki. Nie mógłby pójść do więzienia. Prędzej by się zabił, gdyby miał dość odwagi. Zawsze cierpiał na lekką klaustrofobię, która z wiekiem przybrała na sile. Nie mógł przebywać w pomieszczeniu bez okien, nic czując ucisku w piersi. Przestał jeździć windami; wolał iść siedem pięter na piechotę, niż spędzić trzydzieści lub czterdzieści sekund w metalowym pudle, ściśnięty jak sardynka w puszcze z innymi pracownikami biura.

Dobry Boże, czemu nie pomyślał o tym wcześniej, zanim dał się wciągnąć w to szaleństwo? Znał odpowiedź i był wystarczająco pijany, by się do tego przyznać. Z chciwości, pieprzonej chciwości. John był siłą napędową, organizatorem, człowiekiem z wizją

i kontaktami w świecie finansjery. Z zapałem godnym karności z Południa obiecał, że uczyni ich bogatymi, i dotrzymał słowa. Jednocześnie podsycił ich chciwość. Kiedy zaczął tę gadaninę o samobójstwie, wiedział, że wpadną w panikę. Nie mogli go stracić i zrobiliby wszystko, by go uszczęśliwić; na to właśnie liczył.

Cameron opróżnił butelkę whisky i poszedł spać. Następnego dnia walczył z kacem. Kiedy mógł już jasno myśleć, opracował plan działania. Musiał przedstawić niezbite dowody Prestonowi i Dallas. Kiedy zrozumieją, że John ich wykorzystał, zażąda, by podzielili kapitał stowarzyszenia i poszli własnymi drogami. Nie będzie czekał pięciu lat, żeby dostać swoją działkę. Po tym, co zrobił John, pozostało im jedynie uciekać, gdzie pieprz rośnie.

Miał kilku wpływowych znajomych i postanowił skorzystać z ich pomocy. Do piątkowego spotkania pozostało pięć dni. Pięć dni, by przywoździć sukinsyna.

Do Dooleya przyjechał spóźniony, około wpół do siódmej. Podszedł do ich stolika i usiadł naprzeciwko Johna. Zanim zdążył zdjąć marynarkę i rozluźnić krawat, kelner przyniósł mu szklanceczkę.

- Wyglądasz jak śmierć na chorągwi - stwierdził bez ogródek Preston.

On jeden z całej czwórki dbał o zdrowie i przy każdej okazji dawał do zrozumienia, że nie pochwała stylu życia Camerona. Miał sylwetkę kulturysty i pięć razy w tygodniu ćwiczył na siłowni. Według niego mężczyzna, który nie ma bicepsów i twardego brzucha, zdolnego odbić dziesięciokilogramowy odważnik, to cherlak, a nad pijakami należało się litować.

- Miałem ciężki tydzień w pracy. Jestem zmęczony, to wszystko.

- Musisz zacząć o siebie dbać, zanim nie będzie za późno - pouczył go Preston. - Chodź ze mną na siłownię, poćwiczysz ciężarami i na bieżni. I odstaw alkohol, na litość boską. Zniszczysz sobie wątrobę.

- Od kiedy to jesteś moją matką?

- Preston martwi się o ciebie - wtrąciła się Dallas, która nie znosiła kłótni. - Wiemy, że żyjesz w wielkim stresie z powodu rozwodu i w ogóle. Nie chcemy, byś się rozchorował. Zależymy od ciebie i od Johna.

- Dallas ma rację - poparł ją John. - Zamieształ patyczkiem burztynowy płyn. - Naprawdę źle wyglądasz.

- Nic mi nie jest - mruknął Cameron. - Zejdźcie ze mnie. - Opróżnił szklanczkę i dał znak kelnerowi, by przyniósł następną. - Coś nowego zaszło w tym tygodniu? - spytał.

- Nic ciekawego. - Preston wzruszył ramionami. - Ale w naszym biznesie to chyba dobrze, prawda, Dallas?

- Prawda. U mnie też nie zdarzyły się żadne rewelacje.

- A co u ciebie, John? - spytał Cameron.

John wzruszył ramionami.

- Jakoś się trzymam, żyję z dnia na dzień.

Zabrzmiało to patetycznie. Cameron pomyślał, że tym razem nieco przesadził, ale pozostała dwójka to kupiła.

- Będzie lepiej - zapewnił go Preston. Nie miał pojęcia, co czuje osoba, która straciła kogoś bliskiego, ale uważał, że powinien pocieszyć przyjaciela. - Za jakiś czas - dodał niepewnie.

- Właśnie, potrzeba ci trochę czasu - poparła go Dallas.

- Ile to już minęło od śmierci Catherine? - spytał Cameron.

John uniósł brew.

- Przecież wiesz. - Wstał, zdjął marynarkę, złożył ją starannie i przewiesił przez oparcie krzesła. - Idę po orzeszki.

- 1 przynieś kilka precli - poprosił Preston. - Musiałeś wspominać o Catherine? - zwrócił się do Camerona, kiedy wdowiec odszedł.

- Już zaczął się uspokajać - powiedziała Dallas. - Daj mu spokój.

- Nie musicie obchodzić się ze mną jak ze zgniłym jajkiem - stwierdził John, wracając do stolika. Odsunął krzesło i usiadł. - Nie liczę godzin i minut od śmierci żony, tylko czasami wydaje mi się, jakby to było wczoraj.

- Minał już prawie miesiąc. - Cameron nie spuszczał wzroku z jego twarzy. - Powinieneś zacząć się z kimś spotykać.

- Oszalałeś? - wyszeptwała Dallas. - To zbyt wcześnie.

- Ludzie zaczęliby gadać, gdyby się z kimś spotykał - poparł ją Preston. - A tego nie chcemy, prawda, Dallas?

- Jasne, że nie. Nie mogę uwierzyć, że coś takiego przyszło ci do głowy.

John zgarbił się lekko, a na jego twarzy pojawił się wyraz bólu.

- Nie mógłbym tego zrobić - powiedział. - W każdym razie nie teraz. A może nigdy. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym być z inną kobietą. Kochałem Catherine i na myśl o zastąpieniu jej inną ściska mnie w żołądku.

Cameron zacisnął dłonie i z trudem się powstrzymał, by nie chwycić kłamiwego sukinsyna za gardło.

- Tak, macie rację, byłem niedelikatny. - Siegnął do walizeczki i wyjął z niej grubą teczkę.

- Co to jest? - spytała Dallas.

- Kolejny pomysł na zarobienie pieniędzy? - zaciekawiał się Preston.

- Mnóstwo notatek i liczb - wyjaśnił Cameron patrząc Johnowi w oczy. - I...

- I co? - spytał John.

- Historia choroby Catherine.

John już sięgał po teczkę, lecz gdy Cameron poinformował, co jest w środku, zachował się tak, jakby grzechotnik spadł mu na dłoń. Cofnął gwałtownie rękę, a wyraz zaskoczenia na twarzy szybko zmienił się w gniew.

- Po diabła ci historia choroby mojej żony? - zapytał. Poczzerwieniał, jakby za chwilę miał dostać wylewu.

Cameron miał nadzieję, że będzie rozległy. Skurwiel powinien cierpieć jak najdłużej.

- Ty sukinsynu - wyszczał. - Widziałem cię w sobotę wieczorem z tą blondynką. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nam o niej nie powiedziałaś, więc przeprowadziłem małe śledztwo.

- Nie ufałeś mi? - spytał ze szczerym oburzeniem John.

- Nie - odparł Cameron, po czym zwrócił się do Dallas i Prestona. - Wiecie co? Poczciwa stara Catherine wcale nie była umierająca. John chciał się jej pozbyć. Mam rację, John? Zrobiłeś z nas głupców. Uwierzyliśmy w twoją bajeczkę. Wiedziałeś, że Monk nie kiwnie palcem, dopóki się na to nie zgodzimy. Taka była umowa, gdy go wynajmowaliśmy. A ty nie miałeś dość odwagi, by sam ją zabić. Dlatego nas w to wciągnąłeś.

- Nie wierzę - wyszeptwała Dallas.

Prestonowi odjęło mowę.

- Czy to prawda? - spytał w końcu, wpatrując się w teczkę. - Catherine była śmiertelnie chora. Mówiłeś, że ma wrodzoną wadę serca. - Urwał, po czym spojrział bezradnie na Camerona. - Boże! - wyszczał.

John zacisnął usta; w oczach płonęła mu wściekłość.

- Jakim prawem mnie szpiegowałeś? - wybuchnął.

Cameron zaśmiał się ochryple.

- Ty arogancki draniu. Jeszcze masz czelność wyrzucać mi, że

cię szpiegowałem? - Popatrzyl na Dallas, która zrobiła się zielona na twarzy. - Chcesz usłyszeć coś zabawnego?

Dallas wzięła do ręki teczkę z raportami. John chciał ją wyrwać, lecz była szybsza.

- To Catherine przedstawiła tę kobietę Johnowi. Wynajęła ją do odnowienia sypialni. Mam rację, John? Romans zaczął się, jak tylko ją poznałeś, prawda? Ale już wcześniej postanowiłeś zamordować żonę.

- To chyba nie najlepsze miejsce na taką rozmowę - stwierdził Preston, rozglądając się niespokojnie na boki.

- Doskonałe - odparł Cameron. - Przecież tu tutaj zaplanowaliśmy zabójstwo z litości.

- Cam, wyciągnąłeś mylne wnioski - rzekł z powagą John. - Tylko raz spotkałem się z Lindsey i to nic była randka, lecz spotkanie w interesach.

Preston energicznie pokiwał głową.

- Skoro on mówi, że w interesach, to tak było.

- Gówno prawda. Łże jak pies. Pojechałem za nim do domu. Widziałem w garażu samochód Lindsey. Czekala na niego. Rzucili się sobie w objęcia. Mieszka teraz z tobą, prawda? A ty ukrywałeś to przed wszystkimi, a zwłaszcza przed nami. - Cameron zaczął masować skronie. Od tygodnia bolała go głowa, od czasu gdy odkrył ten paskudny sekrecik Johna. - Nie musisz odpowiadać. Mam to wszystko czarno na białym - dodał, wskazując na teczkę, którą Dallas przed chwilą otworzyła. - Czy wiesz, że Lindsey uważa, że się z nią ożenisz? Dowiedziałem się tego od jej matki. Już planuje wesele.

- Rozmawiałeś z matką Lindsey? Alkohol cię zamroczył, masz paranoidalne zwydy.

- Ty pompatyczny dupku! - warknął Cameron.

- Ciszej - szepnął błagalnie Preston, wycierając papierową serwetką krople potu, które wystąpiły mu na czole. W gardle czuł suchość.

- Może porozmawiamy o funduszu powierniczym Catherine, który podobno topniał w oczach - zaproponował Cameron.

- No i co, stopniał? - spytał Preston.

- O tak - odparł Cameron, cedząc zgłoski. - Do jakichś czterech milionów dolarów.

- Dokładnie do trzech milionów dziewięciuset tysięcy siedemdziesięciu ośmiu - powiedziała Dallas, patrząc w dokumenty.

- To niemożliwe - stwierdził Preston. - Mówił nam... mówił, że zabrał ją do Mayo i nie mogli nic dla niej zrobić. Pamiętasz, Cameron? Powiedział nam...

- Kłamał. To wszystko było kłamstwo, a my tak mu ufaliśmy, że wierzyliśmy w każde jego słowo. Tylko pomyśl, kiedy ostatni raz ją widzieliśmy? Kilka lat temu, tuż przed jej wyjazdem do Mayo. Widzieliśmy, że źle wygląda. A gdy wróciła, John powiedział, że nie chce nikogo widzieć. Uszanowaliśmy jej wolę. Przez dwa lata to on informował nas o tym, że jej stan się pogarsza i że bardzo cierpi. Przez cały ten czas kłamał.

Cała trójka spojrziała wyczekująco na Johna.

Uniósł dłonie i uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że gra skończona.

Odpowiedziała mu pełna zaskoczenia cisza.

- A więc przyznajesz się? - spytał Preston.

- Tak - odparł John. - To ulga nie musieć już kręcić. Cameron ma rację. Planowałem to od dawna, od ponad czterech lat - dodał z dumą. - Czy kiedykolwiek kochałem Catherine? Może na początku, zanim zmieniła się we wścibską, zachłanną sukę. Śmieszne, jak szybko miłość może się zmienić w nienawiść. A może nigdy jej nie kochałem. Chodziło mi o jej fundusz powierniczy. Tak naprawdę to kochałem jej pieniądze.

Na podłogę z głuchym stuknięciem upadł kieliszek, który upuściła Dallas.

- Coś ty nam zrobił? - spytała zduszonym szeptem.

- Zrobiłem, co musiałem - odparł twardo John. - I niczego nie żałuję. No, prawie. Żałuję, że poprosiłem Lindsey, by się do mnie przeprowadziła. Kocham każdą spędzoną z nią chwilę. Robi w łóżku wszystko, o co tylko poproszę, i tak bardzo stara się mnie zadowolić. Ale zbyt się do mnie przywiązała, a ja nie zamierzam się zenić.

- Ty sukiny! - warknął Cameron.

- Tak, jestem sukinysem - przyznał John. - Chcecie wiedzieć, co było w tym wszystkim najlepsze, pomijając oczywiście fundusz powierniczy? Fakt, że tak łatwo nam poszło.

- Zamordowałaś ją. - Dallas zamknęła teczkę.

John poruszył się.

- To niedokładnie tak. Nie ja, lecz my ją zamordowaliśmy.

- Niedobrze mi. - Dallas zerwała się z miejsca i pobięła do łazienki.

John, którego najwyraźniej rozbawiła jej reakcja, dal znak kelnerowi, by przyniósł dla wszystkich drinki. Siedzieli nieruchomo, każdy zatopiony we własnych myślach. Kelner postawił przed nimi pełne szklaneczki, po czym odszedł.

- Pewnie miałbyś ochotę udusić mnie gołymi rękoma, co, Cameron? - odezwał się w końcu John.

- Ja na pewno tak - stwierdził Preston.

John pokręcił głową.

- Preston, jesteś w gorącej wodzie kapany. Zawsze taki byłeś. I bez trudu połamałbyś mi wszystkie kości, ale gdyby nie ja, już siedziałbyś w więzieniu. Ty w ogóle nie myślisz, nie potrafisz wyciągać wniosków. Musieliśmy ciągnąć cię za głowę przy podejmowaniu każdej finansowej decyzji. Podobnie jak musieliśmy cię zmusić do wyrażenia zgody na zapłacenie Monkowi za zabicie Catherine. A Cameron potrafi wyciągać wnioski - dodał po chwili.

Cameron skulił się mimowolnie.

- Wiem, że nie masz sumienia, ale nie sądziłem, że tak nas załatwisz. Masz tylko nas, John. Bez nas jesteś nikim.

- Byliśmy przyjaciółmi, ufałem ci - powiedział Preston.

- Nadal jesteśmy przyjaciółmi - odparł John. - Nic się nie zmieniło.

- Akurat - burknął Cameron.

John nie tracił zimnej krwi.

- Przejdzie ci, zwłaszcza kiedy sobie przypomnisz, ile forsy dla ciebie zarobiłem.

Cameron oparł łokcie na stole i wbił w niego wzrok.

- Chcę mojej części.

- Nie ma mowy.

- Rozwiązujemy stowarzyszenie. Każde zabiera swoją działkę i odchodzi.

- Nie zgadzam się - powtórzył John. - Znasz zasady. Żadne z nas nie tknie centa przed upływem pięciu lat.

Do stolika wróciła Dallas.

- Coś mnie ominęło? - spytała.

- Cameron chce rozwiązać stowarzyszenie i podzielić kapitał - wyjaśnił Preston. Wyglądał, jakby teraz jemu zrobiło się niedobrze.

- Nic z tego - stwierdziła Dallas. - Jeżeli dokonasz wypłaty, może się tym zainteresować urząd skarbowy. To nie wchodzi w grę.

- On nie ruszy tych pieniędzy bez nas. Musimy wszyscy pójść

do banku i złożyć podpisy. Tak się umówiliśmy - przypomniał John.

- Prawdziwy z ciebie drań - rzucił Cameron

- Już to mówiłeś. Przyznaj się, jesteś wściekły nie dlatego, że cię okłamałem, ale dlatego, że nie układa ci się w życiu. Znam cię lepiej niż ty sam. Wiem, co myślisz.

- Tak? To mnie oświeć.

- Uważasz, że mi się udało.

- Tak - przyznał Cameron. - Właśnie tak myślę.

- Ale ty nie miałeś odwagi posunąć się dalej - ciągnął John. - Potrafisz tylko narzekać. A ja miałem. To proste. - Popatrzył na Dallas. - Gdybym nie skłamał, nigdy nie poprosiłabyś Monka, żeby zabił Catherine.

- Ale skoro chciałeś się od niej uwolnić, dlaczego się nie rozwiodłeś? - spytała Dallas.

- Z powodu pieniędzy. Chciałem mieć wszystko. Należało mi się za to, co musiałem znosić. Ta suka nie spuszczała ze mnie oka. - Po raz pierwszy w głosie Johna zabrzmiały gorycz i nienawiść. - W przeciwieństwie do Camerona nie topiłem kłopotów w alkoholu. Ja planowałem. Nie macie pojęcia, jaka ona była odpychająca. Roztyła się i zrobiła się hipochondryczką. Potrafiła myśleć i mówić jedynie o własnym zdrowiu. Rzeczywiście miała szmery w sercu, ale nie było to nic poważnego. Przeraziła się, gdy się o tym dowiedziała, i w ogóle przestała się ruszać. Położyła się do łóżka i czekała, aż ja i pokojówki będziemy wokół niej skakać. Miałem nadzieję, że dostanie ataku serca, i wypchałem w nią tony czekoladek, które co wieczór przynosiłem, lecz trwałoby to zbyt długo. Oczywiście mogłem ją oszukiwać, a ona o niczym by nie wiedziała. I rzeczywiście ją oszukiwałem. Była zbyt leniwa, by wyleźć z łóżka, nie mówiąc już o sypialni. Na myśl o powrocie do domu robiło mi się niedobrze.

- Czy teraz z kolei mamy ci współczuć? - spytał Cameron.

- Nie. A co do przekroczenia pewnej granicy, to już dawno ją przekroczyliśmy.

- Ale nikogo nie zamordowaliśmy.

- Co z tego? I tak dostalibyśmy po dwadzieścia, trzydzieści lat za te przestępstwa, które popełniliśmy.

- Ale przecież to były tylko oszustwa - wyjąkał Preston.

- Tak będziesz się tłumaczył przed urzędem skarbowym? - spytał John. - Myślisz, że dadzą ci tylko po łapach?

- Nigdy nikogo nie zabiliśmy.
- No to teraz zabiliśmy - warknął zirytowany John i spojrział na Camerona. - Wiesz co, to było takie proste, że moglibyśmy to powtórzyć. Odczekać jakiś czas, powiedzmy sześć miesięcy, a potem porozmawiać z Monkiem o tobie.

Dallas otworzyła mimowolnie usta.

- Czyś ty oszalał?

Cameron przechylił głowę na bok.

- Bardzo chciałbym, żeby Monk złożył wizytę mojej żonie.

Wszystko bym za to oddał.

- Da się zrobić - odparł gładko John.

- Jeżeli nie przestaniecie o tym gadać, wycofuję się - zagroził Preston.

- Za późno, żeby się wycofać - stwierdził John.

- Nie istnieje coś takiego jak morderstwo doskonałe - powiedziała Dallas.

- Z Catherine poszło przecież doskonale - zauważył John. - Już o tym myślisz, co, Cam?

- To prawda - przyznał Cameron.

Preston zapragnął nagle zetrzeć Johnowi z twarzy ten pewny siebie uśmiezek.

- Jesteś potworem - wybuchnął. - Jeżeli ktoś dowie się o Catherine...

- Uspokój się - przerwał mu John. - Nic nam nie grozi, bo nikt się o niczym nie dowie.

7

Catherine nawet po śmierci musiała mieć ostatnie słowo. Ta wredna suka poleciła swemu adwokatowi, Phillipowi Benchleyowi, odczekać sześć tygodni z odczytaniem jej ostatniej woli. John był wściekły, ale nic nie mógł na to poradzić. Nawet po śmierci ta kobieta usiłowała nim manipulować.

Benchley, wspólnik w renomowanej kancelarii adwokackiej Benchley, Tarrance i Paulson, był jej adwokatem, jeszcze zanim wyszła za Johna. Umiał pilnować interesów, dlatego spełniał wszystkie zachcianki Catherine. Odkąd wyszła za męża, zdążyła zmienić testament ze trzy razy, dlatego John co jakiś czas sprawdzał, czy nadal jest głównym spadkobiercą. Ostatni raz zrobił to przed sześcioma miesiącami. Starał się też kontrolować jej rozmowy, by mieć pewność, że nie kontaktowała się z tym starym pierdołą.

Po jej śmierci niezapłacone rachunki urosły do sporych rozmiarów, a Monk domagał się honorarium. John uspokoił go, podwyższając premię do dwudziestu tysięcy.

Teraz siedział w gabinecie Benchleya, kipiąc z wściekłości, bo adwokat kazał mu na siebie czekać. Spojrzął na zegarek. Za piętnaście czwarta. O czwartej miał się spotkać z przyjaciółmi w barze U Dooleya. Pewnie teraz wychodzą z pracy.

Drzwi gabinetu otworzyły się. John nawet nie odwrócił głowy. Nie odezwie się pierwszy, bez względu na to, jak dziecinnie mogło to wyglądać.

- Dzień dobry - powiedział adwokat lodowatym tonem.

- Kazał pan mi czekać czterdzieści minut - warknął John. - Przejdźmy do sprawy.

Benchley nie przeprosił za spóźnienie; usiadł za biurkiem i położył przez sobą grubą teczkę. Był mężczyzną niskiego

wzrostu, z kręconymi, przyprószonymi siwizną włosami. Wolno otworzył teczkę z dokumentami.

Drzwi ponownie się otworzyły i do gabinetu weszło dwóch młodych mężczyzn, zapewne młodszych pracowników kancelarii. Stanęli za Benchleyem.

- Świadkowie - wyjaśnił krótko adwokat, po czym złamał pieczęć i zaczął czytać testament.

John w jednej chwili odzyskał spokój. Piętnaście minut później trząsał się z wściekłości.

- Kiedy testament został zmieniony? - Musiał z całych sił panować nad sobą, by nie krzyzczeć.

- Przed czterema miesiącami - wyjaśnił adwokat.

- Dlaczego nic o tym nie wiem?

- Byłem adwokatem Catherine, nie pańskim, jeśli pan sobie przypomina. Nie miałem powodu informować pana o zmianie decyzji żony. Podpisał pan intercyzę i nie ma pan żadnych praw do jej funduszu powierniczego. Zrobiłem panu kopię testamentu. Na polecenie Catherine - wyjaśnił.

- Obalę ten testament, może pan być pewny. Czy ona myślała, że może mi zapisać sto dolarów, a resztę przekazać na jakiś cholerny rezerwat ptaków?

- To niezupełnie tak - powiedział Benchley. - Jest jeszcze zapis na rzecz Renardów. Czteryście tysięcy dolarów ma być podzielone równo pomiędzy jej wujka Jake'a Renarda i troje kuzynów, Remy'ego, Johna Paula i Michelle.

- Nie wierzę. Catherine nienawidziła tych ludzi. Uważała ich za biedaków.

- Widocznie zmieniła zdanie - stwierdził adwokat i postukał palcem w dokument. - Tu jest wszystko napisane. Każdy z krewnych ma otrzymać po sto tysięcy dolarów. I jeszcze jedna specjalna klauzula. Jak pan oczywiście wie, Catherine bardzo lubiła swoją służącą.

- Naturalnie, że ją lubiła. Ta kobieta spełniała wszystkie jej zachcianki i nie ukrywała, że mnie nie znosi. Moją żonę to bawiło.

- Zostawiła Rosie Vincetti sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów - dokończył Benchley.

Johna rozwścieczyły te nowe informacje. Żałował, że nie kazał Monkowi zabić również służącej. Nie znosił tej świętoszkowatej wiedźmy o oczach jastrzębia i z rozkoszą ją zwolnił. A teraz miała dostać część jego pieniędzy.

- Każdy cent należy do mnie! - krzyknął. - Będę walczył i wygram, ty pompatyczny dupku.

Na adwokacie jego wybuch nie zrobił wrażenia.

- Postąpi pan, jak zechce, jednak... pańska zmarła żona przewidziała, że może pan chcieć obalić testament, i dała mi zapieczętowaną kopertę z prośbą, bym ją panu wręczył. Nie wiem, co w niej jest, ale Catherine zapewniła mnie, że po przeczytaniu zrezygnuje pan z występowania na drogę sądową.

John podpisał odbiór koperty i wyrwał ją Benchleyowi.

- Nie rozumiem, dlaczego mi to zrobiła - rzucił jadowitym tonem.

- Może list to panu wyjaśni.

- Proszę dać mi tę cholerną kopię - warknął John. - I zapewniam pana, że żaden list nie zmieni mego zdania. Będę się procesować.

Wyszedł z gabinetu, trzaskając drzwiami. Aż gotowało się w nim z wściekłości. Po chwili przypomniał sobie stos rachunków i honorarium Monka. Co on, u diabła, ma robić?

- Przekłęta dziwka - mruknął, wsiadając do samochodu.

W garażu było ciemno. Włączył światło nad wstecznym lustrem i rozerwał kopertę. Zawierała sześć stron, ale list Catherine był na pierwszej. Uniósł kartkę, by zobaczyć, jakie jeszcze niespodzianki mu zostawiła. Nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, cofnął się do pierwszej strony i zaczął pospiesznie czytać.

- Boże! - mruknął do siebie w osłupieniu.

8

John szalał z wściekłości. Złamał wszelkie możliwe prawa, pędząc ulicą St. Charles z prędkością ponad stu dziesięciu kilometrów na godzinę. W rękę ścisnął ohydny list od Catherine i co chwila walił pięścią w deskę rozdzielczą, wyobrażając sobie, że to twarz żony. Podstępna suka! Jak mogła mu to zrobić? Nie, to nieprawda. Z pewnością blefowała. Nie mogła tak po prostu obejść wszystkich zabezpieczeń w komputerze. Była na to za głupia.

Kiedy wjechał na podjazd przed domem, był już niemal przekonany, że to tylko głupi kawał. Zagapił się, zbyt późno wcisnął pedał hamulca i uderzył w drzwi garażu. Zaklął, wyskoczył z samochodu i pobiegł do domu. Nagle uświadomił sobie, że nie wyłączył silnika. Znów zaklął. Zachowaj spokój, strofował siebie w duchu. Ta dziwka wciąż usiłuje tobą manipulować i wyprowadzić cię z równowagi. Musiał się jednak upewnić.

Przebiegł pusty dom, potykając się o krzesło w jadalni. Kiedy dotarł do biblioteki, kopnięciem zamknął za sobą drzwi, rzucił się do biurka i włączył komputer. Dopiero wówczas usiadł w fotelu.

- No, szybciej! - mruknął, bębniąc palcami w blat biurka, czekając, aż komputer się uruchomi. Jak tylko pojawiła się ikona, wprowadził hasło. Przeliczył linijki w dokumencie, zgodnie z instrukcją pozostawioną przez Catherine. W linijce szesnastej, w samym środku opisu transakcji, jakiej dokonał ponad rok temu, zostały dodane słowa: „Nie cudzołóż”. Ryknął z wściekłości. - Ty gruba dziwko! - wrzasnął.

Odezwał się telefon komórkowy, lecz John nie zareagował. To pewnie Cameron, Preston albo Dallas chcą się dowiedzieć, co go

zatrzymało. A może Monk z pytaniem, kiedy wreszcie dostanie honorarium.

I co mu powie? Zaczął rozcierać skronie, zastanawiając się nad wyjściem z sytuacji. W końcu doszedł do wniosku, że Dallas musi to załatwić. Monk nie ruszy palcem bez jej pozwolenia i na pewno zgodzi się poczekać, jeśli dostanie takie polecenie.

Ale co powie innym? Kłamstwo nie rozwiąże problemu, a im dłużej będzie zwlekał, tym gorzej.

Zaprzagnął się czegoś napić. Podeszedł do barku, zobaczył pusty kubek po lodzie i rzucił go na podłogę. Gdy żyła Catherine, zawsze pilnowała, by był pełen, bez względu na porę dnia czy nocy. Taki głupi szczegół nagle stał się ważny. Zarządzała domem z łóżka równie sprawnie, jak doprowadzała go do rozpaczcy ciągłym narzekaniem i prośbami.

Nalał sobie whisky, podeszedł do biurka i wypił do dna z nadzieją, że to go uspokoi.

Telefon znowu zadzwonił, lecz tym razem John go odebrał.

- Gdzie jesteś? - usłyszał głos Prestona. - Czekamy na ciebie. Rusz tyłek i przyjeżdżaj. - W tle słychać było śmiechy i muzykę.

John wziął głęboki oddech. Serce waliło mu tak mocno, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi.

- Nic z tego nie będzie.

- Co?

- Mamy problem.

- Słabo cię słyszę. Nic jeszcze nie dostałeś?

- Czy inni też tam są?

- Tak - odparł z wahaniem Preston. - Nawet zamówiliśmy ci drinka i...

- Posłuchaj, mamy poważny problem.

- Jak to my mamy?

- To nie jest rozmowa na telefon.

- Gdzie jesteś?

- W domu.

- Chcesz, żebyśmy przyjechali?

- Tak.

- Ale o co...

- Jest źle! - krzyknął John. - Po prostu przyjeźdźcie.

Rozłączył się, by uniknąć dalszych pytań, ponownie napełnił szklaneczkę i wrócił do biurka. Usiadł i wbił wzrok w migający ekran monitora. Za oknem powoli zapadał zmrok.

Piętnaście minut później przyjechali Cameron i Preston, a tuż za nimi Dallas. Wprowadził ich do biblioteki, zapalił światło, po czym wskazał na list leżący na biurku.

- Czytajcie i płaczcie - mruknął niewyraźnie. Był już mocno wstawiony.

Cameron wziął list i przeczytał w milczeniu. Kiedy skończył, cisnął go na biurko, po czym rzucił się Johnowi do gardła. Preston go powstrzymał.

- Czyś ty oszalał?! - ryknął czerwony na twarzy Cameron. - Pozwoliłeś, żeby twoja żona miała dostęp do naszych danych? Boże!

- Uspokój się. - Preston odciągnął go od Johna.

- Przeczytaj list, dopiero wtedy każ mi się uspokoić - warknął Cameron.

Dallas wstała, wzięła do ręki list i przeczytała go na głos.

Drogi Johnie!

Długie pożegnania są męczące, więc moje będzie krótkie i miłe.

Zmarłam na serce, prawda? Zabrzmi to banalnie, jeżeli powiem: „A nie mówiłam!-”, ale od początku to podejrzewałam. Czy teraz już mi wierzysz? Jednak nie byłam taką hipochondryczką, za jaką mnie uważałeś.

Pewnie w tej chwili jesteś w szoku po tym, jak się dowiedziałeś. Że zmieniłam testament i nic Ci nie zostawiłam. Dobrze Cię znam, przypuszczam więc, że zamierzasz go obalić. Będziesz usiłował dowieść, że nie byłam w pełni władz, umysłowych albo byłam zbyt chora, by zdawać sobie sprawę z tego, co robię. Sądzę jednak, że po przeczytaniu tego listu postanowisz zniknąć i gdzieś się ukryć. Jednego jestem pewna: nie obalisz testamentu.

Myślisz pewnie o wydatkach, które poniosłeś po mojej śmierci. Poprosiłam, by testament odczytano dopiero po sześciu tygodniach od dnia mojej śmierci, bo wiedziałam, że zaczniesz, szaleć z pieniędzmi, i chciałam, żebyś został na lodzie. Chciałam też, żebyś musiał się ukrywać przed wierzycielami.

Dlaczego Cię lak okrutnie potraktowałam? Z zemsty. Naprawdę sądziłam, że pozwolę Ci wydać choćby jednego dolara na tę dziwkę? Tak, wiedziałam o niej. Wiedziałam również o innych.

Wściekasz się, Kochanie? Przygotuj się na więcej. Najlepsze zostawiłam na koniec. Nie byłam taką „głupią krową”. Tak, słyszałam, jak rozmawiasz przez, telefon z, tą dziewczką i obrzucasz

mnie wyzwiskami. Z początku byłam załamana i wściekła do tego stopnia, że przez tydzień płakałam. Potem postanowiłam się zemścić. Zaczęłam szukać w Twoim gabinecie dowodów zdrady. Chciałam się dowiedzieć, ile pieniędzy wydałeś na dziwki. Kiedy wychodziłeś do pracy, ja ruszałam swój „gruby tyłek” i schodziłam na dół do biblioteki. Długo to trwało, ale w końcu odgadłam hasło i dotarłam do Twoich tajnych plików. Nawet nie przypuszczałam, że Ty i Twoi przyjaciele ze Stowarzyszenia Siewców możecie być aż tak zdeprawowani. Co powiedziałyby władze na te wszystkie nielegalne inwestycje? Zrobiłam kopie wszystkich plików, a na dowód tego, że mówię prawdę, wejdź do pliku o nazwie „Zakupy” i ustaw się na linijce szesnastej. Do jednej z Twoich ostatnich transakcji wpisałam krótki tekst, byś wiedział, że tu byłam.

Jesteś zmartwiony? Może przerażony. Ja zaś upajam się zwycięstwem. Wyobrażasz sobie, jak się cieszę, wiedząc, że kiedy mnie już nie będzie, Ty resztę życia spędzisz w więzieniu. W dniu, w którym dostaniesz mój list, wydruki dotrą do kogoś, kto zrobi z nimi, co trzeba.

Nie powinieneś był mnie zdradzać, John.

Catherine

Michelle skończyła właśnie papierkową robotę związaną z wypisaniem pacjenta doktora Landusky'ego do domu. Siedziała przy biurku kolegi po fachu na oddziale chirurgicznym miejskiego szpitala w St. Claire i porządkowała karty chorobowe. Dziewięć już wypełniła, pozostały jeszcze dwie. Większość kart dotyczyła pacjentów doktora Landusky'ego. Zastępowała go przez ostatnie dwa tygodnie, kiedy odbywał podróż po Europie. Jutro wracał, a ona miała rozpocząć swój pierwszy od wielu lat urlop. Najpierw jednak musiały uporać się z kartami i pocztą. Czekał na nią stos nieotwartych listów, które przeniosła ze swojego biurka z zamiarem przejrzania. Czując ogarniające ją zmęczenie, spojrzała na zegarek i jęknęła. Była na nogach od czwartej piętnaście. Pęknięta śledziona w wypadku motocyklowym wyciągnęła ją z łóżka godzinę wcześniej niż zwykle, a teraz była piąta po południu. Oparła łokcie na stercie wypełnionych już kart, wtuliła policzek w dłoń i zamknęła oczy. Trzydzieści sekund później już spała. Z krótkich drzemek nauczyła się korzystać w czasie stażu; potrafiła usnąć w każdym miejscu i o każdej porze.

- Doktor Mike?
- Tak? - Uniosła głowę.
- Potrzebuje pani dawki kofeiny - stwierdziła przechodząca korytarzem pielęgniarka. - Może przynieść coś do picia. Wygląda pani na zmęczoną.
- Czy tylko po to mnie obudziłaś, Megan? - spytała Michelle zirytowanym tonem.

Pielęgniarka była młodą piękną dziewczyną tuż po szkole. Pracowała w szpitalu niecały tydzień, ale już znała wszystkie imiona pracujących na oddziale. Właśnie otrzymała wiadomość, że zdała państwowy egzamin, i nic nie mogło jej zdenerwować, nawet rzucająca wściekłe spojrzenie lekarka.

- Nie rozumiem, jak pani może tak spać. Zaledwie przed minutą rozmawiała pani przez telefon, a potem trach, gada pani przez sen i chrapie.

- Wcale nie gadam i nie chrapię - odparowała Michelle.
- Idę do baru - powiedziała Megan. - Przynieść coś pani?
- Nie, dziękuję. Niedługo wychodzę. Muszę tylko przejrzeć pocztę.

- Doktor Mike? - rozległ się głos salowej.

- Tak?

- W izbie przyjęć czeka na panią przesyłka. Trzeba podpisać jej odbiór. Zdaje się, że to coś ważnego - dodała salowa. - Mam nadzieję, że to nie wezwanie do sądu.

- Doktor Mike nie pracuje tu na tyle długo, by ktoś pozywał ją do sądu - wtrąciła Megan.

- Posłaniec powiedział, że to przesyłka z jakiejś kancelarii adwokackiej z Nowego Orleanu i odda ją tylko pani do rąk własnych. Co mam mu powiedzieć?

- Zaraz zejść.

Michelle zebrała wypełnione karty i włożyła je do pudełka, po czym zeszała na dół. Posłańca nigdzie nie było, lecz zauważyła ją rejestratorka.

- To dla pani, pani doktor. - Podała Michelle grubą szarą kopertę. - Wiedziałam, że jest pani zajęta, więc powiedziałam posłańcowi, że mam prawo odbierać przesyłki w pani imieniu.

- Dziękuję, Eleno.

- Proszę mi nie dziękować, pani doktor. Na Sunset zdarzył się wypadek i przywiozą nam karetkę pełną dzieci. Wyjechali przed dwoma minutami. Będzie potrzebna pani pomoc.

Michelle zaniosiła kopertę do pokoju lekarzy i wzięła dietetyczną colę. Potem wróciła do stanowiska pielęgniarek, usiadła i otworzyła puszkę. Potrzebowała solidnej dawki kofeiny, żeby ponownie złapać wiatr w żagle. Odstawiła colę i sięgnęła po kopertę; w tym momencie drzwi się otworzyły i stanął w nich sanitariusz.

- Mamy rannego.

Wybiegła z za kontuaru, zapominając o kopercie.

10

Człowiek nie jest wyspą i Leon Bruno Jones nie był tu wyjątkiem. Współpracownicy nadali mu przezwisko Hrabia z powodu górnych kłów znacznie dłuższych od pozostałych zębów, tak że gdy się uśmiechał, wyglądał jak wampir, który wysysa krew ze swoich ofiar. Jeśli wziąć pod uwagę liczbę wymuszeń odnotowanych w podwójnym rejestrze ksiąg rachunkowych, to zabierał nie tylko krew.

Leon miał szeroki krąg przyjaciół i wszyscy nienawidzili Theo Buchanana. Gdyby nie śledztwo Theo, Leon nie zostałby świadkiem koronnym i nie zeznawał przed bostońskim sądem, doprowadzając do rozbicia jednej z najpotężniejszych organizacji przestępczych w kraju.

Theo wrócił do Bostonu kilka dni po operacji. Mimo że sprawa Leona dobiegła końca i sześciu mafijnych szefów znalazło się za kratkami, czekały go setki raportów i góry dokumentów do uporządkowania. Jego zwierzchnicy w Ministerstwie Sprawiedliwości sugerowali, by nie nadawać sprawie rozgłosu. Otrzymywał listy z pogroźkami i chociaż ich nie lekceważył, nie chciał, by przeszkadzały mu one w pracy. Następne dwa tygodnie spędził na wyczerpanej pracy w biurze.

Kiedy ostatni dokument trafił do akt, a współpracownicy przekazali mu wszystkie sprawozdania, Theo zamknął drzwi biura i wrócił do domu. Był wykończony umysłowo i fizycznie. Napięcie, w jakim ostatnio żył, dało o sobie znać. Teraz, kiedy praca dobiegła końca, zaczął się zastanawiać, czy warto było tak harować, był jednak zbyt zmęczony, by dłużej o tym myśleć. Najpierw musiał się porządnie wyspać. Dopiero wtedy postanowi, co robić dalej; wziąć nową sprawę, proponowaną przez Ministerstwo Spra-

wiedliwości, czy wrócić do prywatnej praktyki i spędzać czas na spotkaniach i negocjacjach. Tak czy owak znowu czekała go harówka. Czyżby rodzina miała rację, twierdząc, że ucieka w pracę przed życiem?

Jego szefowie z ministerstwa nalegali, aby na jakiś czas usunął się w cień, póki sprawa Leona nie ucichnie. Nie miał nic przeciwko temu. Wyobraźnia podsunęła mu obraz wędki zanurzonej w spokojnych wodach rozlewisk Luizjany. Przed wyjazdem z Nowego Orleanu obiecał, że wróci i wygłosi przemówienie, czemu nie mógłby tego zrobić teraz? Potem odbyłby krótką wycieczkę i sprawdził to miejsce, które tak zachwalał Jake Renard. Tak, potrzebował spokoju i relaksu. Ciągnęło go do Luizjany również z innego powodu, nie miał on jednak nic wspólnego z łowieniem ryb.

Trzy i pół tygodnia po operacji znowu był w Nowym Orleanie i stał na podium w sali balowej Royal Orleans, czekając, aż umilkną oklaski i będzie mógł rozpocząć przemówienie dla pracowników prokuratury. Po raz drugi przyjechali tu z całego stanu, by posłuchać, co ma do powiedzenia. Nagle stanęła mu przed oczami ona i zmaciła tok myśli. Miała cudownie promienny uśmiech i zabójczą figurę. Przypomnił sobie, jak leżąc w szpitalnym łóżku, nie mógł oderwać od niej wzroku. Każdy mężczyzna tak by zareagował na jego miejscu. Był chory, ale nie ślepy.

Usiłował przypomnieć sobie, o czym z nią rozmawiał. Nagle zorientował się, że oklaski umilkły. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco. Po raz pierwszy w życiu poczuł tremę; nie mógł sobie przypomnieć ani jednego słowa z przygotowanego przemówienia, a nawet jego tematu. Spojrzał na pulpit, na którym położył program, przeczytał tytuł i krótkie streszczenie tego, o czym miał mówić, i zmienił koncepcję. Skróci wystąpienie, czym zyska podziw słuchaczy. Przeparowani i zestresowani, dostali wychodne na jeden wieczór, by się zabawić, zjeść coś i wypić. Im szybciej przestanie zanużać ich komunałami w stylu, że każdego dnia ryzykują życie, tym lepiej. Planowane na pół godziny wystąpienie zakończyło się po dziesięciu minutach. Reakcja słuchaczy była tak entuzjastyczna, że nie mógł powstrzymać uśmiechu. Zgotowali mu owację na stojąco.

Wracając do hotelu, zastanawiał się nad swoim dziwnym zachowaniem i doszedł do wniosku, że zachował się jak chłopiec, który właśnie odkrył seks. Zupełnie jak jego najmłodszy brat

Zachary. Ostatnio nie potrafił powiedzieć dwóch zdań bez takich słów, jak „dziewczyna”, „napalony” i „seks”. Theo nie rozumiał swojego zachowania, ale to minie, gdy tylko wybierze się na ryby. Uwielbiał wędkowanie; było prawie tak dobre jak seks.

We wtorek rano, przed wyjazdem do Bowen, zjadł śniadanie z dwoma kapitanami z nowoorleańskiej policji, a potem złożył wizytę doktorowi Cooperowi. Chirurg zmył mu głowę za to, że nie przyszedł do niego na kontrolę, i obejrzał bliźnię pooperacyjną.

- Świetnie się goi - powiedziała. - Ale mógł pan mieć kłopoty, gdyby pojawiły się komplikacje. Nie powinien pan wracać tak szybko do Bostonu. To było niemądre. - Usiadł na stołku przy leżance. - Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się żadnych komplikacji. Mike wspaniale się spisała. Jak zawsze zresztą - dodał. - Posługuje się skalpelem równie dobrze jak ja, co należy uznać za pochwałę. Jest jednym z najlepszych chirurgów w kraju. Miał pan szczęście, że była w pobliżu. Proponowałem jej pracę w moim zespole, napomknąłem nawet o spółce. Kiedy odmówiła, namawiałem, by zrobiła specjalizację, ale nie chciała. Jest taka uparta, nie rozumie, że marnuje talent.

- To znaczy? - spytał Theo, zapinając koszulę.

- Prowadząc rodzinną praktykę gdzieś na prowincji - wyjaśnił Cooper. - Będzie operować, ale niewiele. To marnotrawstwo.

- Mieszkańcy Bowen mogą mieć inne zdanie.

- Och, potrzebują lekarza, to oczywiste, ale...

- Ale co?

Cooper bawił się przez chwilę wieczkiem od pojemnika na tampony. W końcu odłożył je i wstał.

- Bowen nie jest wcale taką miłą miejscina - powiedział. - Rozmawiałem z nią dziś rano o resekcji jelita, której opis mi przesłała, i dowiedziałem się, że zdemolowano jej ambulatorium, dosłownie wyrócono do góry nogami.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj w nocy. Policja wszczęła śledztwo, ale jak dotąd nie znaleźli żadnych śladów. Wie pan, co myślę?

- Co takiego?

- To sprawa dzieciaków, które szukały narkotyków. Kiedy ich nie znalazły, zdemolowały pomieszczenie.

- Może - odparł Theo.

- Mike nie trzyma twardych narkotyków w ambulatorium. Żaden lekarz tego nie robi. Pacjenci, którym się je podaje, powinni

przebywać w szpitalu. To wielka strata - ciągnął doktor Cooper. - Ciężko pracowała, by urządzić to ambulatorium. Cieszyła się, że wraca do domu... - Urwał i pokręcił głową. - Martwię się o nią. Jeśli to nie był akt wandalizmu, to może ktoś nie chce, żeby wróciła do Bowen.

- Jadę tam na ryby - powiedział Theo.

- W takim razie wyświadczy mi pan przysługę. Przygotowałem kolejne pudło z instrumentami. Zamierzałem sam je zawieźć, może jednak pan mógłby je zabrać, a przy okazji obejrzeć ambulatorium. Może przesadzam, ale...

- Ale co?

- Ona się boi. Nie powiedziała tego, mimo to odniosłem takie wrażenie. Jest coś, do czego mi się nie przyznała. Mike niełatwo przestraszyć, a ona sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

Kilka minut później Theo wyszedł z gabinetu doktora Coopera z wielkim kartonowym pudłem w rękach. Wcześniej wymeldował się z hotelu, a w bagażniku wynajętego samochodu leżały już walizka i wędka.

Niebo było błękitne, dzień słoneczny i ciepły, idealny na wyjazd na wieś.

11

Było wczesne popołudnie. Cameron, Preston i John z trudem panowali nad zniecierpliwieniem, czekając na Dallas. Siedzieli w bibliotece Johna od ponad godziny i robili się coraz bardziej niespokojni. Dallas jak zwykle się spóźniała.

- Gdzie, u diabła, byłaś? - spytał Cameron, jak tylko weszła do biblioteki. Na jej twarzy malowało się zmęczenie. Zresztą inni wyglądali nie lepiej. - Czekamy tu od godziny.

- Gnałam z wywieszonym jęzorem - warknęła w odpowiedzi. - I nie mam ochoty na fochy, więc się odczep.

- Pakujemy walizki i wyjeżdżamy za granicę? - spytał Preston. - Policja już puka do naszych drzwi?

- Chryste, nie mów takich rzeczy! - wykrzyknął Cameron, oblewając się zimnym potem.

- Na razie jeszcze nie musimy się pakować - odpowiedziała Dallas.

- Masz te kopie? - spytał z nadzieją w głosie Preston.

- Nie. Dowiedziałam się, która firma kurierska obsługuje tę kancelarię, i wybrałam się tam. Na szczęście nie przesiali jeszcze pokwitowania i dostałam kopię. Natychmiast powiadomiłam Monka, a on tam pojechał. Okazało się, że Catherine przesłała te informacje swojej kuzynce, doktor Michelle Renard z Bowen w Luizjanie.

- Nie rozumiem. Po co Catherine kazała przesłać je dopiero po swojej śmierci, zamiast natychmiast przekazać policji?

- Ale ja rozumiem - odpowiedział John. - Była fanatyczką przysięgi małżeńskiej i nie pozwoliłaby mi odejść. Wykorzystałaby to, co odkryła, by mnie zmienić. Przez ostanie dwa miesiące sądziła, że się poprawiłem. Byłem dla niej obrzydliwie miły. Ale

miała mściwą naturę. Postanowiła po śmierci wysłać mnie do więzienia, bez względu na to, jak bardzo będę się starał. Nigdy bym jednak nie przypuszczał, że wyśle te dokumenty rodzinie, której nie lubiła.

- Czy ta lekarka podpisała odbiór przesyłki? - spytał Preston.

- Tak.

- No to jesteśmy załatwieni.

- Przestań mi przerywać i pozwól dokończyć - rzekła Dallas. - Rozmawiałam z człowiekiem, który dostarczył przesyłkę. Powiedział, że najpierw udał się do domu tej Renard. Nie zastał jej, pojechał więc do szpitala. Mówił, że pokwitowała odbiór w izbie przyjęć.

- Co za różnica, gdzie pokwitowała? - spytał John.

- Właśnie do tego dochodzę - odrzekła Dallas. - Ten posłaniec przypomniał sobie, że kiedy wyjeżdżał z parkingu, omal nie zderzył się z karetką. Tuż za pierwszą przyjechała druga. Widział, jak sanitariusze wynoszą czterech chłopców. Na ich ubraniach było pełno krwi.

- Więc? - zniecierpliwził się Preston.

- Więc można się domyślać, że doktor Renard była tej nocy bardzo zajęta.

- Mamy odetchnąć z ulgą, bo przypuszczasz, że pani doktor nie miała czasu zapoznać się z dokumentami i zadzwonić na policję? - spytał Cameron.

- Zamknij się - rzuciła zirytowana Dallas. - Jak tylko Monk dotarł do Bowen, pojechał do szpitala w St. Claire. Doktor Renard była zajęta. Powiedział salowej, że chciałby porozmawiać z panią doktor o pewnej sprawie, i zapytał, czy może zaczekać. Odpowiedziała, że lekarka ma dwie operacje i będzie zajęta przez kilka godzin.

- Co jeszcze? - dopytywał się John, siedząc za biurkiem i bębniąc palcami o blat.

Dallas miała ochotę krzyknąć, żeby przestał, ale się powstrzymała.

- Z kwitu wynika, że podpisała odbiór dokładnie o siedemnastej piętnaście - ciągnęła, zaglądając do notatek. - Sprawdziłam w pogotowiu, o której karetka przyjechała do szpitala. O siedemnastej dwadzieścia. Więc...

- Nie miała czasu otworzyć przesyłki - dokończył Preston.

- Kiedy Renard operowała, Monk założył podsłuch na telefon

w jej domu. Gdy wrócił do szpitala, w izbie przyjęć była zmiana warty. Skorzystał z okazji i wszedł do pokoju lekarzy, by przeszukać szafkę Renard. Nawet pomagała mu salowa. Powiedział, że tę przesyłkę omyłkowo przekazano nie tej osobie co trzeba.

- Kupiła to?

- Monk potrafi być czarujący. Poza tym to była młoda dziewczyna. Niczego nie znaleźli, ale przekazała mu różne informacje na temat doktor Renard.

- Może ta Renard zabrała przesyłkę na chirurgię - zasugerował John.

- Wątpię - odparła Dallas. - Salowa powiedziała, że poszła na górę z pacjentem.

- No i co zrobił Monk?

- Zaczekał. Renard wyszła późno ze szpitala. Pojechał za nią. Po drodze zatrzymała się tylko raz, przy ambulatorium. Kiedy wchodziła do środka, miała w ręku jakieś papiery. Monk przeszukałby jej samochód, ale zostawiła kluczyki w stacyjce, co znaczyło, że zaraz wróci.

- A miała jakieś papiery, gdy wyszła?

- Nie, ale niosła plecak. Tak czy owak pojechał za nią do domu, upewnił się, że usnęła, po czym włamał się i przeszukał dom. Plecak znalazł w pralni i przeszukał go w pierwszej kolejności.

- Ale przesyłki tam nie było - domyślił się John.

Dallas kiwnęła twierdząco głową.

Cameron wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

- Musiała zanieść ją do ambulatorium. Może pomyślała, że zajrzy do niej następnego dnia.

- Monk przeszukał ambulatorium. Tam też jej nie znalazł. Zapewniał mnie, że niczego nie pominął. Problem w tym, że złamał zamek w jej biurku i postanowił zdemolować wnętrze, żeby wyglądało, że to jakieś dzieci to zrobiły.

- Gdzie, u diabła, jest ta przesyłka? - spytał John. - Nie mogę uwierzyć, że ta suka wysłała ją do kuzynki. Nienawidziła ich.

- Nie mam pojęcia, gdzie może być - powiedziała Dallas - ale przyszło mi do głowy...

- Co? - ponaglił ją Preston.

- Że ta lekarka nie wie, co dostała.

12

Do St. Claire Theo dojechał bez trudu, natomiast Bowen nie mógł znaleźć. Nie było żadnych znaków informacyjnych, a na mapie też nie figurowało. Musiał w końcu przyznać się przed sobą, że zabłądził i powinien kogoś spytać o drogę. Według jego siostr, Jordan i Sydney, mężczy członkowie rodziny Buchananów mieli skazę genetyczną; zupełnie nie orientowali się w terenie, dlatego Theo jeździł w kółko, aż w końcu skończyła mu się benzyna i musiał pojechać na stację. Kiedy wszedł do środka, by uregulować należność, złamał się i zapytał sprzedawcę, czy nie wie wie przypadkiem, jak dojechać do Bowen. Stojący przy kasie nastolatek o piegawatej twarzy i z lekkim zezem kiwnął z zapałem głową.

- Jasne, że wiem. Jest pan nietutejszy? Szuka pan może tego nowego liceum? - zadał kolejne pytanie, zanim Theo zdążył odpowiedzieć na pierwsze. - To przy Clement Street. Domyślam się, kim pan jest. - Urwał, obrzucił Theo ukośnym spojrzeniem, potem drugim i skinął głową. - Wiem, po co pan tu przyjechał.

- Naprawdę?

- Jasne. Przyjechał pan w sprawie stanowiska trenera, tak? Pan z ogłoszenia, prawda? Słyszeliśmy, że ktoś się tym interesuje. A więc to pan. To nie była plotka. Naprawdę potrzebujemy trenera, bo pan Freeland... on jest nauczycielem muzyki, ale pewnie pan o tym wie... No więc on nie ma pojęcia o futbolu. Przyjmie pan tę pracę?

- Nie, nie przyjmę.

- Dlaczego? Nawet nie widział pan jeszcze boiska. Nie powinien pan podejmować decyzji, póki nie zobaczy boiska.

Theo zaczynała tracić cierpliwość.

- Nie jestem trenerem.

Chłopak nie przyjął tego do wiadomości.

- Ale wygląda pan na trenera. Ma pan szerokie ramiona.

Pewnie w młodości grał pan w futbol.

W młodości? To na ile on, według tego chłopaka, wygląda?

- Posłuchaj, chciałem się tylko dowiedzieć, jak...

- Och, rozumiem - przerwał mu piegus, kiwając z zapałem głową.

- Co takiego? - spytał Theo wbrew rozsądkowi.

- To tajemnica, prawda? Dopóki nie zapadnie decyzja co do kandydata. Dyrektor ogłosi ją za dwa tygodnie na walnym zgromadzeniu. Tak na marginesie, panie trenerze, nazywam się Jerome Kelly, ale wszyscy mówią do mnie Kevin, bo tak mam na drugie. - Chłopak wyciągnął rękę, by ucisnąć dłoń Theo. - Miło było pana poznać.

Ten zacisnął zęby.

- Szukam jedynie drogi do Bowen. Powiesz mi, jak tam dojechać, czy nie?

Kevin uniósł dłonie w geście poddania.

- W porządku. Nie musi pan się wściekać. Ale to tajemnica, prawda?

Theo postanowił przytaknąć, żeby chłopak dał mu wreszcie spokój.

- Tak, to tajemnica. A teraz powiedz mi, jak dojechać do Bowen.

Chłopak uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Widzi pan to?

- Co?

- Tę ulicę przed stacją.

- Widzę.

- To jest ulica Wiązów. Chociaż nie rośnie tu ani jeden wiąz. Jestem łącznikiem ataku.

- Kim?

- Łącznikiem ataku. Pan Freeland mówi, że powinienem grać na takiej pozycji w drużynie. Potrafię kopnąć piłkę na odległość czterdziestu metrów.

- Naprawdę?

- Mógłbym też być rwaczem. Jestem bardzo szybki.

- Kevin, nie jestem nowym trenerem.

- Tak, wiem. Nikomu nie powiem, dopóki nie zostanie to oficjalnie ogłoszone. Może pan się mnie liczyć, trenerze.

- Powiesz mi wreszcie, gdzie jest to Bowen?

- Właśnie do tego zmierzam - odparł chłopak. - Jeśli pojedzie pan ulicą Wiązów na wschód - dodał - to jest pan w St. Claire. Jeżeli nie wie pan, gdzie jest wschód, a gdzie zachód, bo mnie się czasami myli, to rozpozna pan to po chodnikach. W St. Claire są chodniki, a w Bowen nie ma.

Theo zazgrzytał zębami.

- No więc gdzie jest to Bowen?

- Już mówię. Jeżeli przejdzie pan na koniec ulicy Wiązów...

- Tak? - Theo miał ochotę udusić chłopaka.

- To jest pan w domu.

- To znaczy gdzie?

- No w Bowen. Rozumie pan? Na jednym końcu ulicy Wiązów jest St. Claire, a na drugim Bowen. To proste. Mam nadzieję, że pozwoli mi pan strzelić do bramki.

Theo odliczył banknoty za benzynę.

- Słyszałeś może o barze Pod Łabędziem? - spytał.

- Jasne. Wszyscy go znają. To duży stary dom na moczarach, na drugim końcu Bowen. Ma na dachu wielkiego łabędzia. Widać go z daleka.

- A jak tam dojechać?

Tym razem Kevin trzymał się ściśle tematu.

- Ludzie w St. Claire uważają, że Bowen to peryferie ich miasta, co strasznie wkurza mieszkańców Bowen - dodał. - Och, przepraszam. Nie powinienem tak się wyrażać.

Theo schował resztę, podziękował chłopakowi za pomoc i wrócił do samochodu. Kevin wybiegł za nim.

- Proszę pana, jak pan się nazywa?

- Theo Buchanan.

- Proszę nie zapomnieć.

- O czym?

- Że gram w ataku.

- Nie zapomnę. - Theo uśmiechnął się.

Chłopak zaczekał, aż nowy trener odjedzie, po czym wrócił pędem do środka, by zatelefonować do kolegów. Chciał jako pierwszy przekazać wiadomość o trenerze Buchananie.

Dziesięć minut później Theo jechał nieoznaczoną, wyspaną zwirem drogą wśród bujnej zieleni i cyprysów obrośniętych szarawozielonym mchem, zwieszającym się z gałęzi. Było parno i wilgotno, lecz wokół panował taki spokój i harmonia, że otworzył

okno, by chłonać słodkie zapachy. Między drzewami połyskiwała ciemna woda. Miał ochotę stanąć i napawać wzrok pięknem przyrody. Cóż za wspaniałe miejsce do spacerów, pomyślał. Zaraz jednak przyszło mu do głowy, że na tych moczarach żyją pewnie aligatory, nici więc z pieszych wycieczek.

Właściwie co on tu robi? Pokonał taki szmat drogi tylko po to, żeby łowić ryby? Bo ona tu mieszka, odpowiedział sobie w duchu i poczuł się głupio. Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien wrócić do Nowego Orleanu. Jeśli się pospieszy, złapie ostatni samolot i o północy będzie w Bostonie. Przecież tam jest jego miejsce. Skoro chciał pojechać na ryby, mógł wziąć łódkę i wypłynąć w morze. Kompletnie zwariował. Wiedział, że powinien zawrócić, mimo to jechał dalej.

Droga w tym miejscu skręcała i wtedy zobaczył wielkiego łabędzia. Nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Pierwszy raz widział coś podobnego. Dom miał szare pofałdowane ściany i pokryty smołą dach. Wyglądał jak stara stodoła nadgryziona zębem czasu, lecz cały jego urok tkwił w wielkim łabędziu umocowanym na dachu. Tylko że nie był to łabędź, lecz różowy flaming z jednym skrzydłem wiszącym niepewnie na cienkim metalowym drucie.

Przed wejściem stał stary ford pick-up. Theo zaparkował tuż obok, wysiadł, zdjął marynarkę, podwinął rękawy niebieskiej koszuli i ruszył do drzwi, zapominając, że przy pasku ma kaburę z pistoletem. Było jednak za gorąco na marynarkę. Postanowił nie przejmować się, że wszyscy zobaczą broń. Michelle przecież wiedziała, że ją ma. Poza tym bardziej martwił się tym, co powie Jake'owi, gdy ten go zapyta, po co przyjechał. Ciekawe, czy byłby zadowolony, gdyby usłyszał prawdę, że Theo ma obsesję na punkcie jego córki. Na pewno wybiłyby mu to z głowy.

Drzwi były uchylone. Pchnął je i wszedł do środka. Jake Renard stał za barem i wycierał błyszczący drewniany blat. Theo zdjął okulary przeciwsłoneczne, wsunął je do bocznej kieszonki razem z okularami do czytania i skinął głową. Miał nadzieję, że Jake będzie go pamiętał. A jeśli nie, to co on, Theo, mu powie? Po co właściwie tu przyjechał? Aha, na ryby. Tak, przyjechał łowić ryby.

Na szczęście Jake go poznał i gwizdnął niczym piosenkarz country, po czym uśmiechnął się od ucha do ucha, rzucił ścierkę, wytarł ręce o kombinezon i wyszedł z za kontuaru.

- A niech mnie! - zawołał.
- Jak się masz, Jake?
- Doskonale, Theo. Doskonale. Przyjechałeś na ryby?
- Tak jest.

Jake chwycił dłoń przybysza i potrząsnął nią entuzjastycznie.

- Cieszę się, że przyjechałeś. Któregoś wieczoru mówiłem Ellie, że jeszcze się kiedyś spotkamy, no i proszę, oto jesteś.

Theo wiedział, kim jest Ellie. Jake wspominał o żonie, kiedy odwiedził go w szpitalu.

- Jak się miewa twoja żona? - spytał uprzejmie.

Jake spojrział na niego zaskoczony.

- Moja żona umarła, niech spoczywa w spokoju, już dawno temu.

- Och, przepraszam - odparł Theo, czując się coraz bardziej niezręcznie. - W takim razie kim jest Ellie?

- To moja żona.

- Ach, więc ponownie się ożeniłeś.

- Nie. Nigdy nie chciałem drugi raz się ożenić. Nie znalazłbym drugiej takiej, jak moja Ellie. - Uśmiechnął się. - Wiedziałem, że się tu zjawiś. Myślałem, żeby do ciebie zadzwonić, ale Mike zmyłaby mi za to głowę. Poza tym pomyślałem, że znajdziesz jakiś sposób, by przyjechać do Bowen.

Theo nie wiedział, co na to odpowiedzieć, lecz Jake wybawił go z kłopotu.

- Wiedziałem, że jak zasieję w twojej głowie myśl o rybach, znajdziesz parę dni wolnego. Prawdziwy wędkarz nigdy nie mówi nie, bez względu na to, jak długo nie miał wędki w ręku. Mam rację?

- Masz - odpowiedział Theo.

- Skoro urodziłeś się wędkarzem, a mam przecucie, że tak, to może będziesz moim partnerem w zawodach w przyszłym tygodniu. Do tej pory łowiłem z moim przyjacielem Walterem, ale Mike musiała mu wczoraj wyciąć woreczek żółciowy, więc przez jakiś czas nie będzie mógł nic dźwigać. Radził, żebym znalazł sobie zastępstwo. Zostaniesz do końca tygodnia?

- Jeszcze nie wiem, na jak długo przyjechałem.

- No to załatwione. Zostajesz.

Theo wybuchnął śmiechem.

- Co to za zawody?

- O, to wielkie wydarzenie. Co roku przyjeżdżają tu wędkarze, by ze sobą rywalizować. Każdy wykłada pięćdziesiąt dolarów

w gotówce. To daje niezłą sumkę, a ja bym chciał wreszcie pokonać starego Lestera Burnsa i jego brata Charliego. Od pięciu lat dostają medal i forsę. Mają świetny sprzęt, co daje im przewagę. Zasady nie są skomplikowane - dodał. - Łapiesz ryby. a pod koniec dnia sędzia waży je na oczach tłumu. Potem jest przyjęcie z wyzerką tu, Pod Łabędziem. No i co myślisz o moim barze? - spytał, zataczając ręką łuk. - Miło tu, prawda?

Theo rozejrzał się z zaciekawieniem. Przez otwarte okna do wnętrza wpadały promienie słońca, rozświetlając deski podłogi. Pod ścianą stały stoliki, a na nich krzesła, w rogu kubełek z mopem, z lewej strony szafa grająca. Umieszczone pod sufitem wentylatory cicho szumiały. Mimo upału na zewnątrz, było tu zaskakująco chłodno.

- Bardzo miło - odpowiedział.

- Jestem rad, że cię widzę, synu. Michelle leż się ucieczy. Często o tobie wspominała.

Nie wiadomo dlaczego, ta wiadomość sprawiła Theo dziwną przyjemność.

- Co u niej słyhać? Byłem u doktora Coopera. Powiedział, że ktoś zdemolował ambulatorium.

- Chcieli je zniszczyć i udało im się - powiedział Jake. - Niczego nie zabrali, tylko wyrócili wszystko do góry nogami. Biedna Mike nie miała czasu, by zabrać się za ten bałagan. Była tam dziś rano. Jak tylko wróciła do domu, znowu musiała wracać do szpitala. Nie miała czasu, by zrobić tam porządek i powiedzieć, jak jej pomóc. Jest wykończona. Gotowa jeszcze zemdleć z przeciążenia.

- Nic mi nie jest, tato.

Theo odwrócił się na dźwięk jej głosu. Stała w drzwiach z uśmiechem na ustach. Ubrana była w szorty koloru khaki i wiśniowo-biały podkoszulek pochlapany farbą. Starał się nie gapić na jej nogi, ale, cholera, wymagało to wielkiego wysiłku. Były niewiarygodne, długie, kształtne, fantastyczne.

- Co pan robi w Bowen, panie Buchanan? - spytała, mając nadzieję, że głos jej nie drży. Jego widok nią wstrząsnął, a kiedy Theo odwrócił się i uśmiechnął, kolana się pod nią ugięły, serce zaczęło trzepotać w piersi i była pewna, że się czerwieni. Właściwie dlaczego nie? Pielęgniarki na sali operacyjnej powiedziały przecież, że Theo Buchanan jest zabójczo przystojny.

- Czy tak się wita gościa? - spytał Jake.

Wciąż nie mogła otrząsnąć się z szoku na widok mężczyzny rozmawiającego w barze z ojcem.

- Czy to ty do niego zadzwoniłeś i poprosiłeś o pomoc? - spytała Jake'a, groźnie marszcząc czoło.

- Nie, młoda damo. A teraz przestań ciskać we mnie wzrokiem i przypomnij sobie o manierach. Kiedy Theo leżał w szpitalu, zaprosiłem go na ryby.

- Tato, każdego, kogo spotkasz, zapraszasz na ryby - odparła, po czym odwróciła się do Theo. - Naprawdę przyjechałeś na ryby?

- Właściwie to...

- Przecież już ci mówiłem - wszedł mu w słowo Jake. - I wiesz, co postanowiłem? On będzie moim partnerem w zawodach.

- Jak się czujesz? - spytała, wybierając bezpieczną rolę lekarki. - Jakieś komplikacje?

- Jestem jak nowy, dzięki tobie. To jeden z powodów, dla których przyjechałem, oprócz oczywiście wędkowania. Chciałem zapłacić za zniszczoną sukienkę, lecz przede wszystkim podziękować. Ocaliłaś mi życie.

- Czy to nie miłe, Mike? - Jake rozpromienił się. - Dlatego właśnie poszłaś na medycynę, prawda? By ratować ludziom życie.

- Tak, tatusiu.

- Jesteś głodny, Theo? - spytał Jake. - Minęła dwunasta i założyłem się, że nie jadłeś jeszcze lunchu. Gotuję właśnie potrawkę z okry. Usiądź przy stoliku, a ja tymczasem skończę. Mike, poczęstuj Theo zimnym piwem.

- Wystarczy woda - odpowiedział gość.

Poszedł za Michelle do stolika, patrząc, jak koński ogon kiwa się na boki przy każdym jej kroku. Ile ona ma lat? Czyżby przeżywał kryzys wieku średniego? Na to wygląda. Sprawiała, że znowu czuł się młody. Tylko że miał dopiero trzydzieści dwa lata. Czy to nie za wcześnie na wiek średni?

Jake postawił przed nim miskę pełną parującej, gęstej zupy, po czym podał mu łyżkę i serwetkę.

- Uważaj - ostrzegł. - Może parzyć w język.

Theo pomyślał, że jest zbyt gorąca. Zamieszała ją, zaczerpnął pełną łyżkę i włożył do ust. Po chwili oczy zaszczyły mu łzami, z nosa zaczęło ciec, a w gardle drapać i dusić. Miał wrażenie, że połknął roztopioną lawę. Chwycił szklanekę wody i wypił ją duszkiem.

- Tym razem chyba przesadziłeś z tą ostrością - stwierdziła Michelle. - Ile wlałeś tej twojej ostrej przyprawy?

Jake podał Theo następną szklankę wody i patrzył, jak ten usiłuje ją wypić bez krztuszenia się.

- Tylko jedną butelkę - odparł. - Wydała mi się mało ostra, dlatego dodałem jeszcze trochę.

- Przyjechał podziękować, a ty chcesz go zabić. - Michelle pokręciła z dezaprobatą głową.

Gość wciąż nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa. Jake zaczął go klepać po plecach. Theo chciał powiedzieć, żeby przestał, ale był pewny, że ma doszczętnie spalone struny głosowe.

Michelle podała mu kromkę chleba.

- To ci pomoże.

- Pewnie chętnie napijesz się teraz piwa - powiedział Jake.

Theo kiwnął głową, zjadł chleb i z rozkoszą wypił łyk piwa.

- Byłem dziś rano u doktora Coopera - zwrócił się po chwili do Michelle.

- Myślałam, że dobrze się czujesz - odparła. Przeszła za bar i zaczęła ustawiać szklanki.

- Bo tak jest. Nie byłem jednak na wizycie kontrolnej. Wróciłem do Bostonu kilka dni po operacji, ale wyznaczili drugi termin mojego wystąpienia, więc znowu przyjechałem. Lepiej późno niż wcale.

- Musiałeś być wykończony, kiedy dotarłeś do domu - powiedziała. - Granie twardziela nie wychodzi na zdrowie.

- Coś w tym rodzaju - przyznał. - Wracając do Coopera, to wspomniał mi o ambulatorium.

- Widzisz, Mike? Nie telefonowałem do niego - wtrącił się z satysfakcją Jake. - Radziłem jej, żeby to zrobiła, bo nie znam nikogo prócz ciebie z FBI.

- Jestem prawnikiem w Ministerstwie Sprawiedliwości - sprostował Theo.

- Ale FBI podlega Ministerstwu Sprawiedliwości, prawda?

- Tak, ale...

- Dlatego chciałem do ciebie zadzwonić - przerwał mu Jake. - Pomyślałem, że mógłbyś się temu przyjrzeć, ale Mike nie chciała o tym słyszeć. Wiesz, co te dzieciaki zrobiły? Zabrudziły piękne białe ściany czarną farbą, wypisując słowa, których nie powtórzę. Porwały dokumentację i zanieczyściły instrumenty. Michelle musi zaczynać wszystko od początku. Prawda, skarbie?

- Poradzę sobie. Dobrze się składa, bo mam akurat dwa tygodnie wolnego i będę mogła doprowadzić wszystko do porządku.

- Ale to miały być twoje wakacje. Miałaś odpoczywać, łowić ryby. - Jake spojrzał na Theo. - Moja córka zawsze była optymistką. Ma to po mnie. Jak myślisz, co powinniśmy zrobić w tej sytuacji?

- Zawiadomiłaś policję? - spytał Theo Michelle.

- Tak - odpowiedziała ze zniecierpliwieniem. - Ben Nelson, szeryf z St. Claire, przyjął meldunek. Teraz prowadzi śledztwo i tak jak ojciec uważa, że to dzieciaki szukały narkotyków. Na szczęście rozeszła się pogłoska, że niczego nie znalazły, więc to się już nie powtórzy.

- Nie wiem, co mógłbym zrobić w tej sprawie.

Jake jednak był innego zdania.

- Pracujesz przecież dla rządu i nosisz broń. Chyba nie daliby ci broni, gdybyś nie umiał się nią posługiwać.

- Tato, zabrzmiało to tak, jakbyś chciał, żeby on kogoś zastrzelił.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jest ekspertem. Ben Nelson to dobry szeryf, ale co dwie głowy, to nie jedna, prawda, Theo?

- Wątpię, by szeryf chciał, żebym wtrącał się do śledztwa.

- Nie będziesz się wtrącał, ale na pewno chętnie przyjmie twoją pomoc.

- Na litość boską, tato, to był chuligański wybryk. Ben złapie tych chłopaków, daj mu tylko trochę czasu.

- Mike, kochanie, może przyniosłabyś mi szklankę mleka z lodówki - poprosił Jake. Kiedy zniknęła na zapleczu, nachylił się do Theo. - Ta duma zgubi kiedyś moją córkę - powiedział półgłosem. - Jest uparta i niezależna i myśli, że sama da sobie ze wszystkim radę. Dość się namęczyła, by zostać lekarzem. Może to był wybryk chuligański, a może nie. Skoro jednak spędzisz z nami kilka dni, myślę, że powinieneś się temu przyjrzeć. Poza tym ocaliła ci życie, to twoje własne słowa, mógłbyś więc zapiekiować się nią trochę. - Zerknął przez ramię. - Dobrze by było, gdyby zamieszkała u niej w domu - szepnął. Kiedy zobaczył, że córka wraca, dodał: - Tylko nic jej nie mów. Tak, uważam, że nie zawadzi, by Ben wysłuchał jeszcze jednej opinii - powiedziała głośno, gdy Michelle podała mu szklankę mleka. - Takie jest moje zdanie i już nic więcej na ten temat nie powiem.

- Ciekawe, ile wytrzymasz. - Michelle uśmiechnęła się.

- Nie pyskuj ojcu. Pomyślałem tylko, że Theo mógłby pomóc.

- Chętnie obejrzę ambulatorium - zaofiarował się Theo.
 - Świetnie. Mike zaraz cię tam zawiezie, a na noc możesz zatrzymać się u mnie... albo u Mike. - Jake rzucił mu znaczące spojrzenie. - I ja, i ona mamy wolne pokoje. Nie chcę słyszeć o żadnym motelu. Jesteś moim partnerem w zawodach i gościem. Wszystkie posiłki Pod Łabędziem masz za darmo.
 - Dziękuję, dam sobie radę - powiedział szybko Theo.
 - Zdaje się, że Theo nie przepada za twoją zupą. - Michelle zaśmiała się.

Cóż za uśmiech! - pomyślał Theo. Niewiarygodny. W co on się, u diabła, pakuje? Ta wyprawa na ryby zaczyna się komplikować.

- Zapomniałem o czymś - powiedział. - Cooper przesyła ci jeszcze jedno pudło z instrumentami. Mam je w bagażniku.
 - To miło z jego strony.
 - Zaleca się do ciebie, ot co.
 - Tato, on jest żonaty.
 - Zaleca się do ciebie, bo chce cię ściągnąć do szpitala, to miałem na myśli.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Odwrócili się i zobaczyli, że do środka zagląda jakiś chłopak. Był potężnie zbudowany, wysoki, z rozwichrzoną czupryną i ważył chyba ze sto kilo.

- Panie Renard - powiedział piskliwym głosem, najwyraźniej w trakcie mutacji. - Czy mógłbym wejść na chwilę. skoro jeszcze nie otworzył pan baru?

Jake znał chłopca. Miał na imię Elliott i był najstarszym synem Daryla Watersona. Daryl i Cherry mieli ośmiu zdrowych chłopaków, ale od czasu wypadku z rozdrabniaczem we młynie nie wiodło im się najlepiej. Starsi chłopcy pracowali dorywczo, by pomóc rodzinie, dopóki ojciec nie wróci do zdrowia

- Znasz zasady, chłopcze. Żaden małolat nie ma prawa przekroczyć progu baru. Chcesz, żebym stracił koncesję na alkohol?
 - Nie, proszę pana, nie chcę.
 - Szukasz pracy?
 - Nie, proszę pana, dostałem dobrą pracę w St. Claire przy rozładunku skrzyń. Chcieliśmy się dowiedzieć jak długo...
 - My, to znaczy kto? - spytał Jake.
 - Paru chłopaków.
 - Oni też są nieletni?
 - Chyba tak. I dziewczyny, ale...

- Zamknij za sobą drzwi, synu. Wpuszczasz muchy do środka. Pozdrów ode mnie kolegów i powiedz ojcu, że wpadnę do niego w niedzielę.

Elliott wyglądał na zmieszanego.

- Dobrze, ale...
 - Idź już.
 - Tato, nie jesteś ciekaw, po co oni tu przyszli? - spytała Michelle.

- Może któryś z nich wie coś na temat włamania do ambulatorium - powiedział Theo i ruszył do drzwi. - Powinniśmy z nimi porozmawiać.

- Może faktycznie się pospieszyłem - przyznał Jake. - Elliott, czy ktoś zachorował lub potrzebuje pomocy? Mike, może powinnaś to sprawdzić.

Chłopak pokręcił przecząco głową.

- Nie, nic z tych rzeczy - powiedział. - To znaczy nikt nie zachorował. - Odwrócił się i krzyknął: - Hej, chłopaki, on nosi broń! Ekstra, nie?

W tym momencie podeszła do niego Michelle. Spojrzał na jej nogi, po czym szybko odwrócił wzrok.

- Nikt nie jest chory, proszę pani... to znaczy, pani doktor. Wszyscy lubimy na panią patrzeć... to znaczy, nie to chciałem powiedzieć. Chciałem tylko powiedzieć, że nikt nie potrzebuje pomocy. - Zrobił się czerwony jak burak. Logiczne układanie zdań w obecności pięknej kobiety przerastało jego możliwości.

Theo poczuł sympatię do chłopaka.

- Czy wiesz coś na temat zniszczenia ambulatorium? - spytała Michelle.

- Nie, proszę pani, nie wiem. Popytałem tu i tam, jak prosił pani tata mojego tatę. Nikt nic nie wie. To dziwne, bo jeśli dzieciaki coś takiego robią, to później lubią się przechwalać. A teraz nikt się nie przechwala. Nikt nic nie wie, słowo honoru.

- To po co tu przyszedłeś?

Nie mógł oderwać od niej wzroku, ale zdołał wskazać ręką na Theo.

- No... myśleliśmy, że... no, że jeśli trener Buchanan nie miałby nic przeciwko temu, to... to może wyszedłby do nas i zapoznał się z drużyną.

- Co takiego? - Michelle zdawało się, że źle usłyszała.

- Może trener Buchanan wyszedłby do nas i zapoznał się z drużyną.

- Trener Buchanan? - powtórzyła zaskoczona.

Theo stracił na chwilę głos. Skąd Elliottowi wpadło to głowy? Nagle przypomniał sobie i wybuchnął śmiechem.

- Ach, to ten chłopak...

- Trener wychodzi! - zawołał Elliott, przerywając jego wyjaśnienia. - Przygotować się.

Jake klepnął Theo w plecy.

- Wyjdź na zewnątrz, synu, i dowiedz się, o co chodzi.

- To nieporozumienie - powiedział Theo, wychodząc za Michelle z baru.

Powitały go gromkie wiwaty. Rozejrzał się wokół zdumiony; parking przed barem zastawiony był samochodami, a przed wejściem stał tłum młodzieży.

Z grupy wystąpiły cztery młode jasnowłose dziewczyny ubrane w jednakowe stroje, białe szorty i czerwone podkoszulki. Jedna z nich miała dwa wielkie czerwono-białe pompony i ona zaczęła przedstawienie,

- Powiedzcie B! - zawołała i tłum chłopaków wrzasnął za nią B. - Powiedzcie U, powiedzcie K, powiedzcie A, powiedzcie N, powiedzcie A, powiedzcie N. Co wychodzi?

- Nie do wiary - mruknął Theo.

- Buchanan! - ryknął tłum.

Michelle wybuchnęła śmiechem. Theo wznosił dłonie do góry, starając się uciszyć zgromadzenie.

- Nie jestem waszym trenerem! - krzyknął. - To nieporozumienie. Ten chłopak...

Nikt jednak nie zwracał uwagi na jego tłumaczenie. Tłum chłopców podbiegł do niego, przekrzykując się nawzajem. Jak mogło do tego dojść? Jake położył mu rękę na ramieniu i uśmiechnął się szeroko.

- Witaj w Bowen, synu.

13

Usiłował wyjaśnić nieporozumienie, lecz podekscytowani chłopcy nie dali mu dojść do słowa, krzycząc jeden przez drugiego. Chcieli poinformować trenera o swoich umiejętnościach i na jakich pozycjach pragnęliby grać. Chłopak imieniem Moose przepełnił się przez tłum i oznajmił, że byłby dobrym skrzydłowym. Biorąc pod uwagę jego potężną posturę, Theo pomyślał, że sam mógłby obsługiwać jedną linię boiska. Nadal usiłował ich uciszyć, by móc wreszcie wszystko wyjaśnić, lecz do chłopców nic nie docierało. Na Michelle nie mógł liczyć, bo dostała ataku śmiechu. Nagle jeden z chłopców sięgnął do jego broni. Theo zareagował szybko i bez chwili wahania: złapał dzieciaka za rękę, wskutek czego ten wyładował na kolanach.

- Niezły refleks, trenerze! - zawołał z uznaniem Moose.

- Cofnijcie się, chłopcy! - krzyknął Jake. - Pozwólcie trenerowi i Mike przejść do samochodu. Oni muszą pojechać do ambulatorium, by trener Buchanan się tam rozejrzał.

Nazwanie Theo „trenerem” tylko pogorszyło sprawę. Theo domyślił się, że Jake zrobił to celowo.

Michelle wzięła Theo za rękę i ruszyła przez tłum. Kiedy dotarli wreszcie do jego samochodu, otworzył dla niej drzwi od strony pasażera i znów znalazł się wśród wyrosniętych uczniów. Nie należał do niskich, ale niektórzy z chłopców przewyższali go o głowę. Przy właściwym treningu i odpowiedniej motywacji byłaby z nich pierwszorzędna drużyna. Nie usiłował już niczego wyjaśniać i po prostu zgadzał się na wszystko, co mówili chłopcy.

- Tak, dobrze, środkowy - powiedział, zamykając drzwi i wciskając blokadę.

- Śródkowy? - powtórzyła Michelle.

- Ten chłopak z kolczykiem w uchu chce grać w środku ataku. Zagryzła dolną wargę, by nie wybuchnąć śmiechem, kiedy jednak usłyszała pożegnalne okrzyki cheerleaderek, nie wytrzymała.

- Wiesz, czego tym dzieciakom potrzeba? - odezwał się Theo.

- Pozwól, że zgadnę. Dobrego trenera.

- Nie, nauczyciela angielskiego, który nauczyłby ich poprawnej pisowni.

- Oni tylko cieszą się, że jesteś. - Otarła łzy z oczu i odetchnęła.

- Zatrzymałem się na stacji benzynowej, a pracujący tam chłopak wziął mnie za trenera.

- Będą bardzo rozczarowani, jeśli wystawisz ich do wiatru. Dawno się tak nie śmiałam.

- Cieszę się, że mogłem pomóc - stwierdził oschle. - Powiedz mi, dlaczego nikt w tym mieście mnie nie słucha?

- Bo chcą zrobić na tobie wrażenie. Pozwolisz Andy'emu Ferraud grać na pozycji łącznika młyna?

- Bardzo śmieszne.

- Nieźle rzuca.

Zatrzymał się na skrzyżowaniu.

- Przyjechałem tu powędkować.

Michelle nagle zorientowała się, że nadal stoją. Theo czekał na jej wskazówki, a ona gapiła się na niego jak cielec.

- Skręć w lewo - powiedziała. - Ambulatorium jest kilka przecznic stąd, a mój dom nieco dalej. Jest nieduży, ma dwie sypialnie. Co ja gadam? - zreflektowała się. - Dziwne, ale wprawiasz mnie w zdenerwowanie.

- Dlaczego dziwne?

- Bo to ja powinnam wprawiać cię w zdenerwowanie. W końcu...

- Co?

- Widziałam cię bez ubrania.

- I oczywiście zrobiłem na tobie wrażenie.

- Twój wyrostek zrobił na mnie wrażenie.

- Czego się nie robi, by zwrócić uwagę pięknej kobiety - powiedział i skręcił w lewo.

- Oto moje ambulatorium.

Był to jedyny budynek w okolicy. Theo wjechał na wyasfaltowany podjazd z boku domu i zatrzymał się pod rozłożystym jaworem. Gałęzie drzewa wchodziły na dach.

- Powinnaś sprowadzić kogoś, by ściął te gałęzie. Wystarczy jedna burza z piorunami i możesz stracić dach.

- Wiem, miałam taki zamiar.

Dom był mały, na planie prostokąta i miał świeżo pomalowane ściany. Do wnętrza prowadziły czarne drzwi, a nad kołatką wisiała czarna tabliczka z wypisanym srebrnymi literami nazwiskiem Michelle. Po obu stronach kamiennego ganku leżały doszczętnie zniszczone krzewy geranium.

Michelle poprowadziła go do bocznego wejścia. Na ziemi walały się worki na śmieci, które ktoś wyrzucił z metalowego pojemnika. Podwórko wyglądało jak śmietnik.

- Dopiero co pomalowałam te drzwi i zobacz, co zrobili. Wypisano na nich słowo „kurwa” i to, o dziwo, bez błędów ortograficznych. - Michelle wskazała leżącą na ziemi puszkę po farbie. - Wzięli ją z mojego magazynu.

Theo rozejrzał się uważnie, po czym przepuścił Michelle, by mogła otworzyć drzwi. Weszła do środka i zapaliła światło.

Korytarz prowadził do trzech gabinetów, które wyglądały na nietknięte. Pomazano tylko sprayem ściany, a stoły i szafki były całe. Ich zawartość leżała porozrzucona na podłodze, ale nic chyba nie zabrano.

Natomiast biuro Michelle było w opłakanym stanie. Theo aż gwizdnął, gdy je zobaczył. Wyglądało jak po przejściu cyklonu: przewrócone biurko, wyciągnięte i połamane szuflady. Wszędzie walały się papiery.

- Jak już mówiłam, nie miałam czasu posprzątać - wyjaśniła. - Kiedy to zobaczyłam, zatelefonowałam do Bena.

Przy drugiej ścianie stała stara kanapa z wiśniowej skóry. Ktoś pociął ją nożem, a wnętrzości wyglądały jak dmuchana kukurydza.

- Spójrz, co ci dranie zrobili z moimi drzwiami. Zawsze zamykam biuro, ale nigdy na klucz. Wystarczyło przekreślić gałkę. Strasznie się musieli napracować, żeby je wyważyć.

- Może zorientowali się, że nie trzymasz tu twardych narkotyków.

- I wpadli w szal?

- Możliwe.

- Zaczekaj, aż zobaczysz, co się dzieje od frontu.

Theo wciąż przyglądał się wnętrzu biura.

- Co robisz?

- Usiłuję znaleźć jakiś klucz.
- Klucz?
- Dlaczego twój brat i ojciec nie pomogli ci w porządkowaniu tego bałaganu? - spytał. - Jake mówił mi, że proponował ci pomoc, ale nie pozwoliłaś niczego dotknąć. Dlaczego?
- Bo najpierw muszę poukładać te papiery albo być przy tym, jak będą to robić. Zawarte w nich informacje są poufne. Poza tym muszę dopilnować, by wszystkie karty znalazły się we właściwych przegródkach.
- Myślałem, że dopiero zaczynasz.
- Bo tak jest.
- Skąd więc te karty pacjentów?
- To są karty pacjentów doktora Robinsona. Wyjechał z Bowen przed dwoma miesiącami i przesłał mi wszystkie karty. Dowiedziałam się o tym po fakcie. Wiedziałam, że nienawidził Bowen, ale jak mógł zostawić pacjentów na lodzie? Powiedział tacie, że życie jest zbyt krótkie na to, by pracować, cytując: „w takiej nędznej, zapadłej mieścinie”.
- Wnioskuje z tego, że pacjenci musieli go bardzo lubić.
- Nie przepadali za nim i przychodzili do niego tylko w ostateczności. Wiedzieli, co myśli o naszym mieście i o nich, a raczej o nas. Jesteś gotowy do obejrzenia części frontowej?
- Jasne.
- Ruszył za nią korytarzem. Tuż za rogiem była rejestracja, a dalej gabinet zabiegowy. Szklana ściana oddzielająca tę część była rozbita i na podłodze leżało mnóstwo szkła; okno, przy którym stały szafki na segregatory, również. Theo podszedł bliżej, popatrzył na podłogę i pokiwał głową.
- Uważaj na szkło - ostrzegła Michelle.
- Wydawało się to niemożliwe, ale gabinet zabiegowy wyglądał jeszcze gorzej. Wyrwany ze ściany pulpit leżał na podłodze wśród sterty porwanych papierów. Obicia krzeseł w poczekalni pocięto tak dokładnie, że nie nadawały się do naprawy.
- Całe szczęście, że mam urlop - odezwała się Michelle, przerywając obserwację Theo.
- Doprowadzenie wszystkiego do porządku zajmie ci więcej niż dwa tygodnie.
- Pomogą mi dwie koleżanki z Nowego Orleanu. Poukładanie dokumentów zajmie nam najwyżej dzień. Obie są pielęgniarkami, będą więc wiedziały, co gdzie wkładać. Kiedy skończymy papier-

kową robotę, John Paul i tata mogą zacząć malowanie. Czasu mam dość, gorzej z pieniędzmi na zakup nowych mebli. - Wzięła jedno z krzeseł, odstawiła pod ścianę i wepchnęła do środka białą gąbkę. - Na razie będzie musiała wystarczyć taśma klejąca.

- Chętnie pożyczę ci parę groszy.

Nie powinien był tego mówić. Michelle wyprostowała się jak struna, a wyraz jej twarzy wskazywał na to, że czuje się zaskoczona i urażona. Nie dała mu czasu, by naprawić błąd.

- Nie potrzebuję twoich pieniędzy. Tu, w Bowen, sami dajemy sobie radę. Nie czekamy z pomocą na przybyszy.

- Nie musisz unosić się honorem. Ja tylko chciałem...

- Pomóc panience w kłopotcie? Przepraszam, ale nie jesteś stąd i nie rozumiesz, jak ważne jest dla nas wyremontowanie tego własnymi siłami.

- Uratowałeś mi życie, chciałem więc... - Urwał, widząc jej gniewną minę. - Masz rację, nie rozumiem, ale nie będę nalegał. Przepraszam, nie chciałem cię obrazić.

- Wiem, że chciałeś dobrze, ale to nie twój, lecz mój problem i sama sobie z nim poradzę.

Uniósł dłonie na znak poddania.

- W porządku. A teraz powiedz mi, co powiedział szeryf. Czy ma już jakichś podejrzanych?

- Jeszcze nie - odparła. - Nawet jeśli złapie sprawców, nie pokryje to szkód. Nikt w okolicy nie ma pieniędzy. Pewnie zauważyłeś brak domów przy wjeździe do miasta. Większość ludzi musi pracować na dwóch posadach, by związać koniec z końcem.

Theo wskazał na poczekalnię.

- Nie wygląda to najlepiej.

- Rzeczywiście, ale dam sobie radę.

- A co z ubezpieczeniem?

- Pokryje tylko część kosztów. Wydałam fortunę na ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej i niewiele mi zostało. Mam ci pomoc z tym pudłem? - spytała, zmieniając temat.

- Nie.

- Postaw je w korytarzu i możemy jechać. Na ryby jest już za późno, ale możesz rozlokować się u taty.

Chciała się go pozbyć i wcale się z tym nie kryła. Theo był równie uparty jak ona i nie miał zamiaru nigdzie jechać.

- Wolałbym zatrzymać się u ciebie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Dlaczego?
 - Będziesz lepszą kucharką.
 - Niewiele miałam ostatnio czasu na gotowanie.
 - No, tak już lepiej. Wyjmę to pudło z bagażnika, a potem pojedziemy do ciebie. Chciałbym zobaczyć, jak mieszkasz, rozpakować się i zdjąć ten garnitur. - Ruszył do wyjścia.
 - Dlaczego? - spytała.
 - Dlaczego co?
- Patrzyli na siebie. Był wyższy od niej, lecz nie wyglądała na onieśmiałoną.
- Dlaczego chcesz mieszkać u mnie? U taty jest więcej miejsca.
 - Tak, ale ty jesteś ładniejsza, poza tym dał mi możliwość wyboru. U niego albo u ciebie. Wybieram ciebie. Wiejska gościnność i takie tam... Nieuprzejmie byłoby odmawiać.
 - Masz na myśli południową gościnność. Nie powiedziałaś mi jednak...
 - Pozwól mi rozgościć się w twoim domu, dostać coś zimnego do picia, a potem powiem ci, co sędzę o tym bałaganie. - Poszedł do samochodu, wyjął pudło z bagażnika, postawił je w korytarzu i zaczekał, aż Michelle pogasi światła.
 - Powinnam zacząć sprzątać - powiedziała bez przekonania.
 - Kiedy przyjeżdżają twoje koleżanki?
 - Pojutrze.
 - Co byś powiedziała na to, by najpierw obejrzał to miejsce mój przyjaciel?
 - Po co?
 - By potwierdzić moje przypuszczenia. Weź sobie na dziś wolne, Michelle. Potem pomożemy twojemu ojcu i bratu. To nie zajmie dużo czasu.
 - Masz tu łowić ryby.
 - I będę łowił. Czy możemy już jechać i napić się czegoś zimnego?
- Kiwnęła głową i zamknęła drzwi.
- Cooper mówił mi, że kiedy z nim rozmawiałaś przez telefon, sprawiałaś wrażenie, jakbyś się czegoś bała.
 - Bo się bałam i to tak, że podskakiwałam na widok cienia. Wyobraźnia płata mi figle.
 - Nie rozumiem.
 - Wczoraj w nocy wydawało mi się, że ktoś jest w moim domu. Usłyszałam hałas, wstałam z łóżka i obeszłam cały dom, ale

nikogo nie spotkałam. To mógł być John Paul. Czasami wpada o dziwnych porach.

- Ale to nie był twój brat?
- Trudno powiedzieć. Mógł już wyjść. Pewnie coś mi się śniło, a może to dom trzeszczał. Wydawało mi się nawet, że ktoś grzebał w moim biurku w bibliotece, tuż obok salonu.
- Czemu tak sądzisz?
- Telefon stoi zawsze w prawym górnym rogu biurka. Pilnuję, by środek był pusty i gotowy do pracy. To takie małe przyzwyczajenie. Kiedy dziś rano zeszałam na dół, pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, był telefon... przesunięty.
- Jeszcze coś?
- Mam wrażenie, że ktoś mnie śledzi. - Pokręciła głową na myśl o czymś tak absurdalnym. - Jestem paranoiczką.

14

Theo nie potwierdził, że Michelle ma urojenia, ale się nie śmiał. Z wyrazu jego twarzy nie mogła jednak nic wyczytać.

- Czy to ten? - spytał, wskazując na dom stojący na zakręcie drogi.

- Tak - odpowiedziała, zapominając o swoich problemach. - To jedyny dom na całej ulicy.

Uśmiechnął się.

- Ścisłe mówiąc, przy drodze, nie przy ulicy.

- Według tutejszych standardów to jest ulica.

Dom stał w niezwykle malowniczym miejscu, otoczony rozłożystymi drzewami. Prowadził do niego szeroki ganek z kolumnami, zwieńczony spadzistym dachem z trzema oknami mansardowymi. Z tyłu, w odległości około stu metrów, rozciągały się moczary. Z ciemnej wody wystawały powyginane pnie drzew.

- Dużo tu węży?

- Trochę.

- A w domu?

- Żadnego.

Odetchnął z ulgą.

- Nie cierpię węży.

- Mało kto je lubi.

Theo ruszył za nią do frontowych drzwi. Na parapetach okiennych stały doniczki z kwiatami, a ganek zdobił pnący się bluszcz. Michelle miała rękę do kwiatów.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Theo postawił torbę obok starej skrzyni i rozejrzył się po holu. Dom został niedawno odnowiony. Drewniane podłogi i listwy były starannie wykończone i polakierowane, a ściany pomalowane na jasnożółty kolor. W powietrzu unosił się zapach żywicy. Theo oparł wędkę o ścianę i zamknął za sobą drzwi. Kiedy przekręcał zasuwę, zauważył, że

jest licha. Ponownie otworzył drzwi, przykucnął i uważnie obejrzał zamek. Nie zauważył śladów włamania, ale zasuwkę i tak trzeba było wymieść.

Wszedł dalej. Po lewej stronie była mała jadalnia z mahoniowym stołem, krzesłami i pięknie rzeźbionym kredensem, stojącym przy ścianie na wprost okien. Na podłodze leżał gruby jasnoczerwony dywan z żółtymi i czarnymi plamami.

Na prawo mieścił się salon. Przed kominkiem stała beżowa kanapa i dwa fotele. Na kolorowym dywaniku na wprost kanapy stał kufer, a na małym stoliku do kawy piętrzyły się książki. W przeciwległej ścianie od wejścia znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi, za którymi dostrzegł biurko.

- Dom zbudowany jest na planie wielkiego kwadratu - wyjaśniła Michelle. - Można przejść z jadalni do kuchni i pokoju śniadaniowego, potem korytarzem do mojego gabinetu i przez te szerokie drzwi do salonu. Nie ma tu żadnych zakamarków, co bardzo mi się podoba.

- A gdzie są sypialnie?

- Na górze. Schody są w bocznym korytarzu przy pralni. Są tam dwa duże pokoje, ale podłogi i ściany wymagają odnowienia. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, będziemy korzystali ze wspólnej łazienki. Jest jeszcze jedna na dole, ale stoi tam pralka i suszarka. Kiedy skończę remont, powstaną z tego dwa oddzielne pomieszczenia.

Dom był umeblowany prosto, lecz w dobrym guście.

- Czy to Maitland-Smith? - spytał, podchodząc do stołu w jadalni.

- Znasz się na meblach?

- Tak. Lubię ładnie wykonane meble.

- Nie, to nie jest Maitland-Smith, lecz John Paul.

Dopiero po chwili zrozumiał, że to jej brat zrobił ten stół.

- Nie wierzę.

- A jednak.

- To prawdziwe dzieło sztuki. - Przesunął dłonią po blacie, jakby gładził czoło dziecka. Michelle obserwowała go, ciesząc się w duchu, że umiał docenić pracę brata.

Mahoń był gładki i błyszczący jak marmur.

- Niesamowite - szepnęła Theo. - I te wspinające linie. Przykucnął, by przyjrzeć się pięknie rzeźbionym nogom i wspinającym wolutom. Każdy szczegół, każda linia były dopracowane do perfekcji. - Kto go tego nauczył?

- Jest samoukiem.

- Niemożliwe.
Zaśmiała się.

- Mój brat jest perfekcjonistą. Bardzo utalentowanym, prawda? Theo wstał, wziął jedno z krzesel, obrócił je do góry nogami i gwizdnął.

- Żadnego zadrapania, żadnej śruby na wierzchu. O rany, co ja bym dał, żeby zrobić coś takiego. Takie krzesło może przetrwać wieki, jeśli będzie się o nie dbać.

- Znasz się na stolarce? - Nie wiedzieć czemu, ale zaskoczyła ją myśl, że ten facet mógłby mieć jakieś zdolności manualne. To zupełnie do niego nie pasowało. - Poza tym...
Theo popatrzył na nią i dostrzegł jej zdziwienie.

- Co?

- Nie wyglądasz na kogoś, kto potrafi coś sam zrobić.

- Tak? A na kogo?

Wzruszyła ramionami.

- Na kogoś z Wall Street, w garniturze szytym na miarę i bandą służących. No wiesz, na takiego paniczka z wielkiego miasta.

Uniósł brew.

- Mylisz się. Umiem całkiem niezłe posługiwać się rękoma. Mam ci pokazać? - spytał, błyskając uśmiechem.

Zrozumiała seksualną aluzję.

- Czy mam dziś wieczorem zamknąć drzwi na klucz?

- Nigdy bym nie naruszył twojej prywatności - odparł, pochmurniejac. - Poza tym...

- Tak?

- Jeśli dobrze rozegram tę partię, to ty przyjdiesz do mnie - dokończył, puszczając do niej oko.

- Zawsze jest pan taki arogancki w stosunku do kobiet, panie Buchanan?

Roześmiał się.

- Nie wiem, jak to się dzieje, ale wywołujesz we mnie diabła.

Przewróciła oczyma.

- Naprawdę lubię majsterkowanie - powiedział po chwili. - Lubię, a właściwie lubiłem coś tworzyć. Przyznaję jednak, że daleko mi do doskonałości.

- No to co stworzyłeś?

- Ostatnio domek dla ptaków. Cztery lata temu, ale mi nie wyszedł. Żaden ptak nawet się do niego nie zbliżył. Umieram z głodu, Michelle. Co byś powiedziała na wspólną kolację?

- Wolałabym zostać dziś w domu. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu. W końcu jesteś tu gościem.

- No i jak się czujesz w roli gospodyni?

- Przyjemnie jest gościć prawnika z Ministerstwa Sprawiedliwości. Może odstraszyśz wilki.

- Nadal chcesz zamknąć drzwi na klucz?

Zabawnie jest przekomarzać się z przystojnym mężczyzną, pomyślała. Na studiach i w czasie praktyki nie miała na to czasu. Marzyła jedynie o tym, by przyłożyć głowę do poduszki. Słowne igraszki nie były jej mocną stroną.

- Prawdę mówiąc, to nie mam zamka w drzwiach - odpowiedziała. - Chodź, pokażę ci, gdzie będziesz spał. Przebierz się, a ja tymczasem zajrzę do lodówki.

Theo wziął torbę i poszedł za Michelle do kuchni. Było to jasne obszerne pomieszczenie, dwa razy większe od jadalni. W pokoju śniadaniowym stał stary dębowy stół i cztery pochłapane farbą składane krzesła. Pod trzema oknami wychodzącymi na ośloniętą werandę i podwórko mieścił się stary emaliowany zlew. Podwórko było długie i wąskie, zakończone pomostem. Przy jednym ze słupów stała przycumowana łódź.

- Łowisz na tym pomoście?

- Czasami - odparła. - Ale wolę pomost taty. Tam można złapać więcej ryb.

W bocznym korytarzu znajdowało się troje drzwi. Jedne prowadziły na werandę, drugie do świeżo odmalowanej łazienki, trzecie zaś do garażu.

- Na górze przy schodach jest druga łazienka. Twój pokój jest na lewo.

Theo nie od razu wszedł na górę. Postawił torbę na stopniach i sprawdził zamek w tylnych drzwiach; był tak słaby, że dziesięcioletnie dziecko potrafiłoby go otworzyć. Potem obejrzał wszystkie okna i wrócił do kuchni.

- Każdy mógłby wejść przez te okna - powiedział. - Żadne nie jest zamknięte.

- Wiem. Od dzisiaj będę je zamykać.

- Nie chcę cię straszyć, ale dopóki nie znajdą..

- Mógłbyś zaczekać z tym do kolacji? To był ciężki dzień.

Michelle odwróciła się i podeszła do lodówki. Usłyszała, jak Theo wchodzi na górę. Stare żelazne łóżko w pokoju gościnnym miało twardy materac i pewnie będzie dla niego za krótkie. Jednak

nie usłyszysz od gościa słowa skargi, bo był dżentelmenem. Bardzo jej się podoba bostoński akcent. Położyła warzywa na blacie. Ale Boston jest tak daleko stąd. Westchnęła. Theo przyjechał tu tylko na ryby. Pomoże jej uporządkować ambulatorium, a potem wróci do siebie.

- I na tym koniec.

- Mówiłaś coś?

Drgnęła.

- Mówiłam do siebie.

Theo przebrał się w stare wyblakłe dżinsy i szary podkoszulek, który pamiętał lepsze dni. Białe tenisówki zmieniły kolor na szary, a jedna z nich miała dziurę w palcu. Michelle uznała, że wygląda w tym stroju niezwykle seksownie.

- Co cię tak śmiesz? - spytał.

- Ty. Spodziewałam się wyprasowanych dżinsów. Żartowałam - dodała szybko, widząc, że marszczy brwi. - Świetnie wyglądasz, tylko ten pistolet nie pasuje.

- Będę szczęśliwy, gdy się go pozbędę. Nie lubię broni, ale moi szefowie w Bostonie kazali mi ją nosić, dopóki nie opadnie wrzawa związana z ostatnią sprawą.

- Zastrzelełeś już kogoś?

- Nie, ale nie tracę nadziei - odparł z szelmowskim uśmiechem. - Mogę wziąć to jabłko?

Odgryzł kawałek, zanim zdążyła odpowiedzieć.

- Cholera, jestem głodny. Co to będzie?

- Smażona ryba z warzywami i ryżem. Może być?

- Nie wiem. Jak dla mnie to zbyt zdrowe. Lubię tanie jedzenie.

- Bardzo źle. W moim domu będziesz się zdrowo odżywiać.

- Może po kolacji porozmawiamy sobie o tym, co się zdarzyło w twoim życiu.

- To znaczy?

- Na przykład, kto w mieście chce ci dopieprzyć. Przepraszam, powinienem powiedzieć: kto żywi do ciebie urazę.

- Słyszałam już gorsze słowa - stwierdziła. - Kiedyś nawet byłam w tym dobra. Bracia mnie nauczyli. Tata twierdził, że dorosłego mogłam przyprawić o rumieniec, i zdusił to w zarodku.

- Jak? Myjąc ci zęby mydłem?

- O nie, nic z tych rzeczy. - Pochyliła się nad zlewem i zaczęła myć cebulę. - Powiedział, że za każdym razem, kiedy używam brzydkiego wyrazu, moja matka płacze.

- Więc wziął cię na wyrzuty sumienia.

- Właśnie.

- Twój tata mówi o niej, jakby...

- Żyła.

- Tak.

- Lubi z nią rozmawiać.

- Jak umarła?

- Dostała rozległego wylewu, gdy mnie rodziła. Nigdy nie odzyskała przytomności i w końcu umarła.

Zadzwoił telefon. Dziewczyna wytarła ręce w ścierkę i podniosła słuchawkę. To ojciec telefonował z baru Pod Łabędziem. Gdzieś w głębi słychać było brzęk szklanek.

Theo oparł się o blat i dokończył jabłko. Czekał, aż Michelle powie mu, co ma robić. Burczało mu w brzuchu, rozejrzał się więc po kuchni w poszukiwaniu czegoś do przegryzienia. Nie znalazł jednak żadnych chipsów czy chrupek. Jak można pić piwo bez chipsów? To niemal przestępstwo.

- Mogę? - spytał, wskazując na szafki.

Machnęła ręką przyzwalająco. Sądząc z przebiegu rozmowy, mówił głównie Jake. Jego córce udało się jedynie wturcić kilka słów.

- Ale tato, dopiero zaczęliśmy... Tak, tato, rozumiem. Dobrze, przyjadę... Dlaczego Theo musi ze mną jechać? Tato, ten człowiek przyjechał tu na ryby... Nie, nie kłóć się. Dobrze. Zadzwoń, jak tylko wrócimy. - Zaśmiała się. - Nie, tato, nie sądzę, żeby miał ochotę na twoją potrawkę z okry.

Odwiesiła słuchawkę i włożyła rybę z powrotem do lodówki.

- Przepraszam, ale kolacja będzie musiała poczekać. Daryl Waterson ma kłopoty z ręką i tata powiedział mu, że przyjadę i rzucę na nią okiem. Pewnie znowu za mocno ją zabandażował. Chciałam, żebyś został w domu i odpoczął albo zaczął szykować kolację, ale mój samochód stoi przed barem i tata uważa, że powinieneś pojechać ze mną. Co ty na to?

Nie chciał jej spuszczać z oczu, dopóki z nią nie porozmawia.

- W porządku - odpowiedział. - Daryl to ojciec tego wielkiego chłopaka, który przyszedł do baru, tak? Jak on ma na imię?

- Elliott. Tak, Daryl to jego ojciec.

- Może wstąpimy po drodze do McDonalda na frytki i Big Maca? - zaproponował Theo.

- Nie zależy ci na czystych tętnicach?

Michelle wydawała się tak zszokowana, że wybuchnęła śmiechem.

- Jasne, że tak. Więc co ty na to?

- W Bowen nie ma McDonalda - odparła.

Pobiegł na górę po kluczyki, a ona do gabinetu po torbę medyczną. Theo pierwszy znalazł się przy drzwiach.

- Masz klucze? - spytał.

- Tak. - Poklepała się po kieszeni.

- Zamknąłem tylne drzwi. Zostawiłaś je otwarte.

Zabrzmiało to tak, jakby oskarżał ją o przestępstwo.

- Czasami zapominam przekręcić klucz. W Bowen nie zamykamy drzwi.

- Pozamykałaś ambulatorium?

- Tak.

- Od tej chwili zamykaj wszystkie drzwi, dobrze? - Sprawdzał, czy są zamknięte.

- Dobrze - odparła, kładąc torbę na tylnym siedzeniu.

Theo wyjechał tyłem z podjazdu, po czym spojrział na Michelle.

- Może moglibyśmy kupić po drodze...

- Nie.

- Nie wiesz, co chciałem powiedzieć.

- Wiem. Frytki, tłustego hamburgera...

- Chipsy.

- Zbyt dużo w nich soli.

- Nie dasz się przekonać?

- Jestem lekarzem, więc odpowiedź brzmi: „Nie”.

- Lekarzom nie wolno jeść tego co smaczne?

- Nie sądziłam, że mój gość okaże się taką marudą. Tata lubi te wszystkie świństwa. Trzeba było zamieszkać u niego. - Przeszaskała się, że zabrzmiało to zbyt obcesowo. Jeszcze gotów pomyśleć, że jest jakąś nudziarą czy świętoszkowatą panienką.

- Jak ludzie spędzają tu wolny czas? - spytał Theo po chwili.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Różnie. Chodzą do kina, sączą piwo Pod Łabędziem, opowiadają sobie o rybach, jakie złowili, jedzą niezdrowe kolacje w remizie strażackiej, odwiedzają sąsiadów, by porównać sadzonki pomidorów, lecz ulubioną rozrywką jest... seks.

- Co? - Był przekonany, że się przesłyszał.

- Seks - powtórzyła. - Kochają się na potęgę.

Theo roześmiał się.

- Wiedziałem, że polubię to miejsce.

15

To ten dom na końcu drogi - powiedziała Michelle.

Theo zaparkowałby przy krawężniku, tylko że go nie było. Nie było też podjazdu, zatrzymał się więc na porośniętym trawą wznesieniu obok starej furgonetki. Piętrowy drewniany dom wymagał remontu. Powyginane stopnie wyglądały tak, jakby za chwilę miały się rozpaść.

Przed drzwiami czekała na nich żona Daryla, Cherry.

- Dobrze, że pani przyjechała, doktor Mike. Ta ręka daje się Darylowi we znaki. Nie skarży się, ale widzę, że bardzo go boli.

Theo wyjął z samochodu torbę Michelle i podszedł do kobiet. Michelle dokonała prezentacji. Gospodyni wytarła dłonie o fartuch i podała mu rękę. Była czterdziestoletnią, raczej brzydką kobietą, o zniszczonej twarzy i ujmującym uśmiechu. Przewisko Cherry, czyli wisienka, musiało się wziąć od włosów o lekko wiśniowym odcieniu.

- Mój najstarszy syn Elliott mówił mi o panu - powiedziała. - Nigdy jeszcze nie był taki podekscytowany. Zrobił pan na nim wielkie wrażenie. Proszę do środka. Właśnie zaczęłam nakrywać do kolacji. Ach, byłabym zapomniała, pan Freeland może wpaść się przywitać. Telefonował jakieś dwadzieścia minut temu.

- Pan Freeland? - Nazwisko wydało się Theo znajome, lecz nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je słyszał.

- To nauczyciel muzyki z liceum - wyjaśniła Michelle.

Cherry poprowadziła ich przez przez skromnie umeblowany salonik i jadalnię do małej kuchni. Stał w niej długi dębowy stół i dziesięć różnych krzeseł.

U szczytu stołu siedział gospodarz, karmiąc bananem dziecko w wysokim foteliku. Chłopczyk miał więcej banana na buzi i na

rażkach niż w ustach. Na widok matki uśmiechnął się bezzębnymi dżiąsłami. Gdy zobaczył Michelle, nachmurzył się, a dolna warga zaczęła mu drżeć.

- Dziś nie będzie żadnych zastrzyków, Henry - zapewniła go dziewczyna, lecz malec wybuchnął płaczem.

Matka poklepała go po rączce i ułagodziła garścią chrupek, które wysypała na talerz.

- Za każdym razem, kiedy Henry mnie widzi, robię mu krzywdę - wyjaśniła Michelle. - Jak tylko będę mogła sobie na to pozwolić, wynajmę pielęgniarkę i ona będzie robić zastrzyki.

- Proszę się nie przejmować Henrym. Przekona się, że nie przyszedła tu pani z jego powodu - odrzekła Cherry.

Daryl wstał i przywitał się z Theo. Lewą rękę miał zabandażowaną aż do łokcia.

- Może usiądzie pan obok doktor Mike przy tych papierach - zaproponowała gospodyni.

Daryl nie był już taki subtelny i po prostu mu je podsunął pod nos. - Jake powiedział, że mogą pana zaciekawić... jako prawnika i w ogóle.

Theo domyślił się, o co chodzi. Skinął głową i usiadł. Michelle również wiedziała, co się święci, lecz udała, że zajmuje ją ręka Daryla.

- Zmienia pan codziennie opatrunek? - spytała.

- Tak - odpowiedział Daryl, nie spuszczać wzroku z jej towarzysza. - Żona mi go zmienia.

- Mamy jeszcze tę gazę, którą dała nam pani w zeszłym tygodniu - wtrąciła się Cherry. Ona również patrzyła na Theo, kręcąc nerwowo fartuch w palcach.

Theo nie bardzo wiedział, czego po nim oczekiwali. Michelle pospieszyła mu z pomocą.

- Daryl pracował w młynie do mielenia trzciny cukrowej, należącym do braci Carsonów.

- Po tym wypadku zwolnili mnie. Po prostu wyrzucili z roboty - wyjaśnił Daryl, pocierając brodę.

- Czy wypadek zdarzył się w czasie pracy? - spytał Theo.

- Tak.

- Mój mąż przepracował w tym młynie dwadzieścia dwa lata - wtrąciła Cherry.

Theo szybko policzył i uświadomił sobie z zaskoczeniem, że ten człowiek ma dopiero trzydzieści dziewięć, czterdzieści lat. A wyglądał o dziesięć lat starzej; był równie zniszczony jak ten dom. Miał przyprószone siwizną włosy, głębokie zgrubienia na prawej ręce i zapadnięte ramiona.

- Proszę mi opowiedzieć o tym wypadku.

- Zanim przyjrzy się pan tym papierom? - spytał Daryl.

- Zanim.

- Obsługiwałem rozdrabniarkę. To duża maszyna, bez której w młynie nie można się obejść. Mówiłem Jimowi Carsonowi, że coś w niej nawala i powinien ją wyłączyć i naprawić, ale nie chciał mnie słuchać. Nie ma pieniędzy na naprawę, powiedział. Szkoda, że mnie nie posłuchał. No to dalej pracowałem i nagle zerwał się pas i całe to cholerstwo spadło na mnie i połamało mi wszystkie kości w rękę, prawda, doktor Mike?

- Mniej więcej - odpowiedziała Michelle.

- Ty przeprowadziłeś operację? - spytał Theo.

- Nie.

- Doktor Mike poprosiła chirurga z Nowego Orleanu, żeby poskładał mi kosteczki - wyjaśnił Daryl.

- Dobrze się spisał, prawda, Daryl? - dodała jego żona.

- A jakże. Dzięki niemu mam wszystkie palce i mogę już nimi poruszać.

- To prawdziwy cud - stwierdziła Cherry.

- Jim Carson przyszedł do mnie do szpitala. Ale to nie była towarzyska wizyta - ciągnął Daryl. - Powiedział, że to była nieostrożność z mojej strony, bo wiedziałem, że maszyna źle pracuje, a mimo to nadal ją obsługiwałem. Nazwał mnie miglancem i wylał z roboty.

- Czy w młynie jest związek zawodowy?

- O nie. Carsonowie prędzej zamknęliby młyn, niż pozwolili na założenie związku. Narzekają, że nie starcza im pieniędzy na wypłaty i gdyby musieli jeszcze dogadywać się ze związkami, które dyktowałyby, co mają robić, zamknęliby interes.

- Oni ciągle straszą, że zamkną młyn, jak tylko mają z kimś kłopot - wtrąciła się znów Cherry. Podeszła do zlewu i zmoczyła szmatkę, by wytrzeć dziecku buzię.

- Masz coś do pisania? - spytał Theo Michelle. - Chciałbym zrobić parę notatek.

Dziewczyna otworzyła torbę i zaczęła w niej grzebać. Theo

zwrócił uwagę, że malec obserwuje ją z wyrazem komicznej podejrzliwości.

- Henry ci nie ufa - zauważył z uśmiechem.

Chłopczyk spojrział na niego i uśmiechnął się; po brodzie ciekła mu ślina. Matka wycierała mu rączki, tymczasem Michelle wyciągnęła z torby notes i długopis. Theo włożył na nos okulary.

- A co z odszkodowaniem? - spytał.

- Jim powiedział, że gdybym wniósł skargę, podwyższiliby im stawkę za ubezpieczenie, ale i tak się nie kwalifikuję, bo wypadek zdarzył się z mojej winy.

- Daryl martwi się o innych pracowników - wyjaśniła Cherry. - Gdyby Jim Carson zamknął młyn, wszyscy straciliby pracę.

Theo kiwnął głową, po czym zaczął przeglądać papiery. Daryl i jego żona przyglądali mu się wyczekująco. W kuchni słyszeć było jedynie, jak malec ssie własną piastkę.

Lektura nie zajęła Theo wiele czasu.

- Czy podpisywał pan jakieś papiery w związku ze zwolnieniem z pracy? - spytał.

- Nie - odpowiedział Daryl.

- Nie zapomnij powiedzieć panu o prawniku - przypomniała mężowi Cherry.

- Właśnie do tego zmierzałem - odparł. - Jim przysłał do mnie Franka Trippa.

- Wszyscy nazywają go Gnidą - dodała jego żona. Podeszła do kuchenki i zamieszała pyrkający w garnku gulasz. - I mówią mu to prosto w twarz. Chcemy, żeby wiedział, co o nim myślimy.

- Daj mi dokończyć, Cherry - przerwał jej mąż. - Frank jest adwokatem w St. Claire i gdybym nie siedział teraz we własnym domu, splunąłbym na ziemię. To zwykła wesz, podobnie jak Bob Greene. Są współnikami i co miesiąc dostają... jak to się nazywa, Cherry?

- Zlecenie?

- Zaliczkę - odpowiedział Theo.

- Tak. Carsonowie płacą im co miesiąc zaliczkę. Do nich należy zajmowanie się wszelkimi problemami, takimi jak mój.

- Wygląda mi to na obopólny interes - rzuciła półgłosem Michelle.

- Zastanawialiśmy się - zaczęła Cherry, po czym skinęła głową Darylowi. - Może ty powiesz, co ci chodzi po głowie, tak jak radził Jake.

- Zastanawialiśmy się z żoną, czy mógłby pan coś na to poradzić, skoro jest pan prawnikiem. Oczywiście zapłacimy panu. Nie chcemy jałmużny.

- Ale nie chcemy, żeby miał pan przez to kłopoty - dodała Cherry.

- Kłopoty? - powtórzył szczerze zdumiony Theo.

- Jake mówił, że skoro nie złożył pan jeszcze oficjalnego wypowiedzenia w Ministerstwie Sprawiedliwości i nie podpisał kontraktu na trenera, to nie może pan brać pieniędzy.

- Bo płaci panu ministerstwo - dokończyła Cherry. - Czy to prawda?

- Jeżeli mam zapłacić, to muszę wiedzieć ile. Wtedy zacznę się zastanawiać, skąd wziąć te pieniądze - powiedział Daryl.

- Nie będzie żadnej zapłaty - odparł Theo.

- Więc Jake mówił prawdę?

- Tak.

- Czy dałoby się coś zrobić z tymi Carsonami? - spytała Cherry z nadzieją w głosie, lecz na jej twarzy malowała się troska.

- Tylko tak, żeby nie zamknęli młyna - dodał jej mąż. - Jake bardzo pana chwalił.

- Naprawdę?

Theo miał ochotę się roześmiać. Ciekawe, co on opowiadał. Przecież nic o nim nie wiedział. Rozmawiali tylko o rybach.

- Tak. On uważa, że mógłby pan porozmawiać z Jimem Carsonem w mojej sprawie. No wie pan, przemówić mu do rozsądku. Tyle ściągają nam z zarobków na opiekę medyczną, a potem w nagłych wypadkach nie pozwalają nam z tego korzystać. To nieuczciwe.

- Rzeczywiście - przyznał Theo.

- Może mógłby pan pogadać z bratem Jima, Garym - odpowiedziała Cherry. - Jest starszy, a Jim robi zawsze to, co Gary mu powie. To Gary wszystkim kieruje.

- Nie znam się na luizjańskim prawie - zaczął Theo i zauważył, że nadzieja w oczach Daryla zmieniła się w rezygnację. - Więc muszę trochę poszperać, popytać znajomych - dodał, co wywołało uśmiech na twarzy Daryla. - Oto co proponuję: zbadam sprawę, a potem powiem panu, jakie są możliwości. Tymczasem proszę nikomu nic nie mówić. Nie chcę, żeby Carsonowie lub ich prawnicy dowiedzieli się, że się tym zajmuję. Zgoda?

- Zgoda - odpowiedział Daryl. - Nikomu nic nie powiemy.

- A co z Jakiem? - spytała Cherry. - On wie, że z panem rozmawialiśmy.

- On nikomu nie powie - zapewnił ją mąż.

- Mamo, pan Freeland czeka na ganku - rozległ się chłopięcy głos. - Czy może wejść?

Do kuchni wbiegł chłopiec w wieku pięciu lub sześciu lat. Twarz miał obsypaną piegami i kręcone włosy matki.

- Przyrowadź tu pana Freelanda - poleciała mu Cherry.

Mały jednak nie zwracał na nią uwagi; przytulił się do Michelle i chwycił ją za rękę.

- Powinniśmy się zbierać - powiedział Theo, odsuwając krzesło. - Przejrzałem te papiery, może je pan zatrzymać.

- Nie może pan teraz wyjść - zaprotestowała gospodyni. - Pan Freeland przebył taki szmat drogi, żeby... Powinien pan go poznać.

- Tak się składa, że był tu niedaleko - wyjaśnił Daryl, lecz Theo domyślił się, że kłamie.

- Czy pan Freeland też ma jakiś problem prawny? - spytał Michelle.

Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Johnie Patricku, to jest mój przyjaciel, Theo Buchanan - powiedziała do chłopczyka. - Przyjechał tu aż z Bostonu na ryby.

Mały kiwnął głową.

- Wiem, kim on jest. Wszyscy wiedzą. Pani doktor, może pani powiedzieć bratu, żeby do nas przyszedł? I żeby się pospieszył, bo zostawiłem piłkę na podwórzu.

- Lois wróciła?

- On tak myśli - wyjaśnił Daryl. - Dostanie przez nią wrzodów.

- Nie widzieliśmy Lois od przeszło miesiąca - powiedziała Cherry. - Ale John Patrick wciąż się boi, że znowu się pojawi. Nie weźmie piłki z podwórza, dopóki pani brat nie przyjdzie, i nie pozwoli żadnemu z nas jej przynieść. Muszę rozwieszać tam bieliznę, żeby go uspokoić. John Patrick wiecznie się czymś przejmuję - dodała, patrząc na Theo.

- John Patrick otrzymał imiona po bracie doktor Mike, Johnie Paulu - wyjaśnił Daryl.

- Powie mu pani? - spytał chłopczyk.

Michelle otoczyła go ramieniem.

- Jak tylko go zobaczę, powiem mu, że tu przyszedł. Ale musisz przestać się bać.

- Dobrze - szepnął mały. - A ten pan...

- Theo?

John Patrick skinął głową.

- Tak?

- Mógłbym go o coś spytać?

- Pytaj, o co chcesz - powiedział Theo. Nie miał doświadczenia w rozmowie z dziećmi, ale pomyślał, że mógłby mieć takiego sześciolatka. - Co chciałbyś wiedzieć?

Chłopczyk oparł się o jego nogę i spojrzał mu w oczy.

- Mój tatuś mówi, że Tata Jake mówił, że masz broń.

- Tak, mam broń, ale już niedługo ją zwrócę - wyjaśnił zdziwiony Theo. - Nie lubię nosić broni.

- Ale teraz masz?

- Tak, mam.

Zaniepokoiła go ta fascynacja dziecka bronią. Powinien chyba zrobić mu krótki wykład na temat niebezpieczeństw, jakie ze sobą niesie. Zastanawiał się, jak to wyjaśnić sześcioltniemu dziecku, ale John Patrick go ubiegł.

- Więc możesz wyjść na zewnątrz?

- Chcesz, żebym wyszedł na podwórko?

Mały skinął z powagą głową. Theo spojrzał na Michelle i dostrzegł błysk w jej oku.

- Wyjdiesz? - nie ustępował chłopiec.

- Dobrze - odparł Theo. - A co chcesz, żebym tam robił?

- Mógłbyś zastrzelić Lois?

Theo spodziewał się tego pytania, ale i tak go zaskoczyło.

- Nie, pan nie może zastrzelić Lois - odpowiedział Daryl. - Nie chcesz chyba, żeby przyjaciel doktor Mike miał z tego powodu kłopoty.

- Nie, tatusiu, nie chcę.

- To i tak nic by nie dało - odezwała się Michelle, klepiąc chłopczyka po plecach. - Gdyby Theo strzelił do Lois, mógłby ją rozkościć.

- Robi się okropnie wredna, jak jest zła - wyjaśnił chłopczyk. Drzwi wejściowe stuknęły raz, drugi i trzeci.

- Idź umyć ręce przed kolacją - poleciała małemu matka.

John Patrick rzucił Theo zawiedzione spojrzenie i podszedł do zlewu.

- To jakiś krwiożerczy malec - szepnął Theo do Michelle.

- Jest kochany - odparła.

- Na miejscu Lois prysnąłbym do lasu.

Drzwi znowu stuknęły i podłoga zatrzęsła się, jakby stado krów wpadło do saloniku. Po chwili w kuchni pojawiła się grupa chłopców w różnym wieku. Theo stracił rachubę przy pięciu.

Na końcu wszedł pan Freeland. Elliott musiał wcisnąć się w lodówkę, by nauczyciel mógł się zmieścić w kuchni. Można go było wziąć za kolegę któregoś z chłopców, gdyby nie koszula i krawat. Miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, grube okulary w rogowej oprawie, opadające na nos, i był chudy jak tyczka.

- Pan Freeland jest nauczycielem muzyki w liceum - wyjaśnił Daryl.

- Miło mi pana poznać - rzekł Theo.

Nie mógł wstać, bo za jego krzesłem stali dwaj chłopcy, wyciągnął więc tylko rękę.

- Mów mi Conrad - poprosił nauczyciel, po czym kiwnął głową Cherry i Darylowi, na końcu Michelle.

- Jak się miewa Billie? - spytała go Cherry.

- Billie to moja żona - wyjaśnił Freeland. - I miewa się świetnie. Dziecko budzi nas tylko raz w nocy, możemy więc dłużej pospać. Billie przesyła pozdrowienia.

- Chłopcy, zróbcie panu Freelandowi miejsce, żeby mógł porozmawiać z Theo - poleciła Cherry.

Nastąpiło głośne szuranie i dzieci zajęły miejsce przy stole. Theo przysunął się do Michelle, żeby gość mógł usiąść.

- Wpadłem tylko na chwilę - wyjaśnił nauczyciel. - Billie czeka z kolacją. - Popatrzył na Theo. - Daryl i Cherry rozumieją, jak ważna jest edukacja. Chcieliby wszystkich swoich chłopców widzieć w college'u.

Theo kiwnął głową, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Elliott ma dobre oceny i będzie się ubiegał o stypendium, trudno je jednak zdobyć - ciągnął Conrad. - Ale to pilny uczeń i mądry chłopak.

- Dziękuję, Conrad - powiedział Daryl, jakby to on, a nie syn otrzymał pochwałę.

- Mam nadzieję, że mógłbyś mu pomóc w otrzymaniu stypendium.

- W jaki sposób? - spytał zaskoczony Theo.

- Pomagając w zdobyciu stypendium sportowego.

- Słucham? - spytał Theo.

Conrad. - Mógłby być dobry, naprawdę dobry, gdyby nim właściwie pokierować.

- W zeszłym roku drużyna z St. Claire była niepokonana - wtrąciła Cherry.

- Wydaje się to niemożliwe do osiągnięcia, ale panu może się to udać - dodał Daryl. - Jake bardzo pana chwalił.

- I twoje kontakty - dorzucił nauczyciel.

Theo spojrział na Michelle.

- Czemu mnie to nie dziwi, że stoi za tym twój ojciec?

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Tata cię lubi.

- Jake uważa, że gdyby ci od stypendiów zobaczyli mojego chłopaka na boisku, złożyliby mu propozycję i zapłacili za naukę w college'u - powiedział Daryl.

- Chwileczkę... - zaczął Theo.

Nikt jednak go nie słuchał.

- Zawsze szukają dobrych zawodników - powiedział Conrad.

- To prawda - przyznał Daryl. - Ale Jake uważa, że skoro Elliott jest taki szybki, to może mógłby też biegać z piłką.

Michelle trąciła Theo w łokieć.

- Łowcy talentów często przyjeżdżają na mecze do St. Claire w poszukiwaniu narybku.

- To może byśmy zaczęli? - zaproponował Conrad.

- Zaczęli? - powtórzył Theo, rozcierając skronie. Zaczynała go głowa boleć. - Co takiego?

Nauczyciel muzyki wyjął z tylnej kieszeni kilka kartek papieru, potem sięgnął do kieszeni koszuli, wyjął z niej małą karteczkę, krótki żółty ołówek i popatrzył na Theo.

- Do jakiego college'u uczęszczałeś? - spytał.

- Słucham?

Conrad cierpliwie powtórzył pytanie.

- W Michigan - odpowiedział Theo. - Czemu chcesz to wiedzieć?

- To duża szkoła, prawda? - spytał Cherry.

- Tak - odparł Conrad.

- I pewnie dobra - dodał Daryl.

Theo rozejrzał się po kuchni i zauważył, że wszyscy, łącznie z dziećmi, wpatrują się w niego. Najwyraźniej wiedzieli, o co tu chodzi, tylko on nie.

- Czy Jake kazał wam porozmawiać ze mną o szkołach? - spytał.

Nikt nie raczył mu odpowiedzieć.

- Grałeś tam w futbol? - spytał po chwili Conrad.

- Tak.

- A potem poszedłeś na studia prawnicze.

- Zgadza się.

- Czy tytuł magistra otrzymałeś na uniwersytecie w Michigan?

Co się tu, u licha, dzieje? - pomyślał Theo.

- Nie - odpowiedział. - Tytuł MBA i magistra prawa otrzymałem na wschodzie.

- Co to jest MBA? - spytała Cherry.

- Magister w dziedzinie zarządzania - wyjaśniła Michelle.

- I prawa. To ci dopiero. - W głosie Daryla brzmiał podziw i strach.

- Mnóstwo ludzi... - zaczął Theo.

- Na jakim uniwersytecie otrzymałeś te tytuły? - wszedł mu w słowo Conrad.

- Yale.

- Ojej, to doskonała szkoła - wtrąciła Cherry.

Conrad kiwnął głową.

- Twoje tytuły robią wrażenie - stwierdził, zapisując coś na kartce.

Theo nareszcie zrozumiał, o co tu chodzi. Dlaczego wcześniej się tego nie domyślił? Ten facet przeprowadzał z nim rozmowę kwalifikacyjną. Będzie musiał porozmawiać z Jakiem i wyjaśnić parę rzeczy.

- Na pewno masz jeszcze stare podręczniki - zwrócił się do niego Conrad.

- Podręczniki?

- Do gry w futbol - wyjaśniła Michelle.

Uśmiechała się słodko. Najwyraźniej świetnie się bawiła. Z nią też będzie musiał porozmawiać.

- To już zaszło za daleko - oznajmił zdecydowanym tonem. - Nastąpiło nieporozumienie, które najwyższy czas wyjaśnić. W drodze do Bowen zatrzymałem się na stacji benzynowej i chłopak...

Tylko tyle zdołał powiedzieć, bo Michelle nie pozwoliła mu dokończyć.

- Masz jeszcze stare podręczniki do gry, prawda? - spytała.

- Czemu tak sądzisz?

- To taki męski zwyczaj.

- No tak, mam kilka, ale razem z innymi śmieciami leżą na strychu - dodał pospiesznie.

- Nie mógłbyś poprosić jednego z twoich braci, żeby ci je przysłał?

- I co potem?

- Mógłbyś pójść ze mną na trening i przyrzeć się drużynie.

- Bardzo byśmy chcieli - dodał Elliott, pochylając się w przód.

Nagle wszyscy zaczęli mówić o drużynie. Tylko małego Johna Patricka bardziej interesowała broń Theo. Usiłował jej dotknąć, lecz Theo odepchnął jego dłoń. Miał wrażenie, że znajduje się na jakimś obcym łądzie, gdzie nikt nie rozumie po angielsku.

- Nie jestem trenerem! - ryknął. Kiedy wszyscy zamilkli, powtórzył już nieco spokojniej: - Nie jestem trenerem futbolu.

Nareszcie przejął kontrolę i czuł się niebywale dumny. Nie zrobiło to jednak na nich wrażenia.

- Ci chłopcy są chętni i bardzo zdolni - oznajmił Conrad. - Ale nie będę nalegał. To nie leży w naszym zwyczaju, prawda, Daryl? Jesteśmy spokojnymi ludźmi.

- Tak - przyznał Daryl.

Nauczyciel muzyki oderwał kawałek kartki, coś na niej zapisał, po czym złożył ją i spojrzął na Theo.

- Dyrektor naszej szkoły jest w Memphis, ale rozmawiałem z nim telefonicznie. - Podsunął Theo kartkę. - Sądzymy, że to powinno cię zadowolić. - Wstał i kiwnął głową Cherry. - Billie pewnie się denerwuje. Dziękuję za umożliwienie mi chwili rozmowy. Theo, mam nadzieję, że spotkamy się jutro na treningu. Mike wie gdzie i o której. - Podsunął Theo jakieś papiery i pożegnał się z nim, po czym przecisnął do drzwi. - Nie masz przypadkiem zaświadczenia o ukończeniu kursu pedagogicznego? - spytał jeszcze.

- Nie.

- Tak myślałem, ale powinienem o to zapytać. Nic nie szkodzi, Ministerstwo Oświaty na pewno pójdzie nam na rękę. W końcu chodzi tu o wyjątkową sytuację. Dobranoc wszystkim.

Theo postanowił zaczekać z wyjaśnieniami do jutrzejszego treningu. Tam będą lepsze warunki do spokojnej rozmowy niż w tej zatłoczonej kuchni.

- Mamo, kiedy będzie kolacja? - spytał John Patrick.

- Za chwileczkę.

- Powinniśmy już iść - zwrócił się Theo do Michelle.

- Nie zostaniecie na kolacji? - spytała Cherry. - Starczy dla wszystkich.

Theo pokręcił przecząco głową.

- Z chęcią przyjąłbym zaproszenie, ale mój żołądek nie jest przyzwyczajony do takich ostrych potraw. Zjadłem u Jake'a trochę zupy i żołądek mi się zbuntował.

To było oczywiście kłamstwo, lecz Michelle uznała, że nieźle mu wyszło. Cherry kiwnęła głową ze zrozumieniem, lecz Daryl był bardziej podejrzliwy.

- Mamy dość jedzenia, by nakarmić gości.

- Daryl, on jest z wielkiego miasta - przypomniała mu Michelle, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Zapomniałem - odparł. - Jeśli nie przywykł pan do ostrych potraw, to rzeczywiście jedzenie u Jake'a mogło wywołać sensacje żołądkowe.

- Zaparzę panu filiżankę mojej specjalnej herbaty - zaproponowała Cherry. - Dobrze panu zrobi.

- Chętnie się napiję.

- Zaparz mu, Cherry, a w tym czasie doktor Mike mogłaby zmienić mi opatrunek, skoro już tu jest - powiedział Daryl.

Theo popijał więc gorącą gorzką herbatę w dusznej kuchni, Michelle zmieniała opatrunek, a chłopcy jedli kolację. John Patrick uparł się, by siedzieć obok Theo. Nim malec skończył jeść, żołądek gościa głośno upomniał się o swoje prawa. Theo z trudem się powstrzymał, by nie wyrwać chłopcu z ręki domowej roboty suchara.

Wyszli po trzeciej filiżance herbaty. John Patrick wziął Theo za rękę i odprowadził na ganek.

- Jutro są moje urodziny - powiedział. - Dasz mi jakiś prezent?

- To zależy - odparł Theo. - A co chciałbyś dostać?

- Może wróciłbyś tu z większym pistoletem. - Mały puścił jego rękę i obejrzał się przez ramię. - Nie mów mamie, że prosiłem cię o prezent.

Michelle czekała na swego towarzysza przy samochodzie.

- Mam przecucie, że za jakieś piętnaście lat będzie głośno o tym dzieciaku - stwierdził Theo, wyjeżdżając tyłem na drogę.

- To aniołek.

- To mały potwór o krwiożerczych instynktach - obstawał przy swoim Theo. - Jednego nie rozu-
miesz. Ma przecież czterech starszych braci, tak

- Tak.

- To dlaczego nie powiedzą tej Lois, żeby zostawiła chłopca w spokoju? Ja pilnowałem moich braci i siostry i nie pozwoliłbym nikomu ich zaczepiać. Tak powinni postępować starsi bracia.

- Nadal ich pilnujesz?

- A twoi bracia cię pilnują?

- Usiłują. Na szczęście Remy jest w Kolorado i nie może wtrącać się w moje życie, a John Paul zawsze był samotnikiem. Ale pojawia się, gdy jest potrzebny.

John Patrick machał im z zapałem ręką. Michelle otworzyła okno po swojej stronie i pomachała chłopczykowi. Theo wcisnął pedał gazu, spojrzął we wsteczne lusterko i pokręcił głową.

- Mówię ci, to dziecko nie jest normalne.

Roześmiała się.

- Jest najnormalniejszym małym chłopcem.

- Lois to jego sąsiadka, tak?

- A więc zauważyłeś, że w okolicy nie ma innych domów. Nic dziwnego, że pracujesz dla Ministerstwa Sprawiedliwości. Jesteś bardzo spostrzegawczy.

- Hej, jestem na urlopie - zaprotestował. - Wolno mi czegoś nie zauważyć. No to kim jest ta Lois? Opossem? Nie, pewnie szopem. Boże, chyba nie wężem. One kopią doły i...

- Lois to aligator.

Nacisnął na hamulec, omal nie rozbijając samochodu o wielki dąb, bo przez nieuwagę zjechał z drogi. Wiedział, że aligatory żyją na mokradłach, czytał przecież „National Geographic” i czasami, gdy nie mógł zasnąć, oglądał kanał Discovery, nie przyszło mu jednak do głowy, że aligatory mogą podchodzić tak blisko domów. I czy ktoś zdrowy na umyśle nazwałby jednego z nich Lois?

- Chcesz powiedzieć, że na podwórku u tego dzieciaka mieszka żywy aligator? - Wyraz twarzy Theo był czymś niepowtarzalnym. Sprawiał wrażenie, jakby właśnie się dowiedział, że wilkołaki istnieją naprawdę.

- Otóż to. Samice są bardzo zaborcze. Lois uznała, że ich podwórko to jej terytorium, i rzuca się na każdego, kto je naruszy. Przynajmniej rzucała się, dopóki mój brat jej nie usunął. Tak na marginesie, byłabym wdzięczna, gdybyś nie wspominał o tym Benowi Nelsonowi. Aligatory są pod ochroną i mój brat mógłby mieć kłopoty.

- Czy wszystkim aligatorom nadajecie imiona?

- Niektórym.
- Jezu! - wyszeptał.
- Wracasz do Bostonu?
- Najpierw muszę się wybrać na ryby. Teraz powiedz, jak mam jechać. - Zanim się zorientował, byli już w St. Claire, gdzie w końcu zobaczył chodniki. Kiedy skręcił na skrzyżowaniu z prawdziwymi światłami, westchnął z ulgą. - Nareszcie cywilizacja.
- Nadal zamierzam przygotować zdrową kolację - powiedziała. - Ale pomyślałam sobie...
- Co?
- Że należą ci się szczególne względy.
- Dlaczego?
- Bo umierałeś z głodu, kiedy siedziałeś tam i popijałeś gorącą herbatę, bo nie wyrwałeś Johnowi Patrickowi suchara z ręki, chociaż wpatrywałeś się w niego jak zgłodniały wilk, i dlatego że...
- Tak?
- Dałeś się wykorzystać tacie.

16

Minał cały dzień od dostarczenia przesyłki. Cameron i Preston czekali w bibliotece Johna na Dallas, która miała przekazać im raport Monka. To czekanie doprowadzało Camerona do szaleństwa. Dobry Boże, jak to się mogło stać? Miał tyle marzeń i planów. Gdzie popełnił błąd? Czuł się jak wampir, który odlicza uderzenia zegara. Każda mijająca godzina przybliżała go do więziennych krat. Gdy zamykał oczy, słyszał trzask zamka.

- Nie możemy tak po prostu siedzieć z założonymi rękami - wybuchnął. - Minał już cały dzień. Zegar tyka. Musimy coś zrobić, i to szybko.

- Proponuję, żebyśmy pojechali do Bowen - powiedział Preston.

- I co mielibyśmy tam robić? - spytał John.

- Lepsze to niż siedzenie i czekanie, aż dopadnie nas policja - stwierdził Preston. - Im dłużej będziemy czekać...

- Mam dość czekania - wszedł mu w słowo Cameron. - Gdyby to ode mnie zależało, tak właśnie bym zrobił.

John trzasnął pięścią w biurko.

- Gównu byś zrobił! - ryknął. - Wszyscy w tym tkwimy i nie zrobisz niczego bez naszej zgody. Czy to jasne?

- Od kiedy to jesteś naszym szefem? - mruknął Cameron, zaskoczony jego wybuchem. - Nie przypominam sobie, bym na ciebie głosował - rzucił hardo.

- To mnie zawdzięczacie fortunę - odparł John. - Dlatego jestem szefem.

- Ta rozmowa do niczego nie prowadzi - stwierdził Preston. - Uspokójcie się i zacznijcie rozsądnie myśleć. Może Dallas będzie miała jakieś dobre wiadomości.

- No właśnie. Dlaczego Monk kontaktuje się tylko z nią? -

spytał Cameron. - Wszyscy go opłacamy i wszyscy powinniśmy mieć z nim kontakt. Cholera, nawet nie znam jego numeru komórki.

- Cameron ma rację. Czemu nie możemy się z nim kontaktować?

- Czepiacie się szczegółów - stwierdził John. - Przecież to ona sprowadziła Monka. Może nasz zabójca nie lubi spotykać się z nami, bo nam nie ufa.

- Bzdury - odparł Preston. - Po prostu Dallas lubi nim dyrygować. Wtedy czuje się ważna.

- Mam gdzieś, kto przekaże jego raport - zirytował się John. - Ważne, żeby wykonał robotę.

- Chcecie znać numer komórki Monka? - rozległ się głos Dallas. Stała w drzwiach biblioteki. - Proszę bardzo: dwa, dwa, trzy, jeden, sześć, dziewięć, dziewięć. Jesteś zadowolony, Cameron? A ty, Preston, chcesz znać jego adres? Nie znam go, ale jeśli sobie życzysz, mogę się dowiedzieć.

- Lepiej powiedz, że masz dla nas dobre wieści - odparował Preston.

- Jeśli pytasz, czy Monk odzyskał przesyłkę, odpowiedź brzmi: „Nie”.

- Nie znalazł tych przeklętych papierów? - spytał z niedowierzaniem Cameron.

- Muszą być w szpitalu - stwierdził Preston. - To jedyne miejsce, którego nie przeszukał dokładnie.

- Każ mu tam wrócić - zażądał Cameron.

- Powiedziałam Monkowi, żeby nie spuszczał z oka Renard - odparła Dallas. - Nie może być w dwóch miejscach naraz. Poza tym przeszukał jej szafkę. Przekonał też salową, by rozejrzała się w izbie przyjęć. Nie może się tam kręcić i grzebać w szufladach.

- Nie lubię niejasnych sytuacji. - John huśtał się w fotelu. - Skąd wiadomo, że Michelle Renard nie zabrała ze sobą tej przesyłki, kiedy wychodziła ze szpitala? Myślisz, że Monk dokładnie przeszukał jej dom i ambulatorium? Może robił to w pośpiechu.

- Bzdury - odrzekła Dallas. - On jest zawodowcem. Dlaczego nie miałyby zrobić tego dokładnie? Dzięki tej przesyłce zarobi kupę forsy. Zależy mu na niej tak samo jak nam.

- Bądź rozsądny. Zapomniałeś już, że ją zabiliśmy? - powiedziała Dallas.

Cameron ukrył twarz w dłoniach i oparł łokcie na kolanach.

- John, to ty nas w to wciągnąłeś, sukinsynu.

- Co się stało, to się nie odstanie - odparł ze spokojem John. - Musimy myśleć o przyszłości.

- O jakiej przyszłości?! - zawołał Cameron. - Jeśli nie odzyskamy tych papierów, jesteśmy skończeni.

17

W telefonie komórkowym Theo czekało sześć wiadomości. Poszedł do biblioteki, by je odsłuchać, a Michelle zajęła się kolacją. Potem zatelefonował do Noaha Clayborne'a i poprosił, by przyjechał do Bowen.

- Obiad gotowy? Jestem głodny - oznajmił, wchodząc do kuchni.

- Nie, niegotowy - odpowiedziała Michelle. - To nie hotel. Będziesz musiał mi pomóc. - Zaczęła kroić selera i marchewkę.

Theo oparł się o zlew i obserwował jej ręce.

- Cholera, jesteś świetna.

- Tak mówią wszyscy chłopcy.

- Jesteś jak robot, szybka i dokładna. To robi wrażenie.

- Wiesz, jak zawrócić dziewczynie w głowie.

Wziął marchewkę i odgryzł kawałek.

- Co mam robić? - spytał. - Umieram z głodu.

- Podwójny cheeseburger nie pomógł?

- Tylko pobudził apetyt.

- Mógłbyś rozpalic grilla. W szufladzie z prawej strony są zapałki.

- Grill jest na podwórku? - Zerknął podejrzliwie w stronę werandy.

- Oczywiście, że na podwórku. O co ci chodzi?

- Czy muszę obawiać się jakiejś Lois?

- Nie - odparła Michelle, po czym wstał i w nią diabeł, jakby powiedział jej tata. - Elvis może kręcić się w pobliżu. Na wszelki wypadek weź lepiej miotłę.

- Elvis? - spytał niepewnie.

- Nasz lokalny okaz. Kiedy go ostatnio widziano, miał podobno , pięć metrów długości.

- Nazwaliście aligatora Elvis? Co z wami?
- Nie wszystkim aligatorom nadajemy imiona. Tylko tym okazałym.

- Żartowałaś z tym Elvisem, tak?

Dziewczyna uśmiechnęła się słodko.

- Tak jakby.

- To tak jakby okrutnie znęcać się nad człowiekiem, który ma uczulenie na aligatory, Mike.

- Wolałabym, żebyś mówił do mnie Michelle.

- Wolałabym, gdybyś nie żartowała z aligatorów.

- W porządku.

- Dlaczego nie mogę mówić do ciebie Mike? Wszyscy tak mówią.

Michaile starannie zwinęła brzegi folii.

- Bo nie chcę, żebyś myślał o mnie jak o Mike.

- Dlaczego?

- Bo to nie jest kobiece imię. Jaki mężczyzna chciałby związać się z kobietą imieniem Mike?

- Co?

- Nieważne.

- Nie ma nieważne. Powiedziałaś, że chcesz związać się...

- Nic takiego nie powiedziałam. Po prostu nie mów do mnie Mike. A teraz idź rozpalic grilla i przestań się na mnie gapić, jakbym postradała rozum. Jeśli poczujesz strach, krzyknij, wtedy przybiegnę z miotłą i cię uratuję.

- Mężczyźni nie krzyczą, a ty masz chore poczucie humoru. - Ponownie spojrzął w okno. - Cholera, przecież aligatory żerują nocą, prawda? To ja postradałem rozum. Co ja robię w... - Chciał powiedzieć „w tej zapadłej dziurze”, lecz w porę się zreflektował. - Tej głuszy - dokończył.

Domyśliła się, co chciał powiedzieć, bo wyraz jej oczu był aż nadto wymowny.

- Nie wiem. To ty mi powiedz. Co tutaj robisz?

- Przyjechałem na ryby, zapomniałaś? Nie przypuszczałem, że wejda mi w drogę aligatory.

- Jak dotąd, żaden ci nie wszedł - stwierdziła. - I nie przyjechałeś tu tylko na ryby.

- Masz rację.

- I?

Theo wzruszył ramionami.

- Może czegoś szukam. - W jego głosie zabrzmiała wrogość.
 - Powiedz, czego szukasz, to pomogę ci znaleźć - rzekła Michelle, odwracając się od zlewu.

Nie odpowiedział. Nie mogła zrozumieć, skąd wzięła się u niego ta nagła wrogość. Zaledwie przed chwilą żartowali, a zaraz potem Theo zrobił się dziwnie poważny. Sprawiał wrażenie człowieka opanowanego, dającego sobie ze wszystkim radę. Cicha woda, pomyślała. Pod tą przystojną powierzchownością kryło się coś więcej. Postanowiła się dowiedzieć co. Ale nie będzie go naciskać. Jeśli zechce, sam jej powie.

Wieczór był piękny i parny, zjedli więc kolację na werandzie. Rozmowa nie przeszkadzała Theo w zaspokajaniu głodu. Jadł jak jej ojciec, z zachłannym, żywiołowym apetytem. Kiedy skończył, na talerzu nie pozostał nawet kawałek.

- Gdybym jadła jak ty, musiałabym poszerzyć drzwi - stwierdziła Michelle.

Odchylił się w krześle i zamknął oczy.

- Tak tu spokojnie, słychać kumkanie żab i cykanie świerszczy.

Nie chciała, żeby dostał niestrawności, więc nie wyprowadzała go z błędu. Odgłosy, które słyszeli, wydawały aligatory. Jej to nie przeszkadzało, bo wychowała się na mokradłach, ale ten miejski chłopak mógł spanikować.

Uparł się, że zmyje naczynia. Nie miała zmywarki i musiał to zrobić ręcznie. Odstawiła na miejsce przyprawy, potem wzięła ścierkę i zaczęła wycierać.

- Dlaczego nie wyszłaś jeszcze za męża? - spytał.

- Nie miałam czasu.

- Spotykasz się z kimś?

- Nie.

To dobrze, pomyślał. Nie miał zamiaru zostawać w Bowen, ale skoro już tu był, nie chciał, żeby jakiś inny facet wchodził mu w drogę.

- O czym myślisz? - spytała.

Że jestem samolubnym draniem.

- Zastanawiam się, dlaczego mężczyźni się za tobą nie uganiają.

Wystarczy jedno spojrzenie, by stwierdzić, że...

- Że co?

- Że masz co pokazać - odparł z uśmiechem.

Przewróciła oczami.

- Cóż za wyszukany komplement.

- Nie zapominaj, że pochodzę z Bostonu. Mężczyźni mówią tam, co myślą. Czy jest ktoś, kim się interesujesz?

- Czemu chcesz to wiedzieć?

- Z ciekawości.

- Chyba Ben Nelson chciałby, żeby coś między nami było, ale nie zamierzam go zachęcać. Jest miły, lecz nie ma między nami chemii. Wiesz, co mam na myśli?

- Jasne. Takiej jak między nami.

- Słucham?

- Dobrze słyszałaś. - Podał jej talerz, zauważył, że jest na nim mydło, wyrwał go jej z rąk i ponownie splukał. - Miałaś ochotę rzucić się na mnie, jak tylko zobaczyłaś mnie w barze twojego taty.

Trafił w dziesiątkę, ale nie zamierzała się do tego przyznawać.

- Rzucić się na ciebie? Nie sądzę.

- To było oczywiste.

- Skąd ta pewność?

- Dostrzegłem to w twoich oczach.

- Nie mogłeś tego dostrzec.

- Nie?

Uśmiechnęła się.

- Bo gapiłeś się na moje nogi.

- Są bardzo zgrabne - odparł bez mrugnięcia okiem.

- Przynajmniej, że między nami istnieje coś w rodzaju fizycznego pociągu, ale to najzupełniej normalne.

- Czy ma to być wstęp do wykładu o hormonach?

- To zależy, jak długo będę tu stała i czekała, aż skończysz myć tę miskę. Chyba rzadko zmywasz naczynia.

- Skąd to przypuszczenie?

- Strasznie się grzebiesz.

- Wszystko, co robię, robię wolno i bez pośpiechu.

Sposób, w jaki to powiedział, wywołał w niej szybsze bicie serca. Czy w łóżku też jest taki? Czy to miał na myśli?

- Byłeś żonaty, prawda? - spytała szybko.

- Tak. Ale nie mam się czym chwalić.

- Twoja żona zmarła?

- Tak.

Michelle schowała do szafki kolejne naczynie.

- Tata mi o tym mówił. Jak umarła?

- Dlaczego chcesz to wiedzieć? - spytał, podając jej miskę.

- Z ciekawości - odparła. - Jeżeli uważasz, że jestem natrętna, nie będę więcej pytać.

- Nie, w porządku. Zginęła w katastrofie samochodowej.

- Och, tak mi przykro. Kiedy zdarzył się ten wypadek?

- To nie był wypadek.

Powiedział to tak spokojnie, jakby chodziło o cieknący kran.

- Nie?

- Nie. - Westchnął. - Wiesz co? Po raz pierwszy od czterech lat powiedziałem to głośno.

Czuła, że chce zmienić temat, lecz nie zamierzała mu tego ułatwiać. Nie była to z jej strony niezdrowa ciekawość. Jeżeli musiał czekać aż cztery lata, by to wyznać, to może nadszedł czas, by wyrzucić to z siebie.

- To było samobójstwo?

- I tak, i nie. - Podał jej następną miszkę. - Nie sądzę, by chciała się zabić. W każdym razie nie w ten sposób. Wybrała wolniejszą drogę.

- To znaczy?

- Alkohol i narkotyki.

Michelle milczała, czekając, aż sam to wyjaśni.

- Mieszała alkohol z pigułkami i czort wie, z czym jeszcze. To była zabójcza kombinacja. Tak w każdym razie stwierdzono po sekcji zwłok. Straciła panowanie nad kierownicą. Spadła z mostu do zatoki. Niezły sposób na skończenie z sobą, co? Wątpię, czy wiedziała, co się z nią dzieje - podjął po chwili. - Całe szczęście, że nikogo z nią nie było.

Michelle wiedziała, że nie wolno jej w tej chwili okazać współczucia, bo natychmiast zamknąby się przed nią, a tego nie chciała.

- Czy twoi przyjaciele i rodzina wiedzieli, co się naprawdę stało?

- Nie - odparł Theo. - Chyba Nick domyślał się czegoś, ale nigdy nic nie powiedział.

- Może czekał, żebyś sam mu to wyznał.

- Może.

Czy mogła posunąć się dalej w swym dociekaniu? Starannie złożyła ścierkę.

- Czujesz się za to winny? - spytała.

Wzruszył ramionami.

- Pogodziłem się z tym. To, co się stało, dowiodło, że nie nadawałem się do małżeństwa. Wszystko było dla mnie ważniejsze.

Powiniennem być poświęcać jej więcej uwagi. A ja myślałem tylko o pracy i nie dostrzegałem, co się dzieje w domu. Wiedziałem, że pije, ale nie zdawałem sobie sprawy, że ma z tym problem. To chyba nazywa się chowaniem głowy w piasek.

- To ona dokonała wyboru. Może nie zabrzmiało zbyt sympatycznie, ale nie ty podawałeś jej prochy czy wlewałeś alkohol do gardła.

- Małżeństwo to spółka, a ja nie dotrzymałem swojej części umowy. Ona była... delikatna. Tak, delikatna. Potrzebowała pomocy, a ja tego nie dostrzegałem. Może nie chciałem dostrzec.

- To dobrze, że możesz o tym mówić. Teraz będziesz mógł pozbyć się tego balastu.

- Jakiego balastu?

- Gniewu, bólu, poczucia winy.

- Nie baw się ze mną w psychiatrię. - Podał jej łyżkę do nakładania potraw, po czym wytarł zlew. - Skończyłem. Masz jeszcze jakieś pytania, czy możemy przejść do innych kwestii?

Chciała go zapytać, czy kochał żonę, lecz nie miała odwagi. Wyciągnęła z niego tyle, ile sam chciał powiedzieć.

- W porządku, możemy przejść do innych kwestii. Kolacja dobiegła końca.

- Tak?

- Prosiłam, żebyś zaczekał do kolacji. Teraz chętnie posłucham, co sądzisz o moim ambulatorium.

- Zaraz do tego przejdę. - Ruszył do drzwi.

- Dokąd idziesz? - spytała Michelle ze zdziwieniem.

- Po mojego laptopa - odparł. - Zainstaluję go w twoim gabinecie. Muszę sprawdzić pocztę. Mam nadzieję, że będę miał dla ciebie jakieś informacje - wyjaśnił.

Została w kuchni i wytarła wszystkie blaty, potem pogasiła światła i poszła na górę. Zatrzymała się w drzwiach pokoju gościnnego.

- Idę wziąć prysznic. To był ciężki dzień.

Pochylał się nad łóżkiem i rozpinął podręczną walizeczkę. Torbę zdążył już rozpakować. Ubrania leżały złożone na komodzie. Pokój nie bardzo nadawał się do przyjmowania gości. Przy oknie stały pudła, a w kątach było pewnie mnóstwo pajęczyn.

- Ten pokój służył mi za magazyn - wyjaśniła. - A to stare łóżko przyprawi cię o ból kręgosłupa.

- Tak sądzisz?

- Jest dla ciebie za krótkie - stwierdziła. - A materac twardy.
- Nie przejmuj się. Mogę spać gdziekolwiek.
- Mam wyrzuty sumienia. Powinieneś spać w moim łóżku. Jest ogromne.

- Naprawdę?

Wyprostował się i spojrzął jej w oczy. Naoglądała się wystarczająco dużo nocnych filmów i miała dość okazji odpiierać zaloty napalonych facetów, by wiedzieć, co takie spojrzenie oznacza. W wykonaniu Theo było ono bardziej seksowne niż u Mela Gibsona, a ona zawsze miała słabość do Mela.

- Przestań - powiedziała. - Natychmiast przestań.

Uniósł brew. O rany, teraz naśladował Cary'ego Granta.

- Co mam przestać? - spytał z niewinną miną.

Cóż mogła mu odpowiedzieć? Żeby przestał patrzeć na nią, jakby właśnie poprosiła go, żeby wziął ją w ramiona i kochał się z nią do utraty tchu.

- Nieważne - odparła. - No to chcesz?

- Spać w twoim łóżku? Cóż za zaproszenie.

- Słucham?

- Chcesz, żebym spał w twoim łóżku?

Bardzo chciała. Kiedy ostatni raz była z mężczyzną? Nie mogła sobie przypomnieć. Pewnie dlatego, że ten związek zakończył się katastrofą. Wolno i bez pośpiechu. Ojejku. Miała wrażenie, że w gardle utkwiała jej kula.

- Chyba nie jest to najlepszy pomysł.

Zrobił krok w jej stronę.

- Dlaczego?

Gdyby miała trzydzieści lat więcej, pomyślałaby, że ma uderzenie gorąca. Całe jej ciało stanęło w ogniu i nie była w stanie oddychać. Hormony też się rozszalały. Zakreśliło jej się w głowie. Jeśli zrobi jeszcze jeden krok w jej stronę, nastąpi przegrzanie i zacnie buchać parą. Nie tylko mężczyźni musieli brać zimny prysznic, by stłumić seksualny popęd. W tej chwili miała ochotę wsadzić głowę do lodówki. To przez niego myśli wirowały jej w głowie jak szalone. Wszystko przez to spojrzenie.

Zbliżał się wolno, jakby dawał jej czas na podjęcie decyzji. Nie mogła się ruszyć z miejsca, a w żołądku zawiązał się w węzeł.

- To skomplikowałoby życie.

- W jaki sposób?

- Poszlibyśmy do łóżka i...

- I byłoby cudownie.

Skinęła głową, usiłując przełknąć ślinę, lecz zaschło jej w gardle. Serce waliło jak oszalałe, a puls sięgnął pewnie stu sześćdziesięciu uderzeń na minutę i był nieregularny. Wspaniale, flirtuje z nią cudowny mężczyzna, a ona za chwilę będzie miała migotanie przedsionków. Jeżeli on zrobi jeszcze jeden krok, padnie trupem na miejscu. To dopiero będzie coś. Patolog stwierdzi, że śmierć nastąpiła z powodu wstrzymania akcji serca.

Zatrzymał się niecałe pół metra od niej, dotknął jej policzka, po czym ujął pod brodę i zmusił, by spojrzła mu w oczy. Poczula się dziwnie, dopóki nie dostrzegła rozbawienia w jego wzroku.

- No i co o tym myślisz? - spytał.

Jakby nie wiedział.

- Że mnie denerwujesz. Zanim jednak posuniemy się dalej, musisz wiedzieć, że...

- Tak? - spytał miękko, przesuwając palcami wzdłuż jej szyi.

- Słucham?

- Powiedziałaś, że muszę coś wiedzieć.

Poczula jego palce na karku i dostała gęsiej skórki.

- Tak. Nie, to znaczy... - Oddychaj, pomyślała. Oddychaj głęboko i staraj się skupić na temacie. - Dobrze, powiem ci. Nie interesuje mnie przypadkowy flirt. Zanim pójde do łóżka z mężczyzną, musi mnie coś z nim łączyć. Nie wierzę w rekreacyjny seks. - Uśmiechnęła się z trudem. - Jestem pod tym względem dinozaurem.

- Nie mówiłem, że lubię dinozaury?

O rany, westchnęła w duchu.

Delikatnie muskał palcami włosy u nasady szyi.

- Masz takie miękkie włosy - szepnął. - I płoną niczym ogień.

- Rude włosy i piegi odziedziczyłam po matce - powiedziała szybko.

- Nie mówiłem, że lubię piegowate kobiety? Mam wówczas nieprzepartą chęć, by ucałować każdy z piegów.

- Mam je na całym ciele.

- I tam dojdziemy.

Znowu poczuła, że kręci jej się w głowie.

- Nigdzie nie dojdziemy.

- Jeszcze wszystko przed nami.

Wstrętny zarozumialec. Powinien popracować nad tą wadą charakteru. Będzie musiała mu o tym powiedzieć, lecz nie teraz.

Teraz była zbyt zajęta tym, by ustać na nogach. Ten facet potrafił rozpalić ją samym dotykiem. Pobudził do życia każdy nerw w jej ciele.

Kiedy uświadomiła sobie, że ma ochotę zedrzeć z niego ubranie, odsunęła się delikatnie. Nogi miała jak z waty, ale jakoś udało jej się dojść do sypialni. Zamykając drzwi, popełniła błąd i spojrzała na niego. Stał oparty o framugę z uśmiechem na twarzy.

Nigdy się nie dowie, jak podziąkał na nią jego dotyk. Musi dać nauczkę temu palantowi z wielkiego miasta.

- Zawracasz mi w głowie i będziesz musiał ponieść konsekwencje - powiedziała. - Możesz wziąć zimny prysznic po mnie. - Zbyt późno uświadomiła sobie, że się zdradziła. - Biorę zimny prysznic, bo jest mi gorąco - wyjaśniła, czym tylko pogorszyła sprawę.

- Michelle.

- Tak?

- Jeszcze nawet nie zacząłem zawracać ci w głowie.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie.

- Ojejku! - szepnęła.

18

Michelle zaczęła wyliczać w myślach powody, dla których nie powinna angażować się w związek z Theo. Kiedy dotarła do dwudziestego, posłyszała pukanie do drzwi łazienki.

- Jeszcze nie skończyłam.

- Tak, wiem. Pomyślałem tylko, czy nie chciałabyś, żebym podłączył ci komputer.

- Znalazłeś go?

Uchyliła drzwi, przytrzymując szlafrok na piersi.

- Bez trudu. Potknąłem się o niego, kiedy kładłem ubrania na pralce. Chcesz, żebym to zrobił czy nie?

- Podłączył komputer? Jasne.

Zamknęła mu drzwi przed nosem i wróciła do wyliczania powodów. Kiedy doszła do trzydziestego trzeciego, uświadomiła sobie, że za chwilę oszaleje, i wróciła do powodu numer jeden: ten człowiek złamie ci serce.

Weszła pod prysznic i odkręciła kurek do oporu. Skrzywiła się, gdy poczuła na sobie lodowaty strumień. Wyregulowała temperaturę i poddała się uspokajającemu działaniu ciepłej wody. Kiedy zaczęła spłukiwać szampon z włosów, znów wezbrała w niej irytacja. Zawracać jej w głowie. Też coś! Nie pozwoli sobą manipulować. Rozczesała włosy i włączyła suszarkę. Pewnie byłby wymagającym kochankiem.

- Cholera - szepnęła. Wolno i bez pośpiechu. Musi przestać o tym myśleć. Umyła zęby, nałożyła krem na twarz i zerknęła w lustro.

- Przyznaj wreszcie, że chcesz pójść z nim do łóżka - szepnęła.

Pokręciła głową. Nie, to nieprawda, chciała się z nim kochać. I cóż w tym złego? Absolutnie nic. To było jedynie marzenie.

A marzyć może każdy. Co innego wcielać te marzenia w życie.

Powód numer jeden: złamane serce.

- Móc tego doświadczyć - szepnęła.

O nie, nie zaangażuje się w związek z Theo Buchananem. Dlatego nie włożyła krótkiej koszulki nocnej, w jakiej zazwyczaj spała. Z dolnej szuflady wyjęła jedwabną niebieską piżamę i doкладnie ją pozapinała, łącznie z górnym guzikiem. Włożyła pasujące kolorem niebieskie kapcie, po chwili jednak zrezygnowała z nich i wyciągnęła spod łóżka parę białych aksamitnych papuci. Przechesała włosy, nałożyła na usta bezbarwną szminkę, i na koniec wyjęła z szafy gruby biały flanelowy szlafrok. Zapięła na nim wszystkie guziki i zawiązała w talii pasek na podwójny węzeł. Spojrzała w lustro i kiwnęła głową z aprobatą. Wyglądała jak mniszka.

Theo siedział w bibliotece. Zdążył już podłączyć komputer i czytał coś na monitorze. Kiedy weszła, uniósł wzrok znad okularów w rogowych oprawkach i znieruchomiał. Jego uwagi nie uszedł najdrobniejszy nawet szczegół. Niebieska piżama harmonizowała z kolorem oczu Michelle, opadające na ramiona włosy połyskiwały w świetle jak płynne złoto i okalały pozbawioną makijażu twarz.

Miała na sobie nocny strój, który doskonale pasowałyby na Antarktydę. Była lekarką, ale nie miała pojęcia, jak pracuje męski umysł. Mimowolnie zaczął wyobrażać sobie, co też kryje się pod tymi wszystkimi warstwami. Wyobraził sobie, jak zdejmuje z siebie jedną rzecz po drugiej. Cholera, nie myśl o tym, ostrzegł się w duchu. Przestań myśleć o miękkiej ciepłej skórze pod warstwami materiału.

Michelle podeszła do biurka. Czuła się skrępowana jego spojrzeniem.

- No i co o tym myślisz? - spytała, bawiąc się bezmyślnie paskiem od szlafroka. Nie odpowiedział. Na twarzy błąkał mu się zartobliwy uśmiech. - O co chodzi?

- Spodziewasz się burzy śnieżnej?

Sięgnęła dłonią do szyi.

- Było mi zimno.

Roześmiał się.

- Naprawdę. Marznę, gdy klimatyzator jest włączony - dodała.

- Mhm.

Najwyraźniej nie kupił jej kłamstwa.

- Uroczę kapciuszki.

- Dziękuję. Jeśli już skończyłeś zartować sobie ze mnie, to może odpowiesz na moje pytanie. Co sądzisz o... o moim komputerze?

- Jest stary.

- Przestań gapić się na moje kapcie.

Zirytowana, zsunęła je z nóg. Theo ponownie wybuchnął śmiechem, gdy zobaczył skarpetki.

- Co cię tak bawi? - spytała.

- Ciekawe, czy włożyłaś również długie majtki.

- Nie noszę długich majtek - odparowała. - Odpowiesz wreszcie na pytanie?

- Skąd masz ten komputer?

- Remy mi go podarował. Kupił go w sklepie z używanymi rzeczami. Nie miałam czasu go zainstalować. Jestem tu dopiero od dwóch tygodni. John Paul miał położyć jeszcze jedną warstwę lakieru na podłogi, a gdybyś znał mojego brata, wiedziałbyś, że on pracuje własnym rytmem. W szpitalu mam lepszy komputer. Wiem, że ten jest przestarzały, ale na razie nie stać mnie na nowy.

Theo ustawił monitor w rogu biurka, a klawiaturę w miejscu, jak sądził, odpowiednim dla Michelle. Potem rozsiadł się w skórzanym fotelu.

- Czy ten, co cię śledził, nie jest przypadkiem jakimś zawieszonym facetem, któremu zламаłaś serce?

- Już o tym mówiliśmy.

- No to wróćmy do tego.

- Nie byłam z nikim związana - odpowiedziała. - Poza tym jestem lekarką. Ja nie łamię serc, ja...

- Tak, wiem, naprawiasz je.

- Nie, ja je sklejam.

Laptop Theo stał z drugiej strony biurka. Było to zgrabne kosztowne urządzenie. Na ekranie pojawiła się duża czerwona litera E i rozległo się buczenie.

- Dostałeś pocztę.

Wcisnął klawisz i sprawdził, kto przesłał mu wiadomość. Zanim wyłączył ekran, zdążyła przeczytać nazwisko nadawcy. Ciekawe, czy nie przeczytał wiadomości, dlatego że nie była ważna, czy też nie chciał, żeby ona ją poznała.

- Kto to jest Noah?

- Przyjaciel.

- Przeczytałam to imię na ekranie - wyjaśniła, chociaż o to nie pytał. - Zdaje się, że rozmawiałeś z nim przez telefon.

- Tak. Kiedy brałaś prysznic, przesłałem mu wiadomość i właśnie odpowiedział.

- Jeśli chcesz ją przeczytać, przejdę do drugiego pokoju.

- Nie, nie musisz. Możemy ją razem przeczytać. Ale i tak nic z tego nie zrozumiesz.

- Zbyt skomplikowana technicznie?

- Zbyt stylowa. Gdybyś znała Noaha, zrozumiałabyś, o co mi chodzi. Facet ma skrzywione poczucie humoru.

- Zabrzmiało to jak komplement.

- Bo tak jest. W jego pracy takie skrzywienie bardzo pomaga. - Wcisnął klawisz i czekał.

Michelle nachyliła się nad nim, by odczytać tekst, lecz nic z niego nie rozumiała.

- Czy to jakiś szyfr? - spytała.

- Nie - odparł niskim głosem.

Mogłaby się odsunąć, pomyślał. Czuł zapach szamponu do włosów i ciepło jej ciała. Wyobraził sobie, jak sadza ją sobie na kolanach i całuje do utraty tchu. Potem wyobraźnia podsunęła mu wizję tego, co chciał z nią zrobić. Zaczynał od palców stóp, posuwał się w górę, rozpinał wszystkie guziki i...

- Kto to jest Mary Beth?

- Słucham?

- Noah napisał, że jest ci niezmiernie wdzięczny za pożyczenie mu Mary Beth w czasie ostatniego pobytu w Bostonie. Dzielicie się kobietami?

- Mary Beth to łódź. Zaprosiłem Noaha na ryby do Bowen. Opisałem mu, co się stało w ambulatorium, i chce, żebym go tu ściągnął. Dostaje szału w Biloxi. Jest tam na kursie treningowym i ma już go dość.

Theo zdjął okulary i odłożył je na biurko. Nie był w stanie się skupić. Z trudem panował nad sobą, by nie pochwycić Michelle w ramiona. Co się z nim działo? Niepotrzebny mu był teraz taki problem. Nie była kobietą, z którą przeżywa się krótką przygodę, a potem zostawia. A on przecież tu nie zostanie. To wszystko nie miało sensu. Właśnie dla niej przyjechał do Bowen, tymczasem...

Dotknęła jego ramienia.

- Kto to jest ksiądz?

- Wielebny Tom Madden wyjaśnił. - Traktujemy go jak

brata. Znamy go od szkoły podstawowej. Jest rówieśnikiem Nicka i jego najlepszym przyjacielem. Chodzili razem do Penn State. Nick wkrótce ożeni się z jego młodszą siostrą.

- Dlaczego Noah nazywa go księdzem?

- Bo, cytując Noaha: „To go wkurza”. Tommy na wszystko mu pozwala.

- Dlaczego?

- Bo Noah omal nie umarł, ratując mu życie. Tommy doprowadza go do szału, ale są dobrymi przyjaciółmi. Często łowią razem ryby.

- Noah w ostatniej linijce napisał: „Jeśli chodzi o drugą sprawę, nie ma problemu”. Co to znaczy? - spytała.

- Że to nie mój rewir, więc sprawdzi dla mnie kilka rzeczy.

- Twoja odpowiedź jest równie enigmatyczna jak jego wiadomość.

Podeszła do drzwi łączących bibliotekę z salonem i otworzyła je. Na kanapie leżały czasopisma medyczne. Zebrała je, odłożyła na stół i usiadła z westchnieniem. Uniosła włosy, by ochłodzić szyję. Boże, czuła się jak w saunie. Wzięła jedno z czasopism i zaczęła się nim wachlować. Pomyślała jednak, że to zbyt wymowny gest, i odłożyła pismo.

Theo tymczasem odchylił się w fotelu i zajął do salonu.

- Dobrze się czujesz? - spytał. - Masz rumieńce na twarzy.

Nic nie uszło jego uwagi.

- Jestem po prostu zmęczona.

- Od której jesteś na nogach?

- Od czwartej czy piątej.

- Wystarczy na dzisiaj - powiedział, przerywając pisanie na komputerze. Wstał i przeciągnął się. Przypominał teraz wielkiego starego kocura.

- Po co zabrałaś ze sobą laptopa? - zapytała Michelle. - Zamierzasz sprawdzać pocztę w czasie wędkowania?

- To mój drugi telefon komórkowy. Nigdy się z nim nie rozstaję. Masz ochotę napić się czegoś?

- Nie, dziękuję, ale nie krępuj się.

Poszedł do kuchni, wyjął z lodówki dietetyczną colę, po czym zajął do spiżarni. Znalazł w niej pudełko dietetycznych herbatników i zabrał ze sobą do salonu. Usiadł w fotelu, zrzucił buty i oparł stopy na otomanie. Postawił puszkę na stojącym obok kartonowym pudle i podsunął Michelle pudełko z herbatnikami.

- Chcesz?

- Umyłam już zęby. Nigdy nie masz dość?

- Takich rzeczy nigdy. - Poprosiłem kilku przyjaciół o pomoc - rzekł, otwierając pudełko. - Dwóch stażystów ma sprawdzić dla mnie kilka rzeczy. To nie są skomplikowane zadania, mam więc nadzieję, że dostanę od nich informacje jeszcze dziś wieczorem i jutro będzie wszystko gotowe.

- Ministerstwo Sprawiedliwości nie daje ci spokoju nawet w czasie urlopu?

- Chodzi o sprawę młyna.

- Myślisz, że będziesz mógł pomóc Darylowi? - spytała z ożywieniem.

- Spróbuję coś zrobić. Co wiesz o tych Carsonach?

- Niewiele - przyznała. - Powinieneś porozmawiać z tatą. Zna ich od lat. Odpowie na wszystkie twoje pytania. To niewielka społeczność, nic się tu nie ukryje.

- Mimo to nikt nie wie, kto zdemolował ambulatorium. Zastanawiałem się nad tym i nie wierzę, żeby zrobili to dzieciaki.

- W takim razie kto?

- To robota jednego człowieka. Mogę się mylić, lecz nie sądzę. Widzę tu pewien wzór.

- Nie rozumiem.

- W tych bałaganie jest porządek. Ten ktoś wszedł tylnymi drzwiami...

- Ale okno w rejestracji zostało rozbite.

- Rozbił je, gdy był już w środku. Wskazują na to kawałki szkła.

- Co jeszcze?

- Nie zajmuję się takimi sprawami. Ja oskarżam. Ale jeśli zrobili to dzieciaki szukające narkotyków, jak uważa twój tata i twój przyjaciel Ben Nelson, to dlaczego nie zniszczyły gabinetów lekarskich?

- Ale wyłamali zamki i potłukli szyby w szafkach z lekarstwami.

- Tak, nie ruszyli jednak igieł i recept. A co z kartami chorobowymi? Czemu kogoś miałyby interesować karty pacjentów?

- Może po prostu je rozrzucili.

- To mi nie wygląda na akt chuligaństwa. Dzieciaki, które zamierzają coś zdemolować, przyносят ze sobą własny sprzęt.

- Farbę w sprayu. Facet, który to zrobił, posłużył się twoją farbą. Według mnie, on nie zamierzał niczego demolować. A te worki na śmieci wyglądają tak, jakby ktoś specjalnie je przewrócił. Na zamku w tylnych drzwiach nie było żadnego zadrapania, co oznacza, że miał odpowiednie narzędzia i wiedział, jak się nimi posługiwać.

- Czyli to zawodowiec?

Theo nie odpowiedział.

- Jutro ma być tu Noah. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym, żebyś zaczekała, aż on się tam rozejrzy.

- Tylko do jutra?

- Tak.

- W porządku. - Koleżanki przyjeżdżały dopiero pojutrze. Mogła do tego czasu poczekać. - Czym zajmuje się ten Noah?

- Pracuje w FBI.

- W FBI? - spytała przerażona. - Myślisz, że...

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków - przerwał jej pospiesznie. - Jest przyjacielem rodziny i pomyślałem, że mógłby rzucić okiem na ten bałagan. Poza tym jest niedaleko stąd, w Biloxi, i uwielbia wędkowanie. Dzień lub dwa w Bowen będą dla niego jak wakacje.

- Jestem wdzięczna za pomoc, ale zastanawiam się, czy nie robimy z igły wideł, skoro to tylko chuligański wybryk.

- Nie wierzysz w to, prawda?

Michelle potarła palcami skronie.

- Nie, chyba nie - przyznała. - Podejrzewam, że Ben też w to nie wierzy. Obszedł ze mną całe ambulatorium i oboje zauważyliśmy, że pod oknem nie było żadnych śladów. Tej nocy porządnie lało, więc musiałyby zostać jakieś ślady.

- To dlaczego sprzeczałaś się ze mną co do sposobu, w jaki ten człowiek dostał się do środka?

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie chciałam uprościć sprawę i znaleźć w tym jakiś sens. Wiesz, jaka była moja pierwsza myśl, kiedy zobaczyłam ten bałagan?

- Jaka?

- Że ktoś mnie nienawidzi. I to mnie przerażyło. Zastanawiałam się, kto to mógł być. Dopiero od niedawna jestem w Bowen, nie mogłam narobić sobie wrogów. Za kilka miesięcy pewnie przedstawiłabym ci listę długą na kilometr.

- Wątpię - odpowiedział. - Ten mężczyzna zachowywał się jak szaleniec. Noah na pewno będzie miał jakąś swoją koncepcję. - Włożył do ust kolejnego herbatnika. Bez sera czy masła orzechowego smakowały jak piasek.

- Ludzie tacy jak Noah łapia przestępców, a ty ich wsadzasz do paki.

- Coś w tym rodzaju.

- Przynajmniej nie musisz się bać, że ludzie będą do ciebie strzelali.

- Właśnie.

Było to kłamstwo, bo strzelano do niego, kopano go, bito i opluwano. Nawet wydano na niego wyrok, a przy sprawie z rodziną Leona grożono śmiercią.

- Mam pewną teorię - powiedziała Michelle.

- Jaka?

Sięgnął do pudełka i wyjął z niego ostatniego herbatnika.

- Jeden z pacjentów doktora Robinsona chciał ukraść swoją kartę choroby.

- Po co?

- Nie wiem. Może chorował na jakąś zakaźną chorobę albo dowiedział się, że jest na coś chory, i chciał to ukryć przed rodziną i towarzystwem ubezpieczeniowym. To tylko przypuszczenie, ale jedynie tak mogę sobie wytłumaczyć rozrzucenie tych dokumentów.

- Czy Robinson dał ci listę swoich pacjentów?

- Tak. Była w kopercie przyklejonej do jednego z pudeł. Nie prowadził dużej praktyki. Z tego, co słyszałam, powinien wziąć kilka lekcji z psychologii, bo obrażał pacjentów.

- Dlatego nie miał dużej praktyki.

- Właśnie.

- Kiedy Noah obejrzy ambulatorium i powie nam, co o tym myśli, powinnaś sprawdzić karty chorobowe z listą nazwisk, by się upewnić, czy żadna nie zginęła.

- Zakładając, że lista nie uległa zniszczeniu.

Theo skinął głową.

- Myślę również, że powinnaś zatelefonować do Robinsona i spytać go, czy nie miał jakiegoś trudnego pacjenta. Będziesz wiedziała, o co pytać.

- Dobrze. Pewnie będzie miał też kopię listy, gdybyśmy jej potrzebowali.

Zauważył, że dziewczyna rozciera sobie kark.

- Boli cię głowa?

- Trochę.

- Może mógłbym coś na to poradzić. - Wstał, przesiadł się na sofę, rzucił poduszkę na podłogę i polecił, by na niej usiadła, to rozmasuje jej kark.

Trudno było oprzeć się takiej propozycji. Michelle usadowiła się między jego kolanami i wyciągnęła nogi w przód.

- Zdejmij szlafrok - rzucił.

Rozpięła go, rozwiązała pasek i zsunęła z ramion.

- A teraz zdejmij górę od piżamy.

- Bardzo zabawne.

- W takim razie rozepnij kilka guzików - rzekł, uśmiechając się.

Musiła rozpiąć trzy, by miał dostęp do szyi. Zbyt późno uświadomiła sobie, że nie był to najlepszy pomysł. Poczuli na skórze dotyk jego dużych ciepłych dłoni. Był cudowny.

- Masz taką miękką skórę.

Zamknęła oczy. Powinna kazać mu przestać. Przecież to szaleństwo. To on był powodem bólu głowy. Tak, stanowczo powinna kazać mu przerwać. Tymczasem przechyliła głowę na bok, żeby mógł rozmasować ramiona.

- Wiesz, co pomyślałem, kiedy cię poznałem? - spytał.

- Że nie można mi się oprzeć - rzuciła kpiąco. - Dlatego się na mnie rzuciłeś.

- Nigdy mi tego nie wybaczysz?

- Pewnie nie.

- Szalałem wtedy z bólu - przypomniał jej. - I nie to chciałem powiedzieć. Kiedy przyszedł do mojego pokoju i opowiadałaś o Bowen, ambulatorium i twoich współziomkach, wiesz, co sobie pomyślałem?

- Żeby przestała gadać i dała ci pospać?

Chwycił ją za włosy.

- Mówię poważnie. Powiem ci, dlaczego tu przyjechałem. - Ton jego głosu świadczył o tym, że nie żartuje.

- Przepraszam. Co sobie pomyślałeś?

- Że chciałbym mieć to, co ty masz.

- Naprawdę?

- Dostrzegłem w tobie coś, co sam niegdyś miałem, lecz gdzieś po drodze zgubiłem. Nie przejmowałem się tym, dopóki nie spotkałem ciebie. Sprawiałaś, że zapragnąłem to znaleźć... jeśli to możliwe.

- Co takiego dostrzegłeś?

- Pasję.

- Pasję do pracy?

- Pasję, by zmieniać świat.

Michelle zastanawiała się przez chwilę.

- Ja nie chcę zmieniać świata, Theo. Mam tylko nadzieję, że go trochę ulepszę. - Odwróciła się twarzą do niego. - A ty nie zmieniasz świata?

- Zmieniam. Tylko straciłem gdzieś zapał do pracy. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Ci ludzie, których pakuję za kratki, są jak szczyry. Jednego zamknę, a jego miejsce zajmują trzej inni. To frustrujące.

- Myślę, że jesteś po prostu przemęczony. Zbyt dużo pracowałeś od śmierci żony. Nie pozwalałeś sobie na żadną przerwę.

- Skąd wiesz?

- Mówiłeś, że uwielbiasz majsterkować, ale powiedziałaś również, że od czterech lat nie miałeś na to czasu. Innymi słowy, od śmierci żony. - Była pewna, że jej przerwie, dodała więc pośpieszenie: - I łowić ryby. Mówiłeś, że kiedyś uwielbiałeś wędkowanie, ale zabrzało to tak, jakbyś dawno tego nie robił. Już dość siebie ukarałeś. Musisz sobie odpuścić.

W pierwszej chwili chciał powiedzieć, że nie przyjechał do Bowen na seans terapeutyczny i żeby dała mu spokój. Trafiła bowiem w jego najczulszy punkt. Ale powiedziała przecież tylko to, o czym sam wiedział. Przez ostatnie cztery lata pracował tyle, ile się dało, by nie myśleć o tym, że nie zdołał ocalić żony. Wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju. Niszczyły energię, zapał do pracy i pasję.

- Odrzuć wszystko i pozwól życiu toczyć się dalej - mówiła dalej Michelle.

- Zalecenie lekarza?

- Tak. Poczujesz się jak nowo narodzony.

Ona się o mnie martwi, pomyślał. Chryste, to takie cudowne. I co on ma z tym zrobić? Zaczynał ją coraz bardziej lubić.

- I jeśli wrócisz do Bostonu, będziesz inaczej patrzył na życie.

- Jeśli wrócę?

- Chciałam powiedzieć, kiedy wrócisz - poprawiła się.

Nie miał ochoty myśleć o Bostonie, o pracy, o przyszłości i tym podobnych rzeczach, co było do niego niepodobne. Zawsze wszystko planował. Teraz jednak nie miał na to ochoty. Chciał robić

dokładnie to, co proponowała Michelle. Zostawić wszystko za sobą i pozwolić unieść się życiu.

- To zabawne - stwierdził.

- Co takiego?

- Ty... ja. Wygląda na to, że los nas ze sobą połączył.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś pełen sprzeczności, Theo. Prawnik o romantycznej naturze. Kto by pomyślał, że to możliwe.

Postanowił zmienić nastrój. Michelle była takim wdzięcznym obiektem żartów. Lubił wprawiać ją w zakłopotanie; szanowana pani doktor rumieniła się jak mała dziewczynka.

- Wiesz, co jeszcze pomyślałem, kiedy cię zobaczyłem? - spytał z żartobliwym uśmiechem.

- Co takiego? - spytała, patrząc na niego podejrzliwie.

- Że jesteś seksy.

- Och! - wyrwało jej się z westchnieniem.

- Och co?

Chryste! - pomyślała.

- W workowatym zielonym fartuchu? Rzeczywiście, to niezwykle podniecający widok.

- Urocza maseczka kryła to, co w tobie najlepsze.

- Piegi?

- Nie, usta.

Boże! Ten facet umiał flirtować. Potrafił sprawić, że cierpiała katusze i jednocześnie oblewała się potem.

- Jeszcze nie widziałeś tego, co we mnie najlepsze - odparła ze słodkim uśmiechem.

Uniósł brew jak Cary Grant. Uwielbiała go za to.

- Tak? - spytał wolno. - Zaciekawiasz mnie. Powiesz mi, co to jest?

- Nie.

- Chcesz, żebym spędził pół nocy, zastanawiając się nad tym?

Miała nadzieję, że tak będzie. Miała nadzieję, że będzie cierpiała tak jak ona, kiedy tak na nią patrzył. Ciężko jej będzie usnąć tej nocy. Dlaczego tylko ona miała się męczyć? Poczwała satysfakcję. Theo był mistrzem słownych rozgrywek, ale ona też miała się czym pochwalić. W końcu nie była aż taką nowicjuską. Zawracasz mi w głowie i będziesz musiał ponieść konsekwencje.

- Chcesz się powyglupiać? - spytał nagle.

- Nie - odparła ze śmiechem.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście.

- No to lepiej zapnij górę od piżamy.

Spojrzała w dół i jęknęła. Wszystkie guziki były porozpinane.

Zawsze się rozpinają. Pospiesznie zapięła piżamę, po czym zarumieniona, uniosła wzrok.

- Czemu nic nie powiedziałaś?

- Zartujesz chyba. Po co miałbym to robić? Podobało mi się.

I nie patrz tak na mnie. To nie ja rozpiąłem te guziki. Jestem tylko niewinnym obserwatorem.

Usiadła na piętach i włożyła szlafrok.

- Idę spać. Dziękuję za masaż. Bardzo mi pomógł.

Pochylił się, ujął jej twarz i pocałował ją. Miała takie miękkie, ciepłe i rozkoszne wargi. Smakowała jak mięta. Spokojnie, starając się jej nie ponaglać, czekał, aż odda pocałunek.

Nie była na to przygotowana. Nie przypuszczała, że chce ją pocałować, dopóki nie poczuła na wargach jego ust. Nie opierała się, chociaż powinna to zrobić. Rozchyliła wargi, wówczas pogłębił pocałunek, a ona mu uległa.

Nagle uniósł głowę.

- Słodkich snów.

- Co?

- Dobranoc.

- A tak. Dobranoc.

Dostrzegła błysk w jego oczach. Doskonale wiedział, co się z nią stało. Dosłownie stopniała. Boże, co by było, gdyby posunęli się dalej? Pewnie doznałaby załamania nerwowego. Jak on mógł tak ją rozpalic i nagle się wycofać? To pewnie kwestia doświadczenia i dyscypliny, pomyślała, wstając. Całe lata ćwiczeń. Ona zaś miała tyle dyscypliny co królik. Jeden pocałunek i była gotowa mieć z nim dzieci.

To obrzydliwe. Ale czy on musiał tak wspaniale całować? Odsunęła włosy z twarzy. Ten gogus z wielkiego miasta gotów zjeść ją żywcem, jeśli nie będzie panować nad emocjami. Nie była przecież dziewicą. Miała za sobą związek z mężczyzną, za którego nawet zamierzała wyjść za mąż. Tylko że tamten nie umiał całować tak jak Theo i nie czuła się przy nim taka pożądana i pełna życia.

Palant. Wchodząc po schodach na górę, omal nie potknęła się o brzeg szlafroka. Weszła do sypialni, rzuciła szlafrok na krzesło

i położyła się do łóżka. Leżała przez chwilę, po czym wstała i zeszła na dół.

Theo siedział przy biurku i pisał coś na komputerze.

- Posłuchaj no ty - zaczęła bojowym tonem.

- Tak? - spytał, nie podnosząc wzroku.

- Chcę, żebyś wiedział...

- Co?

- Że jestem cholernie dobrym chirurgiem. Kiedy ty zdobywałeś te swoje doświadczenia w uwodzeniu...

- Tak? - powtórzył z lekkim uśmiechem w kącikach ust.

Stuknęła go palcem w pierś.

- Ja uczyłam się posługiwać skalpelem. Chcę, żebyś wiedział...

- Co takiego? - spytał, kiedy nagle umilkła.

W głowie miała pustkę.

- Nie wiem - odpowiedziała w końcu, po czym wyszła z pokoju.

Czy mogła zrobić z siebie jeszcze większą idiotkę?

- Wątpię - szepnęła, kładąc się do łóżka. Czuła się jak Dawid, który zapomniał zabrać procę na spotkanie z Goliatem. Jęknęła, przewróciła się na brzuch, nakryła głowę poduszką i zamknęła oczy. Zwariuje przez tego Theo.

19

M o n k nie znosił obserwacji. Stał pod płaczącą wierzbą i nie spuszczał wzroku z domu. Czekał, aż doktor Renard pójdzie spać, wtedy będzie mógł wrócić do motelu i złapać parę godzin snu. Najpierw jednak przesłucha wiadomości. Przesunął dłonią po udzie, jakby chciał się pocieszyć po stracie najlepszych spodni khaki, które rozdarł, wspinając się na słup telefoniczny, by założyć podśluch.

Kiedy tak stał nieruchomo, przypominały mu się poprzednie zadania. Lubił je wspominać. Nie był sadystą, nie lubił pastwić się nad ofiarami, lecz analizował minuta po minucie każdy swój krok i popełnione błędy, by nie powtórzyć ich w przyszłości. Z każdego zadania czerpał jakąś naukę. Żona klienta z Biloxi trzymała, na przykład, pistolet pod poduszką. Jej mąż zapomniał go o tym poinformować. Monk omal nie stracił przez to życia. Na szczęście udało mu się wyrwać kobiecie broń z ręki. Potem zastrzelił ją z tego pistoletu, zamiast tracić cenne sekundy na duszenie. Trzeba być przygotowanym na nieprzewidziane okoliczności. Lekcja numer jeden.

Później była ta nastolatka z Metairie. Jego występ tamtej nocy trudno było nazwać doskonałym i wspominając go teraz, uświadomił sobie, że miał szczęście, bo ktoś mógł go zobaczyć. Zbyt długo tam pozostał. Powinien wyjść zaraz po wykonaniu roboty, tymczasem oglądał film. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że nie lubił telewizji. Był zbyt inteligentny na to, by oglądać tę papkę, którą sieci telewizyjne serwują tępych umysłom już i tak otępiałym od piwa.

Ten film był jednak inny, bardzo zabawny. Zaczął się, gdy wszedł do sypialni ofiary. Monk pamiętał każdy szczegół: różowo-

-biała tapeta z pączkami róż na ścianach, pluszowe zwierzątka na łóżku i różowe zasłony z falbankami. Była jego najmłodszą klientką, co jednak wcale mu nie przeszkadzało. Robota jak każda inna, myślał tylko o tym, by ją dobrze wykonać.

Z nastawionych na cały regulator głośników płynęła muzyka. Dziewczyna paliła jointa i była już częściowo odurzona. Powietrze w sypialni słodko pachniało. Małolata z krostowatą twarzą i tłustymi kasztanowymi włosami siedziała na różowym łóżku z baldachimem w krótkim niebieskim podkoszulku, z olbrzymią torbą chipsów na kolanach, i bezmyślnie wpatrywała się w ekran telewizora, nieświadoma jego obecności. Zabił ją na specjalne życzenie tatusia, by ten mógł dostać trzysta tysięcy dolarów z polisy ubezpieczeniowej, którą przed sześcioma miesiącami założył dla swego jedyne dziecko. Polisa miała klauzulę podwójnego zabezpieczenia, co oznaczało, że w wypadku nagłej śmierci córki tatuś otrzyma dwukrotność tej sumy. Honorarium Monka opiewało na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Zrobił, co w jego mocy, by śmierć wyglądała na przypadkową. Tatuś był bardzo zadowolony i chociaż nie musiał tłumaczyć, dlaczego chciał zamordować córkę - Monka interesowało wyłącznie honorarium - wyznał, że miał wierzycieli na karku i zrobił tylko to, co musiał. Ach, ta ojcowska miłość, nie ma nic lepszego na świecie.

Kiedy dusił dziewczynę, jego uwagę zwrócił film w telewizji. Odsunął martwą już ofiarę, usiadł na brzegu łóżka i chrupiąc chipsy, obejrzał film do końca. Właśnie zamierzał się ulotnić, gdy usłyszał skrzyp otwieranych drzwi do garażu. W ciągu sekundy już go nie było, teraz jednak uświadomił sobie, ile miał szczęścia. Jaki płynął morał z tego doświadczenia? Wchodzi i wychodzi tak szybko, jak to możliwe.

Od tego czasu znacznie udoskonalił metody działania. Catherine wyprawił na tamten świat bez żadnych problemów.

Ponownie spojrzął w okno sypialni lekarki. Położyła się znacznie później, niż przypuszczał. Ale w końcu miała przeciw gościa. Kiedy Monk pojechał za nią do baru Pod Łabędziem, zobaczył mężczyznę w otoczeniu tłumu rozwrzeszczanych małolatów. Tylko przez krótką chwilę widział twarz i ramiona tego faceta. Dzieciaki otoczyły go ze wszystkich stron, krzycząc jeden przez drugiego. Nazywali go trenerem.

Lekcja numer jeden: trzeba być przygotowanym na nieprzewi-

dziane okoliczności. Zatelefonował do Dallas, podał numery rejestracyjne samochodu tego mężczyzny i polecił go sprawdzić.

Światło w sypialni lekarki w końcu zgasło. Na wszelki wypadek Monk odczekał jeszcze pół godziny, po czym bezszelestnie przeszedł do bocznej drogi, przy której ukrył samochód. Wrócił do motelu w St. Claire i przesłuchał kasetę z rozmowami telefonicznymi lekarki, nie znalazł w nich jednak nic interesującego. Nastawił budzik i poszedł spać.

20

Wspaniale było mieć rządowe pełnomocnictwa i znać wysoko postawionych ludzi. O dziesiątej rano Theo dysponował już wszystkimi wiadomościami na temat braci Carsonów. To, czego się o nich dowiedział, cholernie go wkurzyło. Dzięki współpracownikom i świetnie działającej poczcie kurierskiej miał też gotowe wszystkie potrzebne dokumenty.

To, co planował, nie było konwencjonalne i groziło sprawą sądową, lecz nie przejmował się tym. Miał nadzieję, że rozwiąże problem z młynem, zanim bracia zaczną coś podejrzewać. Z informacji, jakie uzyskał o dwóch prawnikach, wynikało, że nie są to wielcy gracze i gdy dowiedzą się, że ich podszedł, będzie za późno.

Miał również w zanadrzu jeszcze jednego asa, którego do tej pory nie wykorzystywał. Jako przedstawiciel Ministerstwa Sprawiedliwości mógł napędzić potężnego stracha tym dwóm cwaniaczkom.

Szykując śniadanie, pogwizdywał wesoło. Michelle weszła Jo kuchni, gdy nakrywał do stołu. Wyglądała tak ponętnie, że miałby ochotę ją schrupać. Miała na sobie obcisłe dżinsy, które podkreślały długie nogi, i obcisły podkoszulek odsłaniający pępek. Wyglądała jeszcze seksowniej niż wczoraj, co wydawało się niemożliwe. A niech to, ta dziewczyna piękniała z każdą chwilą. Podał jej szklankę soku.

- Masz ochotę na zabawę?

Nie to spodziewała się usłyszeć.

- Na jaką zabawę? - spytała podejrzliwie.

- Z tutejszym młynem.

Poczuła lekki zawód.

- Och... tak, oczywiście. Mogę ci w czymś pomóc?

- Jasne, tylko najpierw zjedz śniadanie. Wszystko przygotowałem. Lubię gotować - dodał, jakby dopiero zdał sobie z tego sprawę. - To mnie odpręża.

Dziewczyna spojrzała na stół i wybuchnęła śmiechem.

- Otwarcie pudełka z płatkami i wyjęcie mleka z lodówki nazywasz gotowaniem?

- Zaparzyłem też kawę - odparł z dumą.

- To znaczy wcisnąłem guzik. To jaja wczoraj przygotowałam.

Podsunął jej krzesło, chłonąc zapach perfum. Zaprzagnął wziąć ją w ramiona, opamiętał się jednak, wycofał i oparł o zlew.

- Ładnie wyglądasz.

- Nie uważasz, że ta bluzka jest trochę zbyt obcisła? - spytała, chwytając za brzeg koszulki.

- A jak myślisz, dlaczego powiedziałem, że ładnie wyglądasz?

- Za każdym razem, kiedy ją wkładam, mam ochotę poszukać czegoś innego. To najnowszy krój - dodała tonem wyjaśnienia. - Dostałam ją od przyjaciółki, która powiedziała, że powinnam odsłonić pępek.

Podciągnął wyblakły granatowy podkoszulek.

- Jeśli to modne, jestem za.

- Przebiorę się - stwierdziła, starając się nie patrzeć na jego twardy płaski brzucha. Ten facet był obrzydliwie zgrabny, co graniczyło z cudem przy tak niezdrowym odżywianiu.

- Podoba mi się twój strój - zaprotestował.

- Przebiorę się - powtórzyła, po czym pokręciła głową. - To trudne przyzwyczaić się do własnego ciała.

- Co masz na myśli?

- Przez wiele lat starałam się nie wyglądać jak dziewczyna.

Pomyślał, że Michelle żartuje, i wybuchnął śmiechem.

- To prawda - odparła. - Przez całe studia starałam się zapomnieć, że jestem kobietą.

- Dlaczego? - spytał zaskoczony.

- Dziekan jednego z wydziałów był uprzedzony do kobiet lekarzy i robił wszystko, by utrudnić nam życie. Wredny typ. Chodził na piwo ze studentami, ale przedtem zadawał studentkom dodatkowe badania do przeprowadzenia. Miałam to gdzieś, nie podobało mi się jednak, że muszę pokonywać dwa razy więcej

przeszkód niż moi koledzy. Jedynym wyjściem była rezygnacja ze studiów, ale on tylko na to czekał. - Uśmiechnęła się. - Pewnego wieczoru upiłyśmy się margaritą i wtedy wszystko zrozumialiśmy.

- Co zrozumieliście?

- Że dziekan się nas boi.

- Czy przyszło wam również do głowy, dlaczego się was boi?

- Z powodu naszej inteligencji. On znał prawdę.

- Jaką prawdę?

- Że kobiety są znacznie inteligentniejsze. - Zaśmiała się. - Za tymi uprzedzeniami kryły się obawa i niepewność. Pamiętam, jak nas to zaskoczyło. Nie miałyśmy racji, ale byłyśmy zbyt pijane, by się tym przejmować. Teraz wiem, że to wszystko bzdury. Nie jesteśmy ani mniej, ani bardziej zdolne od mężczyzn, ale dzięki temu, że potrafiłyśmy z tego żartować, udało nam się przetrwać naprawdę ciężki okres.

- Czy praktyka była równie trudna?

- Nie, zupełnie inna. Przez dwadzieścia godzin na dobę i siedem razy w tygodniu traktowano nas równie okropnie. Nie miało znaczenia, że jestem kobietą. Musiałam tylko umieć biegać. To było wyczerpujące. Nauczyłam się spać na stojąco. Miałam szczęście, że praktykowałam u świetnego chirurga. Był nieznośny, ale jakoś się dogadaliśmy. Większość życia spędziłam na prowincji i moda nie jest moją mocną stroną.

- Moja lekarka też jest kobietą.

- Nie żartuj.

- Zabrała mi wyrostek.

- Nie jestem twoją lekarką. W przeciwnym razie kazałabym ci przejść na niskotłuszczową dietę.

- Czy nie mówiłem, że nie lubię swojej lekarki i nigdy nie służyłem jej rad? A co do ciuchów, to nieważne, co na siebie włożysz. Mężczyźni i tak będą się na ciebie gapić. Mam tylko nadzieję, że Carsonowie nie będą sterczeć przy oknie z twojego powodu, gdy będę próbował ich zastraszyć.

- Zamierzasz ich zastraszyć? Super.

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

- Ale dlaczego mają sterczeć przy oknie? Nie wejdziemy tam razem?

- Przykro mi. Nie chcę, żebyś widziała, jak będą się pocić.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę, żebyś słyszała, co im powiem. Mogłabyś to wykorzystać przeciwko mnie.

- Właściwie to co zamierzasz zrobić?

Theo wziął stojącą na blacie cukiernicę i usiadł przy stole.

- Zobaczysz - odpowiedział, po czym nasypał sobie potężną porcję corn-fleksów. - Wolę na słodko - stwierdził, posypując je cukrem.

Na ten widok Michelle zrobiło się niedobrze.

- Mam w spiżarni pięciokilowy worek cukru.

- Sarkazm z rana jest nie na miejscu, złotko. Chcesz kawy?

- Zrobię ci - odparła. - Zazwyczaj na śniadanie piję dietetyczną colę.

- I ty krytykujesz mój sposób odżywiania się.

Wyjęła z lodówki zimną puszkę, otworzyła ją i przytknęła do ust.

- Czy mi się zdawało, czy słyszałam rano dzwonek do drzwi?

- Przesłano mi parę dokumentów z Nowego Orleanu. To dziwne, że kierowca znalazł twój dom. Moje wskazówki nie były zbyt dokładne.

- Masz biuro w Nowym Orleanie?

- Mam tam przyjaciół. Rozmawiałem też z paroma osobami w Bostonie. Nie znam tutejszego prawa ani kodeksu pracy, musiałem więc zasięgnąć języka.

- Wydaje mi się, że jeżeli pracownik uległ wypadkowi w czasie pracy, należy mu się odszkodowanie.

- Są od tego wyjątki.

- Na przykład jakie? - spytała Michelle

- Jeżeli pracownik zrobi coś, co spowoduje wypadek, na przykład upije się, to wtedy nie otrzyma odszkodowania.

- Albo gdy pracuje przy maszynie, która jest zepsuta.

- Takiego argumentu użyli Carsonowie.

- Ale jesteś na to przygotowany?

- Tak.

- Skąd ten pośpiech w działaniu? - zdziwiła się Michelle.

- Nie chcę, żeby Daryl żył w niepewności. Nie zostanę tu długo, a chciałbym załatwić tę sprawę przed powrotem do domu. Obiecałem mu to.

Spuściła głowę i utknęła wzrok w rozmokniętych corn-fleksach. Od samego początku wiedziała, że Theo wyjedzie, dlatego nie chciała się angażować. Był tylko jeden mankament w tym planie:

z ciężkim sercem musiała przyznać, że miała ochotę złapać go mocno i nie wypuścić.

Palant. To wszystko jego wina. Gdyby jej nie pocałował, nie czułaby się teraz tak podle.

- Czy coś się stało? - spytał.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Wyglądasz, jakbyś chciała kogoś kopnąć.

- Myślałam o czymś.

- O czym?

Odsunęła corn-fleksy i splotła ręce na piersi.

- O niezbadanych wirusach - odparła wojowniczo.

- Do głowy by mi nie przyszło, że właśnie o tym myślałaś.

Wirusy! Dobre sobie.

- Niezbadane wirusy - sprostowała.

- No to co myślałaś o tych niezbadanych wirusach?

- Podstępnie atakują człowieka. W jednej chwili czujesz się świetnie, a w następnej piecze cię w gardle i całe ciało zaczyna boleć. Potem puchną ci migdałki i masz kłopoty z przełykaniem. Kiedy myślisz, że nie możesz już czuć się gorzej, zaczynasz kaszleć i zanim się zorientujesz, dopadają cię najróżniejsze powikłania.

Wpatrywał się w nią przez kilka sekund.

- Myślałaś o nich, bo...?

Bo wyjedziesz, palancie.

- Bo jestem lekarką - odparła, wzruszając ramionami. - Często się zastanawiam nad takimi rzeczami.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, ale kto wie, jak się będę czuła za pięć minut. Te wirusy są okrutne. Atakują ot tak po prostu. - Strzeliła palcami.

- Ale jeśli nie są śmiertelne, to w końcu odchodzą, tak?

- O tak, odchodzą - warknęła.

- Co się z tobą dzieje?

- Czuję, że nadchodzi wirus.

- Przed chwilą powiedziałas, że czujesz się dobrze.

- Nie chcę o tym mówić. Chorzy ludzie przyprowadzają mnie o depresję.

- Michelle.

- Tak?

- Jesteś lekarką. Może nie powinienem tego mówić, ale czy nie masz codziennie do czynienia z chorymi ludźmi?

Uświadomiła sobie, że zachowuje się jak dziecko, i postanowiła wykręcić się chwilową niedyspozycją.

- Nie jestem rannym ptaszkiem.
- Większość operacji wykonuje się przecież wcześniej rano.
- Tak, ale pacjenci są pod narkozą. Nie obchodzi ich, w jakim jestem nastroju. Dobrze spałeś? - spytała, zmieniając temat.
- Tak, a ty?
- Też dobrze. Przyjemnie, gdy nie budzi cię nagły telefon. Masz jakieś wiadomości od twojego przyjaciela?
- Nie.
- Będzie musiał wpaść tu po klucze do ambulatorium, więc musimy na niego poczekać.
- Noah nie potrzebuje kluczy.
- To jak się dostanie do środka?
- Włamię się, ale bez obaw, niczego nie zepsuje. Szczęci się tym, że jest szybki i cichy.
- Umówiłeś się z nim gdzieś?
- Nie. Ale nie martwię się tym. Noah mnie znajdzie. Jakie masz plany na dzisiaj?
- Skoro nie chcesz, żebym zaczęła porządkować ambulatorium, dopóki twój przyjaciel go nie obejrzy, to żadnych. Muszę jednak skontaktować się z doktorem Robinsonem i dowiedzieć się czegoś o jego pacjentach. Muszę też zaciągnąć cię na trening futbolu o trzeciej. Obiecałeś panu Freelandowi, że przyjdiesz, a ja jako lekarz drużyny też muszę tam być.
- Potrzebny im jest lekarz na treningu? - spytał z uśmiechem.
- O tak. Chłopcy bez przerwy odnoszą jakieś kontuzje, wpadają na siebie, rozbijają głowy i inne części ciała. Nie ma znaczenia, że mają kaski i ochraniacze. W zeszłym tygodniu opatrywałam zwichnięty bark, a dwa dni temu mocno stłuczone kolano. Ci chłopcy są straszni, ale nie mów nikomu. Wracając do pana Freelanda, to napisał pewną liczbę na kartce, którą ci podałam. Przeczytałeś ją? Zrobiła na tobie wrażenie?
- Tak, przeczytałam. Nie mogę powiedzieć, żeby zrobiła na mnie wrażenie.
- A może rozbawiła?
- Zarabiam więcej tygodniowo, niż on mi zaproponował za cały rok.
- To nie jest bogaty okręg.
- Rozumiem.

- Na pewno sądził, że będziesz miał jeszcze inne źródła dochodów, na przykład jako prawnik.

- Hm.
- Przebierzesz się w garnitur przed wyjazdem do młyna? - spytała Michelle.
- A tak źle wyglądam?
- Czy dzinsy to odpowiedni strój, by kogoś zastraszyć?
- Nieważne, co masz na sobie, lecz jak podchodzisz do sprawy. Za ile będziesz gotowa?
- Za dziesięć minut.

Wstawiła naczynia do zlewu i poszła na górę zmienić bluzkę na bardziej skromną, a Theo przygotował dokumenty.

- Najpierw pojedziemy do firmy Second i Victor - powiedział, wyjeżdżając z podjazdu. - Wiem, że to w St. Claire, ale będziesz musiała powiedzieć, jak tam dojechać.
- To tuż za McDonaldem.
- Świetnie. Kupię sobie porcję frytek, by dotrzeć do lunchu.
- Twoja krew musi być gęsta jak śmietana.
- Nieprawda. Mam niski poziom cholesterolu i doskonałe wyniki.
- Teraz skręć w lewo - poleciła Michelle. - Dlaczego jedziemy do Second i Victor?
- Po ogrodzenie. O, to tu. - Zatrzymał się przed wejściem i wysiadł z samochodu, nie wyłączając silnika. - Już złożyłem zamówienie, więc to nie potrwa długo. Muszę tylko zapłacić. Włączył blokadę i zamknął drzwi.

Klimatyzacja w samochodzie nastawiona była na pełną moc. Na zewnątrz panował upał, a na popołudnie meteorolog przepowiadał burze. Michelle uniosła włosy, by ochłodzić szyję. Wciąż nie mogła się przyzwyczaić do wilgoci panującej w Bowen i do sennego trybu życia. Przywykła do bieganiny i teraz musiała wyhamować.

Theo załatwił wszystko w dziesięć minut. Umierała z ciekawości, po co kupił to ogrodzenie, ale postanowiła go o to nie pytać. Jeżeli będzie chciał jej powiedzieć, to powie. Wytrzymała do chwili, gdy stanął przed miejscowym bankiem, który mieścił się zaledwie trzy przecznice od firmy sprzedającej ogrodzenia.

- Kupiłeś ogrodzenie?
- Hm.
- Jakże?

Pogrzebał w leżących w skrytce papierach.

- Z kutego żelaza - odpowiedział. Wyjął jakieś dokumenty, wysiadł z samochodu, przeszedł na drugą stronę i otworzył drzwi przed Michelle.

- To bardzo droga rzecz.

- Warta swojej ceny.

- I?

- I co?

- I po co je kupiłeś?

- Nazwijmy to nagrodą pocieszenia - odparł Theo. - Bo nie mam większego pistoletu.

Wiedział, że dziewczyna go nie rozumie, bo poszła już do samochodu, kiedy John Patrick powiedział mu o urodzinach.

- W Bostonie też są firmy handlujące ogrodzeniami.

- Owszem.

Nagle przyszło jej coś do głowy.

- Czy to ma coś wspólnego z Lois?

- Z jaką Lois?

- Nie chcesz mi powiedzieć?

- Nie. Jestem twardym, małymównym typem.

- Nie cierpię twardych małymównych typów. Należą do kategorii zagrożonej zawałem serca.

- Czy ty zawsze myślisz tylko o medycynie? - spytał, otwierając przed nią drzwi.

Gdyby on wiedział... Odkąd go zobaczyła, o niczym innym nie była w stanie myśleć, jak tylko o pójściu z nim do łóżka. Nie zamierzała jednak się do tego przyznawać.

- Jasne, że tak - odparła. - Chcesz wiedzieć, co teraz myślę?

- Znowu zamierzasz zrządzić?

Zaśmiała się.

- A kiedy zrządziłam?

Theo wskazał na strażnika, po czym cofnął się, by Michelle mogła wejść pierwsza. Wiedział, że pistolet uruchomi alarm. Machnął więc starszawemu mężczyźnie legitymacją oddziału wywiadowczego i czekał, aż ten wciśnie guzik. Potem oddał mu ukrytą powyżej kostki broń wraz z dokumentami. Strażnik dał znak, że może wejść.

- W czym mogę pomóc, panie inspektorze?

Theo nie skorygował pomyłki.

- Mam spotkanie z dyrektorem banku. Czy mógłby pan wskazać mi jego biuro?

Strażnik kiwnął z zapałem głową.

- Oczywiście. Pan Wallbash jest na zapleczu. Siedzi przy biurku po drugiej stronie szklanej ściany.

- Dziękuję. - Theo podszedł do Michelle i wskazał na krzesło przed gabinetem dyrektora. - Lepiej tu na mnie zaczekaj. Może będę zmuszony użyć brzydkiego słowa.

- Na przykład jakiego?

- Kontrola ksiąg rachunkowych - szepnęła jej do ucha.

- Przepraszam, czy pani jest może córką Taty Jake'a? - spytał strażnik, podchodząc do Michelle.

- Powodzenia - szepnęła do Theo, po czym spojrzała na starszego mężczyznę. - Tak.

- Więc jest pani lekarka, tak? - Przedstawił się i podał rękę. - Słyszałem o tym, co stało się w ambulatorium. Rozmawialiśmy z moją żoną Alice o tym, jak by to było dobrze, gdyby córka Jake'a się nami zaopiekowała. Oboje potrzebujemy dobrego lekarza. Alice ma kłopoty z odciskami, nie może włożyć swoich niedzielnych pantofli, a ja mam zapalenie stawów. Czasami nie mogę podnieść ręki. Kiedy zacznie pani przyjmować pacjentów?

- Mam nadzieję, że za dwa tygodnie.

- Tyle możemy zaczekać. Do tej pory jakoś znosiliśmy nasze dolegliwości. Dzięki tej robocie nie myślę o nich - dodał. - Pracuję tu jako strażnik dwa dni w tygodniu. Można powiedzieć, że pilnuję godzin urzędowania. - Zaśmiał się z własnego dowcipu. - Niech pani spojrzy - odezwał się po chwili. - Pan Wallbash wygląda, jakby dostał ataku serca. Ma twarz czerwona jak burak i poci się jak świnia. Chyba nie spodobało mu się to, co ten inspektor mu powiedział.

Michelle przyznała mu rację. Wallbash rzeczywiście źle wyglądał. Obejrzał papiery, które położył przed nim Theo, po czym uniósł wzrok. Nie widziała twarzy Theo, bo stał do niej plecami, ale to, co mówił, musiało zrobić wielkie wrażenie na jego rozmówcy. Dyrektor uniósł ręce, jakby go ktoś okradał, po czym pokiwał energicznie głową. Domyśliła się dlaczego. Theo musiał użyć magicznego słowa.

Rozmowa nie trwała długo. Gość opuścił gabinet Wallbasha, nie podając dyrektorowi ręki, bo ten zajęty był wycieraniem spoconego czoła. Przy drzwiach Theo odwrócił się i powiedział coś, co sprawiło, że krew odpłynęła dyrektorowi z twarzy.

Theo wyszedł z gabinetu ze srogą miną, kiedy jednak zauważył,

że Michelle go obserwuje, mrugnął do niej, wziął za rękę, skinął głową strażnikowi i pociągnął do samochodu. Zaczekała z pytaniami, aż wsiada.

- No i?

- Nie był szczęśliwy, ale zgodził się na współpracę. Tylko by spróbował odmówić - dodał znaczącym tonem.

- Co teraz?

- Jeszcze jedna sprawa i będziemy mogli zjeść lunch. Powiedz mi, jak dojechać do młyna.

- Co zrobiłeś Wallbashowi? Wyglądał, jakby za chwilę miał dostać zawału serca.

- Carsonowie mają w tym banku rachunek. Są najważniejszymi klientami, z czego można się domyślać, że robią jakieś kombinacje. Wallbash i Gary Carson są przyjaciółmi. Wallbash twierdzi, że Gary Carson to naprawdę miły gość.

- A jego brat?

- Jim Carson to choleryk. Podejrzewam, że Wallbash trochę się go boi. To Jim wyrzucił Daryla z pracy. Bracia specjalnie podzielili się rolami, bo dzięki temu osiagają to, czego chcą.

- Coś jak dobry i zły glina.

- Raczej zły i gorszy. Wolę choleryka od chytrej łasicy. Jeżeli dopisze mi szczęście, zastanę obu we młynie i będę mógł przypa-trzeć się ich metodom.

- Ale po co była ta wizyta w banku?

- Żeby zablokować im konta.

Wybuchnęła śmiechem.

- Przecież to nielegalne.

- Absolutnie legalne - odpowiedział. - Wallbash otrzymał wszystkie niezbędne dokumenty. Musi ze mną współpracować, bo inaczej przygożdżę sku... - Urwał w samą porę.

- Przygożdżisz sukinsyna do muru - dokończyła.

- Tak.

- Czemu ciągle patrzysz na zegarek?

- Najważniejsza jest punktualność - odparł. - Mam się spotkać z Garym Carsonem o dwunastej trzydzieści.

- Umówiłeś się z nim?

- Oczywiście.

- Powiedziałeś mu, o czym chcesz z nim rozmawiać?

- Nie byłoby wtedy niespodzianki. Powiedziałem sekretarce, że chciałbym zrobić z nimi interes.

- Przy najbliższym skrzyżowaniu skręć w lewo - poleciła Michelle. - I potem prosto. Młyn jest za miastem. Więc Carson myśli już o zysku.

- Właśnie.

- Przecież Wallbash zatelefonuje do niego i powie mu o twojej wizycie.

- Zrobi to dokładnie o pierwszej i ani minuty wcześniej. W przeciwnym razie naślę na niego kontrolerów, którzy rozedrą bank na strzępy. Zaczeka.

- Naprawdę byś to zrobił?

Theo nie odpowiedział. Dziewczyna przyglądała mu się przez chwilę.

- Kiedy czegoś chcesz, nie pozwolisz, by coś ci pokrzyżowało plany.

- Zgadza się. Zapamiętaj to sobie.

- Zawsze wygrywasz?

- A jak myślisz?

Oboje wiedzieli, że chodzi o nią. Przypomniała sobie, co powiedział wczoraj. Nie będzie musiał do niej przychodzić, bo ona przyjdzie do niego. Prędej piekło by zamarzło, pomyślała. Odwróciła się i spojrzała przez okno. Nagle coś przyszło jej do głowy.

- A co z poborami? Jeśli zablokował im konto, to jak zapłacą pracownikom?

- Sąd wyznaczy kogoś do podpisywania czeków.

- A jeżeli bracia zamkną wówczas młyn?

- Ciagną z niego zbyt dużo pieniędzy, poza tym nie pozwolę im go zamknąć.

- Możesz to zrobić?

- Jasne. Jeśli nie zechcą pójść na współpracę, wówczas pracownicy staną się właścicielami.

Ich oczom ukazał się młyn. Najpierw pojawiły się kominy wieńczące okrągłe silosy połączone dwoma wielkimi betonowymi budynkami o szarych fasadach i brudnych oknach. Nie sprawiały jednak wrażenia, jakby były w złym stanie. Theo zatrzymał się na wysypanym żwirze parkingu, wysiadł i rozjrzał się.

- Pan Buchanan?

Odwrócił się.

- Connelly?

Do samochodu podszedł wysoki, szczupły mężczyzna w eleganckim garniturze.

- Tak jest.

- Wszystko w porządku?

Connelly uniósł teczkę.

- Tak jest. Właśnie otrzymałem wiadomość. Jest notowany.

Theo wsunął głowę przez otwarte drzwi samochodu.

- Mogłabyś tu poczekać? - spytał.

- Dobrze - odparła Michelle. - Ale jeżeli usłyszę strzały, rzucam się do ucieczki.

Theo przedstawił jej Connelly'ego.

- Wejdiesz po moim wyjściu - powiedział do niego. - Zaczekaj na mnie przed drzwiami.

Silnik samochodu wciąż pracował. Dziewczyna odpięła pas i włączyła radio. Śpiewał Willie Nelson. To był dobry znak. Może Theo uda się uniknąć kłopotów.

Wyszedł z budynku po trzech piosenkach i dziewięciu reklamach. Uśmiechnął się do Connelly'ego, przyspieszył kroku, siadł za kierownicą i ruszył, jeszcze zanim zdążył zamknąć drzwi. Kiedy zapinała pas, on już pędził drogą.

- Ktoś nas goni? - spytała.

- Jestem głodny.

- To czemu patrzysz we wsteczne lustro?

- Na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, czy nie ukryli gdzieś broni.

- Tak dobrze poszło?

- Doskonale. Gary Carson to naprawdę miły gość. Wyrozumiał i uprzejmy. Chce postępować uczciwie. Trudno zliczyć, ile razy to powtórzył. Oczywiście wzmocnił to zawołaną groźbą, że zamknie młyn, bo, cytując: „Ledwie wiążemy koniec z końcem”.

- I co na to powiedziałeś?

Theo błysnął uśmiechem.

- Zaśmiałem się.

- Byłeś więc taktowny.

- Oczywiście.

- Nieźle się bawisz, co?

Sprawił wrażenie zaskocznego.

- Tak - przyznał w końcu. - Przyjemnie jest pomóc Daryłowi. Naprawdę przyjemnie.

- Bo możesz coś zmienić.

- Tak. Co prawda, to nie było trudne. Powiniennem to załatwić przed weekendem.

- Naprawdę sądzisz, że wystarczą ci dwa dni?

- Oczywiście. Chyba że bracia mają gdzieś ukrytą gotówkę, o której nie wiem. Ale nawet wtedy nie będzie to miało znaczenia. Tyle razy złamali prawo, że mogą posłać ich za kratki. Komisja do spraw bezpieczeństwa i higieny pracy będzie miała pełne ręce roboty.

- Czy ten raptus rzucił ci się do gardła?

- Nie.

- Wyglądasz na rozczarowanego. - Michelle uśmiechnęła się.

- Bo jestem - przyznał. - Chciałem przyjrzeć się ich metodom.

Niestety Jim Carson wyjechał do Nowego Orleanu, ale ma wrócić do Bowen koło osiemnastej. Gary powiedział, że zaczeka na brata. Woli porozmawiać z nim osobiście niż przez telefon. Pewnie najpierw go rozwścieczy, a potem poszczuje na mnie. Przypuszczam, że Jim da o sobie znać pięć minut po tym, jak brat przekaże mu nowiny.

- Czy powiedziałeś Gary'emu, gdzie będziesz wieczorem?

- Chyba wspomniałem, że mogę być Pod Łabędziem - odparł z uśmiechem.

- Wygląda na to, że będziesz musiał kogoś zastrzelić - rzekła Michelle i westchnęła.

21

Szkolny stadion robił imponujące wrażenie, czego nie można było powiedzieć o drużynie futbolu. Według Theo, była fatalna.

Chłopcy chcieli się przed nim popisać. Rzeczywiście mieli talent, tylko nie umieli go wykorzystać. Conrad Freeland musiał zdierać sobie płuca, żeby ich przekrzyczeć. Tak często używał gwizdka, że chłopcy przestali na niego reagować. Prowadzony przez niego trening był chaotyczny i ogłuszający. W końcu Conradowi udało się ich zmusić, by stanęli w szeregu. Potem zaczęli biegać tam i z powrotem jak zarzynane kurczaki.

Theo i Michelle stali obok nauczyciela muzyki.

- No i co sądzisz o twoich chłopcach? - spytał Conrad, promieniejąc z dumy.

Theo pominął milczeniem zwrot „twoi chłopcy”. Nie zamierzał rościć sobie prawa do tej pstrokatej zbieraniny.

- Może poprowadzisz trening, a my z Michelle usiądziemy na trybunach i popatrzymy - zaproponował Conrad.

- Minęło sporo czasu, ale spróbuję dać ci kilka wskazówek co do treningu - powiedział Theo.

Nauczyciel wyglądał na zmieszanego.

- To jest właśnie trening - odparł, wskazując głową na boisko.

- Słucham?

- Właśnie widziałeś trening.

- Trening? Przecież to dopiero... - Theo urwał, starając się zachować powagę, bo nie chciał, by Conrad pomyślał, że go lekceważy.

Nauczyciel muzyki szarpnął nerwowo kołnierzyk. Ubrany był w białą koszulę z długimi rękawami, krawat w prążki i granatowy

sweter. Niebo pokrywały gęste burzowe chmury, a w powietrzu unosiła się wilgoć. Musiało mu być w tym stroju strasznie gorąco.

Michelle trąciła Theo łokciem.

- Niezły trening, co?

Nie odpowiedział.

- Chłopcy wykonują teraz ćwiczenie, które nazwalismy uderzeniem - wyjaśnił Conrad.

- Rozumiem - powiedział Theo, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Niezłe, co?

Michelle ponownie trąciła swego towarzysza, on jednak zignorował ją. Nie chciał zranić uczuć Conrada; facet przecież ciężko pracował, by zmusić niezdyscyplinowanych chłopców do współpracy. Nie chciał też go okłamywać.

- Interesujące - rzekł w końcu.

- Musisz zrozumieć moją sytuację i sytuację drużyny - powiedział Conrad. - Powstała w zeszłym roku, a trener zostawił ją w środku sezonu. Dotąd nie wygrali żadnego meczu. Chłopcy nie mają pojęcia, co robić na boisku, podobnie jak ja. Potrafiłbym nauczyć cię grać na flecie, ale to mnie przerasta. Dlatego bardzo potrzebne są nam podręczniki. Ja naprawdę staram się, jak mogę.

- Jestem tego pewny - odparł Theo.

- Szukałem nawet w komputerze - ciągnął Conrad. - Wiem wszystko o historii futbolu, ale nie mam pojęcia o grze. Nie potrafię rozgryźć tych wszystkich rysunków, które znalazłem w Internecie. Jest tam mnóstwo różnych kótek i strzałek. Nic z nich nic rozumiem. - Zdjął z szyi gwizdek i podał Theo. Może ty spróbujesz, trenerze.

- Nie jestem trenerem - powtórzył Theo, ale Conrad już pobiegł się ochłodzić.

- Są okropni, prawda? - szepnęła Michelle.

- Tak - przyznał.

- Zaczekam na ciebie na trybunach.

Dobra, pomyślał. Jeden trening. Porozmawiam z chłopcami, powiem im, że wyślę Freelandowi kilka podręczników i może kilka filmów. Ale na tym koniec.

Włożył dwa palce do ust i gwizdnął, by zwrócić na siebie uwagę chłopców, po czym dał im znak, by do niego podeszli.

Biegli jak niezdarne tłuste żrebaki. Jeden upadł, podniósł się, przebiegł parę metrów i znowu potknął się o własną nogę. Theo

miął nadzieję, że chłopak nie gra na pozycji skrzydłowego. Zawodnicy otoczyli go kołem i zaczęli zadawać pytania. Theo milczał; uniósł jedynie dłoń i czekał. W końcu hałas ucichł.

Cichym głosem polecił im, żeby zdjęli kaski i usiedli przed nim. Kiedy klapnęli na trawę, miał wrażenie, że ziemia się pod nim zatrzęsała.

- Gdzie ma pan pistolet, trenerze?! - zawołał Elliott Waterson.

Po jego słowach znowu podniosła się wrzawa. Theo uparcie milczał; założył ręce na piersi i czekał, aż się uspokoją. Nie trwało to długo, w ciągu minuty zaległa cisza.

- Mój pistolet jest w bezpiecznym miejscu - odpowiedział cicho. - Ale przysięgam, że następny, który mi przeszkodzi, kiedy będę mówił, gorzko tego pożałuje, jasne? A oto co zrobimy.

Michelle siedziała na trybunach i obserwowała tę nagłą metamorfozę chłopców. Była zaskoczona łatwością, z jaką Theo nad nimi zapanował. Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami, trzymając kaski na kolanach, i chłonęli każde jego słowo. Conrad był pod wrażeniem. Stał przy boku Theo i co chwila kiwał potakująco głową.

- Przepraszam panią.

Michelle odwróciła głowę i zobaczyła wysokiego ciemnowłosego mężczyznę o nieco zaokrąglonym brzuszku. Miała wrażenie, że gdzieś już widziała tego człowieka.

- Tak?

Podszedł bliżej. Ubrany był w szorty koloru khaki i podobną koszulkę z krótkimi rękawami z napisem „Ekspres” nad kieszonką i przyczepioną do niej plakietką identyfikacyjną. Stał jednak zbyt daleko, by mogła przeczytać nazwisko.

- Szukam doktor Michelle Renard. Może pani wie, gdzie mógłbym ją znaleźć?

- To ja jestem Michelle Renard.

Twarz posłańca rozjaśniła się.

- Dzięki Bogu. Szukam pani po całym mieście. - Wsunął trzymaną w rękę paczkę pod ramię i podszedł bliżej.

- Ma pan coś dla mnie?

- Nie. Mam za to pewien problem, który, jak sądzę, pomoże mi pani rozwiązać, zanim Eddiego nie wywalą z roboty.

- Słucham?

Posłańiec uśmiechnął się.

- Eddie to nasz nowy pracownik - wyjaśnił. - I zawałił robotę. -

Tak w ogóle to mam na imię Frank. - Wyciągnął rękę. Miał wilgotną dłoń i uścisk był słaby.

- Co takiego zrobił pana przyjaciel?

- Pomylił przesyłki - odpowiedział. - A on bardzo potrzebuje tej pracy, bo jego żona oczekuje dziecka, a jeżeli go wywalą, to straci ubezpieczenie. Eddie ma tylko dziewiętnaście lat - dodał. - Czuję się za niego odpowiedzialny, bo ja go szkoliłem. Korzystam więc z wolnego dnia, by wszystko naprawić, zanim szef się dowie.

- To bardzo miło z pana strony - odparła. - Jak mogę pomóc?

- Eddie odebrał w poniedziałek przesyłkę z pewnej kancelarii adwokackiej w Nowym Orleanie. Powinien wypisać druczek i nakleić go na przesyłkę przy biurku recepcjonistki, ale nie zrobił tego i zaniósł ją do naszej furgonetki. Potem odebrał następną paczkę z Laboratorium Belzera i też nie nakleił na nią druczku. Chciał wypełnić je w klimatyzowanej furgonetce, ale pomylił nalepki. Dowiedziałem się o tym, gdy sekretarka z kancelarii zatelefonowała do nas z informacją, że otrzymała przesyłkę przeznaczoną nie dla nich. Kiedy ją otworzyła, znalazła w niej opis jakiegoś nowego leku. Na szczęście dla Eddiego to ja odebrałem telefon. Gdyby ta sekretarka rozmawiała z szefem, strach pomyśleć, co by się stało. Nasza firma kurierska szczeni się tym, że jest szybka i solidna. Przysięgam, że taka pomyłka zdarzyła się pierwszy raz w ciągu trzech lat. - Umilkł i przestąpił z nogi na nogę. - Miałem nadzieję, że odda mi pani tę przesyłkę, a ja przekazałbym ją dziś do kancelarii.

Michelle pokręciła głową.

- Chętnie bym panu pomogła, ale nie pamiętam, żeby otrzymywała jakąś przesyłkę. Kiedy i gdzie ją dostarczono?

- Eddie zaniósł ją do szpitala. - Ręce mu się trzęsły, kiedy przerzucał kartki notatnika. Był zdenerwowany i unikał jej wzroku. Uznała to za dziwne, ale doszła do wniosku, że może mężczyzna czuje się zakłopotany zaistniałą sytuacją. - Już tam byłem. Jedną z pielęgniarek zrobiła mi tę grzeczność i zajrzała do skrytki na listy. Powiedziała, że tego popołudnia zdarzył się wypadek i była pani na chirurgii, gdy Eddie przyniósł przesyłkę. Ale przecież podpisała pani odbiór.

- A tak, przypominam sobie. Byłam wtedy na chirurgii i wypisywałam karty choroby. Dostałam wiadomość z izby przyjęć, że jest dla mnie przesyłka, ale nie pamiętam, żeby ją odebrała.

- Może rozjaśni to pani pamięć, jeśli powiem, że podpisała pani odbiór.
- Naprawdę? - Nie mogła sobie tego przypomnieć.
- Tak, pani doktor, podpisała pani - odparł ze zniecierpliwieniem w głosie. - Zawsze zostawiamy sobie kopię odbioru, a oryginał przesyłamy nadawcy. I zapewniam panią, że jest tam pani podpis - dodał z mieszaniną niepokoju i irytacji.
- Złość nic tu nie pomoże - odparła Michelle. - To nie mogło być moje pismo, skoro je pan odczytał. Nikt nie potrafi odczytać moich bazgrołów. Chyba wiem, jak to było - dodała po chwili. - Pewnie któraś z recepcjonistek musiała za mnie podpisać. To często stosowana procedura. - Starła się sobie przypomnieć, jak to było. Była zmęczona, bo nie zmrugała oka przez całą noc, ale postanowiła przed urlopem wypełnić wszystkie karty. - A jednak zesłałam na dół po tę przesyłkę.
- Gdzie pani poszła? - spytał mężczyzna niecierpliwie, zerkając przez ramię na boisko. - Do izby przyjęć czy do recepcji?
- Do izby przyjęć. Wtedy przyjechały karetki. Wróciłam na górę i miałam dwie operacje, jedną po drugiej.
- Więc nie otworzyła pani tej przesyłki. - Uśmiechnął się z ulgą.
- Nie - odrzekła. - Pamiętałabym, zwłaszcza dokumenty z kancelarii adwokackiej.
- Rozumie pani, jak bardzo prawnicy niepokoją się o te papiery. Miały dotrzeć do innej kancelarii. To wszystko są poufne dokumenty. Czy mógłbym pojechać zaraz do szpitala i odebrać przesyłkę od tej rejestratorki? Jak ona się nazywa?
- Elena Miller, ale nie da jej panu bez mojej zgody.
- A mogłaby pani do niej zatelefonować? Eddie już odebrał tę przesyłkę dla pani i jest właśnie w drodze. Bardzo chciałbym zakończyć tę sprawę. Mam nawet ze sobą telefon. - Podeszedł bliżej, by podać jej komórkę. Michelle poczuła zapach płynu po goleniu i ciężki odór potu. Zachowywał się jak człowiek chory na nerwy. Nic dziwnego, że się pocił. Bez przerwy spoglądał na boisko, jakby się obawiał, że któryś z chłopców rzuci w niego piłką. Wystukała numer szpitala i poprosiła o połączenie z Elena.
- Zahipnotyzował ich, prawda? - stwierdziła, czekając, aż sekretarka podniesie słuchawkę.
- Co?
- Trener. Wpatrują się w niego jak w obraz. Zauważyłam, że patrzy pan na nich.

- A tak, tak, rzeczywiście.
- W tym momencie Elena Miller podniosła słuchawkę.
- Miller, słucham - warknęła zbolalym głosem.
- Cześć, Eleno, tu Michelle Renard. Jesteś w tej chwili bardzo zajęta?
- Ja zawsze jestem zajęta, pani doktor. Zapomniała pani wypełnić karty choroby. Brakuje dwóch. I nie przejrzała pani poczty. Pani przegródka pęka w szwach. Już się pani stęskniła za pracą? Czym mogę służyć?
- Wypełniłam wszystkie karty - zaprotestowała Michelle. - Jeśli więc Murphy myśli, że zgłosi mnie do raportu, to mnie popamięta.
- Spokojnie, pani doktor. Murphy też jest na urlopie. Czym mogę służyć? - powtórzyła Elena.
- Michelle wyjaśniła sprawę z przesyłkami.
- Pamiętasz, czy podpisywałaś odbiór przesyłki dostarczonej w poniedziałek koło piątej?
- W tej chwili nie pamiętam nawet, co jadłam wczoraj na kolację. Pamiętam, że poniedziałek był sądnym dniem w izbie przyjęć. Mieliśmy serię wypadków, a potem była ta kraksa na autostradzie. W korytarzu tłoczyło się co najmniej dwadzieścia mam i tatusiów, których dzieci tu przywieziono. Nie pamiętam, żebym coś podpisywała, ale to nie ma znaczenia. Jeśli podpisałam, to przykleiłam żółty pasek na pani przegródce. Włożyłabym przesyłkę do środka, ale nie podała mi pani kombinacji zamka.
- Przepraszam - odpowiedziała Michelle. - Ciągłe o tym zapominam. Czy domyślasz się, gdzie ta przesyłka może być?
- Rozejrzę się. Pewnie leży na moim biurku albo na wierzchu pani szafki. Co mam z nią zrobić, gdy ją znajdę?
- Oddać kurierowi z firmy kurierskiej. Niedługo tam będzie.
- Dobrze. Jestem tu do szóstej wieczorem, ale ani minuty dłużej. Dziś wieczorem w kościele jest spotkanie wspólnoty i muszę tam być o wpół do siódmej, by wszystko przygotować.
- Na pewno pojawi się przed twoim wyjściem. Dziękuję, Eleno. - Michelle wcisnęła przycisk „End” i oddała Frankowi telefon. Zobaczyła, że Theo zmierza w ich stronę. Frank też go zauważył.
- Co powiedziała? - spytał, nie spuszczać oka z Theo. - Ma tę przesyłkę?

- Proszę się nie martwić, Eddie nie straci pracy. Elena będzie w szpitalu do szóstej i z przyjemnością dokona wymiany.

Tak się spieszył, że nawet nie powiedziała: „Dziękuję”. Naciągnął na oczy daszek baseballowej czapki i zbiegł po schodach, nie patrząc na boisko.

- Nie ma za co! - krzyknęła za nim, kiedy zniknął w tunelu prowadzącym do szatni.

Nie słyszał jej. Chciał ulotnić się jak najszybciej, zanim ktoś zwróci na niego uwagę. Minał szatnie i dotarł na parking. Był cały mokry od potu. Oparł się o drzwi samochodu, starając się odzyskać oddech, i chwycił za rączkę przy drzwiach. Nagle usłyszał jakiś szmer za sobą i odwrócił się gwałtownie. Oczy mu się rozszerzyły.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? Szpiegujesz mnie?

- Co ty tu robisz?

- To, co należy - odparował. - Nikt za mną nie szedł. Ta lekarka nigdy więcej mnie nie zobaczy. Poza tym warto było zaryzykować. Wiem, gdzie jest przesyłka. Właśnie po nią jadę.

- Miałeś się nie wtrącać. Chyba wyraźnie ci to powiedziano. Teraz ta lekarka wie, jak wyglądasz. Popełniłeś błąd i nikomu to się nie spodoba.

22

Theo był w drodze powrotnej do domu dziwnie milczący. Oboje z Michelle byli zgrzani i marzyli o prysznicu. Wieczorem wybierali się na kolację Pod Łabędzia. Theo chciał ją zaprosić do bardziej eleganckiego lokalu, ale obiecała ojcu, że pomoże mu przy barze. W środy było tam zawsze tłoczno i dziś będzie podobnie ze względu na sobotnie zawody wędkarskie.

- A brat nie mógłby pomóc twojemu tacie? - spytał.

- Nie pojawił się przez cały tydzień.

- Często znika?

- Jest zawsze wtedy, gdy tata go potrzebuje.

- Skąd będzie wiedział, że go potrzebuje? Zatelefonuje do niego?

- John Paul nie ma telefonu. - Uśmiechnęła się. - Zresztą i tak by nie odpowiedział. Zwykle pojawia się w piątek rano. Nigdy nie pracuje w barze w ciągu tygodnia.

- A jeśli twój tata będzie miał kłopoty? Jeśli zachoruje, czy coś w tym rodzaju?

- John Paul będzie wiedział, że coś jest nie tak.

- Ma zdolności telepatyczne?

- Po prostu będzie wiedział.

- Jest jakiś dziwny.

- Wcale nie - zaprotestowała. - Jest po prostu inny.

- A twój drugi brat?

- Remy?

- Też jest dziwny?

- Według twoich kryteriów nie.

Potem żadne z nich przez dłuższy czas nie odezwało się słowem. Michelle przerwała ciszę, gdy zobaczyła, że Theo marszczy czoło.

- O czym myślisz? - spytała.
- O tym chłopaku, który się dziś potykał na boisku.
- Coś nie tak?
- Miał na nogach buty brata.
- I zastanawiasz się, co mógłbyś na to poradzić.
- Drużynie potrzebne jest nowe wyposażenie. Conrad ma porozmawiać z trenerem z St. Claire, żeby pozwolił naszym chłopakom korzystać z ich sali treningowej. Żaden z nich nie powinien wyjść na boisko, dopóki nie nabiorą kondycji. Wiesz, o co mi chodzi?
- Muszą podbudować mięśnie i sprawność.
- Właśnie. W przeciwnym razie mogą zrobić sobie krzywdę.
- Powiedziałeś o nich „nasi chłopcy”.
- Nieprawda.
- Właśnie, że tak. Sama słyszałam.
- Czego chciał ten posłaniec? - spytał Theo, zmieniając temat. - Widziałem, jak z nim rozmawiasz.
- Pomylili przesyłki w szpitalu. Wysłałam go do recepcjonistki. Wszystko załatwi.
- Skinął głową.
- Jak sądzisz, ile będzie można wygrać w tych zawodach wędkarskich? - spytał, ponownie zmieniając temat.
- Nie wiem, ile w tym roku zgłosi się zawodników, ale powiedzmy po dwóch w łódce, po pięćdziesiąt dolarów od każdego... W zeszłym roku mieli ponad siedemdziesiąt zgłoszeń.
- Więc jeśli w tym roku zgłosi się osiemdziesięciu zawodników, to wyjdzie cztery tysiące.
- To spora suma.
- Za cztery tysiące można kupić mnóstwo butów.
- Wygląda na to, że masz jakiś plan.
- Tak, tylko kluczem do tego planu jest wygrana.
- Nie żartuj. - Michelle zaśmiała się. - A co z moim tatą?
- A co ma być? - spytał, wjeżdżając na podjazd.
- Dwa tysiące będą należeć do niego.
- Podaruje je. Twój tata jest sentymentalny. - Poszedł za nią do drzwi. - Najpierw jednak trzeba wygrać te zawody.
- Denerwuje cię, że nie możesz tak po prostu pójść i kupić wszystkiego, co potrzebne jest drużynie.

Trafiła w dziesiątkę.

- Tak - przyznał. - Wiem jednak, że nie mogę tego zrobić. Rodzice by się obrazili. Uraziłbym ich dumę, tak?
- Tak. Zostałbyś bez grosza, gdybyś kupował małym chłopcom drogie ogrodzenia, buty, ochraniacze i Bóg wie co jeszcze.
- Dzieciaki nie powinny bać się aligatorów na własnym podwórku.
- Michelle oparła mu dłonie na ramionach i pocałowała.
- Za co to? - spytał, kiedy się odsunęła.
- Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.
- Dlaczego cię pocałowałam? To proste. Bo uważam, że jesteś miły.
- Zareagował tak, jakby go obraziła.
- Nie ma we mnie nic miłego.
- Naprawdę? Przecież przejąłeś się tym chłopcem w butach brata.
- Nie powiedziałem, że się przejąłem.
- Ale tak było. - Uśmiechnęła się.
- Tak, tyle że...
- Więc jesteś miły.
- Zarabiam kupę pieniędzy, Michelle, ale na pewno nie dlatego, że jestem miły. - Zbliżał się ku niej wolno.
- Nie dbam o to, ile zarabiasz pieniędzy. Wszystkich w Bostonie wyprowadziłeś w pole, co? Pewnie uważają cię za twardego prokuratora.
- Bo jestem twardy i szcycę się tym.
- Martwiłeś się o Johna Patricka, dlatego kupiłeś to ogrodzenie. Wiesz, co to znaczy?
- Nie mów - ostrzegł.
- Że jesteś miły.
- Pokręcił głową.
- Wiem, dlaczego mnie pocałowałaś, złotko. Miej odwagę się przyznać.
- Objął ją w talii. Zaśmiała się, gdy przyciągnął ją do siebie. Miał tors jak skała, jak gorąca skała. Pochylił się tak, że niemal dotykał ustami jej ust.
- Chcesz, żebym ci powiedział, dlaczego mnie pocałowałaś?
- Nie mogę się doczekać.
- To proste, bo mnie pragniesz.
- Oczekiwał, że dziewczyna zaprotestuje, lecz jej odpowiedź wcale go nie rozczarowała.

- Masz absolutną słuszność.

- I wiesz, co jeszcze?

- Co takiego?

Odchyliła się, by móc patrzeć mu w oczy.

- Nie możesz się doczekać, by mnie zdobyć.

Objęła go w tali i wsunęła kciuki za pasek.

- Przecież już cię zdobyłam. Musisz porządnie popracować nad swoim ego. Zauważyłam, że nie masz za grosz zaufania do kobiet. To przykre, ale...

- Ale co? - spytał, ocierając się policzkiem o jej policzek.

- Mimo to jesteś miły - szepnęła mu do ucha, po czym chwyciła je zębami.

Jęknął.

- Pokażę ci, jaki jestem miły.

Odchylił jej głowę i przywarł do warg w namiętym, wilgotnym i dzikim pocałunku, który rozpalał krew w żyłach. Nie mogła się oprzeć; wszystkie myśli uleciały jej z głowy. Pocałunek trwał bez końca, smakował wspaniale, a ona pragnęła więcej i więcej. Pieścił dłońmi jej ramiona, plecy i szyję, wywołując zmysłowe doznania, a w głowie Michelle dźwięczała jedna myśl: Nie przerywaj, nie przerywaj, nie przerywaj.

- Nie chcę - powiedziała głośno, w chwili gdy uniósł głowę.

Oboje drżeli.

- Czego nie chcesz? - szepnął niskim głosem. Na czole błyszczały mu kropelki potu.

Ogarnęła ją radość na myśl, że to ona je wywołała, zaraz jednak uświadomiła sobie, że czuje się podobnie.

- Czego nie chcesz? - powtórzył i ponownie ją pocałował. Tym razem było to zaledwie muśnięcie, które pozostawiło w niej uczucie niedosytu.

- Nie wiem.

- To się wymyka z rąk.

Oparła czoło o jego pierś.

- A mówiąc o rękach...

- Tak?

Pocałował ją w czubek głowy.

- Powinnaś zabrać swoje.

- Co?

- Ręce - wyjaśnił schrypniętym głosem.

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Ojejku!

Cofnęła ręce i z krwistym rumieńcem na twarzy wyszła z pokoju. Idąc na górę, słyszała śmiech Theo.

Złapała szlafrok i poszła do łazienki. Odkręciła wodę, weszła do kabiny i tak mocno zaciągnęła zasłonę, że o mały włos jej nie zerwała.

- Powód numer jeden - mruknęła. - On złamie mi serce.

23

Dotarli Pod Łabędzia za piętnaście siódma. Parking zapchany był starymi półciężarówkami i pokrytymi rdzą furgonetkami. Napis na jednej z nich głosił: „Wolę łowić ryby”. Uwagę Theo przyciągnęło jednak słowo „Pomgator” wymalowane na drzwiach błyszczącymi literami. Poniżej widniał też rysunek aligatora. Nie wyjaśniało to wcale znaczenia dziwnego słowa.

Wśród tych wszystkich pojazdów nie było ani jednego nowego. Jeżeli ktoś szukał dowodu na to, że jest to biedny okręg, to miał go przed sobą. Niektóre furgonetki wyglądały tak, jakby ściągnięto je ze złomowiska. W ciągu swego krótkiego pobytu w Bowen Theo przekonał się, że tutejsi mieszkańcy radzą sobie z tym, co mają.

- O czym myślisz? - spytała Michelle, kiedy mijali szarą furgonetkę z wgniecioną karoserią.

- Że ciężko tu żyć - odpowiedział. - Ale wiesz co? Nie sły-
szałem żadnych skarg.

- I nie usłyszysz, bo to dumni ludzie.

- Czy mówiłem już, że ładnie dziś wyglądasz?

- W tej starej sukience?

Miała na sobie letnią sukienkę w niebiesko-białą kratkę z dekol-
tem w kształcie litery V. Dwadzieścia minut zastanawiała się nad
tym, co włożyć, a przez kolejne dwadzieścia układała włosy. Opadały jej na ramiona i falowały miękko wokół twarzy. Porządnie
się napracowała nad tym, by wyglądały naturalnie. Na koniec
położyła trochę różu na policzki i pociągnęła usta szminką, dodając
odrobinę błyszczycy. Kiedy uświadomiła sobie, że zaczyna przy-
wiązywać wagę do swego wyglądu, bo trzy razy wkładała i zdejmowa-
wała sukienkę, i że Theo jest tego powodem, opamiętała się.

- Kiedy ktoś mówi ci komplement, powinnaś powiedzieć:
„Dziękuję”. Ładnie wyglądasz w tej starej sukience - powtórzył.

- Lubisz sobie ze mnie żartować, co?

- Hm.

Skłamał, mówiąc, że ładnie wygląda. Nie mógł jednak znaleźć
odpowiednich słów na określenie tego, co czuł, kiedy zeszyła na
dół. Przychodziły mu do głowy takie przymiotniki, jak „wybu-
chowa”, „zapierająca dech w piersiach”, najbardziej jednak pasowa-
łyby określenie „prześliczna”, lecz wstydził się je powiedzieć.
Na pewno zrobiłby jej tym przyjemność. Czyżby stawał się
sentymentalny? Skąd to się wzięło?

- To nieładnie śmiać się z kogoś - rzekła Michelle.

Otworzył przed nią drzwi, lecz zatrzymał się, by przeczytać
napis na ścianie.

- Nic dziwnego, że tak tu tłoczno, skoro dziś wieczór piwo
bez ograniczeń.

Uśmiechnęła się.

- Tu zawsze piwo jest bez ograniczeń, jeśli za nie płacisz i nie
sidasz za kierownicą. Miejscowi o tym wiedzą.

- Coś ładnie pachnie. Mam nadzieję, że nie jest ostre.

- W środek możesz zjeść pieczonego zębacza i frytki, co zapewne
zadowoli twój żołądek.

- Albo?

- Frytki i pieczonego zębacza.

- Biorę.

Kiedy szli między stolikami w stronę baru, Theo bez przerwy
ktoś zatrzymywał, by uściśnąć mu dłoń, poklepać po ramieniu,
lecz przede wszystkim porozmawiać o futbolu. Jediną osobą,
która zaczęła Michelle, był mężczyzna pragnący porozmawiać
z nią o hemoroidach.

Tata Jake stał przy końcu baru, przy drzwiach na zaplecze,
i rozmawiał z Conradem Freelandem i Artiem Reevesem. Kiwał
głową ze zmarszczonym czołem, słuchając tego, co mówią jego
towarzysze. Nie zauważył córki. Kucharz Armand pracował w kuch-
ni, a jego brat Myron stał za barem.

- Tata zatrudnił Myrona do pomocy - powiedziała - więc na
razie jestem wolna.

- Twój tata do nas macha.

Kiedy do niego podeszli, Jake uniósł ladę i przeszedł na ich stronę.
Michelle zauważyła, że Artie i Conrad patrzą na nią z dezaprobatą.

- Theo, naley sobie piwa i usiądź przy barze, a ja tymczasem zamienię słówko z córką. - Ojciec patrzył na nią tak, jakby zrobiła coś złego.

Poszła za nim na zaplecze.

- Tato, czy coś się stało?

- On zamierza wyjechać, Michelle. Rozmawiałem z chłopcami i doszliśmy do wniosku, że nie możemy do tego dopuścić. To miasto potrzebuje Theo Buchanana. Chyba to rozumiesz. Większość z tych ludzi przyszła tu dzisiaj, by z nim porozmawiać.

- Chcą darmowej porady prawnej?

- Niektórzy tak - przyznał. - Jest jeszcze ta sprawa z młynem i sezon futbolowy.

- Tato, czego ty po mnie oczekujesz? Ten facet mieszka w Bostonie. Przecież nie może tu dojeżdżać.

- Oczywiście, że nie. - Uśmiechnął na myśl, że Theo mógłby latać tam i z powrotem do Bowen.

- No więc?

- Uważamy, że gdybyś się postarała, mogłabyś go namówić do pozostania.

- Niby jak? - spytała zirytowanym tonem, podpierając się pod boki. Znając przebiegłość ojca, wiedziała, że szykuje jakiś podstęp.

- Wywieszając flagę powitalną.

- Co takiego?

- Wymyśliliśmy z Conradem doskonały plan i Artie uważa, że to może zadziałać. Ale, ale, Conrad powiedział mi, że podobno chciałaś odesłać Theo do mnie.

- Tak.

- Gdzie twoja gościnność, Mike?

- Ale potem byłam dla niego miła. Słowo honoru.

- Ugotowałaś mu potrawkę z okry?

- Nie, ale...

- To dobrze. Żona Conrada jutro rano zakradnie się do ciebie z garnkiem potrawki. Powiesz, że ty ją ugotowałaś.

- To nieuczciwe - zaprotestowała. Nagle dotarł do niej sens jego słów. - Chwileczkę. Myślałam, że lubisz moją potrawkę.

- A co z ciastem cytrynowym? Nie upiekłaś go przypadkiem? - spytał, ignorując słowa córki.

- Nie. - Zrobiła krok w jego stronę. - Ostrzegam cię, tato, jeśli powiesz: „dobrze”, nigdy więcej nie zaproszę cię na kolację.

- Kochanie, nie czas teraz unosić się honorem. Mamy problem do rozwiązania i tylko dwa dni na to, by zmienić zdanie.

- Nic na to nie poradzimy.

- Z takim podejściem na pewno nie. Postępuj zgodnie z planem i więcej optymizmu.

Było w nim tyle entuzjazmu, że czuła się okropnie, usiłując ostudzić ten zapał.

- Tylko że...

- Marilyn poszła już do domu.

- Żona Artiego?

- Tak. Robi pyszne ciasto czekoladowe i upiecze je dziś wieczorem. Powinno się znaleźć w twojej kuchni koło południa.

Michelle nie wiedziała, czy ma się obrazić, czy roześmiać.

- I Theo pomyśli, że to ja je upiekłam? Niby kiedy? Jestem z nim przez cały dzień, a jutro rano mam jechać do ambulatorium porządkować kartotekę.

- Nic nie rozumiesz. Marilyn zostawi karteczkę „Witamy w Bowen”, żeby Theo pomyślał, że wszyscy są tu bardzo mili. Karen Crawford robi pieczeń i sałatkę ziemniaczaną i też przyczepi karteczkę. Żona Daryla również chce się włączyć i przyniesie garnek świeżej fasolki z ogrodu.

- Też z karteczką, tak? - spytała Michelle, zakładając ręce na piersi i patrząc na ojca spod uniesionych brwi.

- Tak.

- To dlaczego mam mówić, że to ja ugotowałam potrawkę?

- Bo nie chcę, żeby Theo pomyślał, że nie umiesz gotować.

- Umiesz gotować.

- Zaprowadziłaś go do McDonalda - powiedział oskarżyciel-
skim tonem.

Jej uznanie dla małomiasteczkowej otwartości gwałtownie zmalało. Najwyraźniej ktoś roznosił plotki. Wielkie, złe, bezosobowe miasto nie wydawało się już takie straszne.

- To on chciał tam pójść - wyjaśniła. - Lubi McDonalda i ja też. Mają tam pyszne sałatki.

- Wszyscy staramy się być mili.

Wybuchnęła śmiechem. Kiedy ojciec, Conrad i Artie coś planowali, przychodziły im do głowy najdziwniejsze pomysły. Ten przynajmniej nie groził więzieniem.

- I chcecie, żebym też była miła.

- Właśnie. Postaraj się, żeby czuł się tu jak u siebie w domu. Zabierz go na wycieczkę, pokaż widoki.

- Jakie widoki?

- Michelle, pomożesz czy nie?

Nazywał ją Michelle tylko wtedy, gdy był na nią zły. Zaczęła się śmiać, chociaż wiedziała, że go to nie uspokoi, ale nie mogła się powstrzymać. Cała ta rozmowa była kompletnym szaleństwem.

- Dobrze - powiedziała. - Pomogę wam, skoro tak bardzo ci na tym zależy.

- To ma wielkie znaczenie dla ludzi, którzy pracują w młynie, i dla chłopców z drużyny futbolowej. Szkoda, że nie słyszałaś, co Conrad opowiadał o dzisiejszym treningu. Podobno Theo wziął chłopaków do galopu. Powiedział też, że Theo wie znacznie więcej o futbolu niż on.

- Każdy wie więcej o futbolu niż Conrad.

- Theo ma podejście do chłopców. Z miejsca zdobył ich szacunek. Jest wiele powodów, dla których powinien tu zostać, ale wiesz, jaki jest najważniejszy?

- Jaki?

Jeśli teraz ojciec powie, że chciałby, by Theo się z nią ożenił, ona wyjdzie z baru.

- Kupił chłopakowi Daryla ogrodzenie na prezent urodzinowy. Rzadko się teraz spotyka takich wrażliwych ludzi. Ile musiało go to kosztować.

- Pomogę wam, ale nie rób sobie wielkich nadziei. Theo wróci do domu i żadne z nas nic na to nie poradzi.

- Znowu myślisz negatywnie. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy. To miasto potrzebuje dobrego, uczciwego adwokata, a Theo Buchanan świetnie się do tego nadaje.

- Dobrze. To może jutro zrobisz mu *etouffee*.

- Nie, kochanie, nie rób tego - powiedział prędko. - Podaj mu potrawkę Billie. Pamiętaj, że do serca mężczyzny trafia się przez żołądek.

- Przecież lubisz moje *etouffee*. - Spuściła głowę. - Nie smakuje ci.

Ojciec poklepał ją po ramieniu.

- Jesteś moją córką i kocham cię. Musiałem mówić, że mi smakuje.

- Czy wiesz, ile czasu zajmuje przygotowanie tej potrawy? Cały dzień. Mogłaś wcześniej powiedzieć, że ci nie smakuje.

- Nie chcieliśmy ci robić przykrości. Jesteś taka delikatna i wrażliwa.

- Wiesz, tato, przecież mogłaś... Chwileczkę... My?

- Twoi bracia i ja. Oni też cię kochają. Świetnie gotujesz proste potrawy, a twoje sucharki są lekkie i puszyste, ale musimy oczarować tego człowieka. Jak już mówiłem, droga do serca mężczyzny...

- Tak wiem, wiedzie przez żołądek. Ale to bzdura.

- Tak? A niby jak twoja mama mnie usidliła?

Powinna już dawno się nauczyć, że z ojcem nie wygra. Westchnęła zrezygnowana.

- Swoim słynnym ciastem.

- Właśnie.

- Ale ja nie chcę usidlić Theo.

- Wiem. To miasto chce go usidlić.

- Dobrze, zrobię, co będę mogła. Obiecuję. A teraz podsumujmy. Mam w ogóle nie gotować, skłamać, że to ja ugotowałam potrawkę, i... aha, mam być miła. Czy chcesz, żebym położyła mu dziś na poduszce miętową czekoladkę?

Jake objął córkę i mocno przytulił.

- To mogłoby być zabójcze. A teraz usiądź przy stoliku, a ja przyniosę wam kolację.

Przez trzy następne godziny Michelle nie miała chwili czasu. Kiedy zjedli kolację, włożyła fartuch i zabrała się za sprzątanie ze stolików i roznoszenie kufli z piwem. Theo siedział przy barze między dwoma mężczyznami. Z tyłu za nim stała już kolejka interesantów. Tata opierał się o ladę i dokonywał prezentacji. Myron zniknął ponad godzinę temu, Michelle zaczęła więc obsługiwać bar.

O wpół do jedenastej kuchnia była już zamknięta i posprzątana, a tłum gości zmalał. Pozostało jedynie kilka osób przy barze. Zdjęta fartuch i podeszła do szafy grającej. Wrzuciła ćwierć - dolarówkę, wcisnęła jeden z klawiszy, usiadła przy narożnym stoliku, oparła łokieć na blacie i wcisnęła brodę w dłoń.

Jej wzrok co chwila biegł w stronę Theo. Wyglądał wspaniale w szarym podkoszulku i džinsach. Palant! Czy on musi być taki seksowny? Czemu nie mogła znaleźć w nim jakiejś wady? Wtedy mogłaby przestać myśleć o pójściu z nim do łóżka. Boże, czy to znaczy, że zmienia się w dziwkę? Seks z Theo byłby wspaniały. Przestań o tym myśleć. Myśl o czymś innym.

Nagle przyszło jej do głowy coś o wiele gorszego. Kiedy on stąd wyjedzie - a na pewno wyjedzie - wszyscy ją będą za to winić. Oczywiście nic nie powiedzą, ale pomyślą, że to jej wina, bo nie była dla niego dość miła. Ciekawe, jak by się czuli, gdyby wiedzieli, jak bardzo chciała być miła. Przyznaj się, rozpaczasz, bo on wróci do Bostonu i światowego życia, a ty chciałaś, żeby został w Bowen, i to na zawsze.

Do diabła, jak to się mogło stać? Jak mogła być taka głupia? Czyż nie wylczyła wszystkich powodów, dla których nie powinna się angażować w tę znajomość? Wylczyła, lecz co z tego. Była zbyt naiwna, by słuchać wewnętrznego głosu. Uważała się przecież za silną kobietę, dlaczego więc nie zdołała się przed nim obronić? Czy to miłość? Boże, a jeżeli tak? Niemożliwe. Miłość nie przychodzi tak szybko.

Tak była zajęta swoimi myślami, że nie zauważyła, kiedy do niej podszedł.

- Wyglądasz, jakbyś straciła najlepszego przyjaciela. Chodź, zatańcz ze mną.

Odejdź i pozwól mi utonąć w rozpacz.

- Dobrze.

Wyjął z kieszeni ćwierć dolara i wrzucił do szafy grającej. Gdy kazał jej wybrać piosenkę, nie zastanawiała się ani chwili.

Muzyka zaczęła grać, lecz dopiero kiedy wzięła ją w ramiona, Michelle uświadomiła sobie, że popełniła wielki błąd. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, to żeby ją obejmował.

- Jesteś sztywna jak kij. Rozluźnij się - szepnął jej do ucha.

- Jestem rozluźniona.

Delikatnie przyciągnął ją do siebie, tak żeby ich ciała się zetknęły. O rany, to wielki błąd. A teraz już za późno, pomyślała, przytulając się do niego.

- Uwielbiam tę piosenkę.

- Brzmi znajomo, ale to chyba niemożliwe. Zwykle nie słucham muzyki country.

- To Willie Nelson i „Błękitne oczy, które płaczą w deszczu”.

Otarł się policzkiem o jej policzek.

- Ładna piosenka.

Usiłowała się odsunąć, lecz nie pozwolił na to.

- To smutna piosenka - odparła nieco szorstkim tonem. Kołysali się wolno w takt muzyki. - To stara historia - wyjaśniła.

- O czym opowiada?

Kiedy dotknął wargami wrażliwego miejsca przy uchu, przebiegła ją dreszcz. Musiał wiedzieć, co się z nią dzieje. Dosłownie miękła w jego ramionach.

- O kobiecie, która zakochuje się w mężczyźnie. On odchodzi, a ona...

- Niech zgadnę, płacze w deszczu, tak?

Posłyszała śmiech w jego głosie. Delikatnie przesunął dłonią wzdłuż jej pleców.

- Dlaczego on odchodzi?

- Bo jest palantem - wypaliła bez zastanowienia. - To tylko piosenka - dodała szybko. - Mogę się tylko domyślać. Może to ona go zostawiła i teraz tak się z tego cieszy, że płacze w deszczu.

- Hm.

Przytuliła się mocniej i zaczęła drobnymi ruchami palców pieścić jego szyję.

- Powinnaś chyba przestać.

- Nie lubisz tego? - spytała, wsuwając mu palce we włosy.

- Lubię. Dlatego chcę, żebyś przestała.

A więc ona też doprowadzała go do szaleństwa. Poczuli się panią sytuacji.

- No to pewnie tego też nie lubisz - szepnęła i dotknęła wargami pulsującego miejsca u nasady szyi.

- Michelle, ostrzegam cię. Do tej gry potrzeba dwojga.

- Do jakiej gry? - spytała niewinnie i znowu go pocałowała.

Dlaczego nie? - pomyślała. Tata był w kuchni i nikt nie zwracał na nich uwagi. Poza tym Theo osłaniał ją swoim ciałem. To jeszcze bardziej ją ośmieliło; przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Jeśli nie podoba ci się to, co robię...

- Jesteś okropna - powiedział.

- Dziękuję. - Westchnęła.

- Wiesz, co mi się podoba?

- Co takiego? - szepnęła.

- Twój zapach. Kiedy jestem blisko ciebie, twój zapach doprowadza mnie do szaleństwa i sprawia, że myślę o różnych rzeczach, które chciałbym robić.

Zamknęła oczy. Nie pytaj, na litość boską.

- O jakich rzeczach?

Do tej chwili naiwnie wierzyła, że dzielnie się broni przed mistrzem. Sama zaczęła tę erotyczną konwersację i czuła, że zrobiła na nim wrażenie. Kiedy jednak posłyszała, co ma jej do

powiedzenia, uświadomiła sobie, że się przeliczyła. Niskim, schrypniętym głosem opowiadał, co chciałby z nią robić. W tych fantazjach to ona była gwiazdą i każda część jej ciała, łącznie z palcami u nóg, odgrywała swoją rolę. Ten człowiek miał niezwykle bujną wyobraźnię i wcale się tego nie wstydził. Sama była sobie winna. Przecież to ona go sprowokowała. Nie miało to jednak znaczenia. Kiedy skończył opowieść o tym, jak chciałby się z nią kochać, krew szumiała jej w uszach, nogi się pod nią ugięły i miała wrażenie, że za chwilę się roztopi.

Piosenka dobiegła końca. Theo cmoknął Michelle w policzek i odsunął się.

- Dzięki za taniec. Chcesz się czegoś napić? Masz wypieki na twarzy.

Wypieki na twarzy! Czuła się tak, jakby w barze było ze czterdzieści stopni. Kiedy spojrzała mu w oczy, domyśliła się, że doskonale wie, co się z nią dzieje.

- Trochę tu gorąco. Chyba wyjdę zacerpnąć świeżego powietrza - oznajmił beznamiętnym tonem.

Patrzyła, jak Theo wychodzi, a kiedy pchnął drzwi, pobiegła za nim.

- Dobra.

Dopadła go, gdy stał w świetle księżycy, i stuknęła go w plecy.

- Dobra, wygrałeś.

Odrzucił się. Była tak rozgniewana, że stuknęła go w pierś.

- Powiedziałaś, że wygrałeś.

- Co wygrałem? - spytał.

- Wiesz, o czym mówię, ale skoro jesteśmy sami, to ci powiem. Tę grę, w którą graliśmy. Myślałam, że dam sobie radę, ale najwyraźniej myliłam się. Nie jestem w tym dobra. Więc wygrałeś.

- A co dokładnie wygrałem?

- Seks.

- Co? - spytał, unosząc brew.

- Słyszałeś. Będziemy uprawiali seks. Pardon, będziemy uprawiali wspólnie seks. Czy to jasne?

Diabelski uśmieszek przemknął mu przez twarz. Czy już myślał o tym, co będzie z nią robił, czy też nie był w stanie się skupić?

- Michelle, skarbie...

- Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Chcę uprawiać z tobą seks. Takimi z tych najgorszych - sprecyzowała. - Wybuchający szalonym płomieniem, z rozrywaniem ubrań, burzą w mózgu

i głośnymi krzykami. Jak w tej piosence: „Całą noc ty i ja, mała”. Całą długą noc. Podaj tylko czas i miejsce.

Najwyraźniej zaniemówił z wrażenia. Chyba po raz pierwszy w życiu. Może jednak nie była taka zła w te klocki. Nagle poczuła się dumna jak paw szykujący się do rozłożenia ogona.

- No i co ty na to? - spytała, podpierając się pod boki.

Zrobił krok w jej stronę.

- Michelle, chciałbym ci przedstawić mojego starego przyjaciela Noaha Clayborne'a. Noah, to jest Michelle Renard.

Bluffował. Musiał bluffować. Pokręciła nieznacznie głową. W odpowiedzi kiwnął głową.

- O Boże - szepnęła i zamknęła oczy. To nie mogła być prawda.

Nie miała odwagi się odwrócić. Jak długo on tam stał? Poczuła, że twarz jej płonie. Przełknęła ślinę, po czym odwróciła się wolno i zobaczyła wysokiego blondyna o niezwyklej niebieskich oczach i zabójczym uśmiechu.

- Bardzo mi miło - wydusiła z trudem.

Niestety, czekał ją kolejny cios. Zaledwie kilka kroków od Noaha stał jej ojciec. Mógł usłyszeć to, co powiedziała. A może nie. Może dopiero co przyszedł. Zebrała się na odwagę i spojrzała na ojca. Wyglądał tak, jakby raził go piorun. Uda, że nic się nie stało.

- Dopiero przyjechałeś? - spytała Noaha.

- Hm - odparł wolno. - Powiedz, Theo, czy wszystkie piękne kobiety w Bowen są takie miłe?

Ojciec postąpił w przód i puścił drzwi, które głośno stuknęły. Na jego twarzy malowało się zażenowanie.

- Kiedy powiedziałem, żebyś wywiesiła flagę powitalną, sądziłem, że wiesz, co miałem na myśli. Można być miłym i miłym. Powinnaś umieć to odróżniać.

- Tato, Theo ze mną flirtował.

- Wcale nie flirtowałem - zaprotestował Theo.

Nadepnęła mu na nogę.

- Flirtowałeś - powtórzyła. - Tato, ja żartowałam.

- Porozmawiamy o tym później, młoda damo - odpowiedział Jake, po czym wszedł do środka.

- Theo flirtował? - zdziwił się Noah. - Żartowałaś, prawda?

- Wcale nie żartowałam.

- Czy mówimy o tym facecie za tobą? O Theo Buchananie?

- Tak.

- Trudno w to uwierzyć. On nie umie flirtować.

- Jest w tym naprawdę dobry. Słowo honoru.
- W takim razie to twoja zasługa. Właśnie mówiłem Jake'owi, że po raz pierwszy od pięciu lat zamienił garnitur na dżinsy. Zawsze był pracowolikiem. Może to ty wyzwalasz w nim te najgorsze skłonności - powiedział Noah, kładąc nacisk na słowo „najgorsze”.

Cofnęła się i wpadła na Theo. Nie zamierzała uciekać, ale nie podobało jej się, że stoi jej na drodze.

- Czy moglibyśmy zmienić temat? - spytała.
- Jasne - odparł Noah. - Theo mówił, że jesteś lekarką.
- Tak.

Nareszcie jakiś bezpieczny temat. Może ten facet ma kłopoty ze zdrowiem i potrzebuje porady. Oby tak było.

- Jakiej specjalności?
- Jest chirurgiem - odpowiedział Theo.
- Nie jesteś za młoda na zabawę z nożem? - spytał z uśmiechem Noah.
- Operowała mnie.

Noah wzruszył ramionami, po czym podszedł bliżej.

- Zatańczysz ze mną? Poszukamy jakiejś miłej piosenki Williego Nelsona i poznamy się bliżej.

Objął ją ramieniem i wprowadził do środka. Theo patrzył na tę poufałość ze zmarszczonym czołem. Noah był strasznym kobieciarzem. Dokonał więcej podbojów niż Dżyngis-chan i Theo nie miał ochoty przyglądać się, jak czaruje Michelle.

- Lubisz Williego Nelsona? - zdziwiła się dziewczyna.

- Jasne, że tak. Wszyscy lubią Williego.

Zerknęła przez ramię na Theo.

- Twój przyjaciel ma dobry gust.

- Czy mógłbym cię o coś zapytać? - zwrócił się do niej Noah.

- Możesz pytać, o co chcesz - odpowiedziała, ciesząc się, że wreszcie odzyskała równowagę.

- Tak się właśnie zastanawiam...

- Nad czym?

- Czy są jeszcze inne rodzaje seksu oprócz tego najgorszego?

24

Cameron wiedział, że schrzanił sprawę, lecz nie zamierzał się do tego przyznawać. Stał oparty o wyłożoną boazerią ścianę biblioteki Johna i słuchał wymówek przyjaciół.

- Jak myślisz, ile potrzeba, by ta lekarka przypomniała sobie, że widziała cię na pogrzebie Catherine? - spytał Preston. Zerwał się z krzesła, uderzył pięścią we wnętrze dłoni i przeszedł się tam i z powrotem po pokoju.

- Nie przypomni sobie - mruknął Cameron. - Nie podchodziłem do niej na pogrzebie, poza tym miałem już dość czekania i uznałem, że gra jest warta świeczki.

- I była warta, co? - wybuchnęła Dallas. - Nie zdobyłeś przesyłki i teraz wszyscy jej szukają. Zawaliłeś sprawę, ty dupku. To przez tę gorzałę. Wypaliła ci mózg.

- Naraziłeś nas na niebezpieczeństwo! - krzyknął Preston.

- Odwal się! - wrzasnął Cameron.

- Spokój - powiedział John. - Dallas, skontaktuj się z Monkiem. Musisz przekazać mu te informacje.

Monk siedział w samochodzie i czekał, aż lekarka i jej kochaś wyjdą z baru. Jego wóz stał zaparkowany między dwiema furgonetkami na końcu parkingu. Przed nim stały jeszcze cztery pojazdy. Było gorąco i wilgotno, mimo to nie włączył klimatyzatora. Wszystkie okna miał otwarte i komary cięły go niemiłosiernie. W porównaniu z krzakami przed domem lekarki i robactwem obłażającym mu nogi to miejsce mógł uznać za luksusowe. Zastanawiał się, czy nie zatelefonować do Dallas i nie opowiedzieć o wynikach obserwacji, ale doszedł do wniosku, że zrobi to po

powrocie do motelu. W tym momencie telefon komórkowy zaczął wibrować.

- Tak?
- Buchanan jest prokuratorem.

Monk zeszywniał.

- Możesz powtórzyć?
- Ten sukinsyn pracuje dla Ministerstwa Sprawiedliwości.

Znów nieprzewidziane okoliczności. Monk odetchnął i słuchał. co Dallas ma mu do powiedzenia. W co on się wpakował¹ W oddali słycać było jakieś głosy.

- Gdzie jesteś? - spytał.
- U Johna w domu. Wszyscy tu są.
- A kto to krzyczy?
- Preston.

Ktoś jeszcze krzyczał. Pewnie Cameron. Zachowywali się jak szczury walczące o kawałek mięsa. Gdyby nie chodziło o tak wielką sumę pieniędzy, Monk natychmiast by z tego zrezygnował. Cameron już zaczął działać na własną rękę, a inni też wkrótce się wyłamią.

- Dlaczego od razu nie przekazałaś mi tych informacji? - spytał Monk. - Straciłem cenne godziny.
- Powiedziałaś mi, że jest trenerem futbolu... - zaczęła i urwała. - Masz rację. Nie będę przepraszać ani robić ci wymówek. Powinam wcześniej przekazać ci ten raport.

To go trochę ułagodziło.

- Kiedy możesz go zabić? - spytała Dallas.
- Muszę się nad tym zastanowić. Nie lubię niczego robić na chybcika. Takie rzeczy trzeba planować. Pośpiech prowadzi do błędów. Ale jeśli twój raport jest dokładny...

- Jest - zapewniła Dallas.
- To może przyjechał do Bowen z jej powodu. Mężczyźni popełniają różne szaleństwa dla...

- Kawałka dupy? - weszła mu w słowo Dallas. - Myślisz, że po wygłoszeniu tej mowy w Nowym Orleanie przejechał taki szmat drogi tylko po to, żeby się z nią przespać?

- Nie widziałaś jej - odparł Monk. - Jest naprawdę... śliczna.
- Dobra. Twierdzisz więc, że ten facet przyjechał tu tylko po to, by się z nią zobaczyć? Zoperowała go, ocaliła mu życie, więc się w niej zakochał, a skoro i tak musiał przyjechać do Nowego Orleanu, pomyślał sobie, że wpadnie do Bowen i ją przeleci.

Monk zacisnął z dezaprobatą wargi.

- W takim razie po co?
- Zaczekaj - powiedziała Dallas. - John coś mówi.

Usłyszał podniesiony głos Prestona, pokręcił głową i ponownie przypomniał sobie, ile pieniędzy jest do zdobycia.

- Lekarka musi zginąć, zanim przypomni sobie, gdzie widziała Camerona - odezwała się Dallas. - Buchanan otrzymywał listy z pogróżkami. John uważa, że powinno to wyglądać tak, jakby ktoś zastrzelił go z zemsty.

- A pani doktor przypadkiem znalazła się na linii strzału?
- Właśnie. Jutro przyjeżdżamy do Bowen. Obserwuj lekarkę. I szukaj tej przesyłki.

- Oczywiście - odparł Monk. - Aha, Dallas, chciałbym rzucić okiem na ten list.

- Ciagle boisz się, że jest w nim twoje nazwisko? Niepotrzebnie. Czytałam to cholerstwo dwa razy. Kiedy to wszystko się skończy, będziesz ustawiony na całe życie. Chyba wiesz o tym?

- Tak - odparł. - Swoją drogą jestem ciekaw, ile forsy znajduje się na tym koncie. Przypuszczam, że sporo, uważam więc, że należy mi się jakiś procent. Możesz to nazwać udziałem w zyskach, jeśli chcesz, ale biorąc pod uwagę ryzyko...

Nie dokończył, bo Dallas przerwała połączenie.

25

Theo nie był zazdrosny. Nastoletni chłopcy bywają zazdrośni, a on wyrósł już z tego wieku. Czuł jednak coraz większą irytację. Michelle śmiała się i tańczyła z Noahem, on zaś siedział przy barze, robił notatki i wysłuchiwał kolejnego pokrzywdzonego. Gość kupił używane auto, które miało trzydziestodniową gwarancję. Zapłacił za nie gotówką, wyjechał z komisju, ale dwie przecznice dalej odpadł tłumik i zapaliła się chłodnica. Nie minęło jeszcze trzydzieści minut od nabycia samochodu, przyholował więc go z powrotem do komisju i zażądał zwrotu pieniędzy. Sprzedawca wyjaśnił, że zgodnie z umową może mu zwrócić jedynie za opony i silnik. Poradził również, żeby następnym razem uważnie przeczytał umowę, zanim ją podpisze.

Uwagę Theo ponownie przyciągnął śmiech Michelle. Uwielbiał jego brzmienie, a uśmiech Noaha dowodził, że ten również jest nim zauroczony.

Theo odwrócił się w stronę miejscowego mężczyzny i spróbował skupić na sprawie. Kiedy po raz kolejny spojrzeli na tańczącą parę. Noah właśnie podciągał podkoszulek i pokazywał Michelle brzydką bliznę na piersi.

- Dość tego - mruknął, rzucił długopis na kontuar i wstał z miejsca. - Zamierzasz zaimponować Michelle tymi wszystkimi dziurami po kulach?

- Zaimponowałem jej inteligencją i urokiem osobistym - odparł Noah.

- Miałeś dużo szczęścia - stwierdziła Michelle. - Ta kula mogła cię zabić.

- Rzeczywiście miałem szczęście - przyznał Noah. - Chyba Bóg nade mną czuwał. - Zaśmiał się. - Byłem wtedy w kościele.

- Usnąłeś w czasie nabożeństwa, czym rozżłościłeś pastora?

- Coś w tym rodzaju.
- Tata na pewno chciałby posłuchać tej historii. Gdzie on jest?
- W kuchni - odpowiedział Theo. - Robi kanapki.
- Znowu jesteś głodny?
- Powiedział, że robi dla siebie, to może zrobić dla mnie i dla Noaha.

Postanowiła pomóc ojcu, poszła więc do kuchni. Obchodząc bar, usłyszała jeszcze, co Noah mówi do przyjaciela.

- Warto, byś zerknął na planszę z nazwiskami uczestników sobotnich zawodów. Wisi tam, na ścianie.

- Po co miałbym to robić?
- Bo zostałeś wyrzucony.
- Niemożliwe.

Nie mógł w to uwierzyć, dopóki nie spojrzeli. Nazwisko Theo zostało skreślone, a na to miejsce wpisano Noaha.

Michelle weszła do kuchni. Ojciec podał jej papierowy talerz z podwójną porcją indyka, suto przyprawionego majonezem między dwoma plasterkami bułki i górą tłustych frytek. Po chwili przyniósł drugą taką samą kanapkę i postawił na ladzie.

- Gdyby Theo został tu jeszcze dwa tygodnie, wkrótce musiałyby mieć wszczepiane bypassy. Zabijasz tego człowieka dobrocią.

- Przecież indyk jest zdrowy. Sama to mówiłaś.
- Ale majonez jest niezdrowy. A te frytki toną w tłuszczu.
- I dzięki temu są dobre. Kanapki, chłopcy! Nie dodałem ostrego sosu, Theo, więc nie musisz się obawiać.

Noah i Theo patrzyli na planszę. Michelle trąciła ojca.

- Zamieniłeś Theo na Noaha?

Jaką zrobił skruszoną minę.

- Musiałem, kochanie.

- Dlaczego? - spytała zaskoczona. - Czy to ładnie obiecywać, a potem nie dotrzymywać obietnicy?

- Jestem praktyczny.

- Co to niby ma znaczyć?

- Zapakuj mi kanapkę, zabiorę ją do domu.

Michelle wyjęła folię.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Jake splótł ramiona na piersi.

- Pomyślałem, że będziemy mieli większą szansę na zwycięstwo, jeśli będzie nas czworo, a nie dwoje. Noah chciał cię

namówić, żebyś mu partnerowała. Theo nie byłby z tego zadowolony, powiedziałem więc Noahowi, że ja będę jego partnerem. Dzięki temu spędzisz z Theo cały dzień. Powinnaś się cieszyć, że też bierzesz udział.

- Innymi słowy uważasz, że Noah może być lepszym wędkarzem.

- Wspominał o tym, że sporo wędkował przez ostatnie cztery lata, ale nie dlatego go wybrałem. Nie ma powodu się dąsać - powiedział Jake, dostrzegając błysk uporu w oczach córki. - Powinnaś mi podziękować, że wpłaciłem za ciebie wpisowe.

- Nie chcę łowić ryb w sobotę. Mam mnóstwo innych spraw do załatwienia.

- Mogłabyś wygrać. Wszyscy wiedzą, że jesteś lepsza ode mnie.

- To nieprawda, i dobrze o tym wiesz. Zamierzasz bawić się w swata? Dlatego chcesz, żeby moim partnerem był Theo?

- Po tym, co usłyszałem, nie muszę niczego robić. Doskonale dajesz sobie radę sama.

- Tato, ja żartowałam.

Udał, że jej nie słyszy.

- Noah mógłby zabawić się w swata. Powiedział mi, że nigdy nie widział, by jego przyjaciel tak się zachowywał, jak w stosunku do ciebie. - Jake podszedł do lodówki, wyjął mleko, nalał sobie pełną szklankę i przytknął do ust.

- A jak on się zachowuje? - spytała Michelle z nagłym zainteresowaniem.

- Noah mówi, że często się uśmiecha. Wygląda na to, że to rzadkość.

- Ten człowiek jest na wakacjach, dlatego się uśmiecha. Mas/ kłopoty z żołądkiem? Pijesz mleko tylko wtedy, gdy masz niestrawność.

- Mojemu żołądkowi nic nie dolega - rzucił Jake niecierpliwie. - Skoro masz na wszystko wytłumaczenie, to wyjaśnij mi, dlaczego Theo nie może oderwać od ciebie wzroku. Noah mi o tym powiedział i wtedy ja też to zauważyłem. Wiesz, że Noah pracuje dla FBI? - spytał, zanim córka zdążyła zaprotestować. - Nosi broń tak jak Theo. Mówię ci, Theo ma naprawdę wpływowych przyjaciół.

- A ty znasz mnóstwo ludzi, którzy potrzebują pomocy wpływowych przyjaciół.

Wypił mleko i wstawił szklankę do zlewu. Kiedy się odwrócił

i na jego twarz padło ostre światło, Michelle zauważyła, jaki jest zmęczony.

- Może poszedłbyś do domu. Ja i Theo zamkniemy bar.

- Sam mogę to zrobić.

- Wiem, że możesz, ale następne dni będą bardzo pracowite. Mnóstwo ludzi zacznie tu przyjeżdżać, by zapisać się na zawody i coś zjeść. Sam wiesz, jak tu jest tłoczno w czwartki i piątki. Idź do domu, tatusiu. Połóż się i odpocznij.

- Tobie też należy się odpoczynek. Musisz zacząć porządkować te papiery w ambulatorium.

- Będę miała pomoc.

- Dobrze, pójdę do domu. Zamknij drzwi na raz zamiast na dwa. - Jake pocałował córkę w policzek. - Do zobaczenia jutro. - Otworzył tylne drzwi. - A, zapomniałem ci powiedzieć, że Ben Nelson cię szukał. Nadal nie ma żadnych nowych wiadomości ani podejrzanych, ale na wszelki wypadek będzie miał oko na ambulatorium. Czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś? Ben bardzo mnie zaniepokoił, ale potem przypomniałem sobie, że Theo będzie z tobą. Pozamykaj dziś wszystkie zamki. To pocieszające - dodał, wychodząc.

- Co jest pocieszające?

- Świadomość, że Theo będzie z tobą.

Michelle skinęła głową, zamknęła drzwi, zgasiła światło i wróciła do baru. Theo i Noah siedzieli przy stoliku i jedli kanapki. Jeden ze stałych gości poprosił o piwo. Zauważyła, że ma mętne spojrzenie.

- Wracasz dziś do domu samochodem, Paulie? - spytała.

- Connie ma po mnie przyjechać, kiedy będzie wracać z fabryki. Jest dziś moim kierowcą.

- No to w porządku. - Nalała piwo, potem uznała, że w pomieszczeniu jest duszno, i włączyła wentylator. W barze zostało już tylko pięciu klientów. Upewniła się, czy niczego im nie brakuje, potem nalała dwie szklanki wody, wrzuciła do nich lód i zaniósła Noahowi i Theo.

- Usiądź z nami - poprosił Theo, odsuwając krzesło.

Podawała szklankę jego przyjacielowi, usiadła i postawiła drugą przed Theo.

- Nie macie nic przeciwko temu, że odesłałam tatusia do domu? Oznacza to, że będę musiała zamknąć bar - oznajmiła.

- Miło, że mówisz o swoim ojcu „tatus””. Czy to tutejszy zwyczaj?

- To zwyczaj Renardów - odpowiedziała.

Noah wrzucił do ust ostatnią frytkę i spłukał ją potężnym łykiem wody. Michelle spytała go, czy chce, żeby pojechała z nim do ambulatorium.

- Już tam byłem - odparł. - Theo ma rację. Dzieciaki tego nie zrobiły. To robota jednego człowieka. Ten, kto to zrobił, musiał się niezłe wściec, szukając czegoś. Zwróciliście uwagę na biurko? Zamek jest uszkodzony. Ktoś musiał się przy nim napracować.

- Michelle uważa, że to któryś z pacjentów Robinsona chciał ukraść swoją kartę choroby.

- Nie mógł poprosić o jej wydanie? - spytał Noah.

- Dostałby kopię, ale oryginał pozostałby u mnie - wyjaśniła Michelle.

- Wątpię, by zrobił to pacjent. Karty pacjentów są poufne, wszyscy o tym wiedzą. I po co miałyby wszystko demolować? Wystarczyło włamać się i wyjąć ją z pudełka. Nie, to na pewno nie pacjent. A co na to doktor Robinson? Czy miał jakichś upier... trudnych pacjentów?

- Jeszcze nie odpowiedział na mój telefon - odparła Michelle. - Zadzwońię do niego jutro rano. Niedawno przeniósł się do Phoenix i pewnie jest zajęty urządzaniem.

- Daj Noahowi jego numer, niech on z nim pogada - zaproponował Theo. - Ludzie zwykle inaczej rozmawiają z agentami FBI. Ja nie potrafię być tak przekonujący jak on. Jest lepszy, jeśli chodzi o wyciąganie od kogoś informacji.

- Jasne - mruknął Noah. - Widziałem, jak Theo zmuszał dorosłych ludzi do płaczu - zwrócił się do Michelle. - To była niezła zabawa. Bezlitosny morderca, szef gangu, szlochał jak dziecko.

- Przesadzasz - stwierdził Theo.

- Wcale nie. Ale przeciętny obywatel nie wie, czym się zajmują prawnicy w ministerstwie. Prawdę mówiąc, ja też nie bardzo wiem. Co ty właściwie tam robisz poza zmuszaniem gangsterów do płaczu?

- Niewiele. Dużo pijemy...

- To oczywiste.

- I wymyślamy dla was robotę.

- No pewnie. - Noah spojrzął na Michelle. - Ci leniwi prawnicy zmuszają pełnych poświęcenia agentów, by wykonywali za nich całą brudną robotę.

- To się nazywa oddelegowanie. - Theo uśmiechnął się. - Robimy to po to, by jak najmniej ludzi czuło się pominiętych.

Zaczęli przerzucać się coraz wymyślniejszymi obelgami. Michelle słuchała ich z rozbawieniem.

- Nie mam zamiaru dłużej się tym przejmować - powiedziała, gdy rozmowa znowu zeszała na ambulatorium. - W końcu doszło do tego, że zaczęłam wyolbrzymiać całe zdarzenie.

- To znaczy? - spytał Noah.

- Zaczęło mi się wydawać, że ktoś mnie śledzi. Pewnie znasz to uczucie. Trudno je opisać.

- Na twoim miejscu nie lekceważyłbym tego - poradził jej Noah.

- Ale nikt mnie nie śledził - zaprotestowała. - Przecież bym zauważyła.

- Jeśli byłby dobry, to nie - odrzekł Noah.

- To bardzo mała społeczność. Obcy natychmiast rzuciłby się w oczy.

- Tak? A co powiedziałałabyś o gościu w furgonetcie z logo firmy telefonicznej? Też rzuciłby się w oczy? A co z tymi wszystkimi ludźmi, którzy przyjeżdżają tu na ryby? W kombiniezone wędkarskim i z wędką w ręku poznałabyś, że nie jest stąd?

Michelle wstała.

- Rozumiem twój punkt widzenia i jestem ci wdzięczna, że poświęciłeś swój czas, by obejrzeć ambulatorium, myślę jednak, że to był jednostkowy przypadek.

- A na czym opierasz swój sąd? - spytał Theo. - Na pobożnym życzeniu?

- To jest Bowen - odparła, ignorując sarkazm w jego głosie. - Gdyby ktoś miał do mnie jakieś pretensje, powiedziałyby mi. Teraz, kiedy to przemyślałam, nie będę już podskakiwać na widok cienia. I przypominam ci, że nic więcej się nie zdarzyło - dodała pośpiesznie, widząc, że chce jej przerwać. - Szukasz spisku, ale tu go nie znajdziesz. - Odwróciła się do Noaha. - Naprawdę bardzo ci dziękuję, że przyjechałeś do Bowen.

- Nie musisz mi dziękować - powiedział. - Szczerze mówiąc, nie zrobiłem tego bezinteresownie. Theo zgodził się pojechać ze mną do Biloxi. Wygłosi za mnie referat. Przejechałem taki szmat drogi, by się od niego wykręcić. Muszę dokończyć to szkolenie, ale przynajmniej nie będę musiał pisać referatu.

- Kiedy musisz wrócić?
 - W poniedziałek.
- Odwrociła się, by ukryć rozczarowanie.
- Noah patrzył, jak dziewczyna odchodzi.
- Cholera, Theo, ona jest wspaniała. Skoro mam zostać tu kilka dni, masz we mnie konkurenta. Zawsze byłem pies na rude.
 - Ty jesteś pies na wszystko, co nosi spódniczki.
 - Nieprawda. Pamiętasz sprawę Donovan? Patty Donovan nosiła spódniczki, ale na mnie nie działała.
- Theo wzniosł oczy do sufitu.
- Patty to transwestyta. On na nikogo nie działał.
 - Trzeba przyznać, że miał niezłe nogi - stwierdził Noah. -
- Powiedz mi, co jest między tobą i Michelle.
- Nic.
 - Wielka szkoda.
 - Nie powiedziałeś mi, jaki jest temat tego referatu - powiedział Theo w nadziei, że przyjaciel zmieni temat.
 - Panowanie nad gniewem - wyjaśnił Noah.
- Theo parsknął śmiechem.
- Czy to pomysł twojego szefa?
 - A niby czyj? Znasz Morgensterna. Ma zwichrowane poczucie humoru. Wysłał mnie na ten kurs za karę.
 - A co zrobiłeś?
 - Lepiej, żebyś nie wiedział. Morgenstern mógłby cię wykorzystać.
 - W końcu wyszło szydło z worka. Czy Pete prosił, żebyś ze mną porozmawiał?
 - Coś tam wspominał. - Noah wzruszył ramionami.
 - Powiedz mu, że nie jestem zainteresowany.
 - Podoba mu się twój sposób myślenia.
 - Nie interesuje mnie to.
 - Jesteś zadowolony z tego, co robisz?
- Theo pokręcił głową.
- Mam dość. Wracam do biura, zapinam sprawy na ostatni guzik i składam rezygnację.
 - Chyba żartujesz?
 - Nie żartuję. To już przeszłość.
 - Więc co zamierzasz robić?
 - Mam kilka pomysłów.
 - Czy jeden z nich ma rude włosy?

Theo nie odpowiedział. Zanim przyjaciel zdążył go przycisnąć, do stolika podszedł młody człowiek i spytał, czy Theo mógłby udzielić mu porady prawnej.

- Jasne. Usiądźmy przy barze. - Theo wstał, rozprostował ramiona, po czym wszedł za kontuar, by nalać sobie piwa. - W czym mogę pomóc?

Pięć minut później miał ochotę walnąć faceta w gębę. Noah dostrzegł wyraz jego twarzy i podszedł, by dowiedzieć się, o co chodzi.

- Czy to Jake pana przysłał? - spytał Theo.

- Nie, ale słyszałem, że pomaga pan ludziom, którzy mają kłopoty z prawem.

- O co chodzi? - spytał Noah. Otworzył butelkę z piwem, wrzucił kapsel do kosza na śmiecie i podszedł do przyjaciela.

- To jest Cory - wyjaśnił Theo. - Ma dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę.

Noah przyjrzał się nieciekawie wyglądającemu młodzieńcowi. Przypominał raczej niechlujnego nastolatka niż ojca rodziny. Miał długie, tłuste blond włosy opadające na oczy i złote zęby.

- Ile ma pan lat? - spytał Noah.

- W przyszłym miesiącu skończę dwadzieścia dwa.

- I ma pan już dwoje dzieci?

- Zgadza się. Ponad sześć miesięcy temu rozwiodłem się z Emily, bo poznałem inną kobietę. Ma na imię Nora i chce, żebyśmy się pobrali. Jestem gotów to zrobić, ale Emily uważa, że powinienem płacić na dzieci, co według mnie jest nie fair.

- I chce pan, żebym panu poradził, jak się wykręcić od płacenia alimentów?

- Zgadza się. To teraz jej dzieciaki, mieszkają z nią, a ja jestem gotowy zrobić następny krok.

Theo zacisnął zęby, a mięśnie szczęki mu stężały. Michelle stała w drzwiach kuchni z pustym dzbankiem w ręku. Słyszała całą rozmowę i domyśliła się, że Theo jest zły. Ton jego głosu nadal był miły i uprzejmy.

- Cory jest gotowy zrobić następny krok - powiedział do Noaha.

- A ty jesteś gotowy mu pomóc? - spytał przyjaciel, odstawiając butelkę z piwem na kontuar.

- Pewnie, że tak - odparł Theo.

- Pozwolisz? - spytał z uśmiechem Noah.

- Otwórz drzwi.

Michelle postąpiła krok w przód i znieruchomiała. Reakcja Theo była błyskawiczna. W jednej chwili uśmiechał się do przyjaciela, w następnej chwycił chłopaka za kark i spodnie i pchnął w stronę drzwi. Noah podbiegł, otworzył je i cofnął się, by Theo mógł wyrzucić młodzieńca na dwór.

- To dopiero był krok - rzekł, zamykając drzwi. - Mały kutafon.

- Fakt - przyznał Theo.

- Wiesz, co mnie zdziwiło? Jak taki śmierdzący flejus może mieć dwie kobiety?

- Są gusta i guściki. - Theo zaśmiał się.

Kiedy szli w stronę baru, drzwi otworzyły się z impetem i do środka wpadło trzech mężczyzn. Ostatni wyglądał jak wykidajło, który zbyt często obrywa po gębie. Miał co najmniej dwa metry wzrostu, zgrubienia na nosie, świadczące o wielokrotnym złamaniu, ponurą minę i trzymał w ręku kij baseballowy.

- Który to dupek nazywa się Theo Buchanan?

Noah odwrócił się i utkwiał wzrok w kiju baseballowym. Michelle zauważyła, że sięga ręką w tył i odpina pasek podtrzymujący pistolet.

Bar opustoszał w mgnieniu oka. Nawet Paulie, który nigdy się nie spieszył, zniknął za drzwiami.

- Michelle, idź do kuchni i zamknij drzwi - polecił Theo. - To ja jestem Theo Buchanan - powiedział. - A który z was to Jim Carson?

- Ja - odparł najniższy z całej trójki.

- Miałem nadzieję, że pan wpadnie.

- Za kogo ty się uważasz? - spytał podniesionym głosem Jim.

- Już mówiłem, kim jestem. Nie słyszał pan?

- Cwaniaczek, co? Myśli sobie, że zablokuje moje konto, żeby nie mógł wyjąć z niego ani centa. Myślisz, że ci się to uda?

- Już mi się udało - odparł spokojnie Theo.

Jim Carson był bardzo podobny do brata: niski, krępy, o zbyt blisko osadzonych oczach i okrągłej niczym księżyc twarzy. Tylko nie uśmiechał się jak brat. Gary promieniował fałszywą serdecznością, Jim zaś był mistrzem grubiaństwa. Postąpił krok w stronę Theo i cisnął w niego stekiem najbardziej plugawych wyzwisk.

- Pożałujesz, że wmiszałeś się do mojego interesu - oznajmił na koniec. - Gary i ja zamkniemy młyn i miasto cię zlincuje.

- Na pana miejscu starałbym się, żeby mi włos z głowy nie

spadł. Ile już razy straszycie pracowników, że jesteście na granicy bankructwa? Ciekawe, co sobie pomyśla, gdy się dowiedzą, jaki macie roczny dochód i ile ukryliście.

- Nasze dochody to poufna sprawa! - wrzasnął Jim. - Może pan o nich wiedzieć, ale jest pan tu obcy. Nikt w to nie uwierzy.

- Ludzie zwykli wierzyć w słowo pisane.

- O czym pan mówi?

- Napisałem krótką notatkę do niedzielnego numeru - wyjaśnił Theo. - Oczywiście starałem się być tak dokładny, jak to tylko możliwe. Mogę panu przesłać kopię do autoryzacji. Osobiście uważam, że to mój najlepszy artykuł. Spisałem w nim każdego centa, którego zarobiliście przez ostatnie pięć lat.

- Nie może pan tego zrobić. To poufne informacje - powtórzył Jim.

Theo spojrzął na Noaha.

- Wiesz co, powinienem jeszcze dopisać zwroty podatku za ostatnie pięć lat.

- Jesteś skończony, Buchanan. Nie będziesz więcej sprawiał kłopotów. - Jim był tak zły, że na czole wystąpiły mu kropelki potu.

Wkrótce pewnie zaczniesz toczyć pianę z pyska, pomyślał Theo.

- Jeszcze nie zacząłem sprawiać kłopotów, Jim. Kiedy skończę z tobą i twoim bratem, wasi pracownicy staną się właścicielami młyna. I stanie się to bardzo szybko - dodał. - A wy pójdziecie na bruk. Odłożysz teraz ten kij? - spytał Noah olbrzyma ze złamanym nosem.

- A gównu. Najpierw muszę zrobić z niego użytek. Prawda, panie Carson?

- Tak jest, Szczęściarzu.

- Szczęściarzu? - Theo roześmiał się.

- Dziwny jest ten świat - stwierdził Noah.

- Mam zamiar połamać nogi Buchananowi - oświadczył Szczęściarz. - Tobie też dołożę - zwrócił się do Noaha. - Więc przestań się ze mnie śmiać, bo pożałujesz.

Noah nie spuszczał z oka trzeciego mężczyzny. Był równie wysoki jak Szczęściarz, ale chudy i żylasty, z wielkimi jak kalafiorzy uszami. Obaj wyglądali jak rzeźmieszki, lecz, zdaniem Noaha, to Kalafior stanowił prawdziwe zagrożenie. Pewnie miał gdzieś ukrytą broń. Tak, to on mógł sprawić im kłopot i z pewnością był kartą atutową Jima, na wypadek gdyby Szczęściarzowi się nie udało.

Bokser trzasnął kijem o wnętrze dłoni, co zirykowało Noaha.

- Odłóż ten kij - powtórzył.
- Najpierw muszę poprzetrząść komuś kulasy.

Noah uśmiechnął się szeroko; wyglądał, jakby właśnie wygrał na loterii.

- Wiesz co, Theo?
- Co?
- Ja nazwałbym to groźbą. Nie powiedziałaśbyś, że to groźba? Jako prokurator Ministerstwa Sprawiedliwości chyba lepiej się na tym znasz niż ja, szeregowy agent FBI. To były groźby?

Theo domyślił się, do czego przyjaciel zmierza. Właśnie poinformował całą trójkę, z kim mają do czynienia, żeby potem, kiedy ich zamkną, nie zaślaniali się niewiedzą.

- Tak, muszę stwierdzić, że to były groźby.
- Słuchaj, cwaniaczku - zwrócił się Jim do Noaha. - Jeśli wejdiesz mi w drogę, z przyjemnością dołożę i tobie. - Pokiwał Noahowi przed nosem grubym paluchem.

- Może powinniśmy pozwolić, żeby któryś z nich nas uderzył - zaproponował Noah. - Lepiej wyglądałoby to w sądzie.

- Załatwię tę sprawę bez bicia. Chyba że chcesz oberwać.
- Nie, nie chcę oberwać. Chciałem tylko powiedzieć...
- Myślisz, że to zabawa, synku? - ryknął Jim. Zrobił kolejny krok w przód i puknął Noaha w ramię. - Zetrę ci ten bezczelny uśmieszek z twarzy, ty sukin...

Nie dokończył groźby, bo Noah zareagował tak szybko, iż jego przeciwnik nie zdążył nawet mrugnąć okiem. Zresztą potem też nie mógł. Wrzasnął i zamarł w bezruchu, bo Noah przyłożył mu lufę pistoletu do oka.

- Jak chciałeś nazwać moją matkę? - spytał cicho Noah.
- Nie... nie wiem - wyjąkał Jim.

Szczęściarz uniósł kij, a Kalafior obrócił się i sięgnął ręką do kieszeni.

Głośny szcęk repetowanej broni przyciągnął uwagę wszystkich. Michelle stała za barem, ze strzelbą wycelowaną w Kalafiora. Theo jednym skokiem znalazł się przy nim i wyciągnął mu broń zza paska.

- Prosiłem, żebyś poszła do kuchni - zwrócił się do Michelle.
- Owszem, proszę.
- Kalafior usiłował odzyskać broń.
- Mam na niego pozwolenie. Oddawaj.

- Bardzo głupia uwaga - mruknął Theo, a gdy Kalafior rzucił się na niego, wykonał zwrot i wbił mu dwa palce tuż poniżej jabłka Adama. Mężczyzna zatoczył się, a wówczas Theo uderzył go w kark. Kalafior osunął się na podłogę. - Nie znoszę głupich ludzi - stwierdził Theo.

- Jim, będę musiał cię zastrzelić, jeżeli Szczęściarz nie odłoży tego kija - powiedział Noah.
- Zrób to, Szczęściarz.
- Ale, panie Carson, powiedział pan...
- Zapomnij, co ci powiedziałem. Rzuć ten kij. - Jim próbował się cofnąć, ale Noah nie dopuścił do tego. - Proszę, zabierz tę pukawkę. Nie chcę, żebyś odstrzelił mi mózg.

- Jeśli w ogóle go masz - odpowiedział Noah. - Nie mam co do tego pewności. Co ty sobie myślałeś, przychodząc tu z tymi zbirami? Byłeś tak pewny siebie, że nie wzięłeś pod uwagę świadków? A może byłeś zbyt głupi, by się tym przejmować.

- Poniosło mnie... Nie pomyślałem... Chciałem tylko... - Przystał się jękać, jak tylko Noah cofnął pistolet, i zamrugał gwałtownie. - Czy Harry nie żyje? - spytał. - Jeżeli go zabiliscie...

- Jeszcze oddycha - odparł Noah. - Nie każ mi znowu prosić, Szczęściarzu, i rzuć ten kij.

Olbrzym z nieszczęśliwą miną cisnął kij na stół. Skoro nie mógł połamać nóg, postanowił coś rozwalić. Wtedy może Jim Carson mu zapłaci. Kij uderzył o kant stołu, odbił się od niego i trafił Szczęściarza w stopę. Biedak wrzasnął, chwycił się za stopę i zaczął skakać w kółko.

Theo oddał przyjacielowi broń Harry'ego i roztarł dłoni.

- Posadź Jima na krzesło - powiedział i podszedł do baru. - Michelle, co ty, u licha, robisz z tym obrzynkiem? Odłóż go, zanim zrobisz komuś krzywdę. Skąd go masz?

- Należy do taty.
- Więc skąd tata go ma? - spytał, starając się zachować cierpliwość.

Zaczął się zachowywać jak prokurator, przez co dziewczyna poczuła się jak przestępca.

- Tata nigdy go nie użył. Czasami tylko nim pomacha, kiedy szykuje się jakaś bójka.
- Odpowiedz na pytanie.
- John Paul mu go dał, tak na wszelki wypadek. Nauczył nas, jak się nim posługiwać.

- Nie możecie go trzymać. To nielegalne.
 - Zaraz go odłożę.
 - Nie, oddasz go Noahowi i pozwolisz, by się go pozbył. - Theo odebrał jej broń. - Tym obrzynkiem można zabić nosorożca z dziesięciu metrów.
 - Albo aligatora.
 - Tak? A czy jakieś aligatory były się ostatnio w barze?
 - Nie, oczywiście, że nie, ale...
 - Wiesz, ile lat mógłby twój tata za to dostać?
- Splotła ręce na piersi.
- W Bowen inaczej patrzymy na te sprawy.
 - Z tego, co wiem, to Bowen jest częścią Stanów Zjednoczonych, co znaczy, że obowiązują was te same prawa. Skąd twój brat zdobył coś takiego?
 - Nie waż się wpędzać mojego brata w kłopoty. Jest dobrym, wrażliwym człowiekiem i nie pozwolę ci...
 - Odpowiedz na pytanie. - Nie był w nastroju do wysłuchiwanie wzniosłych tyrad.
 - Nie wiem, skąd go ma. Chyba sam zrobił i jeśli go zabierzesz, da tacie drugi.
- Zaczęła mu drgać powieka. Michelle zdawała sobie sprawę, że jest wściekły, ale miała to w nosie. Co niby ojciec miał robić, gdyby sprawy w barze wymknęły się spod kontroli? Załamywać ręce, patrząc, jak demolują mu bar? Poza tym nigdy nikogo nie zastrzelił, a trzask repetowanej broni wystarczała, by uspokoić rozpalone głowy.
- Twój ojciec i brat łamią prawo.
 - Ta strzelba jest moja - oznajmiła. - Ja ją zrobiłam i ja włożyłam ją pod ladę. Tata nic o niej nie wie. Więc proszę, aresztuj mnie.
 - To nieładnie okłamywać przedstawiciela Ministerstwa Sprawiedliwości.
 - Zapamiętam to sobie.
 - A skąd twój brat tyle wie o broni?
 - Nie lubi o tym mówić, ale kiedyś powiedział tacie, że był w specjalnych oddziałach marines.
 - Specjalnych? Nie żartuj.
 - Nie będę z tobą dyskutować o mojej rodzinie i to nie twoja sprawa.
 - Ależ tak, moja.

- Dlaczego?
- Przysunął się bliżej.
- Nie przeciągaj struny - szepnął jej do ucha.
- Theo zrozumiał, że z nią nie wygra. Nie dała się zastraszyć, w każdym razie nie przez niego. Stała twardo na ziemi i patrzyła mu prosto w oczy. Było to irytujące, ale zdawał sobie sprawę, że będzie musiał ustąpić. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy i nie było przyjemne.
- Mam wezwać policję? - spytała.
 - Nie zamierzam cię aresztować.
 - Nie mówiłam o mnie - odparła zniecierpliwionym tonem. - Pomyślałam, że może chciałbyś, żeby policja zabrała tych trzech fagasów.
 - Co? A tak, wezwij ich, ale dopiero za chwilę. Najpierw muszę trochę popertraktować.
- Noah schował już broń i stał nad Jimem. Theo wziął krzesło i usiadł na wprost niego.
- Ma pan ze sobą telefon?
 - A jeśli mam? - spytał zaczepnym tonem Jim.
 - Niech pan zadzwoni do brata i powie mu, żeby tu przyjechał.
 - Nie będzie mi pan mówił, co mam robić.
 - Owszem, będę - odparł Theo. - Mam pan poważne kłopoty. Groził pan agentowi FBI.
 - Niech pan się zwróci do moich adwokatów - odparował buńczucznie Jim. - Załatwią to tak, że nie przesiedzę nawet dnia za kratkami.
 - Nie znam zbyt wielu adwokatów, którzy pracują za darmo. Wątpię, czy będą chcieli pomóc, gdy się dowiedzą, że nie ma pan czym zapłacić.
- Jim wyjął telefon komórkowy i wybrał numer brata.
- Nie przyjdzie - oznajmił. - Gary nie lubi nieprzyjemnych spraw.
 - Trudno. Niech pan powie Gary'emu, żeby zjawił się tu za dziesięć minut, w przeciwnym razie przyjedzie po niego policja i zabierze was obu do więzienia. Albo się porozumiemy, albo posiedzicie kilka miesięcy za kratkami. Zapewniam cię, Jim, że mam dość siły, by cię tam zatrzymać.
- Gary w końcu odebrał telefon. Głos Jima drżał, gdy rozmawiał z bratem.
- Musisz zaraz przyjechać Pod Łabędzia. Nie dyskutuj. Po

prostu przyjeżdż. Wszystko wyjaśnię ci na miejscu. - Słuchał przez chwilę. - Nie, do diabła, nie poszło tak, jak planowaliśmy. Buchanan i jeszcze jeden gość z FBI grożą, że zamkną nas obu. - Gary znów coś powiedział. - Drobnie niepowodzenie? Nazywasz federalnych drobnym niepowodzeniem? Przystań kłapać gębą i przyjeżdżaj. - Wyłączył telefon i spojrzął na Theo. - Już jedzie.

Noah dostrzegł przez ono, że na parking zajeżdża wóz policyjny.

- Gliny przyjechały - poinformował przyjaciół.

Michelle złapała obrzynek i schowała go pod ladę.

- Ja ich nie wzywałam.

Harry nadal był nieprzytomny, ale oddychał. Szczęściarz siedział przy stoliku z głową ukrytą w dłoniach.

Noah wyszedł na dwór. Po kilku minutach wrócił w towarzystwie Bena Nelsona. Musiał wprowadzić go w sprawę, bo Ben nawet nie spojrzął na Harry'ego. Całą uwagę skupił na Michelle.

- Wszystko w porządku? - spytał z wyraźną troską w głosie.

- Tak, Ben. Kto cię wezwał? Paulie?

- Nikt mnie nie wzywał. Po prostu wpadłem cię zobaczyć.

Theo nie spodobały się te słowa. Kiedy Ben ruszył w stronę baru, zablokował mu drogę. Dziewczyna dokonała prezentacji, chociaż nie było to konieczne. Theo wiedział, kim jest Ben - mężczyzną, który jej pragnął.

Nigdy nie zwracał uwagi na wygląd mężczyzn i nie miał pojęcia, czy kobiety uważają Bena za przystojnego. Szeryf miał miły uśmiech i wszystkie zęby, tyle tylko mógł o nim powiedzieć. Wyglądał na sympatycznego gościa. Nie miało to jednak znaczenia. Theo zobaczył, że uśmiecha się do Michelle, i natychmiast poczuł do niego niechęć. Zmusił się, by podać mu rękę, i dał do zrozumienia, kto tu rządzi.

Noah przyglądał się temu z wyraźnym rozbawieniem. Zachowywali się jak dwa koguty szykujące się do walki. Nie musiał się nawet zastanawiać, kto jest tego powodem.

- Mieszka pan u Michelle, tak? - Z twarzy Bena zniknęła uśmiech.

- Tak.

- Jak długo zamierza pan tu zostać, panie Buchanan?

- Jeszcze nie wiem. Czemu pan o to pyta?

- Mamy kilka przyjemnych moteli w St. Claire.

- Naprawdę?

- Theo wyjeżdża w poniedziałek - poinformowała Michelle. - Prawda? - spytała z nutą wyzwania w głosie.

- Być może.

Zirytowała ją ta wymijająca odpowiedź.

- Ma wygłosić referat w Biloxi - dodała. - Wyjeżdża w poniedziałek rano.

- Być może - powtórzył Theo.

Jeżeli jeszcze raz to powie, zacznę krzyczeć, pomyślała, po czym złapała pusty dzbanek po herbacie i uciekła do kuchni.

Theo wyjaśnił Benowi, kim są Harry i Szczęściarz, Noah poinformował ich o przysługujących im prawach, a potem zakuł w kajdanki.

- A co z Jimem Carsonem? - spytał Ben. - Złoży pan przeciw niemu oskarżenie?

Theo wiedział, że Jim ich słucha.

- Oczywiście - odrzekł. - Ale chciałbym go tu zatrzymać do przyjazdu brata. Chcę z nimi porozmawiać. Jeśli nie będą współpracować... - Rozmyślnie zawiesił głos.

- Będziemy współpracowali - zapewnił pospiesznie Jim.

Ben okazał się lepszym człowiekiem od Theo. Przed wyjściem podał mu rękę. Theo uznał, że zachował się jak zazdrosny kochanek.

- Dziękuję za pomoc - powiedział.

Szeryf wyprowadził Szczęściarza z baru, a Noah obudził Harry'ego i zaciągnął do radiowozu.

Theo zerknął w stronę kuchni. Michelle myła coś w zlewie. Wziął krzesło i usiadł na nim okrakiem, czekając na przyjazd drugiego z braci Carsonów.

Dziewczyna uznała, że musi się czymś zająć, by nie myśleć o Theo. Napełniła stalowy zlew gorącą wodą i płynem do mycia. Ojciec posprzątał kuchnię, mimo to jeszcze raz wytarła każdą powierzchnię. Kiedy zdjęła rękawiczki, zauważyła tłuszcz na miedzianym wyciągu. Rozkręciła go i starannie wyczyściła każdą część. Ponowne złożenie wyciągu trwało nieco dłużej, bo bez przerwy zaglądała do baru. W pewnej chwili zobaczyła wchodzącego Gary'ego Carsona w towarzystwie adwokatów.

Wróciła do kuchni i umyła jeszcze parę rzeczy. Potem spłukała gumowe rękawiczki. Uświadomiła sobie, że wcale nie jest zmęczona; wprost przeciwnie, teraz chętnie przeprowadziłaby jakąś operację. Wtedy nie musiałaby o niczym myśleć. Nie słyszeć

toczących się wokół niej rozmów, kiepskich dowcipów, śmiechu. Był tylko Willie Nelson i ona. Otaczał ją ochronnym kokonem przez cały czas trwania operacji, do ostatniego szwu. Dopiero wówczas otwierała się na świat.

- Weź się w garść - mruknęła.
- Mówiłaś coś?

W drzwiach stał Noah. Podeszedł do zlewu i postawił na blacie trzy szklanki.

- Nie, nic. Która godzina?
 - Parę minut po pierwszej. Wyglądasz na zmęczoną.
- Odsunęła z oczu pasmo włosów i wytarła ręce.
- Nie jestem zmęczona. Jak myślisz, ile jeszcze to potrwa?
 - Niedługo. Odwieźć cię do domu? Theo może zamknąć bar.
- Pokręciła przecząco głową.

- Zaczekam.

Noah ruszył do drzwi, po czym się zatrzymał.

- Michelle.
- Tak?
- Do poniedziałku jeszcze dużo czasu.

26

Po powrocie do motelu Monk zatelefonował do Nowego Orleanu.

- Słucham? - rozległ się zaspany głos Dallas.
- Niespodziankom nie ma końca.
- O czym ty mówisz?
- Z Buchananem jest agent FBI.
- O Boże! Podaj mi jego nazwisko.
- Jeszcze go nie znam. Słyszałem, jak jacyś faceci o nim mówili.
- Wiesz, co on tam robi?
- Jeszcze nie, ale zdaje się, że mówili coś o łowieniu ryb.
- Uważaj na siebie - powiedziała zaniepokojona Dallas. -

Dam ci znać.

- A, i jeszcze jedno. Mam informację, która może się okazać przydatna.

- Lepiej, żeby była dobra - stwierdziła Dallas.

Opowiedział o Carsonach i dwóch wykidajkach w barze.

- Słyszałem, jak jeden z nich mówił policjantowi, że nie chciał zabić Buchanana, jedynie zranić. Moglibyśmy zrobić z tych Carsonów kozłów ofiarnych.

- Tak, dzięki.

- Cała przyjemność po mojej stronie - rzucił sarkastycznie.

Rozłączył się, nastawił budzik i zamknął oczy. Usnął, myśląc o pieniądzach.

Po raz pierwszy w życiu Michelle nie mogła zasnąć, a wszystko przez Theo Buchanana. To była jego wina, bo natrętnie wkradł się w jej myśli i nie dawał spokoju. Kręciła się, wybijała poduszki, przewracała z boku na bok. Łóżko wyglądało jak po przejściu cyklonu.

W końcu, aby wyrzucić z głowy pożądlive myśli, zmieniła pościel i wzięła długi gorący prysznic. Nic to jednak nie pomogło, zeszła więc do kuchni i napiła się gorącego mleka. Z trudnością je w siebie wlała, zastanawiając się, jak można pić gorące mleko, skoro zimne jest znacznie lepsze.

Theo nie dał znaku życia, odkąd zamknął za sobą drzwi pokoju. Pewnie smacznie spał snem niewiniątka.

Wróciła na górę, starając się go nie obudzić, umyła zęby, po czym otworzyła okno sypialni, by posłuchać odgłosów zbliżającej się burzy.

Włożyła jedwabną różową koszulę, bo bawełniana drażniła jej ciało, i z mocnym postanowieniem, że już więcej nie wstanie, wsunęła się pod prześcieradło. Obciągnęła koszulę i poprawiła cienkie ramiączka. Teraz wszystko było w idealnym stanie. Złożyła dłonie na brzuchu, zamknęła oczy i zaczęła spokojnie oddychać. Przerwała, gdy poczuła, że kręci jej się w głowie. Pod stopą poczuła zmarszczkę. Nie myśl o tym. Czas spać. Odpręż się, do cholery.

Minęło piętnaście minut, a ona wciąż nie mogła usnąć. Jej ciało było rozpalone, pościel wilgotna i miała ochotę rozpłakać się ze zmęczenia.

W przypływie rozpaczycy zabrała się za liczenie owiec, ale przerwała, gdy zorientowała się, że liczy coraz szybciej. Liczenie

owiec jest jak żucie gumy. Nigdy tego nie robiła, bo podświadomie usiłowała ją pogryźć, żuła więc coraz szybciej i szybciej, co oczywiście mijało się z celem.

Co też przychodzi człowiekowi do głowy, kiedy jest zakochany? Powinna specjalizować się w psychiatrii. Może wówczas dowiedziałaby się, dlaczego zaczyna tracić rozum.

Telewizja. Tak, poogląda telewizję. W nocy nigdy nie było nic ciekawego. Na pewno znajdzie jakieś telezakupy na którymś z programów. Tego właśnie było jej trzeba. Na pewno podziała lepiej niż pigułka nasenna.

Odrzuciła prześcieradło, ściągnęła z łóżka koc i podeszła do drzwi. Skrzypnęły, kiedy je otwierała. Czemu wcześniej nie zwróciła na to uwagi? Rzuciła koc na krzesło, wyszła na korytarz, ukłękła i powolutku zamknęła drzwi. Pewnie piszczy dolny zawias. Przystawiła do niego ucho i poruszyła drzwiami. Tak, miała rację. Postanowiła sprawdzić jeszcze górny. Stanęła na palcach i ponownie poruszyła drzwiami. Ten też trochę skrzypiał. Gdzie postawiła puszkę z WD-40? Mogłaby to zaraz naprawić, gdyby sobie przypomniała, gdzie ostatnio widziała puszkę ze smarem. Chwileczkę... Tak, w garażu. Postawiła ją na półce w garażu.

- Nie możesz spać?

Śmiertelnie ją przestraszył. Drgnęła, bezwiednie przyciągnęła drzwi i uderzyła się nimi w głowę.

- Auć! - szepnęła, puściła gałkę i sięgnęła do czoła, by sprawdzić, czy go sobie nie rozcięła.

Wtedy się odwróciła i zamarła. Stał w drzwiach z rękoma skrzyżowanymi na piersi i jedną bosą stopą przed drugą. Miał rozczochrane włosy, zarost na policzkach i wyglądał, jakby dopiero się obudził. Włożył dżinsy, ale nie zapiął suwaka. Wyglądał niebywale pociągająco.

Utkwiła wzrok w wąskim otworze spodni i natychmiast uciekła spojrzeniem w bok. Popatrzyła na jego tors, uświadomiła sobie, że to błąd, i spojrzała w dół na stopy. Miał wielkie stopy. Ratunku! - zawołała w myślach, bo i stopy jej nie uspokoiły. Powinna się leczyć, to nienormalne, żeby mężczyzna przyprowadził ją o takie szaleństwo.

Ale on nie był zwykłym mężczyzną. Od początku zdawała sobie sprawę z niebezpiecznego uroku, jaki wokół siebie roztaczał. To przez to cholerne ogrodzenie, które kupił Johnowi Patrickowi. Gdyby nie ono, zdołałaby się oprzeć. Teraz jest już za późno.

Jęknęła cicho. Nadal uważała go za palanta, ale i tak się w nim zakochała.

Przełknęła z trudem ślinę. Wyglądał tak, że mogłaby... Uważaj Spojrzała mu w oczy. Zapragnęła, by porwał ją w muskularni ramiona, pozbawił tchu pocałunkiem i zaniósł do łóżka. Potem zdjął z niej koszulę i pieścił każdy centymetr jej ciała. Mogłaby pchnąć go na łóżko, ściągnąć spodnie i obsypać pieścizotami każdy skrawek jego ciała. Mogłaby...

- Michelle, co ty robisz? Jest w pół do trzeciej.

Taśma w głowie zatrzymała się z piskiem.

- Twoje drzwi nie skrzypią.

- Co takiego?

Wzruszyła ramionami i odsunęła z twarzy kosmyk włosów.

- Nie słyszałam cię, bo twoje drzwi nie skrzypią przy otwieraniu

Długo tu stoisz?

- Na tyle długo, by stwierdzić, że bawisz się drzwiami.

- Bo skrzypią.

- Tak, wiem, skrzypią.

- Przepraszam, Theo. Nie chciałam ci przeszkadzać, ale skoro nie śpisz...

- Tak?

- To może zagramy w karty?

Zamrugał, lecz po chwili uśmiechnął się leniwie, a jej zakręciło się w głowie.

- Nie, nie mam ochoty grać w karty. A ty?

- Niespecjalnie.

- To czemu pytasz?

Patrzył na nią tym swoim świdrującym wzrokiem, który wprawiał ją w zdenerwowanie, takie jak wtedy, gdy ją pocałował. Było to przyjemne i jednocześnie niemiłe uczucie, bo pragnęła, żeby ten pocałunek nigdy się nie skończył. Boże, cóż to za pokretne myślenie? Najwyraźniej traciła rozum. Ciekawe, czy będzie mogła się umówić na wizytę u psychiatry w szpitalu.

- Proszę, przestań tak na mnie patrzeć. - Poczuła, że żołądek jej się kurczy, i zacisnęła palce stóp.

- Jak?

- Nie wiem - mruknęła. - Nie mogę zasnąć. Może miałbyś ochotę coś zrobić, póki nie zechce mi się spać?

- A co proponujesz?

- Poza kartami?

- Hm.

- Mogłabym zrobić ci kanapkę.

- Nie, dziękuję.

- Naleśniki. Usmażę ci naleśniki.

Na skali od jednego do dziesięciu jej zdenerwowanie przekroczyło właśnie dziewięć. Czy on zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo go pragnie? Nie wolno jej o tym myśleć.

- Robię wspaniałe naleśniki.

- Nie jestem głodny.

- Nie jesteś głodny? Dziwne.

- Nie tym razem.

Zagryzła wargę, usiłując coś wymyślić.

- Telewizja - wypaliła, jakby właśnie odpowiedziała na pytanie za milion dolarów, a prowadzący wręczał jej czek.

- Co?

- Chciałbyś pooglądać telewizję?

- Nie.

Poczuła się tak, jakby właśnie wyrwał jej linę ratunkową z rąk.

- No to wymyśl coś. - Westchnęła.

- Coś, co moglibyśmy robić razem? Dopóki nie uśniesz?

- Tak.

- Chcę iść do łóżka.

Nawet nie usiłowała ukryć rozczarowania. Chyba wróci do liczenia tych śmierdzących owiec.

- Dobrze. W takim razie dobranoc.

Nie wrócił jednak do swojego pokoju. Oderwał się od framugi i pokonał dzielącą ich odległość ze zwinnością wielkiego kota. Sięgnął ręką do klamki i otworzył drzwi jej sypialni. Pachniał płynem po goleniu, mydłem i męzczyzną. Była to wyjątkowo podniecająca kombinacja.

Wziął ją za rękę, lecz tak lekko, że bez trudu mogłaby ją cofnąć -gdyby chciała. Tymczasem chwyciła ją mocno. Pociągnął dziewczynę do sypialni, zamknął drzwi, przycisnął ją do nich i oparł dłonie po obu stronach jej twarzy. Drewno było takie chłodne, a jego ciało gorące.

Zanurzył twarz w jej włosach.

- Cudownie pachniesz - szepnął.

- Myślałam, że chcesz spać.

Pocałował ją w zagłębienie szyi.

- Nic takiego nie mówiłem.

- Mów...mówiłeś.
 - Nie - powtórzył. Dotknął wargami wrażliwego miejsca za uchem, wprawiając w drżenie jej ciało. Wstrzymała oddech, kiedy delikatnie chwycił zębami koniuszek ucha.

- Nie? - wymruczała.
 - Powiedziałem, że chcę iść do łóżka. A ty powiedziałaś...
 Ujął w dłoń jej twarz i spojrzął w oczy. - Dobrze - dokończył.
 Była stracona i doskonale o tym wiedziała. Przywarł wargami do jej ust w długim, gorącym, namiętnym pocałunku, który mówił o tym, jak bardzo jej pragnie. Rozsunęła wargi i poczuła dreszcz rozkoszy przebiegający przez całe ciało, kiedy wsunął język w jej wnętrze. Objęła Theo w talii i zaczęła przesuwając dłońmi po plecach. Poruszyła biodrami, a wówczas jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

Pocałunek trwał i trwał, aż w końcu jej ciało zapłonęło jak pochodnia. To było coś niesamowitego, a zarazem przerażającego. Nigdy dotąd nie doświadczała takiej namiętności, nigdy nie czuła tak wielkiego pragnienia, by stopić się w jedno. Jakże go kochała!

Kiedy uniosł głowę, oboje zdyszeli spazmatycznie. Dostrzegł żyły w jej oczach i znieruchomiał.

- Michelle, mam przestać?
 Potrząsnęła przecząco głową.
 - Umarłabym, gdybyś przestał.
 - Nie możemy do tego dopuścić - powiedział schrypniętym głosem.

Szarpnęła za jego dzinsy, usiłując bez powodzenia ściągnąć je w dół.

- Zwolnij, skarbie. Mamy przed sobą całą noc.
 I w tym tkwił problem. Chciała, żeby to była więcej niż jedna noc. Pragnęła, by trwała wiecznie. Wiedziała jednak, że to niemożliwe, postanowiła więc przyjąć to, co jej ofiarował, i rozkoszować się wspólnie przeżywanymi chwilami. Będzie go kochała miłością, której nie była w stanie dać żadna inna kobieta: sercem, ciałem i duszą. A kiedy od niej odejdzie, na zawsze zachowa go w pamięci.
 Przywarli do siebie w następnym długim pocałunku, który tylko wzmógł ich pożądanie. W końcu Theo oderwał się od niej, cofnął się o krok i zsunął dzinsy. Wciągnęła gwałtownie powietrze. Był pięknie zbudowany. Jego ciało połyskiwało w świetle księżyca niczym złoto. Sięgnęła do ramiączek koszuli.

- Pozwól. - Zdjął jej koszulę przez głowę i rzucił na podłogę.

Marzyłem o tobie - wyszeptał. - Twoje ciało jest piękniejsze niż w moich marzeniach. I tak wspaniale czuć cię przy sobie.

- Opowiedz, co robimy w twoich marzeniach, a ja opowiem ci o swoich.

- Nie - szepnął. - Wolę ci to pokazać.

Jego pierś drażniła jej sutki. Michelle przysunęła się bliżej. Nabrzmiwały członek napierał na jej uda. Cudownie było czuć go przy sobie.

- W moich marzeniach robię to.

Wziął ją na ręce, zaniósł do łóżka i ułożył się między jej nogami. Całował ją, aż zaczęła się pod nim wić. Wtedy przewrócił się na bok i dotknął brzucha, obwiodł palcami pępek i zsunął się niżej. Wstrzymała oddech.

- Nie! - szepnęła.

- Nie podoba ci się?

Jego palce wywoływały magiczne doznania.

- Podoba, ale jeśli nie przestaniesz, to... - Nie była w stanie mówić dalej. Doprowadzał ją do szaleństwa, drażniąc, muskając i przygotowując do tego, co miało nastąpić.

Pochylił się i pocałował wąski przesmyk między piersiami.

- W moim marzeniu robię to.

Obsypał pocałunkami każdą pierś, pieszcząc językiem sutki, aż wygięła ciało w łuk. Wbiła mu palce w ramiona, próbując odpechnąć, by teraz ona mogła doprowadzić go do szaleństwa, lecz nie pozwolił jej na to.

W jego wyobraźni to ona doszła pierwsza, wyjaśnił. Pocałunkami pokonał jej opór, a potem wolno zsunął się w dół, pieszcząc wargami brzuch, drażniąc językiem pępek i na koniec zatrzymał się między jedwabistymi udami.

Wrażenie było upajające, a spełnienie wszechogarniające. Krzyknęła i przywarła do niego, czując, jak rozkosz rozlewa się po całym ciele.

Był nadzwyczajnym kochankiem, delikatnym i hojnym. Po chwili znowu ją rozpalił, kiedy jednak dotarła na szczyt, zatrzymał się.

- Zaczekaj, skarbie. Zaraz wracam.

- Nie przerywaj. Nie...

Pocałował ją.

- Muszę się zabezpieczyć.

I odszedł. Zamknęła oczy. Jej ciało tonęło w ogniu, a mimo to

drżała, bo nie czuła już jego ciepła. Sięgnęła po prześcieradło, lecz w tym momencie wrócił Theo i przykrył ją swoim ciałem. Miała wrażenie, że trwała to wieczność.

- Gdzie to ja byłem?

Zdumiało ją jego opanowanie. Zaraz jednak dostrzegła kropelki potu nad brwiami. Oczy miał zamglone i napięte mięśnie szczęki. Ponownie obudził w niej namiętność. Tym razem jednak usiłowała walczyć i zaczekać, aż on straci kontrolę nad sobą, lecz okazał się silniejszy. Teraz nie był już taki delikatny, zresztą wcale tego nie chciała. Przywarła do niego namiętnie, a on rozsunął jej nogi. uniósł lekko i wniknął w nią głęboko. Ukrył twarz w zagłębieniu jej szyi i jęknął głośno.

- Mogę przedłużyć rozkosz, jeśli mi pomożesz.

Uśmiechnęła się. Boże, on jest cudowny, pomyślała i poruszyła się.

- Nie... O Boże, zwolnij troszeczkę.

W odpowiedzi pchnęła biodrami z większą siłą i wygięła ciało w łuk. Theo nie był już w stanie panować nad sobą; wycofał się i pchnął raz, drugi, trzeci, a potem coraz szybciej i szybciej.

Chciał jej powiedzieć, że jest cudowna, lecz nie mógł wydobyć z siebie głosu; intensywność doznań była zbyt potężna. Nie pozwoliła mu zwolnić i kochał ją za to. Zagłębił się w niej po raz ostatni i z głośnym okrzykiem osiągnął spełnienie.

Czuł się tak, jakby umarł i na nowo się narodził. Orgazm był najbardziej zdumiewającym doznaniem, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Nigdy nie posuwał się aż tak daleko. Zawsze zostawiał sobie pewien margines, lecz z tą dziewczyną było to niemożliwe. Musiało minąć sporo czasu, nim oboje doszli do siebie. Wiedział, że przygniatają swoim ciężarem, lecz nie miał siły, by się ruszyć.

Michelle przesuwała palcami po gładkiej skórze. Był taki silny i umięśniony, a mimo to potrafił być taki delikatny. Przesunęła dłońmi wzdłuż jego pleców. Czuła, jak serce bije jej w piersi, jakby chciało wyskoczyć. Rozbawiło ją to absurdałne porównanie i zaśmiała się głośno.

Uśmiechnął się, uniósł się na przedramionach i spojrział jej w oczy.

- Co cię tak rozbawiło?

- Kochanie się z tobą może być dla mnie zabójcze. Już widzę te nagłówki: „Seks zabił chirurga”.

- To wcale nie jest śmieszne - odparł, marszcząc czoło.

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała.

- Właśnie, że tak.

- Musisz być silna, bo pozostało nam jeszcze dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć fantazji i nie pozwolę, by coś ci się stało, dopóki nie skończymy.

- Nie skończymy czego?

Oczy mu rozblęły.

- Spełniać moich fantazji.

- Aż tyle? - Uśmiechnęła się.

- Co najmniej tyle.

- Mam pan niezwykle bujną wyobraźnię, panie Buchanan. Są takie miejsca, gdzie może pan uzyskać pomoc. Nazywają się klinikami seksuologicznymi.

- Tylko ty możesz mnie z tego wyleczyć - odparł z uśmiechem.

- Z radością ci pomogę.

- A ty masz jakieś fantazje?

- Tak. Ale nie są tak twórcze jak twoje. Najczęściej powtarza się jedna.

Musnął wargami jej szyję.

- Opowiedz mi o niej.

- To odmiana tego, co się właśnie stało - powiedziała cicho. -

Tylko że...

Uniósł głowę.

- Tak?

- To ja cię podnoszę i rzucam na łóżko.

Wybuchnął śmiechem.

- Ważę pewnie ze czterdzieści kilo więcej od ciebie.

- My, chirurdzy, mamy w sobie niezwykle silną potrzebną do rozszczepiania żeber i przecinania kości.

- W porządku, jestem gotowy. Jeżeli chcesz mnie podnieść...

Urwał, widząc, że Michelle kręci głową.

- Dysk by mi wypadł. Powiedziałam ci o tym, żebyś wiedział...

- Co?

- Że nie zawsze ty będziesz dyktował warunki.

- To znaczy?

- Teraz moja kolej doprowadzić cię do szaleństwa.

- Pomyślimy o tym. - Pocałował ją, po czym wstał i wziął na ręce. - Jestem rozpalony - oznajmił.

- Już? - Wsunęła palce w zmierzwione włosy, starając się doprowadzić do porządku miękkie pasma.

- Nie o to chodzi, ale skoro już...
- Dokąd idziemy? - spytała Michelle.
- Jestem spocony. Weźmy prysznic.

Była taka odprężona i senna, że zgodziłaby się na wszystkie jego propozycje.

- Umyję ci plecy, a ty...
- Nie, umyję ci przód, a ty...

Przykryła mu usta dłonią,

- Rozumiem.

Dziesięć minut później ich ciała lśniły czystością. Woda zrobiła się zimna, lecz to nie ochłodziło ich namiętności. Michelle stanęła na palcach i wyszeptowała mu do ucha swoje marzenie. Kiedy wprowadziła je w życie, Theo dziwił się, że może jeszcze ustać na nogach. Dziewczyna pchnęła go na ścianę i rozpałała do białości gorącymi wilgotnymi pocałunkami, sunąc coraz niżej. Nie był w stanie zanieść jej do łóżka. Wytarli się pospiesznie między jednym a drugim pocałunkiem i wrócili do sypialni.

Theo położył się na wznak, a Michelle, podparwszy się na łokciu, musnęła palcami bliźnię po usunięciu wyrostka robaczkowego. Potem pochyliła się i delikatnie ją pocałowała. Uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

- Wszystkim pacjentom to robisz?
- Co? Całuję bliźnię?
- Hm.

- Oczywiście. Muszę.

Ziewnął.

- Jak to?

- To jest część przysięgi, którą złożyłam. Pocałuj, a będzie lepiej. - Przewróciła się na plecy, przykryła prześcieradłem i zamknęła oczy.

Zapadała w sen, kiedy Theo trącił ją lekko.

- Michelle.
- Hm?
- Znalazłem twoje najlepsze miejsce.
- Tak? Gdzie? - spytała sennie.

Zsunął prześcieradło i położył dłoń na jej piersi. Gdyby nie była taka zmęczona, spytałaby, dlaczego mężczyźni mają taką obsesję na punkcie piersi. Nagle jednak zdała sobie sprawę, gdzie przyłożył rękę, i łyzy nabiegły jej do oczu. Jak mogła nie kochać tego człowieka? Położył dłoń tam, gdzie biło jej serce.

28

Następnego dnia obudziła się piętnaście po dziesiątej. Przeciągnęła się, obróciła na drugi bok i wtuliła twarz w poduszkę, na której leżał Theo. Zaczęła wspominać minioną noc, lecz rzeczywistość brutalnie dała o sobie znać. Piętnaście po dziesiątej, a ona miała się spotkać z koleżankami w ambulatorium o dziewiątej. Mary Ann ją zamorduje. Pewnie siedzi teraz w samochodzie i czeka na nią. Nie, to niemożliwe. Pewnie już tam pojechała.

Dwadzieścia minut później Michelle była gotowa do wyjścia. Ubrała się w szorty koloru khaki i niebieską bluzkę bez rękawów. Włożyła jeden but, zbiegła ze schodów, oparłszy się o pralkę, włożyła drugi i poszła szukać Theo. Znalazła go w bibliotece. Siedział w skórzanym fotelu i rozmawiał przez telefon. Na brzegu biurka przysiadł Noah. Uśmiechnął się do niej.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odpowiedziała.

Usiadła na kanapie i pochyliła się, by zawiązać sznurowadła tenisówek. Kątem oka dostrzegła, że Theo skończył rozmowę, lecz nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Wspomnienie tego, co robili w nocy, wciąż żyło w jej pamięci. To dlatego, że Noah tu jest, pomyślała.

- Dobrze spałaś? - spytał Theo.

- Tak, ale już dawno powinnam być w ambulatorium.

Nie mogła rozwiązać supła na sznurowadle, bo ręce jej się trzęsły. Oddychaj głęboko. Jesteś przecież dorosła, więc zachowuj się jak dorosła.

- Mary Ann...

- Jest teraz z koleżanką w ambulatorium. Noah je wpuścił. Przyjechały tu około wpół do dziewiątej.

W końcu pozbyła się supła i prędko zawiązała sznurowadła. Nie słyszała kroków Theo, lecz nagle zobaczyła jego stopy tuż przed nią. Sznurowadło ciągnęło mu się po podłodze. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, zawiązała je i wstała.

Nie pozwolił, by go zignorowała. Ujął ją pod brodę i pocałował. Nie przejmował się obecnością przyjaciela i bez większego trudu zmusił, by oddała mu pocałunek.

Noah wstał i wyszedł z pokoju. Theo objął Michelle.

- Chcesz się powyglupiać? - spytał szeptem.
 - Myślałam, że robiliśmy to wczorajszej nocy.
 - Nic nie szkodzi. Możemy to powtórzyć. Poza tym to była tylko rozgrzewka.

Usiłowała wysunąć się z jego objęć, lecz wzmocnił uścisk.

- Michelle, chyba się nie wstydzisz?

Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich niepokój.

- Jestem lekarka, Theo. Nic mnie nie zawstydzą. - Pocałowała go, tym razem wkładając w to całą duszę, mocno i głęboko. Kiedy uniosła głowę, z zadowoleniem spostrzegła płomień pożądania w jego wzroku! - Robota na mnie czeka - powiedziała, wysuwając się z jego objęć.

- Wcale nie. Mary Ann powiedziała, że ona i Cindy... tak chyba ma na imię ta druga kobieta, uporządkują karty znacznie szybciej bez ciebie. Mam cię czymś zająć.

- Na pewno tego nie powiedziała.

- Owszem. Mówiła, że jesteś czepialska i wybredna. To są jej słowa, nie moje. Dzwonił twój tata, żeby ci powiedzieć, że John Paul zabrał meble. Naprawi, co będzie mógł.

- Nie mógł sam ich wynieść.

- Pomógł mu facet imieniem Artie. Więc nic cię nie zawstydzą?

- Nic - skłamała.

- To dlaczego wyglądałaś na zawstydzoną, kiedy pocałowałem cię na dzień dobry?

Poszła do kuchni.

- Myślałam o Noahu. Nie chciałam, żeby czuł się skrępowany.

Theo uznał to za dobry żart. Noah usłyszał jego śmiech i wsunął głowę przez drzwi.

- Co was tak rozbawiło?

- Nic - odpowiedziała Michelle. Otworzyła lodówkę, by wyjąć dietetyczną colę, i zamarła. Jeszcze wczoraj była pusta, a dziś zapchana jedzeniem i napojami. Znalazła colę, wyjęła ją i zamknęła

drzwiczki. Po chwili znowu je otworzyła, by się upewnić, że nie śni. Spostrzegła kostki prawdziwego masła i domyśliła się, kto za tym stoi.

- Noah nie wie, co znaczy wstyd, prawda? - spytał Theo przyjaciela.

- Czego miałbym się wstydzić?

- Seksu. Wiesz, co to jest?

- Jasne, że tak. Czytałem coś na ten temat. Kiedyś będę musiał spróbować.

Objął świetnie bawili się jej kosztem. Usiadła przy stole i wtedy zauważyła ciasto czekoladowe. Noah wziął ściereczkę, podszedł do kuchenki i podniósł pokrywkę wielkiego garnka. Kuchnię wypełnił ostry zapach potrawy z okry.

- Kiedy zdążyłaś to przygotować? - spytał Noah. - Wspaniale pachnie.

Nie mogła sobie przypomnieć, co mówił ojciec. Czy miała powiedzieć, że upiekła ciasto, czy ugotowała potrawkę? Wtedy Noah spytał ją, czy nie ma ochoty na kawałek domowego chleba. Obok zlewu na pergaminowym papierze leżał cały bochenek.

- Czy przy potrawce była jakaś kartka?

- Nie zauważyłem - odparł Noah.

- W takim razie sama ją ugotowałam. - Uśmiechnęła się.

Theo wyjął mleko z lodówki i postawił na stole.

- Bardzo się wczoraj napracowałam. Ciasto też upiekłam?

Poczuła się jak idiotka.

- Czy jest przy nim kartka? - spytała.

- Nie.

- To upiekłam.

- A chleb?

- Też nie ma kartki? - Usiłowała zachować powagę.

- Nie zauważyłem.

- Uwielbiam piec chleb w środku nocy.

Theo postawił na stole corn-fleksy i otręby pszenne z rodzynkami, by Michelle mogła sobie wybrać, i podał jej łyżkę.

- Więc ta kobieta, która podkradła się do bocznych drzwi, nie kłamała, twierdząc, że wczoraj wieczorem piekłaś u niej chleb i zapomniałaś go zabrać?

Tego było już za wiele. Gdzie się podziały te głupie kartki? Czyżby ojciec zmienił plan gry i zapomniał jej o tym powiedzieć?

No i co ona miała teraz zrobić? Jeśli powie prawdę, ojciec pomyśli, że nie chciała pomóc. Nie da mu powodu do wyrzutów.

- Nie - odpowiedziała. - Kiedy zasnąłeś, zesłałam na dół. ugotowałam potrawkę i upiekłam ciasto. Potem wsiadłam w samochód i pojechałam do... - Urwała. Theo nie powiedział, kto przyniósł chleb, a ona nie pamiętała, komu ojciec wyznaczył to zadanie. - Do znajomej i upiekłam parę bochenków.

- Nie zapominaj o sklepie spożywczym.

- Co? A tak, po drodze wpadłam do spożywczego.

Theo stanął na wprost niej i założył ręce do tyłu.

- Więc to jest twoja wersja.

Uśmiechnęła się.

- Chyba że znalazłbyś karteczki z napisem „Serdecznie witamy w Bowen”. Wówczas powiedziałabym co innego.

- Podziękuj ode mnie Jake'owi.

- Za co? - spytała niewinnie.

- Hej, Mike, chcesz trochę? - spytał Noah, szukając łyżki wazowej.

- Na śniadanie? Wystarczy mi cola.

- A ty? - Noah zwrócił się do przyjaciela.

- Jasne - odparł Theo. - Wiesz, co by do niej pasowało? Chipsy ziemniaczane.

- Przykro mi, ale nie mam chipsów. Są bardzo niezdrowe. Mają za dużo soli.

- Przecież masz chipsy, dwie wielkie torby, nie żadne tam niskotłuszczowe świństwo. Zapomniałaś, że kupiłaś je wczoraj w sklepie?

- Pewnie tak.

- Wiesz, co by pasowało do tej potrawy i chipsów? - spytał Noah.

- Co?

- Zimne piwo.

- Nie ma sprawy.

Theo wstał i podszedł do lodówki. Michelle pokręciła głową.

- Potrawka z okry, chipsy i piwo o wpół do jedenastej rano?

- O jedenastej, a my jesteśmy na nogach od kilku godzin. Nie patrz tak nam mnie, kotku. Daj się skusić.

- Ona ma fioła na punkcie zdrowego jedzenia? - spytał Noah.

- Na to wygląda - odparł jego przyjaciel. - Wyznaje zasadę: „Wypluj, jeśli dobrze smakuje”.

- Wspomnicie tę rozmowę, kiedy będą wam wszczepiać by-passy.

- Rozmawiałem z doktorem Robinsonem - powiedział Noah. Znalazł w końcu łyżkę wazową i nalewał potrawkę do dwóch miseczek. Theo zdążył już wyjąć chipsy.

- I? - ponagliła go Michelle.

Noah postawił miseczki na stole, sięgnął po łyżki i usiadł.

- Przypomniały mu się tylko dwie osoby, z którymi miał kłopoty. Jednym z nich był starszy gość nazwiskiem George Everett. Znasz go?

- Nie.

- Everett nie chciał zapłacić rachunku, bo Robinson nie wyleczył go z niestrawności. Miał kłopoty z piciem, za co również obwiniał doktora. Powiedział, że nie upijałby się co wieczór, gdyby nie straszny ból. Tak czy owak Robinson przekazał rachunek agencji zajmującej się egzekwowaniem długów, co nie spodobało się Everettowi. Upił się i groził doktorowi.

- A co z tym drugim człowiekiem? - spytał Theo.

- Powiedział Robinsonowi, że nazywa się John Thompson, wątpię jednak, by było to prawdziwe nazwisko. Przyszedł tylko raz, a dwa dni później Robinson zamknął gabinet i przesłał karty pacjentów Mike. Thompson to narkoman z Nowego Orleanu. Pewnie przyjechał do Bowen w nadziei, że tutejsi lekarze będą mniej rygorystyczni. Powiedział, że cierpi na straszne bóle kręgosłupa i potrzebuje kilku recept na środki przeciwbólowe. Zażądał bardzo silnych i znał ich nazwy. Kiedy Robinson odmówił, wściekł się i zaczął mu grozić.

- Czy Robinson zgłosił to na policji?

Noah pociągnął łyk piwa.

- Powinien, ale nie zrobił tego, bo wyjeżdżał z Bowen i nie chciał kłopotów. Tak mi powiedział.

- Założę się, że ten Thompson próbował wyciągnąć coś od innych lekarzy w St. Claire - rzekła Michelle.

- Też tak pomyślałem i postanowiłem to sprawdzić. - Noah uśmiechnął się. - Uwielbiam wyciągać lekarzy wcześniej z łóżek. Jeżeli Thompson u nich był, to posłużył się innym nazwiskiem. Żaden z lekarzy nie przypomina sobie, żeby ktoś im groził.

- Innym słowy to fałszywy trop.

- Uważam, że powinniście zamknąć tę sprawę - stwierdziła Michelle. - Przestańcie zwracać sobie nią głowę. Uporządkuj

ambulatorium, założę mocniejsze zamki i na tym koniec. Proponuję, żebyście zrobili to samo.

Ani Theo, ani Noah nie zaprotestowali. Pomyślała, że są zbyt uparci, by przyznać jej rację.

- Znosi się na deszcz - oznajmił Theo, po czym włożył do ust porcję potrawki.

- Przecież świeci słońce - zdziwił się jego przyjaciel.

- Tak, ale w kolanie mnie łamie, więc będzie padać. Ramię też mnie boli.

Noah wybuchnął śmiechem.

- Świetnie do siebie pasujecie. Hipochondryk i lekarz. Idealny związek.

- Nie jestem lekarzem - stwierdził Theo.

Noah zignorował ten sprytny wybieg.

- Mike, byłaś kiedyś w Bostonie? - spytał.

- Nie.

- Spodobałoby ci się.

Zastanawiała nad tym przez chwilę.

- Jeżeli przyjadę tam kiedyś na konferencję medyczną albo na urlop, na pewno mi się spodoba - odrzekła.

Noah przeniósł spojrzenie z dziewczyny na przyjaciela. W jej głosie brzmiała obronna nuta, lecz w oczach płonął smutek. Wycofywała się jeszcze przed startem. Zachowanie Theo było równie interesujące. Cały zeszytniał.

- Dwa statki mijające się w nocy, tak?

- Coś w tym rodzaju - odparła Michelle.

- Daj spokój, Noah - rzucił Theo.

- No to powiedz, czy jeżeli w sobotę będzie padało, też będziemy łowić ryby?

- W deszczu najlepiej biorą - odpowiedziała dziewczyna.

- Kto tak twierdzi?

- John Paul.

- Czy poznam wreszcie twojego brata? - spytał Theo.

- Wątpię. Przecież w poniedziałek wyjeżdżasz.

To było jak rozdrapywanie świeżej rany. Od początku wiedziała, że wyjedzie. Tylko dlaczego to tak bolało?

- Poznasz go w piątek Pod Łabędziem - wtrącił Noah. - Jake mówił mi, że John Paul pracuje w weekendy jako barman i wykidajło.

Michelle pokręciła przecząco głową.

- John Paul nie pojawi się w ten weekend. Zdażył się już dowiedzieć, dla kogo pracujecie, i będzie się trzymał z dala.

- Nie jest chyba poszukiwany listem gończym? - spytał Noah.

- Nie, oczywiście, że nie.

- To co ma przeciwko FBI? - zaciekawiał się Theo.

- Będziesz musiał go o to zapytać.

- Skąd wiesz, że najpierw będę musiał się z nim spotkać, żeby go o to zapytać?

- Mój brat jest bardzo niezależny. Jeżeli będzie chciał się z tobą zobaczyć, to sam cię znajdzie. - Uśmiechnęła się. - Pojawi się niespodziewanie. A teraz wybaczenie, ale obowiązki czekają. - Wstała od stołu, wrzuciła pustą puszkę do kosza na śmieci i zaczęła zbierać brudne naczynia. Theo również się podniósł. Nalewał właśnie wody do zlewu, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Noah poszedł otworzyć. Michelle włożyła miseczki do zlewu, po czym odwróciła się w stronę stołu. Wówczas Theo objął ją w talii i dotknął wargami szyi.

- Co się z tobą dzieje?

Nie umiała bawić się w gierki lub wykręcić kłamstwem, więc powiedziała prawdę.

- Komplikujesz mi życie.

Odwrócił ją twarzą do siebie i przycisnął do zlewu.

- Chyba nie żałujesz...

- Nie - szepnęła. - Było cudownie. - Nie mogła patrzeć mu w oczy i utkwiała wzrok w brodzie. - Oboje jesteśmy normalnym ludźmi i mamy zdrowe popędy, co oczywiście jest...

- Zdrowe i normalne?

- Nie śmieję się. Te popędy...

- Tak, wiem, popędy.

- Nie możemy wciąż oddawać się tym...

- Popędom? - odpowiedział, kiedy nagle urwała.

Uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Nabijasz się ze mnie.

- Tak.

Michelle odepchnęła go.

- Nie pozwolę, żebyś złamał mi serce, Theo. Baw się w swoje gierki z wielkomijskimi dziewczynami.

Zaśmiał się jej w twarz.

- Z wielkomijskimi dziewczynami?

- Bądź poważny. Usiłuję ci powiedzieć, że nie ma dla nas przyszłości, więc zostaw mnie w spokoju.

Ujął jej twarz w dłoń i pocałował. Kiedy unióś głowę, dostrzegł łzy w jej oczach.

- Płaczesz?
- Nie.
- To dobrze, bo mógłbym przysiąc, że widziałem łzy.
- Nie rozumiem, jak możesz być taki nieczuły. Usiłuję ci powiedzieć, żebyś przestał...

Pokręcił głową. Oczy jej się rozszerzyły.

- Nie? Dlaczego? - spytała.

Musnął wargami jej usta.

- Jesteś mądrą dziewczyną. Domyśl się.

Do kuchni wszedł Noah z wielkim pudłem pod pachą i metalową brytfanką przykrytą folią.

- Theo, weź ode mnie to pudło. Znalazłem je pod drzwiami. Stała tam też jakaś kobieta z pieczonym kurczakiem. Podała mi naczynie i uciekła, zanim zdążyłem jej podziękować.
- Powiedziała, jak się nazywa?
- Molly Beaumont. - Postawił naczynie na stole i odwinął folię. - Ładnie pachnie.
- Jest jakaś kartka dla Theo? - zapytała Michelle.
- Nie. Powiedziała, że to ty upiekłaś kurczaka, ale brytfanką jest jej i chce ją mieć z powrotem.

Theo siedział przy stole i otwierał pudło. Noah odłamał udko, odgryzł potężny kęs i trącił przyjaciela w ramię.

- Wiesz, co jeszcze mówiła?
- Co?
- Prosiła, żebym powiedział trenerowi Buchananowi „Cześć”. Słyszałeś? Nazwała cię trenerem.
- Tak, wiem. Wszyscy w Bowen nazywają mnie trenerem.
- Ciekawe dlaczego.

Theo nie zwracał na niego uwagi. Otworzył pudło i gwizdnął.

- To od Nicka - wyjaśnił. - Podręczniki. - Wyjął jeden i przekartkował.
- Podręczniki do gry w futbol? - spytał z pełnymi ustami Noah.
- Tak. Później ci to wyjaśnię. Michelle, możesz jechać do ambulatorium z Noahem. Pomoże ci.
- Nie ma potrzeby...
- Pojedziesz z nim - powtórzył Theo.
- Kiedy ty i twoje koleżanki będziecie porządkować papiery, ja zacznę sprzątać twój gabinet. Jeśli będzie czas, pomaluję ściany.

- Byłabym wdzięczna za pomoc, ale...
- Nie protestuj - powiedział Theo.
- Dobrze - ustąpiła. - Dziękuję, Noah. - Odwróciła się do Theo. - A co ty będziesz robił?
- O pierwszej mam spotkanie z Carsonami i ich adwokatem. Potem obiecałem Conradowi, że przyjdę na trening. Jeśli będziecie chcieli zrobić sobie przerwę, wpadnijcie na stadion.
- Dyrektor zaproponował Theo kontrakt - wyjaśniła z uśmiechem Michelle. - Jeszcze go nie podpisał.
- No to zdecyduj się - powiedział Noah.
- On czeka, aż podwyższą stawkę.

Noah był przekonany, że się z niego nabijają.

- W porządku - powiedział. - Wpadniemy. O której kończy się ten trening? Obiecałem, że pomogę dziś w barze. Powinienem tam być o piątą.
- Przecież umówiłeś się z Mary Ann - przypomniał mu Theo.
- Umówiłeś się z Mary Ann? - powtórzyła Michelle.

Noah wzruszył ramionami.

- Spytała, czy nie chciałbym gdzieś pójść. Maż jej przyjaciółki ma ją podwieźć. Zaproponowałem, żeby wpadła do baru, i jeśli nie będę zajęty...
- Zaproponowała ci wspólne wyjście? - spytała z niedowierzaniem Michelle.
- Tak. Czemu to takie dziwne? Jestem miłym facetem.
- Wiem. Tylko że ona... i ty... chciałam powiedzieć, że ty jesteś bardzo...

Noaha bawiło jej skrępowanie.

- Bardzo jaki...

Słowo „doświadczony” przemknęło jej przez głowę, a także tuzin innych. Noah należał do mężczyzn, dla których takie kobiety jak Mary Ann były kawą z mlekiem. Uświadomiła sobie, że już go osądziła i że może się mylić.

- Jesteś...
- Tak?
- Twoja przyjaciółka ma ochotę na Noaha - wyjaśnił Theo.
- To prawda. - Jego przyjaciel pokiwał głową.
- Na litość boską! - wykrzyknęła zirytowana Michelle. - Z tego że była dla niego miła, wysnułeś wniosek, że ma na niego ochotę?
- Nie wysnuwałem żadnego wniosku. - Theo uśmiechnął się. -

Słowo honoru. Mary Ann powiedziała, cytując: „Hej, Theo, mam chrapkę na Noaha. Ma jakąś żonę czy coś w tym rodzaju?”

Noah pokiwał głową.

- Tak właśnie było.

Najsmutniejsze w tym wszystkim było to, że Theo mógł powiedzieć prawdę. Mary Ann miała nieznośny zwyczaj wypowiadania na głos wszystkich myśli. Michelle pokręciła głową i wybuchnęła śmiechem.

- Jedziemy do ambulatorium.

- Zaczekaj chwilę - powstrzymał ją Noah, biorąc do ręki podręcznik do futbolu. - Theo, spójrz na stronę pięćdziesiąt trzy. Pamiętasz...

- Theodore, zabierz swemu przyjacielowi książkę i każ mu się ruszyć.

Słowo Theodore podziękowało jak zakłęcie. Theo odebrał Noahowi książkę i wstał. Ten nie mógł wyjść z podziwu.

- Zupełnie jak sierżant na musztrze - powiedział, patrząc na Michelle, która stała w drzwiach i tupąła niecierpliwie nogą.

- Kiedy trzeba, potrafi być twarda. - Ten komentarz w ustach Theo zabrzmiał jak komplement.

- To prawdziwy talent - stwierdził Noah.

- Odpłaca pięknym za nadobne. Nie spuszcza z tonu. Podoba mi się to. Wiesz, co jeszcze umie robić? Warzywa - powiedział, idąc do frontowych drzwi.

- Powiedziałeś warzywa? - Noah był przekonany, że się przesłyszał.

- Tak. Szkoda, że nie widziałeś, jak kroi warzywa. To niebywałe. Można to przyrównać do muzyki.

Noah wyszedł za przyjacielem na ganek.

- Co to, u licha, ma znaczyć?

- Jest taka... precyzyjna.

Noah wybuchnął śmiechem.

- O rany, człowieku!

- Co?

- Żle z tobą.

29

Noahowi i Michelle nie udało się przyjechać na trening. W ambulatorium było zbyt dużo do zrobienia. Koleżanki wprawiły ją w zdumienie. Uporządkowały wszystkie karty i powkładały je do tekturowych pudeł w porządku alfabetycznym. Kiedy przywołały nowe szafki, pozostanie jej tylko przełożyć je do szuflad. Theo przyjechał po Michelle do ambulatorium, a Noah wrócił do motelu wziąć prysznic i się przebrać, bo potem miał pomagać Jake'owi w barze.

Michelle gnębiły wyrzuty sumienia, że przez nią nie byli do tej pory na rybach. Kiedy powiedziała o tym Theo, zapewnił ją, żeby się nie martwiła. Spędzi w łódce całą sobotę, od wschodu do zachodu słońca, a sama myśl o tym jest równie przyjemna jak wędkowanie. Zaczął wyliczać wszystkie potrzebne rzeczy, które powinien zabrać. Chciał być przygotowany jak harcerz do biwaku. Nie daj Boże, by zabrakło kanapek i piwa.

Właśnie wysiadali przed jej domem, gdy nadjechała Elena Miller, dając znak klaksonem.

- Pani doktor! - zawołała, obchodząc samochód. - Mogłaby pani poprosić swojego przyjaciela, żeby pomógł mi wnieść to pudło?

- A co w nim jest? - spytała Michelle.

- Nie odebrała pani wiadomości? Nagrałam się na sekretarkę.

- Jak widzisz, dopiero wróciłam do domu.

- Wy, lekarze, robicie straszny bałagan w izbie przyjęć. To pudło jest zapchane listami, które walały się, gdzie popadnie. Zaczęłam porządkować od pani, a w poniedziałek zabiorę się za śmietnik doktora Landusky'ego.

Michelle przedstawiła Theo Elenie i wyjaśniła, że recepcjonistka próbuje zaprowadzić porządek w izbie przyjęć.

- Czemu nie każe pani przesyłać czasopism na adres ambulatorium? I bardzo ułatwiłoby sprawę, gdyby zabierała pani swoją korespondencję do domu. Czy proszę o tak wiele?

- Nie - odparła Michelle, czując się jak skarcona uczennica. - Czemu po prostu nie zaniósłś tego do pokoju lekarskiego? - spytała, gdy Theo wyjął pudło z samochodu.

Elena obeszła samochód i usiadła za kierownicą.

- Bo chcę wreszcie uporządkować ten bałagan - odpowiedziała. - Wy, lekarze... - Wyjechała tyłem z podjazdu, nie kończąc zdania.

- Postaram się poprawić! - zawołała Michelle.

Kobieta pomachała jej ręką i odjechała.

- Ona mi kogoś przypomina - stwierdził Theo, który wszedł za Michelle do domu. Wniósł pudło do biblioteki i postawił je na biurku.

Odsunęła go, by zajrzeć, co jest w środku. Znalazła kilka pism, przesyłki od dwóch firm farmaceutycznych i stos bezwartościwych reklamówek.

- Kogo? - spytała, wrzucając je z powrotem do pudła.

- Gene'a Wildera.

- Tylko bez trwałej. - Michelle zaśmiała się.

- Gdzie masz lodówkę turystyczną?

- W garażu. Ale trzeba ją umyć - odpowiedziała, idąc w stronę schodów.

- Weź prysznic, a ja tymczasem ją wyczyszczę. I nie zużyj całej ciepłej wody! - dodał.

Zaledwie dwa dni u niej mieszkał, a już mówił, co ma robić. Pokręciła głową i zaśmiała się. To miłe, pomyślała. To naprawdę bardzo miłe.

Theo obudził dudniący odgłos grzmotu. Huk był tak potężny, że aż łóżko się zatrzęsło. Na zewnątrz panowały kompletne ciemności, ale kiedy spojrzął w okno, zobaczył błyskawicę przecinającą niebo. Rozpętała się niezła burza. Zamknął oczy, usiłując usnąć, lecz było zbyt gorąco. Klimatyzacja szumiała, ale okno było uchylone i chłodne powietrze uciekało na zewnątrz.

Michelle spała obok, trzymając rękę na jego brzuchu. Delikatnie pchnął ją na plecy i pocałował w czoło. Uśmiechnął się, gdy spróbowała się do niego przytulić. Przemknęło mu przez myśl, by ją obudzić i kochać się z nią, ale zerknął na świecący cyferblat radiobudzika i zmienił zdanie. Była trzecia w nocy. Powinna się wyspać, on zresztą też. Położyli się o dziesiątej, ale usnęli dopiero koło północy.

Jeżeli miał jechać w sobotę na ryby, powinien jutro wszystko załatwić. Czekało go kolejne spotkanie z Carsonami i ich adwokatami, a potem miał pomagać w ambulatorium.

Michelle nie chciała tracić całej soboty na wędkowanie, dopóki Theo nie powiedział jej o zakładzie z Noahem. Ten, kto złapie najwięcej ryb, otrzyma tysiąc dolarów. Zaskoczyła ją wysokość stawki. Przecież te pieniądze można by wykorzystać na coś bardziej pożytecznego. Kiedy powiedział, że nie może i nie zrezygnuje z zakładu, dała za wygraną i postanowiła mu pomóc. Zapewniła go, że ma swoje sekretne sposoby. Ojciec z pewnością zaprowadzi Noaha na swoje ulubione miejsce na bagnach niedaleko od chaty Johna Paula, ale po drugiej stronie jest lepsze miejsce. Mnóstwo tam ryb, które same wskakują do łodzi.

Kiedy Theo spytał, dlaczego nie zdradziła ojcu tego miejsca,

odparła, że nie chciała, by pływał tam sam, bo w okolicy grasują drapieżniki, co on przetłumaczył sobie na aligatory. Nie zaprzeczyła i nie potwierdziła jego podejrzeń, odciągając uwagę od niebezpiecznego tematu pocałunkiem, i zaczęła go wolno rozbierać. Potem wzięła go za rękę i poprowadziła do sypialni. Ta zmiana ról podziała ją jak zakłęcie. Aż do teraz. Może powinien jednak zabrać w sobotę tego obrzynka z baru.

Przypomniał sobie, że jest mu gorąco i miał zamknąć okno. Usiadł, ziewnął i spuścił nogi na podłogę. Wstając, zaplątał się w prześcieradło i uderzył kolanem o nocną szafkę. Okragła mosiężna gałka trafiła w niezwykle wrażliwe miejsce tuż pod rzepką. Chyba skupiały się tam wszystkie nerwy, bo poczuł rozdzierający ból. Zaklął cicho, klapnął z impetem na łóżko i zaczął rozcierać kolano.

- Theo, co się stało? - spytała sennym głosem Michelle.

- Nic, nic. Uderzyłem się o szafkę nocną. Zostawiłaś otwarte okno.

Odrzuciła prześcieradło.

- Zaraz zamknę.

- Śpij - rzekł, delikatnie popychając ją na łóżko. - Ja to zrobię.

Nie protestowała. Zanim zdążył rozmasować kolano, już spała. Jak ktoś może tak szybko zasypiać? Zaraz jednak pomyślał, że może to on ją zmęczył, i poczuł się znacznie lepiej, ale po chwili z krzywym uśmiechem przyznał, że trochę przesadził.

Wstał i pokuśtykał do okna. Gdy je zamykał, błyskawica rozświetliła ciemność i zobaczył człowieka biegnącego w stronę domu Michelle.

Ki diabeł? - pomyślał. Czy naprawdę go widział, czy to tylko jego wyobraźnia? Przetoczył się grzmot i znowu błysnęło. Mężczyzna przykucał teraz pod jaworem. W dłoni trzymał pistolet. Theo cofnął się od okna, w chwili gdy padł strzał. Kula rozbiła szybę. Poczul ból w przedramieniu i pomyślał, że dostał. Rzucił się na łóżko, chwycił Michelle, która usiłowała wstać, i ściągnął ją na podłogę, starając osłonić przed odpryskującymi kawałkami framugi. Zerwał się na równe nogi i przy okazji stracił nocną lampkę.

- Theo, co...

- Nie wstawaj i nie zapalaj światła.

- Czy to błyskawica trafiła w dom?

- Ktoś do mnie strzelał.

Gdyby pozwolił dziewczynie zamknąć okno, mogła zginąć. Całe szczęście, że to on tam stał, gdy błysnęło.

- Zadzwoń na policję i ubierz się! - krzyknął. - Musimy stąd uciekać. - I wybiegł na korytarz.

Michelle złapała za telefon, wystukała numer policji, przyłożyła słuchawkę do ucha i uświadomiła sobie, że nie ma sygnału. Odstawiła aparat, zebrała leżące na komodzie ubrania i wybiegła na korytarz.

- Telefon jest głuchy! - krzyknęła. - Theo, co się dzieje?

- Ubierz się - powtórzył.

Stał oparty o ścianę tuż przy oknie, z bronią gotową do strzału. Tym razem nie da się tak łatwo zaskoczyć. Odsunął zasłone łufą pistoletu i wyjrzał. Niebo się otworzyło i lunął deszcz. Wtedy padł kolejny strzał. Theo zobaczył czerwony błysk, gdy nabój opuścił komorę. Cofnął się. Przez chwilę nasłuchiwał i modlił się o błyskawicę, która pozwoli mu się zorientować, czy są jeszcze inni napastnicy.

Miał nadzieję, że jest tylko jeden. Gdyby udało mu się celnie strzelić, może przywozdziliby drania. Nigdy jeszcze nikogo nie zabił, a strzelał jedynie na strzelnicy, ale nie czuł wyrzutów sumienia na myśl, że pozbawi życia tego człowieka.

Minęło pięć sekund, potem jeszcze pięć i błyskawica przecięła niebo. Przez jedną chwilę było jasno jak w dzień.

- Cholera - mruknął, gdy zobaczył drugą postać przebiegającą przez drogę.

Michelle ubierała się w łazience przy nikłym świetle palącej się w holu lampki. Wkładała właśnie tenisówki, gdy światło zgasło. Żarówka była nowa, nie mogła się przepalić. Dziewczyna pognała do sypialni i zobaczyła, że budzik też zgasł. Albo błyskawica trafiła w słup, albo ktoś odciął prąd. Bardziej prawdopodobna była ta druga możliwość.

Za pokojem Theo była bieliźniarka. Michelle wymacała klamkę, otworzyła drzwi i sięgnęła na górną półkę po latarkę. Straciła przy tym buteleczkę ze spirytusem kamforowym i pudełko z plasterami opatrunkowymi. Butelka trafiła ją w stopę. Dziewczyna kopnęła ją, znalazła latarkę i zamknęła drzwi, by na nie nie wpaść. Po podłodze walały się plastry. Biegąc do pokoju Theo, pośliznęła się na jednym z nich.

- Telefon nie działa i nie ma elektryczności. Theo, co się dzieje?

- Od frontu jest dwóch ludzi. Jeden przykucał pod drzewem. Przynieś mi moją komórkę. Musimy ściągnąć pomoc.

Bała się zapalić latarkę, bo zasłony były odsłonięte.

- Gdzie ona jest? - spytała.

W tym momencie usłyszała odległy szum silnika. Podbiegła do okna wychodzącego na pomost i zobaczyła zbliżającą się motorówkę. Nie widziała, ile osób jest w łodzi, jedynie połyskujące światło reflektora.

Theo zdążył już włożyć dzinsy i buty i wciągał teraz podkoszulek przez głowę, starając się nie spuszczać wzroku z okna. Poczuł ostry ból przy wkładaniu rękawa i lepkość na ramieniu. Dotknął rany. Tkwił w niej kawałek szkła. Odetchnął z ulgą, że to nie kula. Wytarł rękę o dzinsy, wciągnął podkoszulek, po czym wyrwał tkwiący w ramieniu odłamek szkła. Pałący ból przebiegł mu przez ramię.

- Do pomostu zbliża się łódź - powiedziała Michelle. - Czy to współnicy tych od frontu?

Głupie pytanie. Pewnie, że tak. Przecież nikt ze znajomych nie składałby wizyty w środku nocy i w czasie burzy.

- Czego oni chcą? - spytała szeptem.

- Później ich zapytamy - odparł. - Gdzie jest mój telefon?

Przypiął kaburę do paska od spodni i wsunął do niej pistolet. Już miał w głowie plan ucieczki. Wyjdą przez tylne okno, zeskoczą na dach ganku i potem na ziemię. Przy odrobinie szczęścia uda im się dotrzeć do samochodu.

- Nie ma go na komodzie - odpowiedziała.

- Cholera! - mruknął, bo przypomniał sobie, gdzie go położył. Tkwił w ładowarce na biurku w bibliotece. - Włączyłem go do ładowania w bibliotece.

- Pójdę po niego.

- Nie. Schody są na wprost drzwi. Jeżeli ktoś przy nich jest, to cię zobaczy. Podejdz do okna i sprawdź, ilu ludzi wysiadło z tej łodzi. Czy już przycumowała?

- Jeden właśnie wysiadł. Ma latarkę. Idzie w stronę tylnych drzwi... Nie, do drogi. Nie potrafisz powiedzieć, czy jest jeszcze drugi.

- Otwórz okno - polecił Theo, wkładając do tylnej kieszeni kluczyki od samochodu. - Wyjdziemy tędy. Najpierw ja, a potem cię złapię.

Przesadził nogę przez okno, zsunął się w dół i zeskoczył na dach ganku tak cicho, jak to możliwe. Dachówki były śliskie od deszczu i omal nie stracił równowagi. Stał w rozkroku i czekał na Michelle, modląc się w duchu, by błyskawica ich nie zdradziła. Gdybyś ktoś stał na podwórzu albo przy łodzi, natychmiast podniósłby alarm.

W szum deszczu wdarł się brzęk tłuczonej szyby przy tylnych drzwiach, potem seria strzałów od frontu. Dranie byli dobrze zorganizowani. Zaatakowali jednocześnie z obu stron. Chcieli ich zaskoczyć.

Michelle usłyszała, jak przewracają na dole meble. Ilu ich mogło być? Wsunęła latarkę za pasek spodni i weszła na parapet okienny.

- Skacz! - polecił nagłym szeptem Theo.

Zawałała się, kiedy jednak usłyszała tupot nóg na schodach, skoczyła w dół.

Theo chwycił ją w talii. Pośliznęła się, lecz trzymał ją mocno. Nie odstępując go na krok, zaczęła pełznąć na czworakach po dachu. Deszcz lał jak z cebra. Michelle z trudem widziała swoje ręce. Dotarła do brzegu, wymacała rynnę z nadzieją, że będzie mogła po niej zjechać, lecz była obluzowana i mogła narobić hałasu. Wzdłuż boku domu rosły krzewy bzu. Dziewczyna zakryła dłońmi oczy i skoczyła w środek najgrubszego. Spiesząc się, by zejść Theo z drogi, uderzyła głową w grubą gałąź, która boleśnie zraniła ją w policzek. Zagryzła wargę, żeby nie krzyknąć.

- W którą stronę? - spytała szeptem.

- Do frontowego wejścia. Zaczekaj tu.

Theo wyciągnął broń, przesunął się wzdłuż ściany do rogu i wyjrzał. Maskę jego samochodu była podniesiona, co oznaczało, że go uszkodzili. Spojrzał na bagna po drugiej stronie drogi. Nie miał ochoty brnąć przez błoto, ale w ten sposób dotarliby do skrzyżowania.

W pewnej odległości od domu stał zaparkowany samochód. Nie zauważyłby go, gdyby nagle nie błysnęły światła stopu. Człowiek, który siedział za kierownicą, musiał trzymać nogę na hamulcu.

Theo wrócił do Michelle.

- Musimy spróbować dotrzeć do twojej łodzi. Tylko tak możemy się stąd wydostać.

Udało im się dojść do pomostu. Wtedy pochwyliła ich smuga światła z okna sypialni. Theo pchnął dziewczynę na ziemię, odwrócił się i strzelił. Światło zgasło i ktoś krzyknął.

- Daj mi latarkę - rzucił zdyszonym głosem. Michelle wyciągnęła ją zza paska.

- Nie ruszaj się - szepnął i włączył latarkę.

Oświetliła jednego z napastników, biegnących ku nim od strony domu. Na jego widok dziewczyna gwałtownie wciągnęła powietrze, bo rozpoznała mężczyznę.

Theo strzelił dwa razy, po czym wyłączył latarkę. Nad głowami zaczęły im świstać kule. Skierował snop światła na drugą łódź i zobaczył mężczyznę, który patrzył na nich przez lunetę karabinu. Theo strzelił. Kula trafiła w silnik. Strzelił drugi raz i mężczyzna wypadł do wody. Wówczas poderwał Michelle na nogi.

- Gazu! - krzyknął, kiedy świsnęła im nad uchem kolejna seria. Kule odbijały się od drzewa i pomostu.

Dziewczyna przebiegła pomost i chwyciła się jednego z pali. by nie wpaść do wody, po czym zaczęła odcumowywać łódź napastników. Theo zdążył już odwiązać jej łódź i szarpnął za linkę rozrusznika. W końcu Michelle udało się rozwiązać linkę i pchnęła łódź jak najdalej od pomostu. Theo krzyknął, żeby się pospieszyła, wskoczyła więc do łodzi. Silnik zapalił, a powierzchnię wody przecięła kolejna seria pocisków.

Theo przykrył dziewczynę swoim ciałem, starając się ją osłaniać i jednocześnie trzymać nisko głowę. Skierował łódź na północ i pchnął drążek steru w dół. Tył łodzi wzniósł się nad wodę, po czym szarpnął w przód.

Jedna z kul przeleciała tak blisko ucha Theo, że niemal poczuł jej ciepło. Obejrzał się i zobaczył dwóch mężczyzn z latarkami, biegnących wzdłuż brzegu. Jeden z nich skoczył do wody. Theo ocenił, że mają jakieś trzydzieści sekund przewagi. Usiadł na ławce i pozwolił Michelle wstać. Jak tylko uniosła głowę, zorientowała się, że płyną w stronę bagien.

- Musisz zawrócić - powiedziała.

- Za późno. Za chwilę ruszą za nami. Poświęć latarkę.

Usiadła między jego kolanami i skierowała smugę światła przed siebie. To ocaliło im życie. Za pięć sekund wpadliby na pień drzewa wystający z wody. Theo skręcił ostro w lewo, po czym wyrównał.

- Całe szczęście, że wzięłaś latarkę - szepnął.

- Przed nami jest ostry zakręt. Zwolnij i skręć w prawo. Na lewo jest ślepa odnoga. - Złapała go za kolano i obejrzała się. - Nie widzę ich. - Odetchnęła z ulgą. - Może nie popłyną za nami i zostawią nas w spokoju, skoro uciekliśmy.

Theo przyciągnął ją do siebie.

- Nie sądzę, żeby zrezygnowali. Widziałas tę lunetę na karabinie? Są uzbrojeni po zęby. Przyjechali na polowanie i nie poddadzą się tak łatwo. Musimy dotrzeć do telefonu i wezwać pomoc. Pokaż mi najkrótszą drogę do miasta.

- Moczary mają kształt wielkiej ósemki - wyjaśniła. - Jeśli

popłyniesz od mojego pomostu na południe, dotrzesz Pod Łabędzia. Musimy zawrócić.

- Wtedy na nich wpadniemy.

- Wiem - wyszeptała schrypniętym głosem. - Jest tu co najmniej dwadzieścia odnóg, niektóre są ślepe, a niektóre zataczają pełne koło. Jeżeli oni o tym wiedzą, mogą przeciąć nam drogę.

- Wtedy zwolnimy i gdy zobaczymy światła, ukryjemy się w szuwarach i zaczekamy do świtu. - Zbliżali się do kolejnego zakrętu. - Którędy teraz?

- Nie jestem pewna. W nocy wszystko wygląda inaczej. Myślę, że ta odnoga krąży w kółko.

- Dobrze, w takim razie skręcimy w lewo.

- Theo, mogę się mylić.

W oddali usłyszeli warkot silnika. Theo zwolnił i skręcił w wąską odnogę. Wejście do niej zasłaniały nisko zwieszające się gałęzie porośnięte mchem. Rozsunął je i wyłączył silnik. Michelle zgasiła latarkę. Przytulili się do siebie i zwrócili twarzami do zbliżającej się łodzi. Ulewa ześlązała i zmieniła się w mżawkę.

Moczary pulsowały życiem. Coś z pluskiem wpadło do wody, żaby przestały kumkać, umilkły świerszcze. Mimo to Theo wyczuwał jakiś ruch. Co to mogło być? Ich łódź w coś uderzyła. Pewnie w wystający z wody pień. Łódź zakołysała się i znieruchomiała.

Michelle sięgnęła do dźwigni i szeptem poprosiła Theo, żeby pomógł jej wyciągnąć silnik nad wodę.

- Jeżeli mamy tędy płynąć, bagno może go wciągnąć. Tu bywa bardzo płytko. - Znowu uderzyli w jakąś przeszkodę. - Są - wyszeptała Michelle.

Zobaczyli smugę światła, która jak latarnia morska penetrowała okolicę. Nie znalazła ich jednak. Dziewczyna wolno wypuściła powietrze z płuc. Z bożą pomocą pokonali kolejną przeszkodę. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, ale Theo miał rację. Mogliby tu poczekać, aż się rozwidni, i wtedy sprowadzić pomoc. Wkrótce ten koszmar się skończy.

Myśliwi odpłynęli, ucichł też warkot motorówki. Pewnie jeszcze przez kilkanaście minut będą ich szukać, a potem zawrócą.

Theo myślał intensywnie. Czy to byli zawodowcy? Jeśli tak, to kto ich wynajął. Czyżby gang dotarł za nim aż do Luizjany? Czy miała to być zemsta za zatrzymanie ich przywódców? Czy jego obecność była zagrożeniem dla Michelle?

Dziewczyna usłyszała na głowę trzask gałęzi. Spojrzała w górę

i w tym momencie poczuła na stopie jakiś ciężar. Z trudem opanowała się, by nie krzyknąć. To coś, co na nią spadło, sunęło po jej nodze. Znieruchomiała i zacisnęła dłoń na latarce.

- Theo, weź wiosło - szepnęła, starając się nie poruszyć. - Kiedy włączę latarkę, musisz to wrzucić do wody. Rozumiesz?

Nie rozumiał. Co za to? O czym ona mówi? Jednak nie zadawał jej pytań. Po prostu chwycił wiosło jak kij baseballowy i czekał.

- Jestem gotowy.

Michelle zapaliła latarkę. Serce podskoczyło mu do gardła. O mały włos nie wypuścił wiosła, kiedy zobaczył odrażającego czarnego węża. Potwór wysuwał cienki języczek, jakby oblizywał się na myśl o smacznym kąsku. Sercowaty łeb zawisł tuż nad kolanem Michelle.

Theo zamachnął się wiosłem i wyrzucił gada do wody. Potem objął dziewczynę.

- Sukinsyn!

Michelle osunęła się na kolana. Serce waliło jej w piersi jak szalone. Oświeciła wodę, obserwując, jak wąż zmierza w stronę lasu na drugim brzegu. Potem poszukała wiosła, które Theo odrzucił, i cisnęła je na dno łodzi.

- O mały włos.

- Ugryzł cię? - spytał Theo klepiąc ją gorączkowo po nogach.

- Nie. Pewnie był bardziej wystraszony od nas.

- Co to, u diabła, było?

- Mokasyn błotny.

- Sukin... One są jadowite.

- Owszem. - Złapała go za rękę. - Przestań mnie klepać.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy nie ma innych... - Urwał, zdając sobie sprawę, że zachowuje się jak szaleniec.

- Węży na mojej nodze? Zapewniam cię, że nie.

- Jak możesz być taka spokojna? Przecież to świństwo pełzło ci po nodze.

Michelle pogładziła go po policzku.

- Ale się go pozbyłeś.

- Tak, tylko...

- Oddychaj głęboko.

Wbrew pozorom wcale nie była taka spokojna. Kiedy ją objął, poczuł, że drży.

- Wiesz co?

- Niech zgadnę. Nienawidzisz węży.

- Skąd wiesz, że chciałem to powiedzieć?

Dziewczyna uśmiechnęła się

- Miałam przecucie.

- Wnośmy się stąd. - Theo zanurzył dłoń w wodzie, by sprawdzić, czy może odepchnąć łódź od brzegu. Palce utknęły w lepkiej mazi.

Michelle złapała go za rękę.

- Nie wkładaj ręki do wody.

Nawet nie musiał pytać dlaczego. Wyobraził sobie aligatora, rzucającego się na niego, i zadrzał. Chwycił wiosło i odepchnął się od brzegu.

- Myślisz, że możemy popłynąć tą odnogą?

- Mieszkam tu od urodzenia i znam te rozlewiska, ale w ciemności wyglądają inaczej. Myślę, że to ślepa odnoga i po dwudziestu metrach się skończy. Jeżeli popłyniemy dalej, znajdziemy się w pułapce, a nie mam ochoty przedzierać się przez mokradła. To niebezpieczne, zwłaszcza po ciemku. Powinniśmy zawrócić.

- Dobrze.

- Nie włączaj silnika, lepiej wiosłujmy, wtedy nas nie usłyszą. - Wzięła drugie wiosło i pomogła Theo zawrócić łódź.

- Jeśli znowu jakiś wąż wyłduje w łodzi, to na pewno mnie usłyszą. - Zamienił się na miejsca z Michelle i zaczął wiosłować. Nagle znieruchomiał. - Jak myślisz, moglibyśmy popłynąć do ciebie? Gdybym miał telefon komórkowy...

- Odpłynęliśmy zbyt daleko. Lepiej nie kusić losu.

- W porządku. Płyniemy przed siebie. Może trafimy na jakiś pomost.

Theo widział nie więcej niż na trzy metry przed sobą, ale zapalenie latarki było zbyt ryzykowne. Michelle usiadła na ławce, żeby móc sięgnąć do silnika. Położyła dłoń na rozruszniku, by w każdej chwili za niego szarpnąć. Kiedy ostatnio wlewała do zbiornika benzynę? Co będzie, jeśli się okaże, że jest pusty, a napastnicy ich zauważą? Nagle dostrzegła smugę światła sunącą po wodzie.

- Szukają nas - szepnęła.

Theo obejrzał się, nie przestając wiosłować. Reflektor przeczesywał okolicę, ale łódź stała w miejscu. Była jakieś dwieście metrów od nich.

- Nie zauważyli nas - rzekł.

- Mam włączyć silnik? - spytała Michelle.

- Nie. Zaczekaj. Może nam się uda.

Chwilę później smuga światła skierowała się w ich stronę.

Dziewczyna, nie czekając na Theo, pociągnęła za rozrusznik. Nie zaskoczył za pierwszym razem. Theo wrzucił wiosło do łodzi i gdy kula świsnęła mu nad głową, pchnął Michelle na dół. Ponownie szarpnęła za linkę i silnik obudził się do życia.

Theo wyciągnął broń z kabury i polecił dziewczynie, by trzymała nisko głowę, po czym oparł łokieć na ławce i gdy następna kula uderzyła w wodę tuż obok nich, strzelił.

Napastnicy szybko ich doganiali. Theo wycelował w reflektor. Za pierwszym razem chybił, usłyszał jednak czyjś krzyk i miał nadzieję, że trafił któregoś z nich. Ponownie nacisnął na spust i tym razem udało się. Kula stłukła lampę, co dało im pięć, góra dziesięć sekund przewagi.

Michelle nie potrafiła ocenić, jak blisko jest brzeg. Usiłowała dosięgnąć przepustnicy, by zwolnić prędkość, lecz było za późno. Łódź wystrzeliła w górę i zaryła dziobem w cierniste krzewy. Nie zatrzymała się jednak, odbiła się jeszcze dwa razy i uderzyła w drzewo. Wstrząs rzucił Theo na dziób łodzi. Wylądował na boku, uderzając kolanem w aluminium i zranionym ramieniem w metalowy brzeg, co wywołało falę ostrego bólu.

Michelle uderzyła czołem w ławkę i jęknęła głośno.

Theo wyskoczył z łodzi, schował broń do kabury i pomógł wstać dziewczynie. Potrząsnęła głową, usiłując odzyskać równowagę, i rozejrzała się za latarką.

- Szybciej! - zawołał, przekrzykując ryk zbliżającej się motorówki.

Michelle złapała latarkę. Serce waliło jej w piersi, a ból w głowie niemal oślepił. Theo objął ją w talii i pociągnął w gęstwinę. Nie miał pojęcia, dokąd biega. Zupełnie zdezorientowany, wpadł między kolczaste gałęzie. Rozepchnął je wolną ręką. Słyszał zbliżającą się motorówkę i myślał tylko o tym, żeby odciągnąć Michelle jak najdalej. Torowali sobie drogę przez chaszczę, zatrzymując się dwa razy, by nasłuchiwać pogoni. W końcu wydostali się na otwartą przestrzeń. Dziewczyna zatrzymała się dla złapania oddechu.

- Myślisz, że mogłabym zaryzykować? - spytała, unosząc latarkę. - Nie powinni zobaczyć światła, jeżeli włączę ją tylko na sekundę.

- Włączaj.

Wcisnęła przełącznik i odetchnęła z ulgą.

- Chyba wiem, gdzie jesteśmy. - Zgasiła latarkę. - Jakieś półtora kilometra od baru.

Stali na skraju drogi, która dla Theo wyglądała jak tuzin innych.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Chwycił ją za rękę i ruszył biegiem. Jeżeli zdążą minąć ten zakręt, będą bezpieczni. Co chwila oglądał się za siebie. Na razie słyszał jedynie ich ciężkie oddechy i głuchy odgłos kroków na drodze.

Michelle znowu włączyła latarkę, bo mogli zboczyć z drogi. Potknęła się, lecz Theo ją podtrzymał. Obejrzał się, zobaczył snop światła i przyspieszył. W oddali zamajaczyło światło. Zranione ramię dawało o sobie znać palącym bólem, a Michelle miała wrażenie, że za chwilę głowa jej eksploduje. Gdy dotarli do skrzyżowania, dziewczyna pochyliła się i oparła dłoń na kolanach.

- Bar jest na lewo - wydyszała. - Możemy stamtąd wezwać policję.

Theo przypomniał sobie, jak jechał tą drogą. Biegając, przyszukiwał wzrokiem teren, zastanawiając się, w którą stronę dać nura, jeżeli postłyszysz, że ktoś się zbliża.

- Wszystko w porządku? - spytał szeptem.

- Tak.

Miała ochotę rozpłakać się z ulgi, gdy zobaczyła ciemny zarys budynku. Jej radość nie trwała jednak długo, bo chwilę później skrzypnęły opony pokonującego zakręt samochodu. Nie miała też czasu, by coś zrobić, bo w następnej sekundzie lądowała z Theo w rowie na poboczu drogi. Krzewy i gęste poszycie stanowiły doskonałą osłonę.

Michelle ostrożnie dotknęła guza na czole. Myśli wirowały jej w głowie jak szalone. Nagle przypomniała sobie, że chciała coś powiedzieć. Wyszpełtała imię Theo, lecz on przykrył jej usta dłonią.

Samochód zatrzymał się tuż obok nich. Z trudem zapanowała nad chęcią ucieczki, gdy usłyszała zbliżające się kroki. Nieświadomie wstrzymała oddech, a potem wolno wypuściła powietrze i zacisnęła dłoń na kolanie Theo. Ktoś przyszukiwał krzaki tuż obok nich, potem mruknął coś pod nosem i odszedł.

Dziewczyna poczuła, że oczy zachodzą jej łzami i zaraz kichnie. Zatkała nos i zaczęła oddychać ustami. Łzy strumieniem spłynęły jej po policzkach. Otarła je brzegiem podkoszulka.

Theo usłyszał trzask zamykanych drzwi i samochód ruszył. Ciekawe, ilu ich jest? - pomyślał. Przy domu na pewno widział czterech; dwóch od frontu i dwóch przypłynęło łodzią. Przysiągł

sobie, że jak tylko uda im się bezpiecznie wyjść z tej opresji, dopadnie całą czwórkę.

Zmienił pozycję i objął ramieniem Michelle.

- Szukają nas Pod Łabędziem - szepnął jej do ucha. - Musimy zaczekać, póki nie odjadą. W porządku?

Kiwnęła głową. Kiedy odwrócił się do niej plecami, oparła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy. Serce powoli się uspokajało. Korzystała z okazji do odpoczynku na wypadek, gdyby znowu trzeba było biec. Kim byli ci ludzie i dlaczego ich ścigali?

Przeniosła ciężar ciała z jednego kolana na drugie. Miała wrażenie, że siedzi na kompoście. Pachniało wilgocią i gnijącymi liśćmi. Gdzieś w pobliżu leżało martwe zwierzę, bo do jej nozdrzy dotarł zapach rozkładającej się padliny. Żołądek podszedł jej do gardła.

Deszcz przestał padać. Jak długo jeszcze będą tu tkwić? Wydawało się, że minęła już godzina, z drugiej jednak strony czas się jakby zatrzymał w chwili, gdy zabrzmiał pierwszy strzał. Usłyszała warkot samochodu, a potem zobaczyła światła. Auto minęło ich i pojechało dalej. Theo skorzystał z okazji i wyjrzał na drogę. Samochód zwolnił na skrzyżowaniu i pojechał prosto. Znaczyło to, że napastnicy nie dali za wygraną i postanowili przeszukać inną drogę. Nie zdołał jednak odczytać numerów rejestracyjnych.

- Będą musieli zrezygnować - szepnęła Michelle. - Wkrótce zrobi się jasno, a na pewno nie zaryzykują spotkania z rybakami. Myślisz, że dadzą za wygraną?

- Może. Chodźmy - powiedział, wstając. Poczul ból w kolanie. Pomógł Michelle się podnieść. - Idź blisko pobocza i nie zapalaj latarki.

- Dobrze. Ale jeśli usłyszysz, że nadjeżdżają, nie wrzucaj mnie znowu do rowu. Po prostu powiedz. Będę miała siniaki na siedzeniu.

- Lepiej mieć siniaki niż kulkę - stwierdził wcale nie skruszony. Michelle kichnęła.

- Wiem - powiedziała.

- Możesz biec?

- A ty? - spytała, widząc, że jej towarzysz kuleje.

- Oczywiście. Trochę tylko zeszytniałem.

Przy wjeździe na parking błysnęło światło. Theo wołał nie ryzykować, pchnął dziewczynę w zarośla i skierował się ku tylnym drzwiom baru. Nie zauważył w środku żadnego ruchu. Drzwi były

metalowe, podszedł więc do okna, szukając na ziemi solidnego kamienia.

- Będę musiał wejść przez okno - powiedział i wziął do ręki kamień.

- Co ty robisz?

- Muszę stłuc szybę.

- Nie - zaprotestowała. - Wiem, gdzie tato chowa zapasowy klucz.

Theo odrzucił kamień i podszedł do drzwi. Michelle zapaliła latarkę i sięgnęła ręką do górnej framugi.

- Bardzo sprytny schowek - zauważył.

- Nie bądź złośliwy. Nikt nie włamałby się do baru taty.

- Niby dlaczego?

- John Paul by go złapał. Wszyscy o tym wiedzą. Tata mógłby w ogóle nie zamykać drzwi.

Dopiero za drugim razem udało jej się włożyć klucz do zamka. Nie mogła zapanować nad drżeniem rąk. Skutki przeżytego stresu, pomyślała. Organizm w końcu się zbuntował.

Theo pierwszy wszedł do środka, przytrzymał Michelle za sobą i szepnął jej do ucha, żeby zamknęła drzwi. Usłyszał szcęk zamykanej zasuw. Włączyła się lodówka. Przypomniał sobie, że telefon jest w głównej sali, przy końcu baru, naprzeciwko magazynu. Nagle posłyszał jakiś dźwięk, jakby skrzypnięcie deski w podłodze.

- Zostań tu - szepnął, wyciągnął pistolet i ostrożnie wszedł do baru.

Latarnia na parkingu rzucała szare cienie na stoliki i podłogę. Reszta pomieszczenia tonęła w ciemnościach. Theo wszedł za kontuar. Oczy powoli przyzwyczajały się do mroku. Całą uwagę skupił teraz na uchylonych drzwiach do magazynu. Było to doskonałe miejsce na kryjówkę. Czyżby przyczaił się tam jeden z napastników? Nie, to bez sensu, pomyślał, nie spuszczał jednak oka z drzwi. Dotarł do środka baru i sięgnął po obrzynek Jake'a. Z takiego rozpylacza na pewno nie spudłuje. Odwrócił się plecami do kontuaru i w tym momencie poczuł czyjś delikatny oddech na szyi. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że ktoś się zbliża.

31

Michelle, uciekaj! - krzyknął Theo.

Rzucił broń na kontuar i odwrócił się z pistoletem gotowym do strzału.

Było zbyt ciemno, by mógł dostrzec twarz przeciwnika. Nagle olbrzymi ktoś spadł mu na nadgarstek, ale Theo nie wypuścił broni z ręki. W następnej chwili cień wykręcił mu ramię, a drugą ręką usiłował zadać cios w szyję. Theo zrobił unik, lecz nie dość szybko, i pięć napastnika trafiła go w brodę. Poczul piekący ból w szczęce. Zacisnął dłoń i z całej siły uderzył mężczyznę z brzuch. Teraz już wiedział, że znalazł się w poważnym kłopotcie. Pięć trafiła bowiem w twarde niczym skała mięśnie, co groziło złamaniem ręki.

Skąd ten sukinsyn się wziął? I co z Michelle? Kipiąc z wściekłości, Theo ponownie wymierzył cios. Napastnik uniósł nogę i chciał go kopnąć w kolano.

W tym momencie Michelle przekreśliła wyłącznik światła.

- John Paul, zostaw go!

Obaj walczący zwarli się właśnie w potężnym uścisku. Kiedy John Paul usłyszał krzyk siostry, puścił przeciwnika. Theo natomiast zamachnął się, chcąc trafić go w twarz. John Paul zablokował cios z taką łatwością, jakby odganiał się od muchy. Przy okazji trafił w stojącą na półce butelkę whisky.

Obaj mężczyźni cofnęli się o krok i zmierzli się wzrokiem. Michelle weszła między nich, spojrzała na ich rozgniewane twarze i uznała, że Theo jest bardziej zdenerwowany. Położyła mu dłoń na piersi, poradziła, żeby głęboko odetchnął, i czekała, póki się nie uspokoi.

John Paul przypominał barbarzyńcę. Miał na sobie zielone

wojskowe krótkie spodnie, buty i podkoszulek. Wyglądał jak olbrzym kulturysta. Za cholewą buta tkwił myśliwski nóż, a stalowe spojrzenie płonących gniewem oczu świadczyło o tym, że nadal ma ochotę poprzetrzącać Theo kości. Mógłby grać czarownika w filmie. Miał długie włosy i blizny - jedną na policzku, a drugą na udzie, i przypominał przybysza z przeszłości.

- Theo, chciałabym ci przedstawić mojego brata, Johna Paula. - Odwróciła się do brata. - John Paul, to jest...

- Wiem, kim on jest - przerwał jej brat.

- Wiesz, kim jestem? - spytał z niedowierzaniem Theo.

- Tak.

John Paul nigdy nie unikał walki i kiedy Theo zrobił krok w jego stronę, on również. Dziewczyna wcisnęła się między nich.

- Skoro wiedziałeś, kim jestem, to czemu się na mnie rzuciłeś? - warknął Theo.

- Właśnie, dlaczego? - spytała Michelle, odchylając głowę, by spojrzeć bratu w oczy. - To było niegrzeczne z twojej strony.

Zawsze umiała go rozśmieszyć. Z trudem zapanował nad twarzą. Niegrzeczne. Jasne, że tak, bo chciał być niegrzeczny.

Splótł ręce na piersi.

- Nie mogłem pozwolić, żeby wziął strzelbę - wyjaśnił. - Jeszcze by się wystraszył i zastrzelił kogoś. Albo strzeliłby sobie w nogę.

Theo nie zadowolilo to wytłumaczenie, zrobił więc następny krok w przód.

- Chciałeś kopnąć mnie w chore kolano.

John Paul uśmiechnął się.

- Zawsze trzeba trafiać w najszabszy punkt. Oszczędzałeś tę nogę, pomyślałem więc...

- Wiedziałeś, że jestem znajomym twojej siostry, a mimo to chciałeś rozwalić mi kolano?

- Nie chciałem go rozwalić - zaprotestował John Paul. - Chciałem tylko, żebyś upadł.

- Mogłeś zrobić mu krzywdę - powiedziała Michelle.

- Michelle, sam się potrafię obronić - mruknął Theo. Jego męskość doznała uszczerbku i domagała się zadośćuczynienia.

- Gdybym chciał zrobić mu krzywdę, tobym zrobił. Mogłem go zabić, ale nie zabiłem.

- Co ty powiesz? - burknął Theo i schował pistolet do kabury.

- Mógłbym złamać ci kark, ale się powstrzymałem.

Michelle odwróciła się do Theo z zamiarem przerwania tej

wrogiej wymiany zdań i zobaczyła krew na jego ramieniu. Zapaliła lampę nad barem i przyjrzała się ranie. W głębokim rozcięciu błysnął kawałek szkła.

- Kiedy to się stało? - spytała. - Trzeba będzie założyć szwy. Nie dała mu czasu na wytłumaczenie. Podeszła do brata i stuknęła go w pierś. - Ty to zrobiłeś? Co ty sobie myślisz?

Theo uśmiechnął się. Mógłby położyć temu kres i wyjaśnić, że jej brat nie ma z tym nic wspólnego, ale miał niezły ubaw, patrząc jak John Paul się kuli. Cofnął się mimowolnie, gdy siostra zaczęła mu grozić najróżniejszymi sankcjami. Theo uznał to za dobra zabawę, bo facet wyglądał, jakby nie wiedział, co zrobić. Kiedy Michelle skończyła swoją tyradę, brat wyglądał na skruszonego. Co prawda tylko trochę.

W ostrym świetle można było dostrzec podobieństwo między rodzeństwem. Oboje mieli wysokie kości policzkowe i niebieskie oczy o identycznym odcieniu, lecz na tym kończyły się wspólne cechy. Michelle była piękna i miała w sobie wiele ciepła i łagodności. John Paul nie.

Theo podsycał w sobie niechęć do tego człowieka, lecz szybki z niej zrezygnował, gdy dostrzegł w oczach Johna Paula miłości do Michelle. Zachowywał się jak każdy starszy brat - po prostu starał się ją chronić. Jednak wspaniałomyślny zamiar, by się pojednać, miał krótki żywot.

- Moja siostra wygląda, jakby ciągnięto ją po błocie - powiedział oskarżycielskim tonem John Paul. - Co wyście, do cholery robili?

- Będziesz musiał powiedzieć tacie, że rozbiłeś najlepszą butelkę whisky - oznajmiła Michelle. - Posprzątaj to, a ja tym czasem zatelefonuję do Bena.

Odsunęła Theo i podeszła do telefonu. Wystukała numer posterunku policji i poprosiła operatorkę, by połączyła ją z domem Bena Nelsona.

Theo polecił Johnowi Paulowi, by zgasił światło. Ten, ku jego zaskoczeniu, usłuchał. Potem Theo wyjaśnił mu, co się stało.

- Myślisz, że tu wróca? - spytał John Paul. - Dlatego kazałeś mi wyłączyć światło?

- Pewnie nie wróca, ale nie chcę ryzykować. Mogliby nas tu zaskoczyć.

- Nic podobnego - odparł John Paul. - Poza tym usłyszałbym ich.

- Tak? Usłyszałbyś, nawet gdyby się tu podkradli?

- Jasne. - John Paul kiwnął głową.

- Myślisz, że jesteś supermanem?

Brat Michelle uśmiechnął się.

- Coś w tym rodzaju. Bardzo chciałbym, żeby tu przyszli. Miałbym okazję kilku zastrzelić.

- Nie ma nic zabawniejszego, jak strzelać do kogoś - stwierdził z sarkazmem Theo. - Ale nie wtedy, gdy jest tu twoja siostra.

- Tak, wiem.

Theo zaczynał odczuwać skutki walki. Bolała go szczeka, a i ramię pulsowało bólem. Otworzył podręczną lodówkę, wyjął z niej dwie smukłe butelki z piwem i chociaż miał ochotę rozbić jedną na głowie Johna Paula, doszedł do wniosku, że nie będzie marnować dobrego trunku, i mu ją podał.

Ten nie podziękował, lecz Theo wcale tego nie oczekiwał. (Otworzył butelkę i przytknął do ust. Usłyszał, że Michelle rozmawia z Benem.

- Powiedz mu, żeby czekał na nas przed domem.

Przeprosiła Bena i powiedziała, że muszą jechać do szpitala. Theo uznał, że ręka może poczekać.

- Nie - oświadczył twardo. - Najpierw pojedziemy do ciebie.

- Boże, ale jesteś uparty - szepnęła, ale nie oponowała.

Theo zaprzagnął usiąść i dać odpocząć bolącej nodze. Podeszedł do stolika, usiadł, przysunął sobie drugie krzesło i oparł na nim stopę. John Paul poszedł za nim i stanął mu nad głową.

- Usiądź - polecił Theo.

John Paul zajął miejsce na wprost niego i zaczął zadawać pytania. Theo wypił łyk piwa i opowiedział wszystko od początku, pomijając tylko fakt, że był w łóżku z Michelle. Jej bratu na pewno by się to nie spodobało. Jednak John Paul natychmiast się tego domyślił.

- Dlaczego zamykałeś okno w sypialni Michelle? - spytał.

- Bo było otwarte.

- Theo, wiesz, jakiej marki był ten samochód?! - zawołała dziewczyna.

- Szara toyota... nowy model - odpowiedział.

- Pewnie już dawno odjechali - stwierdził John Paul.

Theo przyznał mu w duchu rację. Nie spuszczał wzroku z Michelle, a jej brat czekał, by mu powiedzieć, że spierze go na kwaśne jabłko, bo doskonale wie, że Theo był z jego siostrą

w łóżku. Nie dbał o to, że ona powinna decydować, z kim śpi. i że to nie jego interes. Była jego małą siostrzyczką, a Theo ją wykorzystał.

- Moja siostra jest zdolnym chirurgiem - zaczął.
 - Wiem.
 - Myślała tylko o nauce.
 - Co chcesz przez to powiedzieć?
 - Że nie ma wielkiego doświadczenia z mężczyznami. Nie wie, jakimi mogą być kutasami.

- Jest dorosła.
 - Jest naiwna.
 - Kto jest naiwny? - spytała Michelle, podchodząc do stolika.
 - Nieważne - odparł jej brat, nie spuszczać wzroku z Theo. Był zły na siostrę, bo nie tylko związała się z obcym, ale jeszcze wybrała faceta pracującego dla rządu. To było niedopuszczalne. - Mike, musimy poważnie porozmawiać.

Udała, że nie słyszy gniewu w głosie brata.
 - Za dziesięć minut mamy się spotkać z Benem przed moim domem. Wysłał również dwa wozy patrolowe, by znaleźli tę toyotę. Powiedziałam mu, że mogło ich być trzech lub czterech, a może i więcej.
 - Co najmniej czterech - powiedział Theo.
 - Wiesz, gdzie tata trzyma tylenol? - spytała brata.
 - W kuchni nad zlewem. Pójdź po niego?
 - Ja to zrobię. Theo, powinniśmy pojechać prosto do szpitala - dodała.

- Szwy mogą poczekać.
 Wróciła z butelką tylenolu i dwiema szklankami wody. Pod pachą nosiła też dwie torebki mrożonych warzyw. Tylenol i szklanki postawiła na stoliku.

- Groszek czy marchewka? - spytała.
 Theo odkręcił butelkę z tylenolem.
 - Marchewka - odpowiedział.
 Dziewczyna rozgniotła w rękach zawartość mrożonki, a następnie położyła torebkę na jego kolanie.

- Lepiej?
 - Tak, dziękuję.
 Torebkę z mrożonym groszkiem przyłożyła sobie do czoła. Theo natychmiast odstawił butelkę i przyciągnął Michelle do siebie.
 - Skaleczyłaś się? Pokaż.

Troska w jego głosie wzruszyła ją do łez.

- To nic takiego - odparła. - Nabiłam sobie guza. Naprawdę, to niewielkie...

- Ciii. - Delikatnie odsunął jej rękę i przechylił głowę, by zobaczyć skaleczenie.

John Paul przyglądał się tej scenie z ponurą miną. Ze sposobu, w jaki Theo dotykał Mike, bez trudu można się było domyślić, że darzy ją uczuciem, i nic nie można na to poradzić. Federalny! Jak ona mogła zakochać się w federalnym?

- Cholera! - mruknął.

Michelle i Theo nie zwrócili na niego uwagi.

- Nie rozcięłaś sobie czoła.
 - Mówiłam, że to nic takiego.
 - Masz ogromnego guza.
 - Nic nie szkodzi.

Delikatnie odsunął jej włosy z twarzy. Oburzenie Johna Paula stało się nie do zniesienia.

- Mike, zejdź mu z kolan i usiądź na krześle.

- Wygląda na to, że twój brat mnie nie lubi - stwierdził z uśmiechem Theo. Wiedział, że John Paul nie spuszcza z niego wzroku, dlatego pocałował Michelle w czoło. - Kiedy uderzyłaś się w głowę? Gdy spadł na ciebie ten wąż?

Dziewczyna zeszła mu z kolan i usiadła na krześle.

- Jaki wąż? - spytał John Paul.
 - Mokasyn błotny spadł na mnie z drzewa - wyjaśniła.

Theo otworzył butelkę z tylenolem, Michelle wyciągnęła dłoń, a on wysypał jej dwie tabletki.

- Theo, musimy pojechać do szpitala i znaleźć tę przesyłkę.

- O czym ty mówisz? Jaką przesyłkę? - spytał.

Michelle uznała, że musi opowiedzieć wszystko od początku. Oparła łokcie na stole i przytknęła mrożony groszek do czoła.

- Rozpoznałam jednego z nich.

- I dopiero teraz mi mówisz?

Theo szarpnął się, wyrzucając w górę torebkę z mrożoną marchewką. John Paul złapał ją w locie i z impetem położył na jego kolanie.

Dziewczyna skuliła się, bo od krzyku rozboleła ją głowa.

- Pamiętasz tego człowieka, który biegł za nami, gdy usiłowaliśmy dostać się do łodzi? Zaświeciłeś mu latarką w twarz. To posłaniec z firmy kurierskiej. Podszedł do mnie na stadionie, gdy siedziałam na trybunie, jak ty rozmawiałeś z chłopcami z drużyny.

- Zauważyłem go, ale nie widziałem jego twarzy, bo miał czapkę. Mówisz o tym, do którego strzeliłem?

- Tak.

- Zabiłeś go? - spytał John Paul.

- Nie - rzucił niecierpliwie Theo. - Spudłowałem. Michelle nie rozumie, dlaczego tak długo z tym czekałaś?

- A kiedy miałam ci powiedzieć? Gdy do nas strzelali czy gdy siedzieliśmy w rowie i nie pozwoliłeś mi mówić?

- Jesteś pewna, że to ten sam facet?

- Tak - odparła zdecydowanie. - Wiesz, co jest dziwne? Kiedy rozmawiałam z nim na stadionie, wydało mi się, że już go gdzieś widziałam, ale potem przyszło mi do głowy, że mogłam wpaść na niego w szpitalu. Zawsze tam przynoszą mi przesyłki.

- Rozpoznałaś innych? A co z tym z łodzi?

- Nie widziałam jego twarzy. Wskoczył do wody, gdy do niego strzeliłeś.

- Zabiłeś go? - spytał John Paul.

- Nie, chybiłem.

John Paul popatrzył na Theo z niedowierzaniem.

- To po co nosisz broń, skoro nie umiesz strzelać?

- Umie - warknął Theo. - Z przyjemnością ci zademonstruję

- Mógł go trafić w rękę - powiedziała z nadzieją w głosie Michelle i zdała sobie sprawę z tkwiącej w tym ironii. Przecież poświęciła się ratowaniu życia, a nie zabijaniu. Strzelanie do ludzi nie mieściło się w jej kodeksie moralnym.

- Jasne - prychnął pogardliwie John Paul. - Jak daleko był ten gość?

- Strzelano do nas ze wszystkich stron - powiedziała. - A Theo starał się jednocześnie osłaniać mnie i strzelać.

John Paul zignorował jej wyjaśnienie.

- Po co nosisz broń? - spytał.

- Bo otrzymałem takie polecenie. Grożono mi.

- Nic dziwnego.

- Przestańcie wreszcie skakać sobie do oczu. Mamy poważny problem. Theo, chyba rozumiem, o co tu chodzi. Ten człowiek, czy ilu ich tam było, który zdemolował ambulatorium, szukał tej przesyłki. Facet, który podszedł do mnie na stadionie, powiedział, że jakiś inny pracownik firmy kurierskiej doręczył mi złą przesyłkę, i chciał ją odzyskać. Zadzwoniłam do rejestratorki i poprosiłam, żeby ją znalazła i mu oddała. Wysłałam go do szpitala, ale nie

sprawdziłam, czy ją dostał. Elena przywiozła mi pudło pełne korespondencji, pamiętasz? Myślę, że ci ludzie, którzy wpadli w nocy do mojego domu, sądzili, że ta przesyłka jest w tym pudle. Ale przejrzałam jego zawartość i niczego nie znalazłam. Według mnie, oni szukali jej w szpitalu i pomyśleli, że Elena przywiozła ją wczoraj do mnie.

- Tylko w jeden sposób mogli się dowiedzieć, że Elena ma ci coś przywieźć - stwierdził John Paul.

- Założyli podsłuch - domyślił się Theo. - Cholera, dlaczego lego nie sprawdziłem?

- Ja to mogę zrobić - zaproponował John Paul.

- Wiesz, czego szukać?

- Oczywiście.

- Kiedy to znajdziesz, nie likwiduj - powiedział Theo po chwili zastanowienia.

- Dlaczego? - spytała Michelle.

- Bo nie chcę, żeby się zorientowali. Moglibyśmy im dać parę fałszywych informacji.

- Co dokładnie ten gość ci powiedział? - spytał John Paul. W jego głosie nie wyczuwało się już takiej wrogości.

- Powiedział, że zamieniono przesyłki, że inny kurier imieniem Eddie przez niedbalstwo źle poprzyklejał nalepki na dwóch paczkach. Szukają właśnie tej, którą dostałam przez pomyłkę.

Theo pokręcił głową.

- Skąd wiesz, że zaszła pomyłka? Nic nie jest prawdą, dopóki się tego nie udowodni. Nie uwierzmy w tę rzekomą pomyłkę, dopóki nie otworzymy przesyłki i nie sprawdzimy, co w niej jest.

- Ten człowiek, który do nas strzelał, mógł kłamać?

- Jezu, Mike, rusz głową - powiedział John Paul.

- Boli mnie. - Westchnęła ciężko. - No tak, oczywiście, że kłamał.

- Niekoniecznie - stwierdził Theo.

- Przecież powiedziałaś...

Uśmiechnął się.

- Mógł mówić prawdę. Gdy znajdziemy tę przesyłkę, przekonamy się o tym. Do tego czasu...

- Rozumiem - odparła ze znużeniem.

- Pamiętasz, mówiłaś mi, że ktoś cię śledzi. Miałaś rację. Ktokolwiek to jest, jest dobry. Nie zauważyłem go, choć uważnie się rozglądałem.

- Może obserwowali dom - zasugerowała Michelle.
 - Co o tym wszystkim sądzisz? - spytał John Paul.
 - Nie wiem - przyznał Theo. - Kiedy znajdziemy tę przesyłkę, będziemy wiedzieli, na czym stoimy.
 - Jedziesz ze mną do domu, Mike. Potrafię cię ochronić.
 - Chcesz powiedzieć, że ja nie? - oburzył się Theo.
 - Kiedy strzelam, to po to, żeby zabić. Nie pudłuję.
 Theo miał ochotę rzucić się na niego, ale Michelle położyła kres tej wrogości.
 - Przepraszam, panowie - warknęła. - Sama potrafię się obronić. John Paul, jadę z Theo do szpitala.
 - Mike...
 - Koniec dyskusji.
 - Będzie przy mnie bezpieczna - zapewnił go Theo i zdziwił się, gdy John Paul nie zaprotestował. - Noah jest w Nowym Orleanie - dodał, pocierając brew. - Chciałbym, żeby sprawdził parę rzeczy przed powrotem do Bowen.
 - Noah jest... - zaczęła Michelle.
 - Wiem, kim jest - przerwał jej John Paul. - Agentem FBI - rzucił z pogardą.
 - Tymczasem nie odstępuj na krok taty - ciągnął Theo, nie zwracając na nich uwagi.
 Michelle upuściła torbę z groszkiem na stolik.
 - Myślisz, że będą ścigać tatę?
 - Biorę pod uwagę każdą możliwość. - Theo dokończył piwo i odstawił butelkę na stół. - Czas na nas.
 - John Paul, mógłbyś uruchomić furgonetkę? - spytała brata Michelle. - Tata nie jeździł nią od tygodnia. Mówił mi, że coś się dzieje ze starterem, a nie miał czasu go naprawić.
 - W porządku.
 Zmęczenie w końcu dało o sobie znać. Dziewczyna z trudem podniosła się z krzesła.
 - No to jedźmy.
 Theo oddał jej torbę z marchewką i spróbował wstać. Zimny okład pomógł i kolano przestało boleć.
 - Najpierw do domu - oznajmił.
 - Dlatego że Ben na nas czeka? Mogłabym do niego zadzwonić...
 - Nie. Muszę wziąć mój telefon komórkowy i trochę amunicji.
 - Po co ci amunicja? - spytał John Paul.

- Bo już całą zużyłem.
 - Według mnie, zmarnowałeś.
 - Nie zastrzel go, Theo - powiedziała Michelle. - Wiem, że chciałyś, bo mój brat potrafi nieźle zaleźć za skórę. Ale go kocham. Theo puścił do niej oko.
 - Wcale się nie boję - burknął John Paul.
 - A powinienesz - odparła Michelle.
 - Niby dlaczego? - spytała. - Przecież on pudłuje.

32

Kiedy Michelle rozmawiała z Benem, Theo poszedł do domu. Zostawił tenisówki przy drzwiach, by nie nanieść błota, wbiegł po schodach na górę, zrzucił ubranie i wziął szybki gorący prysznic. Odetchnął z ulgą, bo nie znalazł żadnych kleszczy czy pijawek na ciele. Po dziesięciu minutach był z powrotem z telefonami komórkowymi Michelle i swoim oraz jej ładowarką. Zdażył również zmienić magazynki i włożyć zapasowy do kieszeni.

- Gotowa? - spytał.

- John Paul uruchomił twój samochód - powiedziała, wsiadając. - Kluczyki są w stacyjce.

- A gdzie twój brat?

Podążył wzrokiem za jej wyciągniętą ręką. John Paul siedł w stronę furgonetki stojącej na poboczu drogi. Theo dogonił go i wręczył telefon Michelle i ładowarkę.

- Po co mi to? - spytał z niechęcią John Paul.

- Muszę być z tobą w kontakcie. Weź go.

- Nie...

- Jak się z tobą skontaktujemy, gdy będziesz potrzebny? Wyślemy błagalne modły?

John Paul zmiażdżył telefon i ładowarkę i ruszył do furgonetki.

- Opiekuj się tatą! - zawołała za nim siostra. - Nie pozwól, żeby coś mu się stało. I uważaj na siebie. Nie jesteś niezniszczalny.

Theo wsiadł do samochodu i właśnie zamykał drzwi, gdy podbiegł do nich Ben.

- Chyba mamy szczęście - powiedział.

- To znaczy?

- Właśnie odebrałem meldunek. Jakiś detektyw z Nowego Orleanu chce ze mną rozmawiać. Mówi, że to pilne.

- Czego on może chcieć? Nie mogli tak szybko dowiedzieć się o tym, co tu zaszło.

- Wracam na posterunek, ale mam przeczucie, że to - szeryf machnął ręką w stronę domu Michelle - i ten detektyw z Nowego Orleanu mają ze sobą coś wspólnego.

- Proszę zadzwonić do mnie do szpitala, jak tylko pan się czegoś dowie - poprosił Theo.

Dojazd do szpitala nie zajął im dużo czasu. Bocznymi drzwiami weszli do izby przyjęć. Michelle nie zdawała sobie sprawy ze swego wyglądu, póki nie zauważyła zdziwionych spojrzeń pielęgniarek. Muszę wziąć prysznic, pomyślała. Pewnie strasznie śmierdzieć.

- Wygląda pani, jakby wpadła do śmietnika - stwierdziła Megan, świeżo upieczona pielęgniarka. - Co się pani stało?

- Wpadłam do śmietnika.

Stojąca za kontuarem stanowiska dla pielęgniarek Frances również uniosła głowę. Była młodą dziewczyną, lecz zyskała przydomek Babcia, bo zachowywała się jak dziewięćdziesięcioletka. Michelle poprosiła ją, by przygotowała wszystko do założenia szwów.

- Zostań tu, Theo - powiedziała. - Chciałabym pójść na górę i wziąć prysznic.

- Pójdę z tobą. Muszę zatelefonować do Noaha.

Kiedy mijali Megan, Michelle zauważyła, że pielęgniarka nie może oderwać wzroku od Theo.

W pokoju dla lekarzy wzdłuż jednej ze ścian stały szafki, przy drugiej kanapa, mały stolik, dwa fotele i biurko. W pobliżu drzwi na wąskim stoliku stał dzbanek z kawą i plastikowe kubki, a w rogu lodówka. Dalej wąski korytarzyk prowadził do dwóch innych pomieszczeń. Kiedy Michelle wyjmowała z szafki czyste ubrania, Theo zajrzał do środka. W obu były łazienki z pełnym wyposażeniem i prysznicami.

- Niezłe lokum - stwierdził, gdy dziewczyna minęła go w drodze do łazienki.

Podszedł do lodówki, wyjął z niej butelkę z wodą, przysiadł na biurku i połączył się z komórką Noaha. Po chwili usłyszał nagrany głos przyjaciela, który poinformował go, żeby zostawił wiadomość. Theo domyślał się, gdzie Noah może być, ale musiał zaczekać, aż Michelle weźmie prysznic i poda mu numer telefonu.

Potem połączył się z centralą szpitala i poprosił o kontakt

z Elena Miller. Telefonistka poinformowała go, że Elena jeszcze nie przyszła do pracy. Nie chciała dać mu domowego numeru, ale zgodziła się sama do niej zatelefonować. Elena podniosła słuchawkę po drugim sygnale. Theo przedstawił się i poprosił, by opisała posłańca, który przyszedł w środę do szpitala odebrać przesyłkę, i zdała relację z rozmowy.

Kobieta nie omieszkała poinformować go o grubiańskim zachowaniu kuriera.

- Miał czelność na mnie krzyczeć.

Theo zrobił kilka notatek w bloczku, który znalazł na biurku. Następnie w książce telefonicznej leżącej w dolnej szufladzie biurka odszukał numer telefonu firmy kurierskiej z Nowego Orleanu i zatelefonował do niej. Po trzech próbach dotarł wreszcie do kierownika. Mężczyzna sprawił wrażenie zmęczonego i nie chciał nic mówić, dopóki Theo nie zagroził, że wyśle po te informacje kilku policjantów. Wówczas stał się niezwykle chętny do współpracy. Wyjaśnił, że wszystkie przesyłki są wpisywane do komputera. Wystukał nazwisko Michelle Renard i poinformował Theo, kiedy i gdzie doręczono przesyłkę.

- Chciałbym wiedzieć, kto ją wysłał.

- Kancelaria adwokacka Benchley, Tarrance i Paulson - odpowiedział kierownik. - Odbiór pokwitowano w szpitalu w St. Claire o piątej piętnaście. Mam przesłać panu kopię?

- To nie będzie konieczne - odparł Theo.

Tymczasem Michelle wykapała się, umyła włosy i poczuła się znacznie lepiej. Pomyślała, że wygląda koszmarnie, ale czuła się dobrze i w tej chwili tylko to się liczyło. Włożyła czyste ubranie, rozczesała włosy, krzywiąc się z bólu, kiedy przypadkiem dotknęła guza na czole. Postanowiła nie suszyć włosów i założyła mokre pasma za uszy. Wyszła z łazienki, zawiązując sznurek przy spodniach.

- Rozmawiałeś z Noahem? - spytała.

- Jeszcze nie. Za to rozmawiałem z kierownikiem firmy kurierskiej. Zgadnij, czego się dowiedziałem?

- Nie ma żadnego Franka czy Eddiego, tak? Boże, czuję się jak idiotka.

- Owszem, nie ma żadnego Franka czy Eddiego, ale dlaczego czujesz się jak idiotka? Nie miałeś powodu do podejrzeń.

- Theo, mówię ci, ja już widziałam gdzieś tego mężczyznę. Myślałam, że w szpitalu, ale nie. No więc gdzie?

- Przypomnisz sobie - zapewnił ją. - Kiedy będziesz myślała o czymś innym, nagle doznasz olśnienia. Wiesz, co jeszcze powiedział ten kierownik?

Dziewczyna usiadła na kanapie, by zawiązać sznurowadła w butach.

- Co takiego?

- Że przesyłkę wysłała kancelaria adwokacka Benchley, Tarrance i Paulson.

- I była adresowana do mnie?

- Tak. Telefonowałem już do nich, ale nie chcieli nic mówić przez telefon, więc wyśle tam Noaha. Rozmawiałem też z Elena Miller. Gadała jak najęta.

- Ona zawsze gada jak najęta - stwierdziła Michelle. - Co powiedziała?

- Że posłaniec był niegrzeczny.

- To nic nowego.

- Kiedy nie mogła znaleźć tej przesyłki, zaczął na nią krzyczeć, a nawet grozić. Tak się wściekła, że postanowiła zadzwonić do firmy kurierskiej i złożyć na niego skargę, ale potem zapomniała.

Michelle podeszła do biurka. Zauważyła, że Theo jej się przygląda.

- O co chodzi? - spytała.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Nic mi nie będzie.

- Martwię się o ciebie. Sprawiasz wrażenie, jakbyś za chwilę miała się rozpaść.

- Nic mi nie będzie - powtórzyła.

Nie wyglądała dobrze. Była blada i spięta. Potrzebuje kilku chwil relaksu, pomyślał Theo. W końcu napięcie minie i wtedy się rozklei.

- Chodź tutaj.

- Theo, nie mamy czasu. Muszę zszyć ci ramię i znaleźć tę przesyłkę.

- Szwy i przesyłka mogą poczekać. Odetchnij głęboko i spróbuj się odprężyć. Chcesz coś do picia? Colę czy coś innego?

- Nie, dziękuję.

- Chodź tutaj.

- Przecież jestem.

- Bliżej.

Zrobiła krok w jego stronę.

- Theo...
- Bliżej.

Trudno mu było się oprzeć. Nie powinna ulegać. Mieli tyle do zrobienia. Założyła ręce na piersi i zmarszczyła gniewnie czoło.

- Nie mamy czasu na zabawę.

Posadził ją sobie na kolanach.

- Czemu myślisz, że chcę się bawić?

Położył jej dłoń na karku i wolno przyciągnął do siebie.

- Nie wiem. Mam dziwne przeczucie, że chcesz mnie pocałować - powiedziała, opierając mu dłonie na ramionach.
- Nawet mi to nie przyszło do głowy. Nie mamy czasu na zabawę.

Gdy dotknął wargami jej szyi, zamknęła oczy i przechyliła głowę

- W takim razie musiałam źle odczytać sygnały - szepnęła.

- Musiałas - przyznał i przycisnął usta do jej warg w długim gorącym pocałunku. Wsunął język w ciepłe wnętrze, doprowadzając ją do szaleństwa, aż zaczęła drżeć i zaciskać mu palce na ramionach w niemej prośbie o więcej.

Planował krótki pocałunek, kiedy jednak dotknął jej warg, nie mógł się opanować. Wiedział, że powinien przerwać, póki sprawy nie wymkną się spod kontroli, ale wciąż ją całował.

W końcu Michelle uniosła głowę; oddychała spazmatycznie i miała zamglone spojrzenie.

- Nie możemy tego robić - szepnęła, przytulając czoło do jego czoła. - Musimy przestać, Theo.

- Dobrze - powiedział ochrypłym głosem, starając się uspokoić szalony rytm serca.

Pocałowała go w czoło, potem w nos.

- Jesteśmy w szpitalu, na litość boską - powiedziała i pochyliła się nad nim. - Ja tu pracuję - wyszeptwała, odrywając się od jego ust. - Nie mogę ciągle się całować. - I znowu go pocałowała.

Theo poczuł, że traci kontrolę, wstał raptownie i zdjął Michelle ze swoich kolan.

Oparła się o biurko, bo nogi jej drżały. Boże, ależ on całuje. Ze smutkiem zdała sobie sprawę, że kocha w nim wszystko: spokój, opiekuńczość, pewność siebie. Tak dobrze czuł się w swojej skórze. Kiedy się bał, nie ukrywał tego tak jak jej brat. Był taki pewny, nie dbał o to, co inni pomyślą. Podziwiała go za to.

Odetchnęła głęboko i ruszyła do drzwi.

- Masz cholernie seksowny chód - powiedział Theo, idąc za nią.

- Nie zauważyłeś napisu?

- Jakiego napisu?

- Zabrania się flirtowania na terenie szpitala.

- W porządku. - Spowaźniał. - Zaczniemy od izby przyjęć. Zauważyłem, że nie ma tłoku. Poproszę, by ktoś z personelu nam pomógł.

- Najpierw zszyję ci ramię.

- Nie, Michelle...

Odwrociła się i zaczęła iść tyłem.

- Theo, ja tu dowodzę. - Pryszyć dodał jej energii, wiedziała jednak, że to tylko chwilowe ożywienie i wkrótce da o sobie znać brak snu. Dlatego chciała jak najszybciej wszystko załatwić.

Czuła się spokojna i pewna siebie. Była przecież u siebie. Tu nikt nie będzie do nich strzelał, zbyt dużo tu ludzi. Przyszło jej nawet do głowy, że mogliby tu zostać, i już chciała to zaproponować, kiedy Theo przerwał jej rozmyślenia.

- Zwolnij - powiedział. - Z kim mam rozmawiać w sprawie pomocy?

- Wszyscy mają tu swoje obowiązki.

- Ale to jest teraz najważniejsze.

- Mógłbyś porozmawiać z dyrektorem administracyjnym. Zwykle przychodzi o ósmej, ale on się nie zgodzi. Nie lubi, gdy coś zakłóca tok pracy.

- Trudno. Będzie się musiał zgodzić. Zwolnij - powtórzył.

- To ty się wleciesz. Czyżbyś obawiał się kilku szwów? - Uśmiechnęła się mimowolnie. - Boisz się, że będzie bolało?

- Nie, tylko nie lubię igły.

- Ja też nie - odparła. - Zawsze mdlałam na jej widok.

- To wcale nie jest śmieszne.

Pomyślała, że jednak jest i roześmiała się. Frances, pielęgniarka z marsem na twarzy, która stała przed jednym ze stanowisk, zsunęła kotarę.

- Wszystko gotowe, pani doktor.

Ta poklepała leżankę. Theo usiadł i popatrzył na Michelle, która sięgała właśnie po rękawiczki. Podeszła do niego pielęgniarka z nożyczkami i chwyciła za brzeg podkoszulka. Podciągnął rękaw w górę. Kiedy zaczęła obmywać miejsce wokół rany tamponem nasączonym ostro pachnącym środkiem dezynfekcyjnym, wyjął telefon komórkowy i zaczął wystukiwać numer.

- W szpitalu nie wolno używać telefonów komórkowych - powiedziała Frances i chciała mu go zabrać.

Już miał zamiar powiedzieć „Odsuń się, kobieto”, ale się powstrzymał, wyłączył telefon i położył go na leżance.

- To proszę mi dać taki, z którego będę mógł zatelefonować.

Gniewny mars na twarzy pielęgniarki jeszcze się pogłębił.

- Irytujący pacjent, prawda, pani doktor?

Michelle stała odwrócona plecami do Theo, ale czuł, że się uśmiecha. Usłyszał też śmiech w jej głosie.

- Potrzebna mu drzemka.

- Potrzebny mi telefon.

Frances skończyła oczyszczać ranę i odeszła. Theo sądził, że poszła po telefon. Michelle zbliżyła się do niego, trzymając rękę za plecami. Poczul się dotknięty tym, że traktuje go jak dziesięcioletniego chłopca i chowa przed nim igłę.

- Zrób to szybko - powiedział rozdrażnionym tonem. - Mamy mnóstwo roboty.

Nawet nie drgnął, gdy wstrzyknęła mu środek znieczulający.

- Za minutę nic nie będziesz czuł. Położysz się?

- Czy to ułatwi lub przyspieszy pracę?

- Nie.

- W takim razie będę siedział. Zaczynaj.

Tymczasem wróciła Frances z formularzami do wypełnienia. Musiała słyszeć, co Theo powiedział.

- Nie powinien pan popędzać lekarza, młody człowieku.

Młody człowieku? Przecież on był starszy od niej.

- Gdzie jest telefon?

- Uspokój się, Theo - powiedziała Michelle i dała znak pielęgniarkce, by przysunęła bliżej tacę. - Nie zamierzam się spieszyć. - Uśmiechnęła się. - Ktoś mi powiedział, że jeżeli chcesz coś zrobić dobrze...

- To co?

- To musisz to robić wolno i bez pośpiechu.

Uśmiechnął się mimo woli. Miał ochotę ją pocałować, ale ta pielęgniarka rodem z filmu „Z archiwum X” pewnie by go znokautowała.

- Jest pani mężatką? - spytał.

- Tak. Dlaczego pan pyta?

- Pomyślałem sobie, że Michelle powinna umówić panią z jej bratem. Macie ze sobą wiele wspólnego.

- Pani doktor, nie mamy dokumentacji tego pacjenta - powiedziała oschle.

- Gdzie mój telefon? - spytał Theo.

- Wypełni formularz, kiedy skończymy - odparła Michelle.

- To niewłaściwa procedura.

- Liczę do pięciu. Jeżeli do tego czasu nie dostanę telefonu, wstaję - ostrzegł Theo.

- Frances, proszę, przynieś telefon.

- Jest w holu na ścianie - odpowiedziała pielęgniarka.

- Nie może przecieć do niego podejść. - W głosie Michelle brzmiała irytacja.

- Dobrze, pani doktor.

Frances poleciła Megan, która flirtowała właśnie z sanitariuszem, żeby ją zastąpiła. Po chwili przyniosła staromodny aparat. Megan wcisnęła wtyczkę do gniazdka w ścianie i podała telefon Theo.

- Musi pan wykręcić dziewięć, by wyjść na miasto.

Michelle skończyła oczyszczać ranę i była gotowa do założenia szwów.

- Przestań się krzywić - powiedziała. - Zamierzasz dzwonić do Noaha?

- Najpierw chcę porozmawiać z dyrektorem i uzyskać jakąś pomoc, skoro mamy coś tu znaleźć.

- To ja powinnam się tym zająć. Może jeszcze ty i ktoś trzeci. Jeżeli każesz wszystkim szukać, nie będę wiedziała, co przeszukali, a czego nie. Pozwól mi najpierw rozejrzeć się po izbie przyjęć i po oddziale chirurgicznym, zanim wezwiesz posiłki.

- Czemu tylko w tych dwóch miejscach?

- Bo listy, których nie odebrałam na dole, są przesyłane na górę. Wszyscy chirurdzy mają swoje biurka i tam właśnie odkłada się dla nich listy.

- Pani doktor ma rację - odezwała się Megan. - Sama zносиłam mnóstwo listów na górę. Chodzę tam przynajmniej dwa razy dziennie. Jest tam bardzo miłutki technik - dodała. - Chciałam, żeby zwrócił na mnie uwagę. Mogę pomóc szukać, pani doktor. Niewiele się dzieje na izbie przyjęć, a Frances mnie zawiadomi, gdy będę potrzebna.

- Dzięki, Megan.

- Nie ma za co. Co mam zrobić?

- Znaleźć przesyłkę dostarczoną tu przez firmę kurierską.

- Och, mamy mnóstwo takich przesyłek.

- Michelle, skarbie, kończysz już? - spytał Theo.
- Ojejku, powiedział do pani „skarbie”! - wykrzyknęła Megan.
- Megan, zasłaniasz mi światło.
- Przepraszam, pani doktor. - Młoda pielęgniarka cofnęła się. popatrzyła na Theo, a potem na Michelle. - Więc co mam robić? - spytała konspiracyjnym szeptem.
- Zaczynj szukać na dole, póki pani doktor tu nie skończy - zaproponował Theo.
- Dobrze, proszę pana.
- Tylko dokładnie - dodała Michelle, nie podnosząc wzroku. - Nie powinienes mówić do mnie „skarbie” - szepnęła, kiedy Megan zaciągnęła kotarę.
- Podważyłem twój autorytet?
- Nie, tylko że...
- Co?
- Ona jest miła, ale zaraz wszystkim wypaple. Wyobrażam sobie, jakie plotki będą krążyć jutro po szpitalu. Pewnie się okaże, że jestem w ciąży.
- Przechylił głowę na bok.
- Całkiem miła perspektywa.
- Theo, na litość boską! - rzuciła Michelle, przewracając oczami.
- Uśmiechnął się.
- Kobieta, która dała sobie radę z wężem sunącym po jej nodze, poradzi sobie z ploteczką. Jesteś twardsza, niż na to wyglądasz.
- Jeszcze jeden szew i koniec - powiedziała. - Kiedy ostatnio byłeś szcepiony na tężec?
- Nie uszło jego uwagi wzruszenie brzmiące w głosie Michelle.
- Wczoraj.
- Nie cierpisz zastrzyków, co? No to dostaniesz jeden.
- Dotknął jej policzka.
- Tracisz głowę, gdy zaczynam żartować, i krępują cię komplementy. Nie wiesz, co z nimi zrobić.
- Skończyłam - oznajmiła. - Znowu jesteś poskładany Hump-ty-Dumpty. Nie wstawaj - dodała szybko. - Ja skończyłam, ty jeszcze nie.
- Co to znaczy?
- Opatrunek i zastrzyk.
- Ile szwów?
- Sześć.

- Kiedy Michelle zdejmowała rękawiczki, kotara się uchyliła.
- Doktor Mike, detektyw z Nowego Orleanu chciałyby rozmawiać z panią i pani chłopakiem - powiedziała Megan.
- To jest pacjent - warknęła Michelle i po chwili uświadomiła sobie, że nie powinna nic mówić.
- Megan rozsunęła kotarę.
- To jest detektyw Harris - powiedziała.
- Zobaczyli wysoką atrakcyjną kobietę, o pociągłej twarzy i przenikliwym spojrzeniu. Kiedy podeszła bliżej, Michelle zauważyła zmarszczki w kąciakach oczu i wokół ust. Ubrana była w czarne spodnie, czarne buty i jasnoniebieską bluzkę. Wyciągnęła rękę do Theo, a wówczas Michelle zobaczyła kaburę z pistoletem przytwierdzoną do paska.
- Kobieta nie traciła czasu na wymianę uprzejmości i od razu przeszła do rzeczy.
- Chciałabym wiedzieć, co dokładnie zdarzyło się dzisiejszej nocy. Szeryf Nelson przedstawił mi szczegóły, ale wolałabym usłyszeć państwa wersję.
- Gdzie jest Ben? - spytała Michelle.
- Pojechał do pani domu skończyć oględziny. - Pani detektyw obrzuciła Michelle przelotnym spojrzeniem. - Cokolwiek tam znajdzie, zabiorę do zbadania w laboratorium w Nowym Orleanie.
- Theo przyglądał się policjantce. Dostrzegł w niej jakieś zmęczenie, jakby nigdy nie wypoczywała. Sprawiała wrażenie jednocześnie kruchej i twardej.
- Od jak dawna pracuje pani w policji? - spytał.
- Cztery lata w wydziale zabójstw. Przedtem trzy lata w oby-
- czajówce.
- Aha, w obyczajówce. To wszystko wyjaśniało.
- Więc co panią sprowadza do Bowen?
- Jeśli pan pozwoli, to ja będę zadawać pytania.
- Proszę bardzo - odpowiedział. - Jak tylko odpowie pani na moje pytanie.
- Rozciągnęła wargi w czymś na kształt uśmiechu.
- Nawet gdyby szeryf Nelson mi nie powiedział, i tak domyśliłabym się, że jest pan prawnikiem.
- Theo nie odpowiedział. Po prostu czekał na odpowiedź. Spróbowała onieśmielić go świdrującym spojrzeniem, ale przegrała.
- Dostałam cynk - odparła z westchnieniem. - Pewny cynk od naszych ludzi, że płatny zabójca, którego tropię od trzech długich

lat, zawitał do Bowen. Podobno ma tu do wykonania jakąś robotę i przysięgam na Boga, że tym razem go dopadnę.

- Kto to jest?

- Duch. Tak nazywają go niektórzy koledzy z wydziału zabójstw, bo rozplywa się w powietrzu, jak tylko uda nam się go namierzyć. Według mojego informatora, ma teraz ksywę Monk. Podejrzewam go o udział w dwóch morderstwach w Nowym Orleanie w ubiegłym roku. Jesteśmy niemal pewni, że zamordował nastolatkę w Metairie. Podejrzewamy, że wynajął go ojciec dziewczyny, by dostać ubezpieczenie, ale nie mamy dowodów.

- Skąd pani wie, że zrobił to ten Monk? - spytał Theo.

- Zostawia swoistą kartę wizytową na miejscu zbrodni, długą czerwoną różę na znak, że wykonał robotę. Zawsze stara się, by wyglądało to na wypadek lub samobójstwo i zawsze ktoś korzysta na śmierci ofiar.

- Ojciec kazał zamordować własne dziecko dla pieniędzy? - Michelle poczuła dziwny chłód. To straszne. Jak ojciec mógł zrobić coś tak potwornego?! Zrobiło jej się niedobrze. Biedne dziecko.

- W pokoju tej dziewczyny nie było róży - ciągnęła policjantka - ale znaleźliśmy świeży płatek pod komodą. W drugiej sprawie zespół śledczy znalazł kolec wbity w narzutę. Monk działa zazwyczaj w nocy, gdy ofiary śpią.

- Kim była druga ofiara? - spytał Theo.

- Starszym mężczyzną, zdrowym dziadkiem, którego jedyny krewny miał problemy z narkotykami.

- Z tego, co pani mówi, nie wynika, żeby ten Monk miał wspólników - zauważył Theo. - Wygląda mi na samotnika.

- Dotąd pracował sam, ale mam przecucie, że wczoraj wieczorem był w domu pani doktor.

- Jeśli to on, to pewnie szukał przesyłki - powiedziała Michelle. - Może jest w niej coś, co zdemaskuje jego albo osobę, która go wynajęła.

- Jakiej przesyłki? - spytała policjantka. Wyglądała, jakby chciała uderzyć dziewczynę za zatajenie informacji.

Wyjaśnienia Michelle bardzo ją zainteresowały.

- Twierdzi pani, że jest w stanie zidentyfikować jednego z napastników? Jest pani pewna, że to ten sam człowiek, który rozmawiał z panią na stadionie?

- Tak.

Boże, to byłoby dopiero szczęście, gdyby okazał się Monkiem. Nikt go dotąd nie widział, a teraz mielibyśmy jego portret.

Chciałbym porozmawiać z pani informatorem - powiedział Theo.

Kobieta pokręciła głową.

Sądzi pan, że mam jego numer telefonu? Nic z tego. Kontaktuje się ze mną, gdy przyjdzie mu na to ochota, i zawsze dzwoni z budek telefonicznych. Kiedy ją namierzamy, już go tam nie ma. Jest nieuchwytny jak duch.

- W porządku. A z aktami Monka?

- Nie rozumiem.

- Chciałbym je przejrzeć.

Zignorowała jego prośbę.

- Musimy znaleźć tę przesyłkę - zwróciła się do Michelle. - Nie domyśla się pani, co może być w środku?

- Nie.

- Tym razem go dopadnę. Przysięgam na grób mojej matki. Jest tak blisko, że prawie czuję jego zapach.

- Chcę przejrzeć akta Monka - powtórzył Theo. Nie była to jednak prośba, lecz wyraźne żądanie.

Pani detektyw rzuciła mu lodowate spojrzenie.

- Tak czy inaczej pomożemy pani - oznajmiła Michelle, starając zażegnać napięcie.

- Najlepiej, żebyście trzymali się od tego z dala - stwierdziła policjantka, patrząc na Theo. - Ja kieruję tym śledztwem. Czy to jasne? - Odchrząknęła nerwowo, bo nie doczekała się odpowiedzi. - Zamierzam otoczyć cały teren i zacząć poszukiwania. Proszę zabrać panią doktor do domu i zostać tam. Jeżeli usłyszycie pan coś podejrzanego, proszę do mnie zadzwonić.

Wszystko wskazywało na to, że Harris nie pójdzie na współpracę. Nie chciała odsonić kart, więc on też nie będzie się z nią dzielił informacjami.

- Chcę przejrzeć ten raport i sprawdzić, co jest w tej przesyłce - warknął. Nie pozbędzie się go tak łatwo.

- Może pan sprawdzić. Jeśli nie będzie to dotyczyło Monka, zrobi pan z tym, co zechce.

- A jeśli będą tam informacje dotyczące tego Monka? - spytała Michelle.

- Wtedy ja się tym zajmę. To jest moje śledztwo i nie pozwolę, by mieszał się do niego federalni. Przez trzy lata goniłam za

cieniem Monka i zbyt wiele włożyłam w to wysiłku, by FBI zaczęło mi się wtrącać. Nie dopuszczę do tego.

Jej pogarda była aż nadto oczywista. Rywalizacja między FBI i lokalnymi oddziałami policji miała głębokie korzenie i była źródłem najróżniejszych kłopotów. Theo nie zamierzał bawić się w dyplomata.

- Martwi się pani, że FBI przejmie sprawę? - spytała Michelle

- Jasne, że tak. Od trzech lat usiłuję dopaść tego typu, a kiedy to zrobię, przekażę go panu - zwróciła się do Theo.

- Pracuję dla Ministerstwa Sprawiedliwości. Nie obchodzi mnie, co pani z nim zrobi, chyba że to on usiłował zabić mnie i Michelle. W takim wypadku będziemy musieli dojść do porozumienia.

Kobieta pokręciła przecząco głową.

- Szeryf mówił, że przyjechał pan tu na ryby. Więc niech pan łowi te ryby, a mnie pozwoli wykonywać moją pracę.

- Rozumiem, dlaczego pani na tym zależy, ale...

- Ale co?

- Jestem w to wmieszany, czy się to pani podoba, czy nie. Myśli pani, że będę siedział i czekał? Może nie wyraziłem się jasno. On usiłował nas zabić.

- Nie pozwolę, żeby spieprzył pan to śledztwo - rzuciła z irytacją Harris.

- Ile razy mam powtarzać, żeby pani zrozumiała? - spytał spokojnym głosem. - Nie powstrzyma mnie pani.

- Do cholery, ja...

- Ale ja mogę panią powstrzymać - wszedł jej w słowo. - I oboje o tym wiemy. Wystarczy jeden telefon. - Nie blefował. Miał w zanadrzu asa, ona nie.

Postanowiła zmienić taktykę.

- W porządku, wymienimy się informacjami. Wyślę panu kopie akt Monka i pozwolę sprawdzić, co zawiera przesyłka.

- Jeśli ją znajdziemy - wtrąciła Michelle.

- Musimy ją znaleźć. Mam jednak prośbę.

- Jaka?

- O czterdzieści osiem godzin spokoju. Potem może się pan włączyć albo ściągnąć swoich ludzi. Do tego czasu Monk będzie już za kratkami. Jeżeli działał z ludźmi, którzy napadli na pana i panią doktor, to ich też złapiemy.

- Jest pani bardzo pewna siebie. Wie pani, gdzie jest ten Monk?

- Czterdzieści osiem godzin - powtórzyła.

- Nie.

- W takim razie dwadzieścia cztery. To chyba rozsądne.

Szyja poczerwieniała jej z gniewu, lecz Theo wcale się tym nie przejął.

- Nie.

- Więc czego pan chce, do cholery?! Moi ludzie otoczyli już teren. Zbyt długo pracowaliśmy nad tą sprawą, by pozwolić ją sobie odebrać. Trzy długie lata.

- Tak, wiem, trzy długie lata. Dobrze. Dam pani dwanaście godzin, ale ani minuty dłużej. Jeżeli do tego czasu nie aresztuje pani nikogo, zaczynam działać.

Spojrzała na zegarek.

- Jest prawie dziewięć. Dwanaście godzin... to mi wystarczy. Proszę zabrać panią doktor do domu i zostać tam aż do dziewiętej wieczór. - Popatrzyła na Michelle. - Do roboty. Gdzie zaczniemy szukać tej przesyłki?

Michelle zobaczyła, że Frances daje jej znaki. Trzymała w ręku słuchawkę telefoniczną.

- Jest albo gdzieś tu, na dole, albo na górze na oddziale chirurgicznym. Przepraszam, mam telefon. - Nie czekając na pozwolenie, podbiegła do stanowiska pielęgniarek. - Megan, idź z detektyw Harris na górę i zaczynajcie szukać. Za chwilę przyjdę wam pomóc. Frances, załóż panu Buchananowi opatrunek i zrób zastrzyk przeciw tężcowi. - Wzięła słuchawkę i cofnęła się, by Megan mogła przejść. Pielęgniarka zaprowadziła policjantkę do windy.

Michelle po krótkiej rozmowie wróciła do Theo.

- Doktor Landusky dowiedział się, że jestem w szpitalu, i prosił, bym zajrzała do jego pacjenta. Czy znieczulenie przestało już działać? Mogę ci coś dać, jeżeli cię boli.

- Nie, w porządku.

- Proszę pamiętać o formularzach, pani doktor - przypomniała Frances i wyszła.

Theo nie spuszczał wzroku z windy. Kiedy drzwi się zamknęły, podniósł słuchawkę i poprosił Michelle, by podała mu numer domowy do Mary Ann.

- Po co chcesz rozmawiać z Mary Ann?

- Nie chcę.

Mary Ann podniosła słuchawkę po trzecim sygnale. Miała zaspany głos. Theo nie tracił czasu na uprzejmości.

- Daj Noaha do telefonu.

Michelle aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Jest u Mary Ann?

- Wyjdź z jej łóżka i przejdź gdzieś, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać - powiedział Theo do słuchawki.

Noah ziewnął głośno.

- Lepiej, żeby to było coś ważnego.

- Jest.

- Dobra. Zaczekaj chwilę.

Michelle usłyszała swoje nazwisko przez megafon i podeszła do telefonu. Jedna z pielęgniarek chciała, żeby zajrzała do kart\pacjenta, zanim poda mu lekarstwo. Skończyła rozmawiać prawie równocześnie z Theo.

- Jak to sprawdzisz, wracaj do Bowen. Dzięki, Noah - powie dział i odłożył słuchawkę.

- Przecież obiecałeś tej policjantce, że dasz jej dwanaście godzin i do tego czasu niczego nie będziesz robił - zdziwiła się Michelle.

- Hm.

- Dałeś jej dwanaście godzin?

- Dałem - przyznał. - Ale wiesz, co to oznacza.

- Co?

- Że skłamałem.

33

Przeszukiwały nie to biurko, co trzeba. Michelle spostrzegła ze zdziwieniem, że detektyw Harris i Megan przeglądają rzeczy doktora Landusky'ego.

- Przeszukałyście już moje biurko? - spytała.

- Myślałam, że to jest pani - odparła Megan. Siedziała na podłodze, przerzucając reklamówki.

- Moje jest następne.

- Ojej, przepraszam, pani doktor. Odkąd zaczęłam tu pracować, uznalam panią za bałaganiarę, bo myślałam, że to pani biurko. Za każdym razem kiedy tu przychodziłam, siedziała pani właśnie tu.

- Korzystałam z biurka doktora Landusky'ego, bo na nim pielęgniarki kładły karty pacjentów i korespondencję. Zastępowałam go, bo był na urlopie.

- A ja cały czas tu właśnie kładłam całą korespondencję.

- W takim razie szukajmy dalej - stwierdziła Harris. - Może tu właśnie położono tę przesyłkę.

Michelle uklękła i zaczęła przeglądać stos papierów leżący pod ścianą.

- Nie wiem, jak Landusky może tak pracować.

- On zawsze spóźnia się z kartami - powiedziała Megan.

- Lepiej skupcie się na robocie - poleciła Harris tonem nauczycielki strofującej dwie rozgadane uczennice.

- Potrafię jednocześnie mówić i szukać - zapewniła ją Megan.

- To niech pani szuka.

- Może to to - odezwała się kilka sekund później pielęgniarka i podała Michelle małą żółtą kopertę.

- Nie - odpowiedziała Michelle. - Na kopercie musi być nalepka firmy kurierskiej.

- A to? - spytała Megan.

Harris zerknęła jej przez ramię.

Koperta miała duży format i szary kolor. W górnym rogu, tu pod nalepką, widniał stempel kancelarii adwokackiej.

- Myślę, że tak - odparła Michelle i podała przesyłkę policjantce.

Pani detektyw zachowała się tak, jakby trzymała w ręku bombę. Najpierw sprawdziła ciężar koperty, potem wolno ją odwróciła i ostrożnie odkleiła brzeg. W środku była druga koperta. Otworzyła ją nożem do rozcinania listów. Trzymając kopertę za róg, rozejrzała się po biurku i wzięła duży spinacz.

- Nie chcę niczego w środku dotykać, by nie zamazać odcisków palców - wyjaśniła.

- Mogę dać pani rękawiczki - zaproponowała Megan.

- Dziękuję, ale to wystarczy.

Michelle odłożyła reklamówki, które przeglądała, i patrzyła, jak Harris spina brzeg kartki i wyciąga ją do połowy.

- Co tam jest? - spytała policjantki.

Ta wyglądała na rozczarowaną.

- Jakieś finansowe rozliczenia. Żadnych nazwisk tylko inicjały i całe mnóstwo liczb.

- A co z pozostałymi papierami?

- Jest tam około dwunastu stron. Niektóre są spięte. - Pokręciła głową. - To zbyt ryzykowne, by je wyciągać. - Ostrożnie wsunęła je z powrotem do koperty. - Muszę to zawieźć do laboratorium. Kiedy sprawdzą te papiery, znajdę kogoś, kto mi pomoże odczytać te liczby. - Z tymi słowy podeszła do windy i wcisnęła przycisk. Dziękuję za pomoc. Będę z panią w kontakcie.

- Obiecała pani Theo pokazać zawartość tej koperty - przypomniała jej Michelle.

Drzwi windy otworzyły się. Harris weszła do środka i wcisnęła guzik.

- Dostanie te papiery za dwanaście godzin i ani minuty wcześniej - odparła z uśmiechem i drzwi się za nią zamknęły.

Michelle podparła się pod boki i pokręciła głową.

- Co się pani spodziewała znaleźć z tej kopercie? - spytała Megan.

- Odpowiedzi.

- Kiedy będzie po wszystkim, opowie mi pani, o co w tym wszystkim chodzi?

- Oczywiście. Jeżeli w ogóle się tego dowiemy.

Pani chłopak jest prawnikiem. Pewnie wiedziałby, co znaczą te liczby, i nie pozwoliłby tej policjantce wyjść z kopertą. Schodzę na izbę przyjęć. Nie chcę, żeby mnie coś ominęło.

Michelle musiała jeszcze zajrzeć do pacjenta.

Powiedz Theo, że zaraz zejdę! - zawołała.

Detektyw Harris nie miała ochoty wpaść na Buchanana. Wsiadła z windy na pierwszym piętrze, a potem zeszła schodami na parter i wymknęła się ze szpitala tylnymi drzwiami. Pobiegnęła na parking, przyciskając kopertę do piersi. Nagle za plecami usłyszała pisk opon. Odwróciła się i zobaczyła pędzącą na nią szarą toyotę.

34

Telefon komórkowy detektyw Harris nie odpowiadał i Theo wpadł we wściekłość. Za każdym razem odzywała się poczta głosowa. Zostawione przez niego wiadomości dotyczyły jednej sprawy: chciał obejrzeć przesyłkę, i to natychmiast. Zostawił również wiadomość na posterunku. Właśnie odkładał słuchawkę, gdy z windy wysiadła Michelle. Wiedział już, co się wydarzyło, ale kazał jej opowiedzieć wszystko jeszcze raz.

- Ale nie widziałaś tych papierów?

- Nie - odparła. - Nie pozwoliła mi ich dotknąć. Bała się o odciski palców.

- Akurat - warknął. - Nabrała cię. Nie chciała, bym mieszał się do śledztwa.

- Tylko przez dwanaście godzin.

Poszli do pokoju lekarzy po jej ubrania. Michelle wrzuciła je do plastikowej torby i ruszyła do drzwi, Theo tymczasem ponownie wyciągnął telefon.

- Dość tego cackania się - mruknął.

- Theo.

Uniósł wzrok.

- Tak?

- Jestem skonana. Muszę się przespać i ty także. Czy możemy pojechać do domu?

- Tak, oczywiście.

- Daj tej kobiecie dwanaście godzin. Obiecałaś. - Ziewnęła. - Wiem, że nie chce z tobą współpracować, ale daj jej trochę czasu. Poświęciła tej sprawie trzy lata.

- Nie przejąłbym się, nawet gdyby poświęciła jej piętnaście lat - odpowiedział. - Nie zamierzam stać z boku.

Rosła w nim coraz większa irytacja. Kiedy doszli do samochodu, zaczął grozić, że odbierze Harris odznakę. Michelle pozwoliła mu się wyzłościć.

- Lepiej ci? - spytała.

- Tak.

Podał jej telefon.

- Zadzwoń do twojego taty i powiedz, że przyjeżdżamy.

- Moglibyśmy najpierw pojechać do mnie? Chciałabym wziać jakieś czyste ubranie.

- Jasne.

Teraz, kiedy znał już drogę do Bowen, nie wydawała się tak skomplikowana, nadal jednak uważał, że miasto powinno postawić kilka znaków.

Telefon w domu ojca nie odpowiadał. Jake nie miał sekretarki, nie mogła więc zostawić wiadomości. Przypomniała jednak sobie, że John Paul ma jej telefon komórkowy, wystukała więc swój numer.

- Tak?

- Czy to ma być odpowiedź, gdy ktoś do ciebie dzwoni? - spytała.

- A, to ty. Wszystko w porządku?

- Tak. Jedziemy z Theo do taty. Nie wiesz, gdzie on jest?

- Obok mnie. Jedziemy do ciebie. Tata dowiedział się, co się w nocy stało, i chce cię zobaczyć.

- Powiedz mu, że nic mi nie jest.

- Już mówiłem, ale sam chce to sprawdzić.

Rozłączyli się, zanim zdążyła porozmawiać z ojcem. Wcisnęła klawisz „End” i oddała telefon Theo.

John Paul i Jake przyjechali tuż za nimi. Michelle uspokoiła ojca, po czym zapakowała kilka ubrań i kosmetyki. Jej brat zaproponował, żeby Theo zostawił swój samochód na podjeździe, a wszyscy pojechali jego furgonetką. Tym sposobem, gdy ktoś będzie obserwował dom, pomyśli, że są w środku. Theo nie miał ochoty z nim dyskutować.

W furgonetcie należało wymienić amortyzatory. Michelle siedziała na kolanach Theo i musiała schylać głowę za każdym razem, gdy samochód podskakiwał na wybojach.

Dom Jake'a był obszerny. Od frontu wyglądał jak motel na cementowej podmurówce. John Paul zajechał na podwórze, skąd roztaczał się widok na pomost i rozlewisko. Do jednego z boków

przylegało coś w rodzaju przybudówki z dodatkowym pokojem. Podobnie jak dom Michelle, ten miał obszerną oszkloną werandę. Przy pomoście stały przycumowane trzy małe łodzie.

Jake nie lubił klimatyzacji. Dom miał kilka wywietrzników, ale wszystkie były zamknięte. Deski w podłogach były stare i powykrzywiane. W saloniku leżały owalne plecione dywaniki. Nie czuło się tu jednak upału. Wentylator pod sufitem szumił cicho i ścigał chłodne powietrze znad wody. Przez okna do wnętrza wpadały promienie słońca, oświetlając stare meble. Theo wziął torbę Michelle i poszedł za nią długim korytarzem. W jednym z pokoi zobaczył podwójne łóżce. Dziewczyna otworzyła drzwi po lewej i weszła do środka.

Stali tu dwa łóżka przedzielone nocną szafką. Okna wychodziły na ganek domu. W pokoju panował upał, ale na szczęście jedno z okien miało klimatyzator. Michelle włączyła go, po czym zrzuciła buty i usiadła na łóżku przykrytym niebiesko-białym kocem. Jake nie przejmował się doborem kolorów. Na drugim łóżku leżał koc w czerwono-żółte pasy. Dziewczyna zdjęła skarpetki i przytuliła głowę do poduszki. Chwilę później już spała.

Theo cicho zamknął drzwi i poszedł do saloniku.

Godzinę później Michelle obudził dudniący śmiech ojca. Wstała i poszła do łazienki. Po drodze spotkała Theo.

- Obudziliście cię? - spytał.

Potrząsnęła głową i cofnęła się, by go przepuścić, ale on przycisnął ją do ściany i pocałował.

- Tak właśnie należy rozpoczynać nowy dzień: całując piękną kobietę - powiedział i wrócił do salonu.

Spojrzała w lustro i znieruchomiała. Powinna się umalować i zachowywać jak kobieta. Nazwał ją piękną? Chyba w ogóle nie powinien zdejmować okularów.

Pół godziny później była gotowa. Żałowała, że nie zabrała sukienki. Mogła wybierać jedynie między szortami a džinsami. Zdecydowała się na szorty ze względu na upał. Włożyła do nich jasnożółtą bluzkę ze zbyt dużym dekoltem. Nie miała jednak innej. Wróciła na bosaka do pokoju i postawiła kosmetyczkę na komodzie. Drzwi się otworzyły i wszedł Theo z telefonem przy uchu. Omiótł ją spojrzeniem, zatrzymując się dłużej na nogach. Posłyszała, jak prosi swego rozmówcę o powtórzenie.

- Zrozumiałem. Tak, jej tata otrzymał przed godziną list polecony. Nie, Michelle nic nie wie. Jake ma jej powiedzieć.

- Kto to był?
- Ben. Czeka na raport z oględzin domu.
- Co tata ma mi powiedzieć?
- Dobrą nowinę.
- Czy byli tu jacyś ludzie? Słyszałam, jak drzwi się otwierają i mnóstwo dziwnych głosów.

- Kilku przyjaciół taty przywiozło jedzenie z twojego domu. Na stole w kuchni stoją cztery ciasta - dodał z uśmiechem.

- Oczywiście bez karteczek?
- Mike, muszę z tobą porozmawiać - posłyszała głos ojca.
- Już idę, tato.

Weszli razem do salonu. Na stole leżał album ze zdjęciami.

- Oho, tata ma chandrę.
- Wygląda na zadowolonego.
- Musi mieć chandrę, bo otwiera album rodzinny tylko wtedy, gdy jest mu smutno.

John Paul leżał rozwalony na kanapie. Ręce miał złożone na piersi, a oczy zamknięte. Jake siedział przy dużym dębowym stole w kuchni, która łączyła się z salonem.

- Teraz żałujesz, że nie pojechałeś na pogrzeb? - spytał syna.
- Nie - odpowiedział John Paul, nie otwierając oczu.
- A powinieneś. Twoja kuzynka nie była wcale taką skwaszoną babą, jak twierdziłeś.

- Nie mówiłem, że jest skwaszoną, tylko...
- Pamiętam, co mówiłeś - przerwał mu Jake. - Ale nie chcę, byś to powtarzał. Poza tym powinieneś mieć wyrzuty sumienia.

John Paul mruknął coś niewyraźnie.

- Okazało się, że twoja kuzynka nie zapomniała o rodzinie. Mike, chodź tu i usiądź przy stole. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Theo, ty też usiądź. Chcę ci pokazać kilka fotografii.

Theo podsunął Michelle krzesło, po czym usiadł obok niej. Jake wziął córkę za rękę i spojrzał jej w oczy.

- Trzymaj się, kochanie. To będzie dla ciebie szok.
- Kto umarł?
- Nikt nie umarł. Chodzi o twoją kuzynkę Catherine Bodine.
- Tę, co nie żyje! - zawołał z salonu John Paul.
- Oczywiście, że nie żyje. Mieliśmy tylko jedną kuzynkę ze strony mamy.
- Więc co z nią? - spytała Michelle.

- Zostawiła nam spadek. Całą górę pieniędzy - dodał unosząc brew.

Nie uwierzyła mu.

- Tato, to musi być jakaś pomyłka. Twierdzisz, że Catherine zostawiła nam spadek? Niemożliwe.

- Przecież już ci powiedziałem, że tak - odpowiedział ojciec. - Wiem, że trudno w to uwierzyć. Ostrzegałem cię, że to będzie dla ciebie szok.

- Niby dlaczego miałyby nam coś zostawiać? Przecież nienawdziła nas.

- Nie mów tak - zaprotestował Jake, po czym wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł oczy. - Twoja kuzynka była wspaniałą kobietą.

- To się nazywa naginaniem historii - mruknął John Paul.

- To musi być jakaś pomyłka - powtórzyła Michelle.

- Nie, kochanie, to nie jest pomyłka. Nie jesteś ciekawa, ile nam zostawiła?

- Jasne - odparła, zastanawiając się, jaki to kawał wymyśliła Catherine. Z tego, co słyszała od braci, jej kuzynka miała skłonności do okrucieństwa.

- Twoja droga kuzynka zostawiła każdemu z nas po sto tysięcy dolarów.

Michelle otworzyła usta.

- Sto...

- Tysiący dolarów - dokończył Jake. - Właśnie rozmawiałem z Remym. Powiedziałem mu o hojności kuzynki i jego reakcja była taka jak twoja i Johna Paula. Wychowałem trójkę cyników.

- Catherine Bodine... dała... sto tysięcy... - Michelle miała kłopoty z przyswojeniem sobie nowiny.

John Paul wybuchnął śmiechem.

- Bełkoczesz, siostrzyczko.

- Uspokój się, John Paul - rozkazał Jake. - Widzisz, kochanie, Catherine jednak nas lubiła. Tylko że była... inna, a my przypominaliśmy jej trudne czasy.

Michelle nagle uświadomiła sobie, że Theo nie ma pojęcia, o kim mówią.

- Moja kuzynka miała siedem lub osiem lat, gdy jej matka poślubiła bardzo bogatego człowieka nazwiskiem Bodine - wyjaśniła. - Przeprowadzili się do Nowego Orleanu i zerwali z nami wszelkie kontakty. Nigdy nie poznałam Catherine, nawet nie rozmawiałam z nią przez telefon. Nie mogę uwierzyć, że coś nam zostawiła.

- Matka Catherine była siostrą mojej żony - dodał Jake. - Miała na imię June, ale wszyscy mówiliśmy do niej Junie. Nie była mężatką, kiedy okazało się, że jest przy nadziei. W tamtych czasach dziecko z nieprawego łoża to było wydarzenie, ale ludzie w końcu o tym zapomnieli. Jej ojciec jednak nie zapomniiał i nigdy jej nie wybaczył. Wyrzucił ją z pamięci. Ellie i ja właśnie się pobraliśmy i Junie zamieszkała u nas. Kiedy dziecko przyszło na świat, zostały u nas. Było ciasno, ale jakoś sobie radziliśmy. Potem Junie poznała tego bogatego gościa, wyszła za mąż i wyjechała. Umarła, gdy Catherine miała jedenaście lat. Nie pozwoliłem, żeby to dziecko zapomniiało, że ma w Bowen rodzinę, która ją kocha, więc dzwoniłem do niej przynajmniej raz w miesiącu. Niewiele miała do powiedzenia, dlatego opowiadałem jej o mojej trójce, żeby wiedziała coś o swoich krewnych. Bardzo jej zaimponowało to, że Mike chce zostać lekarką. Była z ciebie dumna, kochanie, tylko nigdy tego nie powiedziała.

- Nawet nie zaprosiła cię na swój ślub - przypomniała ojcu Michelle. - A to musiało bardzo cię zranić.

- Wcale nie. Poza tym była to mała uroczystość w gmachu sądu. Sama mi o tym powiedziała.

Michelle oparła łokieć o stół i zaczęła okręcać włosy wokół palca. Te pieniądze były darem od Boga. Dzięki nim wyremontuje ambulatorium i zatrudni pielęgniarkę.

Ojciec przyglądał się jej z uśmiechem.

- Znowu kręcisz włosy na palcu. Kiedy była mała, kręciła włosy na palcu i ssała kciuk przed zaśnięciem - wyjaśnił Theo. - Ileż to razy rozplątywaliśmy z Remym kołtuny na jej głowie.

Michelle obudziła się z zamyślenia.

- Mam wyrzuty sumienia - oświadczyła. - Nie potrafię powiedzieć nic miłego o Catherine, a już zaczęłam myśleć o tym, na co wydam jej pieniądze.

Jake pchnął w stronę Theo grubą album w czarno-czerwonej kratkę i zaczął mu tłumaczyć, kto jest kim na fotografiach. Michelle wstała i podeszła do lodówki, by wyjąć dietetyczną colę dla siebie i dla Theo. Włożyły okulary i wyglądał w nich jak uczeń. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jesteś głodny? - spytała.

- Jasne.

- Tato, Theo nie chce oglądać naszych rodzinnych fotografii.

- Właśnie, że chcę.

Postawiła puszkę z napojem na stole, po czym odwróciła się w stronę leżącego na kanapie brata.

- John Paul, zrób nam coś zjedzenia.
- Ani myślę - odburknął.

Podeszła do kanapy i usiadła mu na brzuchu.

- Śpię - warknął. - Zostaw mnie w spokoju.

Nie przejęła się jego humorem i pociągnęła go za włosy.

- Możesz sobie wyobrazić, że Catherine zostawiła nam tyle pieniędzy?

- Nie.
- W głowie się nie mieści.
- Hm.
- Otwórz oczy.

Westchnął ciężko i usłuchał.

- Co?
- Potrafisz powiedzieć o niej coś miłego?
- Jasne. Była samolubna, uparta, chciała...

Michellle wymierzyła mu kuksańca.

- Masz powiedzieć coś miłego.
- Nie żyje. To jest coś miłego.
- Wstydz się. Jesteś głodny?
- Nie.
- Jesteś. Ciągłe jesteś głodny. Chodź, pomożesz mi.

Kiedy chciała wstać, złapał ją za rękę.

- Kiedy Theo wyjeżdża?

Zaskoczył ją tym pytaniem.

- W poniedziałek - szepnęła. - Razem ze swoim przyjacielem Noahem. - W jej głosie brzmiał smutek. Nie starała się zgrywać bohaterki lub udawać, że jej nie zależy, bo nie oszukałaby brata. Znał siostrę lepiej niż ktokolwiek inny i zawsze potrafił ją rozgryźć. Nigdy go nie okłamywała i nie usiłowała zwodzić.

- Jesteś głupia - szepnął.
- Wiem.
- Powinnaś była się pilnować.
- Wiem.
- Dlaczego więc nie uważałaś? On jest obcy.
- Nie sądziłam, że do tego dojdzie. Cóż mogę powiedzieć? Po prostu stało się.

- I co?
- Z czym?

- Załamiesz się, gdy wyjedzie?

- Nie - szepnęła.
- Zobaczymy.

Theo nie zwracał na nich uwagi. Odwrócił kolejną stronę i zobaczył wyblakłą fotografię pięknej młodej kobiety. Stała pod drzewem, trzymając w ręku bukiet stokrotek. Miała na sobie długą do kostek sukienkę z jasnej organdy z długą wstążką wokół talii. Anielską twarz okalały krótkie kręcone włosy. Zdjęcie było czarno-białe, lecz domyślił się, że włosy mają kolor miedzi, a oczy błękitu. Gdyby nie fason sukni i fryzura, pomyślałby, że to Michelle.

- To moja Ellie - powiedział Jake. - Ładna, prawda?
- Tak.

- Patrzę na moją trójkę i w każdym z nich widzę Ellie. Remy ma jej śmiech, John Paul miłość do przyrody, a Michelle jej serce.

John Paul poszedł za siostrą do kuchni, kiedy jednak usłyszał, że ojciec mówi o matce, zatrzymał się i zajrzał Theo przez ramię. Odszedł, gdy ten odwrócił stronę. Fotografia przedstawiała Remy'ego i Johna Paula jako małych chłopców. Między nimi stała dziewczynka ubrana w kusą sukieneczkę. Chłopcy wyglądali, jakby wytarzali się w błocie, i bardzo byli z tego powodu szczęśliwi. Na twarzach mieli złośliwe uśmiechy.

- To Catherine - wyjaśnił Jake. - Zawsze chodziła w sukienkach bez względu na okazję. Ta była jej ulubioną, bo miała koronkę. Pamiętam, jak jej mama stała zszywała pęknięte szwy, bo mała miała zdrowy apetyt.

Następne fotografie pełne były Catherine. Matka musiała je przesłać już po przeprowadzce do miasta, bo sukienki córki stały się znacznie ładniejsze. Na jednej z nich stała przed choinką z dwiema identycznymi lalkami w objęciach, a na drugiej trzymała dwa misie.

- Catherine zawsze musiała mieć wszystko podwójne. - Jake zaśmiał się. - Bywa, że gdy biedak staje się bogaty, nie może zapomnieć o ciężkich czasach i kupuje na zapas. Wiesz, o czym mówię?

- Tak - odparł Theo. - Ludzie, którzy przeżyli wielki kryzys, gromadzili później zapasy na wypadek następnego.

- Catherine taka właśnie była. Kryzys był dla niej tylko lekcją historii, ale zachowywała się tak samo. Pewnie dlatego prosiła mamę, żeby kupowała jej po dwie lalki albo misie na wypadek,

gdyby z tym pierwszym coś się stało. To samo robiła z ubraniami. Kiedy wreszcie Junie nie brakowało pieniędzy, starała się, by córka miała wszystko co najlepsze i spełniała każdą jej zachciankę. Ellie uważała, że Junie robi to z poczucia winy, bo była panną, gdy urodziła małą. Myślałem, że z wiekiem przejdzie jej to gromadzenie rzeczy, ale nie przeszło, a nawet się pogorszyło. Zaczęła się dziwnie zachowywać. Kazała nawet założyć drugą linię telefoniczną. Kiedy spytałem dlaczego, powiedziała, że na wypadek, gdyby ta pierwsza się popsuła. Mówiła, że nie chce czekać na majstrów od telefonów.

- John Paul podgrzewa potrawkę - oznajmiła Michelle, podchodząc do stołu.

Theo jeszcze raz przyjrzał się fotografiom Catherine: tej w prostej sukience wyraźnie dla niej za ciasnej i tej, na której wyglądała jak księżniczka z dwiema lalkami w ręku.

- Zaczęła tyć, biedactwo, gdy wyszła za mąż - powiedział Jake.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się Michelle. - Przecież nigdy cię do siebie nie zaprosiła.

- Jej gospodyni Rosa Vincetti mi powiedziała. Rozmawiałem z nią czasami. To bardzo miła kobieta. Nieśmiała, ale urocza. Dała mi przepis na domowy makaron, ale jeszcze go nie wypróbowałem. Powiedziała, że niepokoi ją tusza Catherine. Bała się, że jej serce tego nie wytrzyma.

- Catherine była... - zaczęła Michelle.

- Dziwna - dopowiedział John Paul.

- A ty nie jesteś dziwny? - odparowała.

- W porównaniu z nią jestem normalny.

- Tato, jak się dowiedziałeś, że dostaliśmy te pieniądze? - spytała Michelle.

- Nadal mi nie wierzysz?

- Tego nie powiedziałam.

- Ale nie jesteś przekonana. - Jake odsunął krzesło i wstał. - Dostałem list polecony. Przyszedł jakąś godzinę temu.

Podszedł do kuchennego blatu, otworzył pudełko w kształcie słonia, w którym trzymał ważne papiery, i wyjął kopertę.

Michelle usiadła obok Theo i zerkała na fotografię. Na jednej z nich matka trzymała na kolanach niemowlę. Dotknęła końcem palca twarzy matki.

- To Remy, kiedy był mały.

Dwie strony dalej były fotografie przedstawiające małą Michelle.

Na każdej z nich coś było nie tak: pasmo włosów, wystający rąbek bluzki, a nawet język.

- Byłam urocza, prawda?

Roześmiał się.

- Niezwykle urocza.

Jake położył przed nią kopertę.

- Masz swój dowód, siusiumajtko.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Tato ma mnóstwo sympatycznych przezwisk na mnie.

Theo wybuchnął śmiechem. Jego wzrok spoczął na kopercie.

- Mam - wyszeptał i uderzył dłońmi w stół.

- Co takiego?

- Przecież to jest ta sama kancelaria. Sukin... - Wyrwał Jake'owi list z ręki. - Można?

- Proszę bardzo.

- Nie wyjaśniłeś... - zaczęła Michelle.

Theo położył ręce na jej dłonie.

- Za chwilę, dobrze? Gdzie są moje okulary?

- Masz je na nosie.

- Och! No, nareszcie wszystko zaczyna się układać.

Jake i Michelle patrzyli na niego, gdy czytał list. Potem odsunął krzesło i wstał.

- Muszę jechać do Nowego Orleanu.

Dziewczyna wzięła list i szybko go przeczytała. Zgodnie z instrukcją Catherine, jej adwokat Phillip Benchley informował wszystkich beneficjentów o wysokości zapisu i jego podziale. Rodzina Renardów otrzymywała czterysta tysięcy dolarów do równego podziału między Jake'a i jego trójkę dzieci. Rosie Vincetti przypadało sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów za wierną służbę. John Russell, mąż Catherine, otrzymywał sto dolarów. Reszta majątku miała zostać przekazana azyłowi dla ptaków w Epston.

- Jej mąż dostał tylko sto dolarów? - zdziwiła się Michelle.

- Widocznie nie byli szczęśliwym małżeństwem - stwierdził Jake.

- Żartujesz - wtrącił John Paul.

- Rosa go nie lubiła. To miłe, że Catherine nie zapomniała o niej. Była dobrą gospodynią.

- John musiał podpisać intercyzę, żeby móc dysponować pieniędzmi żony - powiedziała Michelle.

- Pewnie będzie próbował podważyć testament - odezwał się Theo. - Z czego ten człowiek żyje?

- Jest prawnikiem - odparł Jake. - Pracuje dla jednego z wielkich banków w Nowym Orleanie. Nigdy z nim nie rozmawiałem, a powinienem. Nie mieliśmy nawet z Mike okazji porozmawiać z nim na pogrzebie, prawda, kochanie?

- Rzeczywiście. Ale to była moja wina. Musiałam wracać do szpitala, a ty musiałeś mnie odwiedzić.

Odezwała się komórka Theo i przerwała rozmowę. Telefonował Noah.

- Gdzie jesteś? - spytał Theo.

- Dojechałem do St. Claire - odpowiedział mu przyjaciel.

- Przyjeżdżaj do domu Jake'a. Znasz drogę?

- Tak. Będę za dziesięć minut.

- Czego się dowiedziałeś?

Theo przeszedł na oszkloną werandę i zamknął za sobą drzwi. Michelle uznała, że nie należy mu przeszkadzać, i zaczęła nakrywać do stołu. John Paul oparł się o blat i wbił w nią wzrok.

- O co chodzi? - spytała, wyjmując z szuflady plecione maty pod talerze.

- Masz zamiar wpuścić tu jeszcze jednego agenta FBI?

- Tak, mam - odrzekła. - Przestań się stawiać, John Paul. Nie jestem w nastroju. Będziesz uprzejmy dla Noaha.

- Tak myślisz?

- Ja to wiem. Tato, John Paul...

Nie musiała kończyć, bo brat pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Nadal próbujesz na mnie naskarżyć, mała?

Odwzajemniła uśmiech.

- Bo nadal to na ciebie działa. Dziękuję, John Paul.

- Nie powiedziałem...

- Nie musiałeś. Przypomnij sobie tylko, jak to jest być miłym.

Podeszła do stołu i rozłożyła podkładki pod talerze. Potem usiadła i podparła głowę rękami. Pomyślała o tych stu tysiącach dolarów i ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Jak taka skąpa kobieta mogła zrobić coś tak miłego? Co jeszcze wysłała jej Catherine, co tak interesowało policję i ludzi, którzy gotowi byli zabić, by to dostać?

Ojciec siedział obok niej i przeglądał album.

- Biedna Catherine - powiedziała. - Nie miała wielu przyjaciół. Na pogrzebie nie było wielu ludzi. Jedyną osobą, która po niej

płakała, była jej gospodyni. Pamiętasz, tato? Było mi przykro z tego powodu.

Przypomniała sobie żałosny kondukt idący alejką cmentarną. Rosa trzymała w ręku pączki róż i płakała. John szedł za księdzem i zerkał na nich przez ramię. Pewnie się zastanawiał, kim oni są. Idący za nim mężczyzna również się obejrzał i...

- O Boże, to on... To był on! - krzyknęła i zerwała się na równe nogi, przewracając krzesło. Poniosła je i pobiegła na werandę.

Theo właśnie wchodził do środka. Przytrzymał ją i cofnął się.

- Co się stało?

- Przypomniałam sobie, gdzie widziałam tego człowieka. Pamiętasz, mówiłam ci, że wydał mi się znajomy. To ten sam facet.

- Zwolnij i zacznij od początku - powiedział.

- Ten posłaniec, który rozmawiał ze mną na stadionie. Mówiłam ci, że gdzieś go widziałam, i myślałam, że w szpitalu, ale nie. Był na pogrzebie Catherine. Rozmawiał z Johnem i szedł obok niego.

Jake nie słyszał ich rozmowy. Myślał o hojności Catherine i o tym, że Ellie pewnie się teraz uśmiecha, bo jej siostrzenica zrobiła taką dobrą rzecz dla rodziny. Zawsze martwił ją egoizm Catherine. Usłyszał jedynie, że córka mówi coś o Johnie.

- Chyba powinienem zatelefonować do męża Catherine.

- O nie, tato, nie rób tego - zaprotestowała Michelle, a Theo ją poparł.

- Dlaczego nie? - spytał Jake. - Powinienem mu podziękować za te pieniądze. Był mężem Catherine, więc musiał się na to zgodzić.

Michelle pokręciła głową.

- Nie chcę, żebyś do niego dzwonił - powiedział Theo. - Obiecuj, że tego nie zrobisz.

- To podaj mi jakiś powód.

- Dobrze. Usiłował zabić twoją córkę.

35

Jake przyjął tę nowinę znacznie lepiej niż John Paul. Bral Michelle chciał biec do furgonetki, dopaść tego drania i przestrzelić mu łeb. Nie miał ochoty słuchać głosu rozsądku i miał w nosie prawo.

- Jeżeli wiesz, kto za tym stoi, to go zgarnij, zanim znowu spróbuje ją zabić - powiedział.

Na Theo jego gniew nie zrobił żadnego wrażenia.

- Nie mam na to dowodów - oświadczył. - To tylko przypuszczenia. Dlatego właśnie muszę jechać do Nowego Orleanu.

John Paul wyglądał, jakby chciał go uderzyć. Michelle stanęła między nimi. Rozmowę przerwał jednak dzwonek do drzwi. Jake poszedł otworzyć.

- Musisz wziąć na wstrzymanie - powiedział Theo.

- Co to ma znaczyć, u diabła?

- Że nie możesz nikogo zastrzelić. - Theo odwrócił się do Michelle. - Obiecuj mi, że nie opuścisz baru. Nie chcę się o ciebie martwić.

- Dobrze - odparła. - Ty też bądź ostrożny.

- W razie czego słuchaj we wszystkim Noaha. John Paul, pilnuj ojca. Jasne?

Brat Michelle kiwnął niechętnie głową.

Noah stał na ganku i rozmawiał z Jakiem. Był nieogolony. Wyglądał niechlujnie w wytartych dżinsach i wyblakłym niebieskim podkoszulku. Michelle podeszła, żeby się z nim przywitać. Doskonale rozumiała zainteresowanie Mary Ann tym człowiekiem. Był w nim jakiś element ryzyka, który sprawiał, że kobiety miały ochotę od niego uciec i jednocześnie go zmienić. Patrzył teraz na Michelle przenikliwymi niebieskimi oczyma.

- Słyszałem, że miałaś pracowitą noc.

- Słyszałam, że ty też nie próżnowałeś - odparowała.

- To prawda. Twoja przyjaciółka kazała powiedzieć ci „hej”.

To chyba znaczy „cześć”. - Uśmiechnął się. - Ranek też nie był najlepszy. Człowiek na urlopie powinien się wysypiać. Gdzie jest Theo?

- Na werandzie z Johnem Paulem. Trzeba przejść przez kuchnię - dodała. - Mógłbyś coś dla mnie zrobić? - spytała, gdy ruszył w tamtą stronę.

- Jasne. Co takiego?

- Mógłbyś dogadać się z moim bratem?

Roześmiał się.

- Potrafię z każdym się dogadać.

- Chcesz się założyć?

Szkoda, że nie wyznaczyła sumy, boby wygrała. Wkrótce wybuchła kłótnia. Głównie wrzeszczała jej brat, ale Noah nie był gorszy.

Theo wszedł do kuchni z kluczykami od samochodu Noaha. Michelle skrzywiła się, kiedy usłyszała, jak John Paul obrzuca przyjaciela okropnie wulgarnym epitetem. Theo też go usłyszał.

- Wiedziałem, że się dogadają - powiedział z uśmiechem.

- Nazywasz to dogadywaniem się? - spytała zaskoczona.

- Słyszałaś jakieś strzały? Noah polubił twojego brata.

Usłyszała, jak John Paul grozi tamtemu; jego słownictwo było nie tylko barwne, ale i twórcze. Noah odpowiedział równie barwnie i twórczo. Zagroził, że John Paul nigdy nie będzie ojcem dzieci.

- Rzeczywiście, bardzo go lubi.

- Mają ze sobą wiele wspólnego. Co ja zrobiłem z moimi okularami?

- Leżą na stole. Właściwie co ci dwaj mają wspólnego?

- Obaj są jadowici jak węże.

- Noah nie jest jadowity. Przez cały czas się uśmiecha.

- Dzięki temu jest bardziej niebezpieczny. Nie spodziewasz się ataku, a potem jest już za późno. Brat opowiadał mi o nim mroźną krew w żyłach historii. Dlatego to Noah będzie cię pilnował.

Theo otoczył dziewczynę ramieniem i poszedł w stronę drzwi.

- Nie powiedziałaś mi, po co musisz jechać do Nowego Orleanu.

- Sprawdzić kilka rzeczy - odpowiedział enigmatycznie, po czym pochylił się i pocałował ją.

Było to krótkie muśnięcie warg, które zupełnie jej nie usatysfakcjonowało. Musiał to samo pomyśleć, bo kiedy otworzył drzwi, porwał ją w ramiona i pocałował po raz drugi. Ten pocałunek był zupełnie inny.

Michelle stała przy oknie i patrzyła, jak odjeżdża. John Paul miał opiekować się ojcem, a Noah nią. Kto natomiast będzie czuwał nad Theo? Nie ma powodu do niepokoju, pocieszyła się Detektyw Harris lada chwila aresztuje tych ludzi. Cóż jeszcze mogłoby się wydarzyć?

36

Stowarzyszenie Siewców zebrało się w motelu w St. Claire u Johna w pokoju. Gospodarz przeglądał papiery, a Dallas, Cameron i Preston czekali w milczeniu. W końcu uniósł głowę i roześmiał się.

- Ta suka dołączyła nawet kopię listu do mnie - powiedział.
 - Nadal uważam, że sposób, w jaki zdobyliśmy te dokumenty, był zbyt ryzykowny - stwierdził Preston.

- Czy to ma jakieś znaczenie? Jesteśmy czyści.

- Jeszcze nie - odparła Dallas. - Trzeba się pozbyć Buchanana i tej lekarki. I musimy zrobić to dziś wieczorem, bo Cameron znów spięrzył sprawę.

- No dobra, spanikowałem. Zobaczyłem Buchanana przy oknie, pomyślałem, że go dopadnę, i strzeliłem.

- Umówiliśmy się, że załatwimy to powoli i spokojnie - przypomniał mu Preston.

- Bardzo chciałem go dopaść - wyjaśnił niepewnym głosem Cameron. - Poza tym on nie wie, że to ja do niego strzelałem. Pewnie myśli, że ktoś na niego dybie. Przecież sama mówiłaś, że dostawał pogróżki.

- Ciekawe, czy pani doktor przypomniła sobie, gdzie widziała Camerona - powiedziała Dallas.

- Już wam mówiłem, że miałem dość czekania - odrzekł Cameron.

- Nie miałeś prawa... - zaczął Preston, lecz John uniósł rękę.

- Dajmy temu spokój. Stało się i Cameron żałuje tego, co zrobił. Mam rację?

Powiedział to z taką łagodnością, że Cameron wszystkiego się domyślił.

- John ma rację - przyznała Dallas. - Od tak dawna się z nim

przyjaźnimy, że drobne błędy nie mają znaczenia. Trzeba wybaczyć i zapomnieć, prawda, Preston?

- Jasne. - Preston uśmiechnął się. - Napij się, Cam?

Cameron pokręcił przecząco głową. Miał wrażenie, jakby w gardle urosła mu kula.

- Powiniem się spakować i wrócić do Nowego Orleanu. Chyba że zmieniliście zdanie i chcecie, abym został i pomógł.

- W czym? - spytał John.

- No przy Buchananie i lekarce. Przecież zamierzacie ich dopaść dziś wieczorem, nie?

- Tak - odrzekł John. - Ale oboje widzieli twoją twarz, więc nie możesz brać w tym udziału. Załatwimy to sami. Jedź do domu i czekaj. Zawiadomię cię, jak będzie po wszystkim, i wtedy to oblejemy.

- Ciebie też ta lekarka widziała na pogrzebie, dlatego więc ty zostajesz?

- By wszystko zaplanować.

Cameron wstał.

- Gdzie jest Monk? - spytał, czując, jak żołądek kurczy mu się ze strachu.

- Kupuje sprzęt. Czemu pytasz?

Wzruszył ramionami.

- Będzie pomagał dopaść Buchanana?

- Tak - odparła Dallas.

- A co z tym agentem FBI, tym Clayborne'em?

- Zajmiemy się nim - zapewnił go John. - Lepiej już jedź.

- Nie martw się - dodała Dallas. - Wszystko będzie dobrze.

Cameron wyszedł z pokoju i zamknął drzwi. Pomyślał, że któregoś z nich może go obserwować przez szczelinę w zasłonach, szedł więc spokojnie. Kiedy zniknął za rogiem, rzucił się do biegu. Dotarł do drzwi swojego pokoju, wyjął pistolet, odbezpieczył go i wpadł do środka. Spodziewał się, że zastanie w nim Monka, ale pokój był pusty. Poczuł ogromną ulgę i wybuchnął śmiechem. Wrzucił ubrania do torby, złapał kluczyki od samochodu i pobiegł na parking. Siadł za kierownicą, wcisnął pedał gazu i wystartował z piskiem opon.

John kazał mu wrócić do domu i czekać. A więc tam to się stanie. Czy oni go załatwią, czy naślą na niego Monka? Wszystko jedno i tak był już martwy. Wjechał na autostradę i co chwila sprawdzał we wstecznym lusterku, czy Monk go nie śledzi.

W końcu odetchnął z ulgą. Zacisnął mokre od potu dłonie na kierownicy i się rozplakał.

Musi wrócić do mieszkania, bo pod jedną z desek w podłodze ukrył pieniądze. Bez nich nie będzie mógł wyjechać z miasta. Nie musiał się spieszyć, bo dziś wieczorem Monk ma co innego do roboty.

Nie był w stanie przestać się trząść. Jedyne, co mogło go uspokoić, to kieliszek czegoś mocniejszego. Zjechał z autostrady i zaczął się rozglądać za barem.

Phillipowi Benchleyowi nie dane było spokojnie rozegrać partii golfa z przyjaciółmi w nowoorelańskim prestiżowym klubie. Kiedy podchodził do pierwszego podwyższenia, wezwano go do budynku, gdzie miał czekać na niego jakiś prawnik z Ministerstwa Sprawiedliwości.

- Przyjaciele na mnie czekają - oznajmił niecierpliwym, chociaż uprzejmym tonem, wchodząc do rozbieralni i siadając na ławce, by zawiązać sznurowadła czarno-białych butów. - Byłbym wdzięczny, gdyby pan się streszczał.

Theo przedstawił się. Gdy adwokat usłyszał, że sprawa dotyczy Johna Russella, jego zachowanie zmieniło się.

- Prowadzi pan śledztwo przeciwko Johnowi Russellowi? - spytał z uśmiechem. - Bardzo bym się cieszył, gdyby pan dopadł tego drania. Arogancja tego człowieka jest niewyobrażalna. Kiedy Catherine Russell zadzwoniła do mnie i poprosiła, żebym zmienił jej testament, miałem ochotę skakać z radości. Nie powinna wychodzić z tego człowieka. Jak mógłbym panu pomóc?

- Powiedział pan agentowi FBI, Noahowi Clayborne'owi, że wysłał pan doktor Michelle Renard przesyłkę od pańskiej zmarłej klientki Czy to prawda?

Benchley skinął twierdząco głową.

- Tak, ale wyjaśniłem mu, że jeżeli chce pan wiedzieć, co było w środku, będzie pan musiał spytać o to panią doktor. Catherine dała mi zaklejoną kopertę i poleciła, bym jej nie otwierał.

- Tę przesyłkę zabrano, zanim Michelle zdążyła do niej zażyć - poinformował go Theo. - Klientka nie dała panu żadnej wskazówki co do zawartości koperty? Może chodziło o finansowe rozliczenia lub o stan ksiąg rachunkowych.

- Nie, ale coś panu powiem. Cokolwiek to było, musiało mieć ogromną wagę, bo Catherine zapewniła mnie, że kiedy John się o tym dowie, nie odważy się obalić testamentu.

- Podpisał intercyzę?

- Tak. Ale jest prawnikiem, i to bardzo sprytnym. Nie pozwoliłby, żeby tyle pieniędzy wymknęło mu się z rąk. Na pewno założyłby sprawę w sądzie.

- Dlaczego czekał pan sześć tygodni z odczytaniem testamentu?

- Postąpiłem zgodnie z zaleceniem Catherine. - Benchley uśmiechnął się. - Była trochę mściwa i powiedziała, bym zaczekał, aż rachunki Johna wzrosną. Żył na wysokiej stopie, był niedyskretny i korzystał z jej funduszu powierniczego, by kupować prezenty kochankom. Kiedy dowiedziała się o jego zdradach, zadzwoniła do mnie i powiedziała, że zmienia testament.

- Był pan na pogrzebie?

- Byłem na nabożeństwie, ale nie poszedłem na cmentarz.

- Michelle mówiła, że w pogrzebie uczestniczyło niewiele osób. Zna pan je może?

- Tylko gospodynię, Rosę Vincetti. Poznałem ją, gdy przyszedłem do domu Catherine omówić zmiany w testamencie.

- A co z kolegami Johna z pracy, z przyjaciółmi?

- Było kilka osób z jego działu. Rozmawiałem z kilkoma, ale nie pamiętam ich nazwisk.

- A co z jego przyjaciółmi?

- Zaraz. Była tam pewna kobieta. Stała przy wyjściu z kościoła. Powiedziała mi, że była dekoratorką Catherine, ale urzędowała również biuro Johna. Kiedy wychodziłem z kościoła, dogoniła mnie i wręczyła wizytówkę. Pomyślałem, że to bardzo niestosowne, i jak tylko wróciłem do kancelarii, natychmiast wyrzuciłem ją do kosza. Widziałem również Camerona Lyncha. To bliski przyjaciel Johna.

- Proszę mi o nim opowiedzieć.

- Jest brokerem, i to bardzo utalentowanym. Słyszałem o nim, lecz poznałem dopiero na pogrzebie. Wydaje mi się, że ma kłopoty z alkoholem. Śmierdział jak pijak i miał przekrwione oczy. Pewnie miał kaca. I ten wygląd, szara cera, czerwony nos, podpuchnięte oczy. Wygląda na to, że pije już od jakiegoś czasu. Trzymał się blisko Johna i siedział obok niego w ławce, jakby należał do rodziny.

- Czy John z panem rozmawiał?
- Pan żartuje? Udawał, że mnie nie widzi, i muszę przyznać, że było to zabawne. Ten człowiek mnie nie znosi, co bardzo mnie cieszy.

Theo zadał adwokatowi jeszcze kilka pytań, a potem podziękował i wyszedł. Dostał też od niego kilka adresów, o które poprosił.

Czekały go jeszcze dwie sprawy do załatwienia przed powrotem do Bowen.

Musiał się upewnić, że Cameron Lynch był tym człowiekiem, którego widziała Michelle. Pojechał najpierw do jego firmy brokerskiej. Wymyślił nawet zgrabne kłamstewko, by wyciągnąć od recepcjonistki zdjęcie, lecz nie było to konieczne. Kiedy wszedł do holu, zobaczył dużą fotografię Camerona, wiszącą wśród innych zdjęć brokerów pracujących w firmie. Theo zerknął na recepcjonistkę. Mówiła coś do słuchawki, ale uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział tym samym, potem zdjął zdjęcie ze ściany, odwrócił się i wyszedł.

Teraz potrzebna mu była pomoc. Zatelefonował do kapitana Wellea, który przedstawiał go w czasie ceremonii wręczenia odznaczeń, i poprosił o przysługę. Potem pojechał do mieszkania Camerona w niezbyt eleganckiej dzielnicy magazynów. Zaparkował samochód przy krawężniku i zaczął czekać na przyjazd dwóch detektywów z posterunku kapitana Wellea.

Zjawili się piętnaście minut później. Starszy z nich, detektyw Underwood, uściśnął rękę Theo.

- Kapitan powiedział nam, że to pan złapał Hrabiego. To dla mnie zaszczyt poznać pana.

- Słyszałem pańską mowę na bankiecie - dodał drugi, detektyw Basham.

Theo wyjął fotografię Camerona i podał Underwoodowi.

- Chodzi mi o tego człowieka.

- Kapitan mówił, że mamy aresztować Camerona Lyncha za próbę zabójstwa i że ma pan świadka - odparł Basham.

- Jednego ze świadków. Lynch chciał zabić moją znajomą i mnie.

- Rozejrzeliśmy się, ale nie ma jego samochodu - powiedział Underwood.

- Jak mamy to zrobić? - spytał Basham. - Kapitan mówił, że ma pan dla nas specjalne instrukcje.

- Jest uzbrojony i niebezpieczny - wyjaśnił Theo. - Kiedy go

skujecie, przeczytajcie mu jego prawa i aresztujecie, ale zaczekajcie z przesłuchaniem. Zamknijcie go w pokoju przesłuchań i zaczekajcie na mnie. Chciałbym z nim porozmawiać. Nie wpisujcie jego nazwiska do komputera, w każdym razie jeszcze nie teraz.

- Zaczeka pan z nami?

- Nie. Mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia, ale jak tylko go aresztujecie, zadzwonię do mnie na komórkę albo do baru w Bowen o nazwie Pod Łabędziem. Mam nadzieję, że nie będziecie długo czekać. Sądę, że jest w drodze do domu.

Wydawało się to logiczne. Lynch nie zostałaby w Bowen, gdzie go przecież rozpoznano. Theo zapisał policjantom swój numer i jeszcze raz wymógł na nich, by go zawiadomili o każdej porze dnia czy nocy, jak tylko złapią Lyncha.

- Natychmiast pana zawiadomimy - obiecał Basham.

Theo już miał odjechać, lecz przypomniał sobie o czymś. Wyjął notes, chwilę czegoś szukał, a potem zapytał, czy wiedzą może, gdzie jest ulica, której nazwę podał mu Benchley.

Underwood wytłumaczył, jak najszybciej tam dojechać, i przestrzegł, że to zła dzielnica i żeby uważać.

Theo minął centrum Nowego Orleanu, klucząc wśród wąskich uliczek. Był pewny, że się zgubił, kiedy jednak skręcił, znalazł się na ulicy, której szukał. Dwie przecznice dalej i był na miejscu. Wyłączył silnik i zatelefonował do Noaha.

- Dowiedziałeś się czegoś? - spytał go przyjaciel.

Theo powiedział mu o Cameronie Lynchu.

- Poproś Bena Nelsona, żeby poszukał niebieskiego forda taurusa, rocznik dziewięćdziesiąt dwa. - Podał numer rejestracyjny. - Niech go dyskretnie śledzą.

- Myślisz, że szeryf da sobie z tym radę? - spytał Noah.

- Tak - odparł Theo. - Zna się na robocie. Powiedz mu, że Lynch był jedną z osób, które do nas strzelały. Chcę zamknąć tego drania i odizolować, dopóki go nie przesłucham.

- Wątpię, by był w Bowen. Na pewno już wie, że go rozpoznałeś.

- Też tak myślę. Mam nadzieję, że jest w drodze do domu. Co robi Michelle?

- Zabawna z niej dziewczyna. Usnęła, siedząc przy stole.

- Ma za sobą długą noc.

- Ty też - stwierdził Noah. - Niedługo jedziemy do baru z Jakiem i tym jego zabawnym synkiem. Masz jakieś wieści od detektywa Harris?

- Nie. Zostawiłem jej trzy wiadomości. Dwie uprzejme, trzecia nie.

- Kiedy byłem dziś w Nowym Orleanie, poszedłem na jej posterunek, jak mnie prosisz, i rozmawiałem z jej przełożonym.

- Dostałeś kopię akt Monka?

- Nie. Kapitan powiedział, że Harris jest w terenie. Nie dał mi żadnych wskazówek, gdzie może być, i poradził, żebym się nie wtrącał. Dwanaście godzin wkrótce minie. Kiedy wracasz do Bowen?

- Mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

- Muszę iść. Michelle mnie woła.

Theo wziął notatnik i okulary i przyjrzał się niepozornemu domkowi na wprost niego. Po obu stronach chodnika prowadzącego do drzwi rosły starannie wypielęgnowane kwiaty. Dom wymagał odmalowania, a ramy okienne były przegniłe. Musiały zniszczyć je termyty, pomyślał, idąc do drzwi. To, że ogródek był zadbane, a dom nie, dowodziło, że gospodyni robi tyle, ile może. Wcisnął dzwonek i czekał. Kątem oka zauważył, że w jednym z okien poruszyła się zasłona. Zadzwoił jeszcze raz.

- Czego pan chce? - posłyszał kobiecy głos zza drzwi.

- Szukam Rosy Vincetti.

- Jest pan z policji?

- Nie. Jestem przyjacielem Jake'a Renarda.

Kobieta otworzyła drzwi na szerokość łańcucha.

- To ja jestem Rosa - powiedziała. - Czego pan chce?

Najwyraźniej się bała. Powinien był się ogolić.

- Jake Renard mówił mi, że często z panią rozmawiał, kiedy dzwonił do Catherine.

- Tak - odparła. - Pan Renard kochał Catherine.

Theo nie mógł dojrzeć jej twarzy, bo kryła się za drzwiami. Z tyłu błysnęło jakieś światło. Pomyślał, że to chyba świeca.

- Nie jest pan z policji? - spytała kobieta ponownie.

- Nie. Jestem prawnikiem.

Zamknęła drzwi, zsunęła łańcuch i otworzyła je szerzej, cofając się, by wpuścić gościa. Na wszelki wypadek, by nie wpadła w panikę na widok broni, prędko wytłumaczył, dlaczego musi ją nosić. Potem jeszcze raz zapewnił kobietę, że nie jest policjantem i nie przyjechał, by wpędzić ją w kłopoty.

Zaskoczył go jej wygląd. Była znacznie młodsza, niż sobie wyobrażał. Miała około pięćdziesięciu lat i była równie wysoka

jak on. W czarych włosach połyskiwały pasemka siwizny. Pod gęstymi brwiami kryły się czarne jak noc oczy. Dostrzegł w nich łzy, kiedy gestem zaprosiła go do środka.

- Nazywam się Theo Buchanan - powiedział, idąc za nią do saloniku.

- Wiem, kim pan jest - rzekła. - Modliłam się do Boga, a On mnie wsłuchał.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, więc po prostu skinął głową.

- Proszę usiąść. - Wskazała na krytą szarym brokatem kanapę. - I powiedzieć, po co pan przyszedł.

Zaczekał, aż kobieta usiądzie naprzeciw niego. Oddzielał ich od siebie owalny stół ze szklanym blatem. Theo pochylił się w przód, oparł ręce na kolanach i opowiedział, jak poznał Michelle Renard. Chciał wszystko wyjaśnić i pomóc jej zrozumieć, co go łączy z Renardami. Słuchała z uwagą.

Musiała być głęboko wierzącą kobietą. Świadczyły o tym widoczne na każdym kroku symbole wiary. Z tyłu za nią, przy ścianie, stał długi stół zamieniony w ołtarzyk, przykryty koronkową serwetą, a na nim dwie palące się świece i obrazek Matki Boskiej ozdobiony czarnymi pączkami róż.

Theo wyjaśnił, co przytrafiło im się tej nocy.

- Catherine wysłała Michelle Renard paczkę - powiedział na koniec.

Kobieta skinęła głową.

- Tak, wiem.

Ukrył podniecenie. Miał więc rację.

- Sądzę, że mężczyźni, którzy ścigali mnie i Michelle, chcieli zdobyć tę paczkę - ciągnął. - Nie udało im się. Ma ją teraz policja.

Rosa zeszytniała.

- Miał pan okazję przejrzeć te papiery? - spytała.

- Jeszcze nie. Jestem jednak pewny, że stoi za tym John Russell, i chcę go dopaść. Ale do tego potrzebna mi będzie pani pomoc.

- To zły człowiek - szepnęła. - Po śmierci pójdzie do piekła. Wie pan, że on ją zabił? - Powiedziała to beznamiętnym tonem, jakby wszyscy o tym wiedzieli.

- Zabił Catherine?

- Tak. Ale nie mam na to dowodów - dodała pospiesznie. - Tylko serce mi to mówi. Ci ludzie z pogotowia, którzy przyjechali

do domu, powiedzieli, że zakrztusiła się karmelkiem. - Pokręciła głową. - Wtedy byłam już pewna.

- Dlaczego?

- Ona nie zjadłaby karmelka. Miała obluźowaną protezę i ciągle się bała, że pęknie. Nie wyszłaby z domu, żeby złożyć wizytę dentyście, więc była bardzo ostrożna. Pan Russell co wieczór przynosił jej pudełko czekoladek, a potem wychodził do swoich dziwek, ale Catherine jadła tylko miękkie cukierki. Nie tknęłaby karmelka. - Zrobiła znak krzyża i złożyła dłonie jak do modlitwy. - Musi pan znaleźć jakiś dowód i aresztować Johna Russella. Byłoby grzechem pozwolić takiemu złemu człowiekowi wykroczyć się od kary za morderstwo. Musi pan to zrobić dla niej i dla mnie.

- Spróbuję - obiecał Theo. - Catherine dowiedziała się o roman-sach męża, tak? Dlatego zapisała mu tylko sto dolarów.

- Tak. Słyszała, jak rozmawia przez telefon z kochanką. Tak strasznie się o niej wyrażał. Potem bardzo długo płakała. A pewnego wieczoru usłyszała, jak on rozmawia z kimś o depozycie, który złożył na koncie poza granicami Stanów Zjednoczonych. Słyszała, jak mówi, żeby się nie martwił, że nikt się nie dowie, bo wszystko jest w jego domowym komputerze.

Theo notował te wszystkie informacje.

- Jak ona weszła do programu? Jak udało jej się znaleźć właściwe hasło?

- John je podał - wyjaśniła Rosa. - Oczywiście, nic o tym nie wiedział. Podśluchiwała jego rozmowy i dwa razy słyszała, jak mówi o Stowarzyszeniu Siewców. Następnego dnia, gdy wyszedł do pracy, a ja wysłałam służącą do sklepu, pomogłam jej zejść do biblioteki. Wpisała te słowa, ale nie otrzymała dostępu. Pisownia była zła. Catherine była bardzo mądrą kobietą - dodała. - Za drugim razem napisała dobrze i wtedy dostała się do tych akt.

- Czy zdradziła pani, co zawierały?

- Powiedziała, że jej mąż robił nielegalne rzeczy z pieniędzmi.

- Dlaczego poleciła adwokatowi poczekać do swojej śmierci z wysłaniem kopii tych dokumentów? Dlaczego po prostu nie kazała Johna aresztować?

- Nie zrozumie pan tego.

- Proszę mi w tym pomóc.

- Catherine miała wiele zalet, ale też bardzo wszystkiego pilnowała. Chciała, żeby było tak, jak ona chce, żeby jej mąż szanował małżeńskie prawa. - Pokręciła głową. - Nie pozwoliłaby

mu odejść, a po jej śmierci, żeby należał do innej kobiety. Chciała, żeby dzięki tym papierom, które dała panu Benchleyowi, musiał się...

- Podporządkować? - podsunął Theo.

- Tak.

- Czy poznała pani kogoś z jego przyjaciół?

Kobieta pokręciła przecząco głową.

- Nigdy nikogo nie zapraszała. Myślę, że trzymał Catherine w izolacji. Wstydział się jej. Zresztą, gdy przestała wstawać z łóżka i wychodzić z pokoju, też nikogo nie zapraszała.

Theo zamknął notatnik.

- Czy mogę zadać pani osobiste pytanie?

- Jakie?

- Dlaczego boi się pani policji?

Spuściła wzrok.

- W zeszłym roku mój syn wpłatał się w kłopoty. Policja... Przyszli do domu w środku nocy i wyciągnęli go z łóżka. Trafił do więzienia i bardzo się o niego bałam. Catherine zadzwoniła do adwokata, a on dał jej nazwisko kogoś, kto mógłby mu pomóc.

- Adwokata od spraw kryminalnych?

- Chyba tak. Mój syn jest teraz na wolności, dostał wyrok w zawieszeniu, ale kiedy nie wraca na noc do domu, boję się, że znowu go zabrali. Zadaje się ze złymi ludźmi i modlę się co wieczór do Boga, żeby miał nad nim pieczę. To dobry chłopak, ale ma słaby charakter i robi wszystko, co źli ludzie mu każą.

- Jakiego typu to były kłopoty?

- Narkotyki - odparła i znowu się przeżegnała. - Brał od ludzi pieniądze i dawał im narkotyki. Ale zerwał z tym - dodała pospiesznie. - Obiecał mi, że zerwie, i zerwał.

- Rozumiem - powiedział Theo. - Nie chcę komplikować pani życia, ale jest coś, czego potrzebuję, a pani to ma, prawda?

Niech Bóg błogosławi Catherine i jej obsesję, by mieć wszystkie po dwa egzemplarze. Theo właśnie na to liczył, jadąc na spotkanie z Rosą. I nie zawiodła go. Zrobiła drugą kopię dokumentów i dała Rosie na przechowanie. Nie oczekiwał jednak, że usłyszy od tej kobiety, iż to John zamordował żonę. Potem doszedł do wniosku, że nie powinien się temu dziwić. Ten człowiek był zdolny do wszystkiego.

Kopie dokumentów, które Catherine przesłała Michelle, leżały teraz obok niego na siedzeniu. Potrzebował kilku godzin, by się im dokładnie przyjrzeć. Jednak już teraz wiedział, że może przygwoździć drania za oszustwa podatkowe, wymuszenia, kombinacje finansowe, nielegalny handel i wiele innych spraw. Detektyw Harris powiedziała Michelle, że kartki, które wyjęła z koperty, wyglądają jak zestawienia finansowe, i nie myliła się. Były tam też opisy transakcji, na pewno nielegalnych. Jadąc do Bowen, Theo sumował w myślach wszystkie oskarżenia, które mógł postawić Russellowi. To pozwoli zamknąć go za kratkami do końca życia. Do tej listy dochodziło jeszcze usiłowanie morderstwa. Był pewny, że John brał udział we wczorajszej nocnej strzelaninie, nie miał jednak na to dowodów. Na razie. Chciał również oskarżyć go o zamordowanie żony, ale potrzebował czasu na znalezienie dowodów, że rzeczywiście została zamordowana.

Czy John sam ją zabił, czy kogoś wynajął? Może dlatego detektyw Harris przyjechała do Bowen. Powiedziała mu, że dostała cynk, że ten człowiek jest w mieście. Czy to Monk zamordował Catherine, a teraz pomogą Johnowi odzyskać obciążające go dowody?

Gdzie, u diabła, podziewa się Cameron Lynch? Underwood

obiecał, że zadzwoni, jak tylko go złapią. To on jest kluczem do sprawy. Jeśli jego złapie, złapią i pozostałych.

Theo wrócił myślami do dokumentów. Przy każdej transakcji widniały w nawiasach literki, informujące zapewne o osobie prowadzącej. „C” to prawdopodobnie Cameron Lynch, „J” -- John Russell, ale kto się krył za „P” i „D”? Stowarzyszenie Siewców. Cóż za urocza nazwa dla grupy oszustów? Czwórka mężczyzn zarobiła nielegalnie miliony dolarów.

- Dwóch z głowy, dwóch do rozpracowania - powiedział na głos i się roześmiał.

Catherine zrobiła również kopię listu, który napisała do Johna. Wyobraził sobie, jak musiał zareagować jej mąż, gdy przeczytał list i dowiedział się, co zrobiła. Och, Catherine, ty przebiegła kobieto!

Dar Pod Łabędziem pękał w szwach. Tłum, w większości rybaków, był tak gęsty i głośny, że Michelle czuła, jak podłoga wibruje pod stopami. Stała z Noahem za barem i serwowała napoje. Dzięki niemu szło to bardzo sprawnie, bez względu na zamówienia bowiem podawał tylko piwo z beczki albo napoje bezalkoholowe.

John Paul pilnował porządku, a Jake siedział przy końcu baru z wielką planszą i długopisem w ręku. Oczyścił stare metalowe pudełko i wkładał do niego pieniądze wpłacane przez uczestników zawodów, żeby nie pomieszały się z gotówką z baru. Wszyscy spóźnialscy stali w długiej kolejce, która ciągnęła się aż do parkingu. Każdy, kto chciał wziąć udział w zawodach, wpłacał wpisowe w gotówce - bo Jake nie przyjmował czeków ani kart kredytowych - wpisywał swoje nazwisko na planszy i dostawał bilet z numerem. Z tym biletem miał się stawić następnego dnia o piątej rano i otrzymać plaketkę. Ktoś, kto spróbowałby przyjść wcześniej, był automatycznie dyskwalifikowany.

Przyjechało sporo gości z sąsiednich okęgów. Preston i Monk bez trudu wmieszali się w tłum. Jak inni wędkarze mieli na głowach czapki baseballowe, popijali piwo i udawali, że czekają na wolny stolik. Preston wdał się w rozmowę z trzema mężczyznami siedzącymi przy stoliku. Opowiedział jakąś historyjkę o wielkiej rybie, która mu się wymknęła. Monk zaś pochwalił się przynętami kupionymi w pobliskim sklepie z akcesoriami wędkarskimi. Miał na sobie obszerną kamizelkę rybacką, pod którą ukrył broń. W przeciwieństwie do Prestona nie chciał wchodzić do baru nieuzbrojony, wiedząc, że zaledwie sześć metrów od niego stoi agent FBI.

Preston lepiej radził sobie z rozmową. Obaj śmiali się i pili, nawet flirtowali z nielicznymi w barze kobietami, jednak ani na chwilę nie spuszczały z oka Michelle i czekali na Theo Buchanana. Uznali, że bezpieczniej i prościej będzie załatwić oboje jednocześnie. Mieli ich wywabić z baru, a potem trzymając na muszce, wciągnąć na bagna i zastrzelić. Cameron wypadł z gry. Monk miał po skończonej robocie pojechać za nim do Nowego Orleanu. Zwykle to on wybierał metodę, jednak w tym wypadku potrzebne im było świadectwo zgonu. Bez niego nie podjęliby pieniędzy z konta stowarzyszenia. Wszyscy w firmie Camerona wiedzieli, że bardzo przeżywa rozwód, dlatego Dallas zasugerowała Monkowi, by zastrzelił go z jego własnej broni, a obok zostawił list pożegnalny, świadczący o tym, że Cameron popełnił samobójstwo.

Monk nie chciał już pracować na kredyt. W końcu ryzyko znacznie teraz wzrosło. Kiedy John powiedział, że nie mogą tak szybko zdobyć gotówki, postanowił negocjować. Wiedział wszystko o ich brudnych interesach i pieniądzach, które zgromadzili, więc zamiast honorarium, zaproponował pomoc w zamian za część Camerona. Czas naglił, dlatego przystali na jego warunki.

Gdzie się podziewał ten Buchanan? Gdyby nie tłum przy barze, Preston spróbowałby pogadać z Michelle lub z jej ojcem. Spytałby, z kim startuje w zawodach - nazwisko Buchanana widniało obok jej na planszy - i gdzie podziewa się ów Buchanan. W tych warunkach było to niemożliwe. Musiał zaczekać, aż tłum się zmniejszy. Koło dziesiątej większość rybaków wróci na pewno do domów, bo jutro o piątej rano muszą się stawić Pod Łabędziem. Oficjalne rozpoczęcie zawodów zaplanowano na kwadrans po piątej.

John i Dallas siedzieli w wynajętym samochodzie przy skrzyżowaniu dróg, niecały kilometr od baru, i czekali na telefon od Prestona. Im dłużej czekali, tym bardziej się denerwowali. Co Monk i Preston tam robią tyle czasu?

John otworzył butelkę z wodą i przytknął ją do ust.

- Musimy to dziś załatwić bez względu na wszystko - powiedział. - Nie dbam o to, kto wejdzie nam w drogę. Jeżeli będziemy musieli zabić kogoś w tym barze, to trudno. Mamy broń i chcę z tym skończyć. Dlaczego Preston nie dzwoni?

- Widziałeś ten tłum samochodów. Czeka na okazję - od powiedziała Dallas.

O dziewiątej w barze wciąż było tłoczno. Elvis śpiewał o niebieskich zamiszowych butach i klienci musieli przekrzykiwać szafę grającą. Gdyby Michelle nie znalazła się przy telefonie, nie usłyszałyby, że dzwoni. Przyłożyła słuchawkę do ucha, a drugie przykryła dłonią. Nadal jednak niewiele słyszała, weszła więc do magazynu. Telefonowała Cherry Waterson ze szpitala. Mówiła tak nieskładnie, że Michelle nie mogła jej zrozumieć i w końcu poprosiła, żeby dała do telefonu pielęgniarkę. Trzydzieści sekund później, po wydaniu poleceń pielęgniarce, odłożyła słuchawkę i podbiegła do Noaha.

- Musimy zaraz jechać do szpitala.

Ten o nic nie pytał. Wyraz twarzy Michelle wskazywał na to, że sprawa jest poważna. Odłożył ściereczkę, gwizdnął i przywołał do siebie Johna Paula. Poszli we trójkę do kuchni.

- O co chodzi? - spytał John Paul.

- Potrzebne mi są twoje kluczyki - oznajmił Noah.

- Johnowi Patrickowi utkwiał rzutek w piersi - wyjaśniła Michelle, otwierając tylne drzwi. - Muszę jechać do szpitala.

John Paul rzucił Noahowi kluczyki.

Michelle wzięła telefon od Noaha i zadzwoniła na radiologię.

- Zadzwoń do Theo! - krzyknął Noah do jej brata. - Powiedz mu, że będziemy w szpitalu.

Preston przepchnął się przez tłum do Jake'a Renarda pod pretekstem przyjrzenia się planszy z zawodnikami, by usłyszeć, co John Paul mówi ojcu. Kiedy się dowiedział, że Michelle pojechała do szpitala i że jej brat ma zawiadomić Theo, odstawił kufel i ruszył do drzwi.

W drugim końcu sali starszy mężczyzna opowiadał Monkowi o swoich trofeach wędkarskich. Zaprosił Monka do stolika, ale on wolał zostać przy oknie, bo stamtąd widział cały parking.

- Siedziałem cały dzień przy komputerze - powiedziała. - Co pan mówił o tym pstrągu?

Starszy pan pokręcił z dezaprobatą głową i zaczął opowiadać od początku. Monk kiwał głową, udając, że słucha, a kiedy

zobaczył, że Noah i Michelle wsiadają do starej furgonetki, natychmiast ruszył do drzwi. Starszy mężczyzna coś do niego krzyknął, ale on nie zwrócił na niego uwagi.

Preston tymczasem siedł do swojego samochodu ze spuszczoną głową na wypadek, gdyby Michelle lub agent FBI się obejrzeni.

- Dokąd oni się tak śpieszą? - spytał Monk, dogoniwszy go.

- Do szpitala. Buchanan też ma tam być. Jeżeli Clayborne ją łam zostawi, załatwimy oboje na miejscu. O tej porze w szpitalu jest pusto. Większość chirurgów operuje wczesnym rankiem.

Kiedy Preston zadzwonił i przekazał nowiny, John zmienił plan.

- Dallas i ja będziemy czekać na parkingu przed szpitalem i złapiemy Buchanana, jak tylko przyjedzie. Gdyby dotarł tam przed nami, Dallas wejdzie do środka i wywabi go na zewnątrz. Ty i Monk wchodźcie i nie spuszczać z oka lekarki. Jak będzie sama, złapcie ją i spotkamy się tam, gdzie planowaliśmy.

- Pieprzę to! - wrzasnął Preston. - Słyszałem, jak jej brat mówił, że ma operować jakiegoś dzieciaka. Powinniśmy tam ją załatwić. Przy okazji dorwalibyśmy federalnego.

John zazgrzytał zębami.

- Czyś ty oszalał? Wiesz, ile osób tam z nią będzie? Rusz mózgowicą. Przecież chcemy, żeby to wyglądało jak profesjonalny atak na Buchanana. I chcemy, żeby federalny pomyślał, że ona też dostała, bo była z nim.

- A co z Clayborne'em?

- Jeżeli wejdzie ci w drogę, zastrzel i jego.

- Boże, gdyby ktoś to słyszał - jęknęła Dallas.

- Zamknij się - warknął John. - Jakim samochodem jedzie ta lekarka?

- Starą czerwoną furgonetką.

John wcisnął klawisz „End” i rzucił telefon na kolana.

- Zwolnij - mruknęła Dallas. - Szpital jest tuż za rogiem.

Zorientował się, że przyspieszył, i wcisnął hamulec.

- O co Preston się z tobą kłócił? - spytała Dallas.

- Chciał rozpętać strzelaninę.

- Jak mogło do tego dojść? Mówisz o zastrzeleniu dwóch, może trzech osób, a ja w tym biorę udział.

- Nie mamy wyboru.

- Gówno prawda. Moglibyśmy spakować walizki i lecieć na Kajmany. Wyjęlibyśmy pieniądze z konta, podzielili na trzy części i zniknęli.

- Musimy mieć akt zgonu Camerona, żeby wyjąć te pieniądze.
 - Monk mógłby go dostarczyć.
 - Masz wyrzuty sumienia z powodu trójki obcych ludzi, a Cameron cię nie rusza?
 - Stał się niebezpiecznym świadkiem.
 - No właśnie. Tak jak Buchanan i jego przyjaciele. Załatwmy to dziś wieczorem.

- Powinniśmy się z tego wycofać.
 - Nie! - krzyknął John.
 - To wymyka się spod kontroli. I to wszystko twoja wina, draniu. John zacisnął dłoń na pistolecie. Miał ochotę przyłożyć go Dallas do skroni i nacisnąć spust. Powstrzymał się i odetchnął głęboko.
 - Nie waż się przy mnie rozklejać - powiedział. - Spójrz, samochód Prestona. Pewnie on i Monk są już w środku.

- Parking jest prawie pusty. To dobrze.
 John spojrzął w stronę miejsca, gdzie parkowali lekarze, i uśmiechnął się.
 - Jest furgonetka.
 - Widać z tego, że Clayborne nie wrócił Pod Łabędzia. Został razem z nią.
 - No to wszedł do gry.
 - Zaparkuj obok tej fioletowej furgonetki za drzewami.

John wcisnął guzik otwierający okno i wyłączył silnik. Dallas sięgnęła na tylne siedzenie po czarną wiatrówkę. W kieszeni miała mały półautomatyczny pistolet.

- Zastanówmy się nad przebiegiem wypadków - powiedziała. - Buchanan i lekarka nie powinni sprawić kłopotu. To z Clayborne'em możemy mieć problem. Zna się na robocie i będzie szukał guza. Jeżeli się okaże, że będziemy musieli załatwić ich w szpitalu, zacznij strzelać.

- No to załatw go pierwsza. Pamiętaj, że działasz z zaskoczenia.
 - Ale on może coś podejrzewać.
 - Masz wyciągnąć Buchanana ze szpitala.
 - Ja tylko mówię, że gdyby coś źle poszło...
 - Monk będzie myślał tak samo jak ty - przerwał jej niecierpliwie John. - Weźcie Clayborne'a na siebie, a Preston zajmij się Buchananiem.

- Ty cwaniaku, powinieneś iść z nami.
 - Ta lekarka wie, kim jestem. To zbyt ryzykowne. Może spotkać mnie na korytarzu. Lepiej zaczekam tutaj.
 Pochyliła się ku niemu i wyjęła kluczyki ze stacyjki.
 - Myślisz, że ucieknę?
 - Jak usłyszysz strzelaninę, możesz się skusić.
 Uniósł dłonie.
 - Dobra. Weź kluczyki, ale schowaj je tak, byś mogła je szybko wyjąć.

Nadjechał samochód i John pochylił głowę, mimo że kryły ich drzewa. Wóz pojechał dalej. Mieli doskonały punkt obserwacyjny; na wprost znajdowało się wejście do szpitala. Buchanan zaparkuje albo na miejscu dla gości, albo obok furgonetki lekarki.

- Jeżeli będę musiała za nim biec, wiatr będzie wiał mi w twarz - zmartwiła się Dallas.
 - Myśl o pieniądzach - szepnął John. - Myśl tylko o pieniądzach.

Zsunęli się niżej na siedzeniach i czekali.

Po drodze do szpitala Theo zatrzymał się przed pocztą, by skserować dokumenty, które dała mu Rosa. Potem zatelefono-
wał do swojego szefa w Bostonie i opowiedział mu o wszystkim. W trakcie rozmowy poprosił jednego z pracowników, by przefaksował całość do Bostonu. Na koniec zatelefono-
wał do miejscowego oddziału FBI, poprosił o numer faksu i przesłał kopie do ich biura. Ze zmęczenia wysłał je również do siebie do domu.

Kiedy dojeżdżał do St. Claire, zaczął zanikać sygnał w telefonie komórkowym. Bateria była na wyczerpaniu. Chciał zatelefonować do Bena i poprosić, by przyjechał do szpitala. Dałby mu kopie dokumentów i włączył go do śledztwa. Postanowił jednak z tym zaczekać. Stojąc na światłach, schował papiery do skrytki w samochodzie.

Załatwił już wszystko, co było do załatwienia - szef miał jeszcze przesłać kopie dokumentów do przyjaciela, który pracował w urzędzie skarbowym. Theo wrócił myślami do rozmowy z Rosą Vincetti. Kobieta bała się policji. Nie dziwnego, po tym, co przeszła. Wyważyli drzwi i wpadli do domu w środku nocy, z bronią gotową do strzału wyciągnęli jej syna z łóżka, skuli kajdankami i zabrali. Od tego czasu żyła w strachu, że to się powtórzy.

- Czy Catherine wiedziała, że boi się pani policji? - spytał.

- Tak - odpowiedziała. - O wszystkim jej mówiłam. Byłyśmy jak siostry. Polegała na mnie.

Kiedy wychodził, powiedziała, że szukała w gazetach informacji o aresztowaniu Johna. Catherine mówiła jej, że kopie tajnych plików pozwolą zamknąć go w więzieniu na resztę życia.

- Co zamierzała pani zrobić z tymi papierami? - spytał.

- Nie wiem. Catherine kazała mi je schować w bezpiecznym miejscu. Modliłam się i czekałam.

- Na co?

- Że Bóg powie mi, co mam robić.

Zapewnił ją, że papiery będą u niego bezpieczne, podziękował i wyszedł.

Kiedy od szpitala dzieliło go kilka przecznic, spojrzął na zegarek. Kwadrans po dziewiątej. Czas szybko płynie przy dobrej zabawie, pomyślał. Nic dziwnego, że burczało mu w brzuchu i nie mógł się powstrzymać od ziewania. Przez cały dzień nic nie miał w ustach. Potrzebował solidnego posiłku i kawy. Może kiedy zobaczy się z Michelle i porozmawia z Noahem, przegryzie coś w szpitalnej kawiarence. Wjechał na szpitalny podjazd, zobaczył, że pod dachem na wprost głównego wejścia nie ma żadnych samochodów, i zatrzymał się tuż za znakiem zakazu parkowania, w miejscu zarezerwowanym dla policji. Kiedy ruszył do wejścia, ze szpitala wyszedł sanitariusz.

- Hej, kolego, tu nie można parkować. Trzeba mieć przepustkę.

- FBI! - odkrzyknął Theo.

Cholera - mruknął John, kiedy zobaczył, że Buchanan wchodzi do środka.

Dallas otworzyła drzwi.

- Zawiadom Prestona i Monka. Niech czekają na mnie na klatce schodowej od północnej strony. Muszę to jakoś zsynchronizować na wypadek, gdyby Buchanan sprawiał kłopoty.

Zamknęła drzwi samochodu i pobiegła do bocznego wejścia, a John skontaktował się z Prestonem. Kiedy skończył rozmowę, sięgnął na tylne siedzenie i wyciągnął laptopa. Potem otworzył skrytkę, wyjął z niej drugą parę kluczyków, o którą poprosił, gdy wypożyczał samochód, i włożył je do stacyjki.

Dallas przestała mu ufać. Uśmiechnął się. Oni wszyscy, nawet cyniczny, wypalony wewnętrznie Cameron, choć potrafili nieźle kombinować, nie doceniali jego umiejętności. Wierzyli naiwnie, że nie da sobie bez nich rady. Jeszcze zabawniejsze było to, że te pracowite pszczołki sądziły, że podzieli się z nimi zebraną fortuną. Cóż za wspaiała broń to zaufanie.

Oparł się wygodnie i czekał. Była piękna gorąca noc. Może

wszystko pójdzie dobrze i nie będzie musiał korzystać z planu awaryjnego. Co prawda Preston zachowywał się jak szalenciec. Z pewnością nie zdoła się opanować i kogoś zastrzeli. Wówczas rozpęta się awantura, w czasie której wszyscy mogą zginąć. Nic byłąoby to szczęśliwe rozwiązanie.

Theo zamierzał wejść schodami na pierwsze piętro, lecz po drodze zaczepił go Elliott Waterson.

- Panie trenerze! Moi rodzice są na górze. - Chłopak trzymał drzwi windy. Pewnie myślał, że Theo przyszedł dotrzymać towarzystwa jego rodzicom.

- Jak tam, Elliott, trzymasz się jakoś? - spytał go Theo, wchodząc do windy.

W odpowiedzi chłopiec rozpłakał się. Miał podpuchnięte oczy, czerwony nos, a w oczach rozpacz i strach.

- Słyszał pan, co zrobiłem mojemu bratu? - spytał, pochylając nisko głowę. - Skrzywdziłem go.

- Na pewno nie zrobiłeś tego umyślnie.

Theo wiedział, że Michelle pojechała do szpitala i że chodzi o Johna Patricka, malca, który prosił go, by zastrzelił Lois, ale nie znał szczegółów. Był jednak przekonany, że Elliott nigdy rozmyślnie nie skrzywdziłby brata. Pochodził z kochającej się rodziny.

- Wiem, że nie chciałeś zranić Johna Patricka.

- Ale to moja wina i on teraz umrze.

Chłopiec rzucił się Theo w ramiona, omal nie zwalając go z nóg, i na dobre się rozszlochał, kryjąc mu twarz na ramieniu. Był wielkim, potężnie zbudowanym chłopcem, cięższym od Theo o co najmniej dziesięć kilo, lecz jak każde dziecko potrzebował pocieszenia.

- Chodź, znajdziemy twoją mamę - zaproponował Theo.

- Ja nie powinienem... Nie chciałem... - wyjąkał Elliott.

Theo zrobiło się żal chłopaka. Otoczył go ramieniem i poklepał.

- Wszystko będzie dobrze - rzekł. Nie była to obietnica, lecz nadzieja na szczęśliwe zakończenie. - Musisz w to wierzyć. - Zorientował się, że winda nadal stoi, i wolną ręką wcisnął guzik. - Opowiedz mi, jak to się stało.

- Mama powiedziała, żeby nie dawać mu tablicy z rzutkami. Mówiła, że jest na to za mały i może pokaleczyć się ostrymi

strzałkami. Ale on bardzo chciał zagrać. To miał być prezent urodzinowy. Wyciągnąłem więc tablicę. Powinienem ją schować, ale nie zrobiłem tego. Zawiesiłem tablicę na drzewie przed domem, tak nisko, żeby John Patrick mógł sobie porzucać. W końcu zdudziło mu się rzucać i wdrapał się na drzewo. Powyciągałem rzutki i zacząłem się nimi bawić. Rzucałem z dużej odległości, więc bardzo mocno.

Theo skrzywił się. Wiedział, co teraz nastąpi. Elliott był zbyt zdenerwowany, by mówić dalej. Drzwi windy się otworzyły i Theo wyciągnął go na korytarz. Na wprost nich, oparty o ścianę, stał Noah. Kiedy ich zobaczył, poszedł po rodziców chłopca.

- John Patrick zeskoczył z drzewa w momencie, gdy rzucałem strzałką - podjął opowieść Elliott. - Trafiłem go w pierś, może w serce... nie wiem, ale nie płakał. Miał tylko taki zdziwiony wyraz twarzy. Krzyknąłem: „Nie!” i podbiegłem do niego, bo wiedziałem, co chce zrobić. Chciał wyciągnąć rzutkę, ale nie wychodziła. I wtedy zamknął oczy i upadł na ziemię. Myślałem, że nie żyje. Tata też to widział. Wysiadł właśnie z furgonetki i wchodził do domu. John Patrick umrze, prawda?

Theo nie wiedział, jak go pocieszyć.

- Chodź. Znajdziemy twoją mamę.

Przed sobą na ścianie zobaczył strzałki wskazujące kierunek. Chirurgia była na lewo. Noah poszedł w prawo i Theo pchnął chłopca w tę samą stronę. Po chwili zobaczył przyjaciela i rodziców chłopaka.

Na widok matki Elliott puścił Theo i podbiegł do niej. Cherry objęła syna i mocno przytuliła.

- Przykro mi z powodu Johna Patricka - powiedział Theo do Daryla, który wyglądał o dziesięć lat starzej.

- Tak - mruknął.

- Jest jeszcze taki mały. - Cherry rozpłakała się.

- Ale silny - odrzekł Daryl. - Wyjdzie z tego.

- Jak długo trwa operacja? - spytał Theo.

- Pół godziny.

- Czy coś już wiadomo?

Elliott stał obok matki i trzymał ją za rękę. Ta sprawiała wrażenie niezbyt przytomnej.

- Doktor Mike przysłała pielęgniarkę z wiadomością, że wszystko idzie dobrze - odpowiedział Daryl. - Słyszysz, Elliott? Przyszła, kiedy zjechałeś na dół po pastora. Doktor Mike powiedziała,

że nad Johnem Patrickiem czuwał anioł stróż, bo strzałka ominęła tętnicę. Pielęgniarka przypuszcza, że operacja potrwa jeszcze godzinę.

- Może będą mu musieli zrobić transfuzję krwi - powiedziała Cherry.

- Pomyśleliśmy, że zejdziemy do laboratorium i oddamy krew - wyjaśnił Daryl. - Na wypadek gdyby John Patrick jej potrzebował.

- Nie będziesz oddawał krwi, Daryl - zaprotestowała Cherry. - Miałeś niedawno operację.

- I tak tam pójdę.

- Ja też oddam krew - wtrącił Elliott. Odsunął się od matki, wyprostował i wytarł oczy wierzchem dłoni.

- Gdzie są wasi pozostali synowie? - spytał Theo.

- Na dole w kawiarence - odpowiedziała Cherry. - Powinam do nich pójść. Henry pewnie się denerwuje. Powinien już spać, a nie wzięłam mu kocyka, który lubi trzymać przy buzi, kiedy ssie palec - dodała i rozpłakała się.

Daryl objął ją ramieniem.

- Henry'emu nic nie będzie. Żona pastora ma zabrać dzieci do domu i położyć je spać - wyjaśnił. - Powinni zaraz tu być, więc chodźmy do laboratorium, Cherry. Chciałbym tu wrócić, kiedy skończy się operacja.

Theo domyślił się, że Daryl chce coś zrobić, byleby pomóc dziecku. Sam też by oszalał, gdyby musiał czekać beczynnienie.

- Może jedno z nas powinno tu zostać - powiedziała Cherry, gdy otworzyły się drzwi windy.

- Ja tu zostanę - oświadczył Theo. - Dam wam znać, gdyby coś się działo.

Noah, który do tej pory trzymał się na uboczu, gdy winda zamknęła się za Watersonami, podszedł do przyjaciela.

- Matka wygląda, jakby była w szoku.

- Jak bardzo to jest groźne? - spytał Theo.

- Wyglądało groźnie, ale szczerze mówiąc, nie wiem. Było tu mnóstwo zamieszania. Obserwowałem Mike przez szybę. Stała nad umywalką, szorowała ręce i oglądała zdjęcia, które trzymała druga lekarka. Pielęgniarki, lekarze i technicy biegali jak szaleni. Wszyscy krzyczeli z wyjątkiem Mike. Była spokojna i opanowana - dodał Noah z podziwem w głosie. - Umie nad sobą panować w sytuacjach kryzysowych. Chyba dlatego została chirurgiem.

- Podobnie zachowywała się, kiedy kule latały nam nad głowami - powiedział Theo.

- A skoro mowa o kulach, załatwiłeś wszystko w Nowym Orleanie?

- Tak. Nie uwierzysz, czego się dowiedziałem. - Theo opowiedział przyjacielowi o Stowarzyszeniu Siewców, milionach dolarów na koncie na Kajmanach, o Cameronie i Rosie. - Chcę dorwać Johna Russella. Podejrzewam, że ma na sumieniu jeszcze inne przestępstwa prócz tych nielegalnych transakcji. Niech tylko detektywi zgarną Camerona Lyncha, porozmawiam sobie z nim. Wszystko z niego wyciągnę.

- Nick opowiadał mi o twojej sile perswazji, toteż nie wątpię, że zmusisz go do mówienia. Chciałbym przejrzeć te papiery.

- Zostawiłem kopie w skrytce w twoim samochodzie.

- Czy to rozsądne?

Theo uśmiechnął się.

- Nie mówiłem ci, że przesłałem kopie mojemu szefowi, urzędowi skarbowemu, FBI i sobie do domu?

- Nie mówiłeś. Wspominałeś coś o inicjałach przy każdej transakcji. Były tam litery J, C, P i D, tak? Szkoda, że John nie wpisał pełnych imion.

- Może jego żona to zrobiła. Może są w przesyłce adresowanej do Michelle.

- John Russell to na pewno „J”, Cameron Lynch to „C”. Ale kim są „P” i „D”?

- Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć. Myślę jednak, że wkrótce wszystko się wyjaśni. Underwood i Basham rozestali kilku swoich ludzi po Nowym Orleanie - oznajmił Theo. - Mają pogadać ze współpracownikami Johna. Niedługo będziemy znać te imiona.

- Może detektyw Harris wie, kim oni są. Odezwała się?

- Nie.

- Chyba nie należy do kobiet, które dotrzymują słowa - stwierdził Noah. - Dwanaście godzin minęło, a ona nie przekazała ci kopii tych dokumentów.

- Będzie wściekła, kiedy się dowie, że dostałem drugi egzemplarz od Rosy.

- Ale chyba jej nie powiesz.

- Jasne, że nie. Nie zamierzam jej niczego mówić. Niech Underwood i Basham spiją całą śmietankę. - Theo posłyszał, że

przez głośnik wywołują jego nazwisko. Podszedł do telefonu wiszącego na ścianie na wprost windy, przedstawił się i otrzymał połączenie. Dzwonił detektyw Underwood. Rozmowa była krótka. - Tak, będę czekał. Dajcie mi znać - powiedział, po czym odwiesił słuchawkę i odwrócił się do Noaha. - Preston i Dallas.

- To się nazywa tempo.

- Jeden z detektywów otrzymał te imiona od eks-przyjaciółki Johna imieniem Lindsey. Usiłowała dostać się do domu Johna, bo, jak twierdziła, zostawiła tam kilka ubrań. Powiedziała, że poznała tylko Camerona. Słyszała jednak, jak John rozmawia przez telefon i że często powtarzały się imiona Preston i Dallas.

- Bez nazwisk?

- Bez. I wiesz co? Do Johna dzwonił jeszcze ktoś i pytał o Dallas. Przedstawił się jako Monk. Zapamiętała tę rozmowę, bo John był dla niego bardzo grzeczny, jakby się go bał.

- Interesujące - mruknął Noah. - Czy ta Lindsey rozmawiała z nim albo z innymi?

- Nie. John zabronił jej odbierać telefon. Nie chciał, by ktoś się dowiedział, że z nią mieszka. Powiedziała również, że mieli się pobrać, ale kilka dni temu John wrócił do domu, kazał się jej spakować i wynosić. Był bardzo niemiły.

- Dlatego jest taka rozmowna.

- Właśnie. Przypuszczam, że przed północą zgarną Prestona i Dallas.

- Może nawet wcześniej - stwierdził Noah. - Jak Underwood cię znalazł?

- Powiedziałem mu, żeby łąpał mnie na komórkę albo Pod Łabędziem. John Paul albo Jake musieli mu powiedzieć, że jestem w szpitalu.

- Musimy więc uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Theo ziewnął głośno i potarł kark.

- Przydałaby się kawa.

- W poczekalni jest pojemnik z kawą.

- Dobra. Najpierw zajrzę do Michelle. Można tam wejść? - spytał Theo, wskazując głową na wahadłowe drzwi i duży czerwony napis: „Nie wchodzić”.

- Jasne. Zobaczysz Mike przez szybę. Jest na sali operacyjnej na końcu korytarza po lewej. Tylko uważaj, żeby cię ktoś nie zobaczył. Pielęgniarki lubią krzyczeć. Muszę podzwonić - dodał

Noah, po czym odwrócił się i ruszył w stronę poczekalni. - Przynieść ci kawy?

- Nie - odpowiedział Theo. - Sam sobie wezmę. - Już miał pchnąć drzwi, gdy nagle się zatrzymał. - Hej, Noah, wiesz, co jest dziwne?

- Co takiego?

- Metoda postępowania Catherine. Zdecydowała się przesłać dokumenty krewnej, której nie widziała na oczy.

- John Paul mówił, że była dziwaczka.

- To prawda.

- Może właśnie to jest odpowiedź.

- Może - rzucił Theo bez przekonania.

Pchnął drzwi i wszedł do zakazanej strefy, czując się jak chłopiec, który zakradł się do kina na film dla dorosłych. Za chwilę ktoś zacznie na niego krzyczeć albo złapie za kołnierz i wyrzuci za drzwi. Znalazł się w szerokim korytarzu z kilkoma parami wahadłowych drzwi i windą. Skręcił w lewo. Pod ścianą w końcu korytarza stało łóżko, a po prawej mieściła się sala operacyjna, w której pracowała Michelle. Było tu o kilka stopni chłodniej. Kiedy podszedł bliżej, usłyszał muzykę i natychmiast rozpoznał piosenkę śpiewaną przez Williego Nelsona, ulubionego piosenkarza Michelle. Coś drgnęło mu w pamięci, lecz było to zbyt ulotne, by mogło zatrzymać się na dłużej. Charakterystyczny zapach, piosenka i chłód wydały mu się znajome. Może wiązały się z jego własną operacją.

Zajrzał przez kwadratowe okno do wnętrza. Zaskoczyła go ciasnota pomieszczenia. Panował w nim tłok. Naliczył sześć osób razem z facetem siedzącym za głową pacjenta, który kontrolował wskaźniki na urządzeniach. Nie widział Johna Patricka, bo zasłaniała go pielęgniarka, ale zobaczył czoło Michelle, gdy odwróciła się do instrumentariuszki. Natychmiast opuściło go napięcie. Odetchnął głęboko. Uświadomił sobie, że czuje się lepiej, bo ona jest blisko.

- Chyba naprawdę źle ze mną - mruknął, odwrócił się i ruszył do wyjścia. Czyżby miał obsesję na punkcie tej dziewczyny? Nie, oczywiście, że nie, ale świat wydawał się jaśniejszy i znacznie lepszy, gdy ona była przy nim.

To Catherine miała obsesję. Przypomniała mu się zagadka, którą należało rozwiązać. Rosa powiedziała, że Catherine chciała wykorzystać tajne dokumenty męża, by go sobie podporządkować.

Dlaczego po prostu nie poleciała adwokatowi, by po jej śmierci przekazał je policji? Może się bała, że Benchley tego nie zrobi, a może, tak jak Rosa, nie ufała policji?

Nietrudno zrozumieć, dlaczego wybrała Michelle. Wiedziała, że kuzynka jest inteligentna. Kiedy Jake do niej telefonował, chwalił się córką, wiedziała więc, że Michelle domyśli się, co znaczą wszystkie te liczby i transakcje. Nie przypuszczała, że Jake też dałby sobie z tym radę. Wygląd poczciwego dużego chłopca zmylił wielu ludzi. Theo jednak zdażył się przekonać, jaki jest inteligentny. Catherine wiedziała jedynie, że jest uparty, bo nie zerwał z nią kontaktu. Telefonował raz w miesiącu, nie zrażając się jej chłodem i obojętnością. Może więc liczyła na to, że Jake dopilnuje, aby Michelle oddała te papiery właściwym ludziom.

Dlaczego jednak drugi komplet oddała Rosie, a nie policji? Odpowiedź nagle stała się oczywista. Bo wiedziała, że Rosa nie pójdzie na policję. A to oznaczało...

- A niech mnie! - szepnął. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Przepraszam, Catherine, że byłem taki tępy.

Nie mógł się już doczekać, by powiedzieć Noahowi. Pchnął wahadłowe drzwi i w pośpiechu potrącił wózek z ręcznikami, które wyspały się na podłogę. Przykucnął, by je pozbierać, i w tym momencie postąpił brzęk dzwonka przy windzie oraz szum rozsuwanych drzwi. Wyszła z nich detektyw Harris i ruszyła w kierunku poczekalni.

Tym razem razem miała na sobie spodnie. Szła szybko, jakby się gdzieś spieszyła, głośno stukając obcasami.

Theo wkroczył, kiedy dochodziła do poczekalni.

- Szuka mnie pani?! - zawołał.

Odwrociła się zaskoczona, wsunęła rękę do kieszeni i uśmiechnęła się.

- Skąd się pan tu wziął?

Noah wyszedł z poczekalni, gdy Harris odwróciła się w stronę Theo.

- Byłem na chirurgii - wyjaśnił Theo. - Zaraz będę do pani dyspozycji, tylko muszę zatelefonować. - Podeszedł do wiszącego na ścianie telefonu, połączył się z centralą szpitala, szepnął parę słów do słuchawki, po czym odwiesił ją i znowu się uśmiechnął. - Skąd pani wiedziała, że tu jestem?

- To moja praca, umiem szukać ludzi - odparła ze śmiechem. - Jakiś mężczyzna Pod Łabędziem powiedział, że pan tu jest,

a recepcjonistka na dole poinformowała, na którym piętrze. Spóźniłam się trochę. Minęło więcej niż dwanaście godzin, ale nie mogłam wcześniej.

- Nie sądziłem, że pani przyjdzie. Jestem pod wrażeniem.

- Mam kopie tych dokumentów z przesyłki. Pozwolę panu je przejrzeć wyłącznie z dobroci serca. Niech pan nie zapomina, że to moje śledztwo.

- Nie zamierzam się wtrącać. Więc gdzie są akta Monka?

- Nie uwierzył mi pan, że poświęciłam trzy lata na ściganie ducha. W furgonetce mam dwa wielkie pudła z aktami. Przejrzenie ich zajmie panu kilka tygodni.

- Mam żałować, że o nie poprosiłem?

- Oczywiście. - Zadrzała. - Zimno tu. No więc jak to załatwimy? - spytała. - Przeniesiemy te pudła do pańskiego wozu, czy mam je gdzieś podrzucić?

- Możemy je przenieść. Zabiorę się za nie dziś wieczorem.

- Jak pan chce.

- Aresztowała pani już kogoś?

Oczy jej się zwięziły; pytanie wyraźnie ją zirytowało.

- Jeszcze nie - odparła niechętnie. - Wymknął się nam. Za każdym razem jest to samo. Rozpływa się w powietrzu. Miał być w motelu w St. Claire. Otoczyliśmy motel. Jego samochód stał przed domkiem, ale on zniknął. Musiał się bardzo spieszyć, bo nie zabrał sprzętu ani ubrań. Mam nadzieję, że moi ludzie tym razem będą mieli szczęście i znajdą jakiś trop.

- Mógłbym się rozejrzeć w tym motelu?

- Jasne, pod warunkiem, że nie będzie pan się wtrącał.

- Przecież obiecałem.

- Dobra, może się pan rozejrzeć. To motel w St. Claire przy Fourth and Summit. - Odwróciła się w stronę windy i wcisnęła guzik. Spojrzała w górę i zobaczyła, że świeci się trójka. Czekali kilka sekund, w końcu Harris ponownie wcisnęła guzik. - Zejdźmy schodami - rzuciła detektyw niecierpliwym tonem. - Tak będzie szybciej, a mnie się spieszy. Muszę być wieczorem w Nowym Orleanie.

- Randka?

- Skąd pan wie?

- Domyśliłem się. Ale będzie już późno, gdy pani tam dojedzie. Ponownie spojrzała w górę. Nadal świeciła się trójka.

- Nowy Orlean nigdy nie śpi - odparła. - Chodźmy.

Theo cofnął się o krok.

Harris odwróciła się w stronę schodów i stanęła jak wryta, bo wyrósł przed nią Noah.

- Dobry wieczór - powiedziała.

- A, tu jesteś - odezwał się Theo. - Chciałbym przedstawić cię detektyw Harris. Pani detektyw, to jest Noah Clayborne - poinformował i położył jej rękę na ramieniu. - Pracuje dla FBI, ale jest także moim bliskim przyjacielem.

- Miło mi panią poznać - powiedział Noah. - Właśnie...

Theo zrobił kolejny krok w tył.

- Hej, Dallas - powiedział nagle.

Obróciła się instynktownie i w tym momencie Theo pchnęła ją na drzwi windy, unieruchamiając rękę, którą sięgała po ukrytą w kieszeni broń. Noah wykręcił jej ramię do tyłu i uderzył w nadgarstek. Pistolet upadł na podłogę, a Theo kopnął go dalej.

- Gdzie są twoi przyjaciele? - spytał. Zwolnił ucisk, chcąc obrócić ją twarzą do siebie. Korzystając z okazji, kobieta szarpnęła się i usiłowała kopnąć Noaha w krocz.

- Ładnie to tak? - spytał Noah uchylając się przed ciosem. - Gdzie są twoi przyjaciele? - powtórzył pytanie Theo, tylko znacznie mniej przyjaznym tonem.

Zacisnęła usta i spojrzała na niego z nienawiścią.

Theo zerknął w górę. Wciąż świeciła się trójka.

- Są na klatce schodowej - powiedział. - Zablokowali drzwi windy, żebyśmy musieli zejść schodami. Mogą nie wiedzieć, że tu jesteś.

- To prawda? - spytał Noah Dallas, ściskając palcami jej szyję. Szarpnęła głową.

- Preston! - krzyknęła, ile sił w płucach. - Monk! Teraz!

Pięść Theo zamknęła jej usta. Gdy jego przyjaciel ją puścił, osunęła się nieprzytomna na podłogę.

Noah wskazał głową w stronę schodów.

- Uważaj - szepnął, po czym przeszukał Dallas.

Znalazł glocka w kaburze. Przewrócił ją na plecy i przesunął dłonią po nodze, gdzie mogła mieć ukrytą broń. W tym momencie usłyszał ciche skrzypienie otwieranych drzwi. Wskazał głową na poczekalnię, dając znak przyjacielowi, że stamtąd pochodzi dźwięk.

Theo też go usłyszał. Skinął głową i przysunął się bliżej. To pewnie Monk. Noah znalazł drugi pistolet pod kolanem Dallas i wsunął go za pasek od spodni. Przeszukał kieszenie zakietu,

wyjął z nich cztery magazynki i podszedł bezszelestnie do Theo. Wcisnął mu dwa magazynki do tylnych kieszeni spodni, po czym podał przyjacielowi glonka, by miał broń w obu rękach. Czekali z lufami wymierzonymi w sufit za załomkiem muru na wprost windy.

Theo posłyszał cichy stukot w drugim końcu korytarza, przy drzwiach prowadzących na sale operacyjne. To pewnie Preston. A gdzie był John? W windzie? A może na schodach. Theo wyczuł słuch. Nic. Żadnego dźwięku. Pewnie czekali, aż on i Noah pojawią się na korytarzu. Serce dudniło mu w piersi jak szalone.

- To pułapka - szepnął Noah. - Pozwólmy im podejść bliżej.

Theo pokręcił głową; nie mógł czekać. Winda nadal stała na trzecim piętrze. Jeśli Michelle albo któraś z pielęgniarek wyjdą na korytarz, mogą zginąć.

- Michelle - wyszeptał.

Noah skinął głową na znak, że rozumie.

Theo wsunął jeden z pistoletów pod pachę, ściągnął buta z nogi Dallas i rzucił na korytarz. Preston natychmiast otworzył ogień. Padły trzy strzały, potem nastała cisza. W oddali rozległo się wycie syren.

- Policja? - spytał Noah.

Theo kiwnął głową. Kazał telefonistce wezwać pomoc.

- Nie możemy czekać - wyszeptał.

Preston, Monk i John też usłyszeli ten dźwięk. Mogli pomyśleć, że to karetka, ale i tak będą chcieli jak najszybciej wykonać zadanie. Theo zrobił krok w stronę korytarza, lecz przyjaciel go zatrzymał.

- Plecami do siebie - szepnął. - To jedyny sposób. Ruszamy na trzy.

Stanęli tyłem do siebie i głęboko odetchnęli.

- Raz - szepnął Noah.

Theo zobaczył kątem oka, że Dallas oprzytomniała i sięga po pistolet, który on kopnął. Strzelił, gdy wycelowała w Noaha. Kula trafiła w szyję, poniżej gardła. Kobieta upadła na ścianę z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Chwilę później zamknęła oczy, a głowa opadła jej na pierś.

- Dwa - liczył dalej Noah.

- Teraz - szepnął Theo.

- Trzy!

Wyskoczyli na korytarz. Każdy znalazł swój cel i strzelił.

Noah trafił Monka w ramię, ale ten pchnął drzwi i wypadł na schody. Noah pognął za nim, przekonany, że przyjaciel go osłania. Dobiegł do drzwi, oparł się o ścianę i złożył się do strzału. Monk strzelił w tym samym momencie. Noah cofnął się w ostatniej chwili, a w ścianę na wprost drzwi trafiła seria pocisków, rozpryskując tynk i wzbijając w górę tumany kurzu. Hałas był ogłuszający, ale Noahowi wydało się, że słyszy kobiecy krzyk. Obejrzał się i zobaczył, że Theo strzela do mężczyzny, który znika za drzwiami prowadzącymi do sal operacyjnych.

Skreć w prawo, byle dalej od Michelle, myślał gorączkowo Theo, rozsuwając wahadłowe drzwi. Padł na podłogę, przekoziołkował na plecy, modląc się, by Preston pobiegł w kierunku wyjścia. Glock miał już pusty magazynek, Theo nie mógł jednak tracić czasu na ponowne załadowanie. Zobaczył, że drzwi do oddziału intensywnej terapii kołyszają się lekko. Pewnie tam ukrył się Preston. Theo skoczył w bok i kula przeleciała o milimetr od jego twarzy. W tym momencie jakaś pielęgniarka wybiegła z krzykiem z sali operacyjnej.

- Cofnij się! - ryknął.

Wyrzucił pusty magazynek, wyjął drugi z tylnej kieszki spodni i załadował. Pielęgniarka zniknęła, a on oparł się o ścianę i czekał. Usłyszał piosenkę Williiego Nelsona. Przynurzył się bliżej rogu i zahaczył o wyłącznik światła. Zapadła ciemność i piosenka dobiegła końca. Uliczna latarnia rzucała szare cienie na korytarz. Gdzie ten Preston? Może wziął już zakładnika. A może znalazł inną drogę wyjścia. Nie, musiałby przejść obok niego. Gdzie ta policja? Nigdy ich nie ma, gdy są potrzebni. No, dalej, Ben, rusz swój tyłek. Nie przejdiesz tędy, Preston. Michelle, nie wychodź, póki to się nie skończy. Przypomniał sobie o stojącym przy ścianie łóżku. Cofnął się, zahaczył stopą o metalową nogę, przyciągnął je do siebie i czekał.

Michelle założyła ostatni szew i czekała, aż anestezjolog zdejmie maskę z twarzy pacjenta. Chłopczyk dzielnie się spisał. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, za miesiąc będzie wspinał się na swoje ulubione drzewo, zakładając oczywiście, że matka mu na to pozwoli.

- No, kochanie, oddychaj - szepnęła.

Chwilę później usłyszała suchy kaszel i cichy jęk.

- W porządku - powiedział anestezjolog, zdejmując chłopcu maskę z twarzy i uśmiechając się. - Miał szczęście malec.

- Wspaniała robota - powiedziała Michelle do zespołu.

Nagle usłyszeli strzały. Jedna z pielęgniarek krzyknęła i podbiegła do drzwi sprawdzić, co się dzieje, nie słuchając wołania Michelle i Landusky'ego, by natychmiast wracała. Wtedy Michelle usłyszała głos Theo, nakazujący kobiecie się cofnąć.

- To Theo. Jest ranny? - spytała pielęgniarki.

- Nie wiem - odparła kobieta. - Co się tam dzieje?

Nikt nie potrafił na to odpowiedzieć. Najważniejszy w tej chwili był pacjent. John Patrick oddychał już samodzielnie. Landusky pomógł Michelle przesunąć łóżko pod ścianę przy drzwiach. Jedna z pielęgniarek przeniosła stojak z kroplówką, a potem z drugą koleżanką pochyliły się nad chłopcem, by go osłonić, na wypadek gdyby ktoś wpadł na salę z bronią w rękę. Landusky pomyślał o tym samym i stanął nad głową dziecka; wziął w dłonie jego twarz i się pochylił. Pozostali przykucnęli w nogach stołu operacyjnego. Jedna z kobiet zatkała uszy rękoma i cicho płakała.

Michelle chwyciła gaśnicę i stanęła za drzwiami w takiej odległości, by wpadający do środka napastnik jej nie zablokował. Potem zgasiła światło i czekała. Nie pozwoliła sobie na myślenie o Theo. Najważniejsze teraz to nie wpuścić napastnika do sali.

- Jeżeli ktoś zacznie tu strzelać, cała podłoga wyleci w powietrze - szepnęła Landusky. - Butle z tlenem...

- Ciii - przerwała mu. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z groźącego niebezpieczeństwa.

Michelle przysunęła się bliżej. Co to za szum? O Boże, to taśma z Williem Nelsonem zaczęła się automatycznie przewijać do początku. Potem ponownie się włączy. Magnetofon stał na stole pod ścianą na wprost drzwi, przykryty sterylnym prześcieradłem. Chciała zawołać Theo, lecz oczywiście nie mogła. Oby tylko nic mu się nie stało. Jeżeli jest ranny, a ona stoi tuż za drzwiami... Nie, nie wolno jej o tym myśleć. Gdzie jest Noah? Dlaczego nie pomaga przyjacielowi? A może też tam jest? Theo, gdzie jesteś?

Theo przykucnął za łóżkiem. Raczej wyczuł, niż usłyszał, że Preston się zbliża. Gdy w końcu wyskoczył zza rogu, Theo kopnął łóżko z całej siły i strzelił w środek korytarza. Łóżko trafiło w Prestona, lecz zatrzymał je ręką i odepchnął od siebie. Theo

rzucił się na podłogę. W czasie gdy Preston usiłował odsunąć łóżko na bok, Theo dał nura pod stół i strzelił, trafiając przeciwnika w udo. Nie na wiele to się zdało. Gdy Theo posłyszał, jak zmienia magazynek, rycząc jak lew, uniósł łóżko i posługując się nim jak taranem, pchnął je na Prestona i strzelił przez spadający materac. Przeciwnik dostał w ramię, lecz nawet nie drgnął. Co mogłoby go zmusić do upadku? Kiedy zniknął za rogiem, Theo znowu wycelował i nacisnął spust. Odpowiedział mu cichy trzask; miał pusty magazynek. Sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął drugi i załadował, po czym padł na podłogę, bo Preston otworzył ogień. Jedna z kul drasnęła Theo w czoło.

Ile naboji mi jeszcze zostało? - pomyślał. Może dwa. Góra trzy. Znowu musiał paść na podłogę. W tym momencie poczuł ostry ból w ramieniu.

Tuż obok leżało przewrócone łóżko. Dzięki Bogu, pomyślał i schował się za nim. Przeciwnik rzucił się w jego stronę, wówczas Theo kopnął go w kolano. Preston zachwiał się i strzelił w sufit.

Drzwi za rogiem otworzyły się z impetem. Preston nie obejrzał się jednak. Stał zaledwie kilka kroków od ciemnej sali. Wiedział, że powinien uciekać. Wbiegł do sali z nadzieją, że znajdzie gdzie wyjście. Zatrzymał się, chwilę nasłuchiwał, po czym wolno obrócił się w stronę Michelle.

Słyszała jego przyspieszony oddech. Był tuż-tuż. Jeszcze jeden krok i na nią wpadnie. Musiała się cofnąć, by móc wykonać zamach. Ale wtedy ją usłyszy. Czemu on stoi? Czy wie, że ona tu jest?

Musiała odwrócić jego uwagę. Willie Nelson przyszedł jej z pomocą.

„Wszystkim dziewczętom, które kochałem...”

Preston odwrócił się przy pierwszych taktach piosenki i strzelił dwa razy w magnetofon. Wtedy Michelle uderzyła go gaśnicą w szczękę. Zatoczył się.

- Światło! - krzyknęła, waląc mężczyznę w głowę.

Tym razem poskutkowało, bo uderzył plecami w ścianę. Uniósł pistolet, lecz w tym momencie do sali wpadł Theo, osłonił Michelle swoim ciałem i strzelił Prestonowi w brzuch. Cofnął się, pchnął dziewczynę do wnętrza sali, usuwając ją z linii ognia. Preston upadł na kolana.

- Rzuć broń! - krzyknął Noah, biegnąc ku niemu.

Preston odwrócił się i wycelował w przeciwnika. Nie zdążył

jednak nacisnąć spustu bo gdy Noah tafiał go w głowę, upadł twarzą na podłogę. Wokół rozlała się kałuża ciemnej krwi.

Michelle odepchnęła Theo od drzwi.

- Droga wolna. Przewieźcie pacjenta na salę.

Theo oparł się o ścianę i wolno osunął się w dół. Noah przykucał przy leżącym Prestonie i wyjął mu broń z ręki.

Wszyscy nagle zaczęli krzyczeć i mówić jeden przez drugiego. Theo zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Zapiszczały kółka, gdy pielęgniarki, omijając Prestona, wywoziły łóżko z Johnem Patrickiem na korytarz.

Michelle ukłękła przy Theo, zdjęła rękawiczki i delikatnie zbadała rozcięcie na czole.

- Jestem na to za stary - mruknął.

- Nic ci się nie stało? - spytał Noah, chowając broń do kabury.

- Nic. Dopadłeś tego Monka?

- Nie.

- Nie?! - Theo odepchnął dłoń Michelle, by widzieć przyjaciela.

- Nie wiem, jak to zrobił, ale się wymknął - odparł Noah. - Jestem pewien, że trafiłem go w rękę. Wszystkie wyjścia są obstawione, sprawdzają każde piętro, ale jego już nie ma szpitalu.

- Skąd wiesz?

- Pacjent z trzeciego piętra wyglądał przez okno i widział, jak jakiś mężczyzna biegnie przez trawnik..

- A co z Johnem Russellem? Znaleźli go? - spytał Theo.

- Nie.

- Szwy ci popękały - odezwała się Michelle.

- Co?

W jej głosie brzmiał wyrzut. Theo patrzył na Noaha, zastanawiając się, skąd przyjaciel ma te białe kropki na twarzy. Przeniósł wzrok na Michelle i zobaczył łzy płynące jej po policzkach. Nie była jednak taka twarda, w każdym razie, gdy chodziło o niego.

- Nie zrobiłem tego specjalnie, skarbie. - Chciał otrzeć jej łzy, lecz odepchnęła jego rękę.

- Będę musiała znowu zszyć ci ramię. - Trzęsła się jak w febrze. - Spójrz na moje ręce. Nie mogę opanować drżenia.

- W takim razie zaczekamy, aż będziesz mogła utrzymać igłę.

- Zastłoniłeś mnie, gdy we mnie celował. To było bardzo bohaterkie, palancie. Mogłeś zginąć.

Tym razem nie pozwolił się odepchnąć.

- Ja też cię kocham - szepnęła, ujmując jej twarz w dłoń.

41

Zawsze jest jakiś plan awaryjny.

Kiedy dwa policyjne wozy na sygnale zajęły przed szpital, John zrozumiał, że czas zniknąć. Skulił się na siedzeniu, co było raczej instynktowne niż konieczne, i przekręcił kluczyk w stacyjce. Zaczekał chwilę, aż policjanci wbiegną do szpitala, po czym wolno odjechał.

Nie interesowało go, co się stało z przyjaciółmi, zginęli czy żyją. To i tak niczego nie zmieni. Nawet gdyby policja ich złapała, i tak będzie za późno. Gdyby jakimś cudem któremuś z nich udało się uciec, to też nie będzie miało znaczenia. Zdażył już przetransferować pieniądze stowarzyszenia na konto w Szwajcarii. Od czego miał laptopa. Dziwne, że Dallas nie spytała, po co go ze sobą zabrał. Wystarczyło podłączyć się do sieci, wystukać kilka komend na komputerze, i był ustawiony na całe życie.

Teraz należało jak najszybciej się stąd wydostać, zanim policja zablokuje drogę. Może nawet już tam stali. Na wszelki wypadek zawrócił i pojechał drogą biegnącą na tyłach szpitala.

Wtedy właśnie zauważył Monka. Kuśtykał w stronę ulicy. Jedną rękę przyciskał do boku. Czyżby oberwał? Na to wyglądało.

John zachichotał. Nie mógł przepuścić takiej okazji. W pobliżu nie było nikogo, nie będzie więc świadków. Winien był Monkowi sporą sumkę. Zrób to, szepnął mu wewnętrzny głos. John zawrócił, po czym wcisnął pedał gazu. Monk usłyszał pisk opon i obejrzał się. Gdy rozpoznał kierowcę, przystanął. Pewnie myślał, że John go zabierze, lecz ten przyspieszył. Monk był autentycznie zaskoczony, gdy zorientował się, co go czeka.

John sądził, że Monk rzuci się w lewo, i skręcił lekko koła, by

uderzyć prosto w niego, lecz ten skoczył w drugą stronę i samochód tylko go musnął.

- Och, rób sobie, co chcesz - mruknął John i pojechał dalej. Minął jakieś walące się zabudowania i włączył się do ruchu sześć przecznic od szpitala. Był bezpieczny.

Połączył się przez telefon komórkowy z pilotem, którego wynajął parę miesięcy wcześniej, i zawiadomił go, że za czterdzieści pięć minut będzie na lotnisku. Nie pojechał do Nowego Orleanu. Nigdy nie będzie mógł tam wrócić, nawet z nowym paszportem ukrytym w walizce z komputerem. Nigdy też nie wróci do Stanów.

Niewielka strata, pomyślał. Na pociechę miał miliony dolarów. Nie należał do osób, które potrafią głośno wyrażać radość, lecz tym razem pozwolił sobie na chwilę słabości. W końcu upiekło mu się morderstwo.

42

Michelle skończyła wypisywać zalecenia dla pielęgniarek i poszła zajrzeć do Johna Patricka. Byli przy nim rodzice. Stali przy łóżku syna, trzymając się za ręce. Elliott bał się wejść i tylko zerkał przez drzwi na brata.

- Najgorsze minęło - powiedział Daryl. - Przeszła pani przez piekło, prawda? Policja zablokowała schody i windy. Wiedzieliśmy, że dzieje się coś strasznego, ale nie przypuszczaliśmy, że aż tak.

- Cieszę się, że nie wiedzieliśmy - stwierdziła Cherry, wycierając oczy chusteczką.

- Słyszeliśmy strzały. Wszyscy w szpitalu je słyszeli, ale wiedzieliśmy, że nie pozwoli pani, żeby coś się stało Johnowi Patrickowi.

- Doktor Landusky ma dziś nocny dyżur - poinformowała ich Michelle. - Ale jeśli wolicie, żebyśmy została...

- Już pani swoje zrobiła - odpowiedział Daryl. - Nie wiemy, jak zdołamy się odwdziżyć. Proszę iść do domu.

Michelle zeszła do izby przyjęć. Nareszcie będzie się mogła porządnie wyspać. Ciekawe, czy Theo czuł się równie zmęczony, jak ona. Zszyła mu już rozcięte ramię i siedział teraz na leżance z okładem z lodu na kolanie i rozmawiał przez telefon.

- Detektywi Underwood i Basham złapali Camerona Lyncha - poinformował ją. - Był bardzo rozmowny. Jak tylko przeczytali mu jego prawa, oświadczył, że nie ma zamiaru odpowiadać za zamordowanie żony Johna. Nazwał je miłosiernym uczynkiem.

- I to jest w porządku? - Michelle pokręciła z niesmakiem głową.

- Nie wiem, co on kombinuje, ale głównym motywem były pieniądze.

Theo objął dziewczynę. Musiał ją poczuć blisko siebie. Tam, na górze, przez jedną chwilę obawiał się, że ją straci. Do końca życia tego nie zapomni.

Dotknął ustami jej szyi. Zauważyła to stojąca przy kontuarze pielęgniarka, ale się tym nie przejęła. Michelle chyba też, bo pochyliła ku niemu głowę.

Do izby przyjęć wszedł Noah.

- Co ty masz na twarzy? - spytała Michelle.

Podszedł do lustra wiszącego nad umywalką.

- To chyba tynk i kurz - odpowiedział, odkręcając kran.

Gdy mył twarz, Theo powiedział mu o Cameronie.

- John zdążył już wycofać pieniądze z konta na Kajmanach. Zrobił to przez komputer.

- Gdzie je przetransferował?

- Jeszcze nie wiem, ale ludzie Underwooda nad tym pracują. Swoją drogą interesująca grupa.

- To Stowarzyszenie Siewców? Co może być interesującego w czterech dewiantach? - spytał Noah. Wytarł twarz ręcznikiem i wrzucił go do zlewu. Potem splótł ręce na piersi i czekał na wyjaśnienie przyjaciela.

- Kiedy John założył to konto, powiedział im, że tylko wszyscy czworo mogą podjąć pieniądze. To jest zabezpieczenie, wyjaśnił, lecz oczywiście było to kłamstwo. Od początku ich zwodził, a oni mu ufali, chociaż namówił ich, by wynajęli płatnego mordercę, by pozbyć się jego żony.

- Do czego byli mu potrzebni?

- Dallas znała Monka. Natomiast nie bardzo wiem, po co wciągnął tamtych dwóch. Obstawili wszystkie ważne stanowiska. John zajmował się bankowością. Był prawnikiem i wiceprezesem działu depozytów. Cameron pracował w firmie brokerskiej i oskubywał klientów z funduszy emerytalnych. Dallas była policjantką, a Preston pracował w biurze prokuratora okręgowego.

- Dallas mówiła więc prawdę. Rzeczywiście miała akta Monka z popełnionymi przez niego wcześniej przestępstwami. Zapewniała sobie w ten sposób bezpieczeństwo. Teraz Underwood ma te akta. Powiedział mi, że Monk zamordował młodą dziewczynę na zlecenie jej ojca. Mają dość dowodów, by aresztować ojca, i jego ludzie właśnie po niego pojechali.

- Mam nadzieję, że zgnieje w więzieniu - powiedziała Michelle.

- Underwood twierdzi, że Monk ma swój znak rozpoznawczy - ciągnął Theo. Zdjął z kolana torebkę z lodem i odłożył ją na stół

- Co on przez to rozumie? - spytała. Zobaczyła, że Theo poruszył nogą i skrzywił się. Wzięła torebkę z lodem i położyła mu ją na kolanie.

- Zostawia różę przy swojej ofierze, zwykle na łóżku, bo zabija nocą.

- Detektyw Harris nie kłamała - stwierdziła Michelle.

- Sprytnie to rozegrała. Powiedziała tyle, ile mogła, żeby nikt nie mógł zarzucić jej kłamstwa.

- Skąd wiedziałeś, że ona była jedną z nich? - spytała Michelle.

- Kazałem Noahowi ją sprawdzić. Wydało mi się dziwne, że jej przełożony nie powiedział mu nic na temat sprawy, nad którą pracowała. Noah przywykł już do tego, że policjanci nie lubili współpracować z FBI, nie zdziwiły go więc wymijające odpowiedzi jej szefa. Przyszło mi do głowy, że on po prostu mógł nie wiedzieć, co robi, ale nie podjąłem tego wątku.

- Powinienem być rozmawiać z jej kolegami - powiedział Noah. - Spytać, jak układa im się z nią współpraca.

- Pewnie nabraliby wody w usta - odparł Theo.

- Ale ja nadal nie rozumiem, jak do tego doszedłeś, Theo - powiedziała Michelle.

- Catherine mi powiedziała. Była mądrą kobietą. W końcu zrozumiałem, dlaczego tak wszystko skomplikowała. Nie poleciła adwokatowi przekazać tych papierów policji, bo wiedziała, że jednym z członków Stowarzyszenia Siewców jest policjantka. Dała drugi komplet Rosie, bo zdawała sobie sprawę, że ta nigdy nie pójdzie z tym na policję. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, co Rosa miała z tym zrobić. Może przesłać je gdzieś. Nie mam pojęcia. - Theo ziewnął. - Tak czy owak miałem do wyboru Prestona albo Dallas. Któreś z nich musiało pracować w policji. Wtedy pojawiła się Harris. Miała na sobie kurtkę, chociaż na dworze panował straszny upał. Kiedy wyszła z windy, zobaczyłem, że odpina pasek przy kaburze, a drugą rękę trzyma w kieszeni. Domyśliłem się, że ma tam zapasowy pistolet.

- Bardzo chciałbym wiedzieć, gdzie jest John Russell - powiedział Noah.

- W końcu go złapiemy - zapewnił go przyjaciel i znowu ziewnął. - Wracajmy do domu.

- Jestem gotowa - odparła Michelle.

- Noah będzie spał w pokoju gościnnym - oznajmił Theo. - Tak na wszelki wypadek.

- Chyba nie myślisz, że John lub Monk...

- Nie, ale będę spokojniejszy i ty też.

Ruszyli do wyjścia. Theo objął dziewczynę ramieniem.

- Muszę wpaść do motelu i zabrać kilka rzeczy - powiedział Noah. - Jak się czuje ten dzieciak, Mike? Powiedz, że masz dobre wieści.

- Wyjdzie z tego - odparła. - Nie było tak źle, jak się wydawało.

- Wciąż jesteś zły, że pozwoliłeś wymknąć się Monkowi? - spytał Theo.

- Nie mogłem przecież być w dwóch miejscach naraz - odrzekł Noah. - Wiedziałem, że muszę wrócić i ratować ci tyłek. Poza tym policja obstawiła wszystkie wyjścia. Sądziłem, że go złapią.

- To ja uratowałem ci tyłek - sprostował Theo.

- Akurat. Gdzie są moje kluczyki?

- Zostawiłem je w samochodzie.

- Noah, skąd wiesz, że trafiłeś Monka? - spytała Michelle. - Widziałeś, jak upadł?

- On nie upadł - wyjaśnił. - Ale na drzwiach i na schodach były ślady krwi. Trafiłem go albo w biodro, albo w rękę. Uciekł na dach, a potem schodami przeciwpożarowymi. No to do zobaczenia. - Odwrócił się z zamiarem odejścia.

- Mógłbyś chwilę poczekać? Nie wiem, czy furgonetka mi zapali.

Dobrze, że go o to poprosiła, bo musiał zewrzeć przewody, żeby uruchomić silnik. Theo uparł się, że będzie prowadził. Widocznie kolano przestało go boleć, bo nie miał kłopotów z wciskaniem sprzęgła.

- Zamierzam spać do południa - powiedziała Michelle.

- Nie możesz. Musimy wcześniej wstać i łowić ryby.

- Nigdzie nie idę.

- Musisz. Jesteś moją partnerką.

- Zapomniałeś, że nie mamy łodzi? Moja tkwi gdzieś w krzakach, a bez łodzi nie mamy szans na zwycięstwo.

- Twój tata kazał Johnowi Paulowi pożyczyć nam jedną z jego łodzi. Czeka na nas za barem.

- Chcę zostać w łóżku, ale ty decyduj. W końcu jesteś gościem. - Przynęła się bliżej, położyła mu dłoń na udzie i szepnęła namiętnie: - Zrobię, co tylko zechcesz.

- Trudna decyzja - stwierdził. - Zastanówmy się. Mogę wstać przed świtem, co bardzo lubię robić, i przez cały dzień siedzieć w łodzi, bojąc się, że jakiś wąż spadnie mi na głowę, pocić się i oganiać się od komarów albo...

- Tak? - Uśmiechnęła się.

- Mogę spędzić cały dzień w łóżku z piękną nagą kobietą. Tak. to rzeczywiście trudna decyzja.

- A kto mówi, że będę naga?

Rzucił jej spojrzenie, od którego serce mocniej zabiło.

- Kochanie, to oczywiste.

- Ojejku!

- Rumienisz się. Po tym wszystkim, co...

Przykryła mu usta dłonią.

- Pamiętam, co robiliśmy.

Nagle zorientowała się, że źle skreślił.

- Dokąd jedziesz?

- Do McDonalda. Umieram z głodu.

- Mamy mnóstwo jedzenia w domu.

- Cheeseburger zabije pierwszy głód.

- W porządku, jedźmy.

Chwilę później Theo zrozumiał, dlaczego tak szybko się zgodziła. Wiedziała, że McDonald będzie zamknięty. Kiedy dojechali do domu, myślał tylko o tym, jak najszybciej pozbawić ją ubrania, i zapomniał o jedzeniu. Michelle chciała wziąć prysznic. Nie miał nic przeciwko temu, byleby zrobili to razem.

Potem poszli do sypialni i znowu się kochali. Przycisnął ją do materaca, przytrzymał ręce nad głową i wypowiedział słowa miłości, które pragnął, żeby usłyszała.

- Teraz ty - szepnął.

Jednak rozsądek wziął nad nią górę.

- Kiedy wrócisz do domu i wciągnie cię praca...

- Powiedz to.

- Pomyślisz o tym jak o... przygodzie.

- Chcesz się kłócić?

- Nie, ja tylko...

- Powiedz to.

Łzy zabłysły w jej oczach.

- Tak krótko się znamy.

- Powiedz to wreszcie.

- Kocham cię - szepnęła.

Tak się ucieszył, że ją pocałował. Potem przekreślił się na bok i przytulił ją do siebie. Płakała wtulona w jego pierś. Domyślał się dlaczego. Sądziła, że wróci do Bostonu i będzie dalej żył... bez niej. Rozgniewałoby go to, gdyby nie wiedział, że dziewczyna, którą kocha, nic nie wie o mężczyznach. Toteż czekał cierpliwie, aż przestanie płakać.

- Spotykałem się z Rebeccą przez rok, zanim zamieszkaliśmy razem - powiedział, gładząc ją po plecach. - Pobraliśmy się dopiero po roku wspólnego życia. I wiesz co?

Uniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

- Co?

- Nie znałem jej tak dobrze jak ciebie. Życie jest zbyt krótkie, Michelle. Chcę być z tobą. Chcę się wspólnie zestarzeć.

Bardzo chciała mu wierzyć. Wiedziała, że mówi prawdę, ale była przekonana, że kiedy wróci do Bostonu, do swojej pracy, przyjaciół i rodziny, zrozumie, że tam jest jego miejsce.

- Wyjdź za mnie, Michelle.

- Musisz wrócić do Bostonu. Jeżeli przez sześć miesięcy twoje uczucia się nie zmienią, poproś mnie znowu.

- Nie mogę być tak długo z. dala od ciebie.

- Chcę, żebyś był rozsądny. Sześć miesięcy - powtórzyła.

Pchnął ją na plecy, wsunął się na nią i uniosł na łokciach. Boże, jak on ją kochał. Nawet gdy tak się upierała. Dobrze, nie będą więcej o tym rozmawiać. Zupełnie co innego zaprzętało teraz jego myśli. Zaczął pieścić Michelle, robiąc sobie miejsce między jej udami.

- Wygrałaś, skarbie. Niech będzie sześć miesięcy.

Wytrzymał trzy długie tygodnie. Potem zamówił firmę przewoźną, wystawił łódzie na sprzedaż, zapakował bagażnik samochodu i ruszył do Bowen. Najpierw udał się Pod Łabędzia, przywitał się z Jakiem i poprosił o rękę córki. Potem pojechał do domu, do Michelle. Zapukał do drzwi, a kiedy mu otworzyła, wziął ją w ramiona i powiedział, że nie ma zamiaru czekać sześciu miesięcy na kobietę, którą kocha. Zostaje tu, a ona będzie musiała się z tym pogodzić.

Nie protestowała, bo bardzo pragnęła go pocałować, ale Theo nie mógł przestać mówić. Powiedział jej, że zamierza otworzyć biuro w Bowen i stworzyć konkurencję marnym adwokacjom z St. Claire. Przez parę dni w tygodniu będzie też pracował dla rządu w Nowym Orleanie, bo Ministerstwo Sprawiedliwości nie chce go puścić. I wreszcie, że ma dość pieniędzy, by utrzymać ich na odpowiednim poziomie. Właściwie to mógłby się wycofać z czynnego życia dzięki jego siostrze Jordan. Cała rodzina za-inwestowała w jej firmę, która przyniosła im niezłą fortunę. I ostatnia rzecz, dodał, uchylając się przed jej rękami, dzwonił już do Conrada i poinformował go, że podpisał kontrakt na trenera.

Potem pocałował ją i powiedział, jak bardzo ją kocha.

- Przyjechałem do Bowen w poszukiwaniu czegoś, co straciłem. Znow chciałem poczuć ten zapach i pasję. Teraz czuję, że żyję. Moje życie jest przy tobie, Michelle. Znalazłem wreszcie dom.

Łzy spłynęły jej po policzkach.

- Kocham cię, Theo.

Przytulił ją mocno.

- Jeżeli jeszcze raz mnie odeślesz, przysięgam, że zrobię coś tak zawstydzającego, że nie będziesz mogła z tym żyć. Ludzie w Bowen będą o tym opowiadać swoim wnukom.

- Jestem lekarką przypomniała mu. - Nic nie może mnie zawstydzić.

- Tak? No to jak się pocujesz, jeżeli zatelefonuję do szpitala, kiedy będziesz miała obchód, i poproszę telefonistkę o połączenie z panią doktor Siusiumajtka?

Odchyliła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie odważysz się...

- Chcesz się przekonać?

- Nigdy cię nie odeślę. Obiecuję.

Odetchnął z ulgą.

- Chcę, żebyś pojechała ze mną na ślub mojego brata w przyszłym tygodniu. Do Iowa. Chciałbym, żebyś poznała moją rodzinę. Wszyscy tam będą. Dobrze, skarbie?

- Theo, jesteś pewny?

- Najpewniejszy - odparł zdecydowanie. - Przez ten czas Landusky może cię zastąpić. Twój lata mówił, że nie miałaś jeszcze wakacji.

- Kiedy z nim rozmawiałeś?

- Przed przyjazdem do ciebie. Wyjdiesz za mnie, Michelle?

- Tak. - Jedno proste słowo. Ogarnęła ją tak wielka radość, że znowu się rozplakała.

- Poprosiłem tatę o twoją rękę.

- To bardzo miłe.

- Rozplakał się.

W jej oczach znowu błysnęły łzy.

- John Paul też się rozplakał.

Rozśmieszyło ją to.

- Przyzwyczaił się do ciebie.

- Całe miasto będzie świętować. Przecież wszyscy starali ci się pomóc zdobyć faceta.

- Co takiego?

Theo uśmiechnął się.

- A dlaczego nie było karteczek przy tych wszystkich wypiekach? Nie domyśliłaś się? Wszyscy wiedzieli, że jesteśmy sobie przeznaczeni, tylko nie ty.

Pocałował ją, zanim zdążyła się zdenerwować tym jawnym spiskiem, po czym spojrział na zegarek.

- Muszę jechać, skarbie. Nie chcę się spóźnić na trening.

Stała na ganku i patrzyła, jak odjeżdża. Westchnęła. Będzie musiała zaplanować wesele. Jeżeli się pospieszy, to w ciągu sześciu miesięcy udaje jej się wszystko załatwić. Tak, sześć miesięcy.

Pobrali się po trzech.

Ślub był bardzo elegancki, wesele oszałamiające. Bracia Michelle, Remy i John Paul, zostali друзbami, a siostry Theo, Jordan i Sydney, druwnami. Świadkiem Theo był brat Nick, a świadkową Mary Ann.

Promienna, lecz okropnie zdenerwowana panna młoda szła wsparta na ramieniu taty środkiem kościelnej nawy w stronę ołtarza. Kiedy pojawił się pan młody, oszałamiająco przystojny w długim zakiecie, i mrugnął do niej, zaczęła się uspokajać.

Tata chciał wynająć elegancką salę w którymś z drogich hoteli w Nowym Orleanie, ale Theo i Michelle nie chcieli o tym słyszeć. Zażyczyli sobie, by wesele odbyło się Pod Łabędziem. Musiał się więc poddać ich woli. Postanowił uszczuplić trochę spadek Catherine i przystroić bar. Łabędzia na dachu nie ruszył, uznając, że dyndające na drucie skrzydło przydaje temu miejscu swoistego uroku, ale wyłożył płytami parking, wynajął wielki biały namiot, ozdobił go kwiatami i ustawił w nim stoły z białymi obrusami. Wynajął również orkiestrę, ale w ostatniej chwili brat Theo, Zachary, musiał zastąpić perkusitę Eltona Spinnera, który zwiął, jak tylko się dowiedział, ilu gliniarzy będzie na weselu.

Theo stał obok Nicka, patrząc, jak Michelle tańczy z ich ojcem. Laurant, młoda żona Nicka, tańczyła z małym Johnem Patrickiem. Noah i Mary Ann kołysali się w takt muzyki, a Tata Jake wirował z matką Theo.

- Jakieś wieści o Johnie Russellu i Monku? - spytał Nick. - Noah mówił mi, że sprawdzają każdy ślad.

- Są już coraz bliżej. Niedługo ich złapią.

- Optymistyczna wizja.

- Hej, to moje wesele. Mam prawo być optymistą.

Nick zmienił temat na bardziej przyjemny.

- Noah i Jake wygrali te zawody?

- Tak. Przekazali gotówkę drużynie futbolowej. Wszyscy zawodnicy dostaną nowe buty, a Jake zastanawia się, jak zareklamować na nich swój bar.

- Na domiar wszystkiego zostałeś jeszcze trenerem drużyny futbolowej.

Theo nie mógł oderwać wzroku od swojej pięknej żony.

- Tak. Dobrze, co?

- Fajnie będzie mieć lekarkę w rodzinie. Ale powiedz mi... - Nick trącił brata łokciem, żeby zwrócić jego uwagę.

- Co takiego?

- Jak to się stało?

- Jak co się stało?

- Że zostałeś trenerem.

- Ach, to ten chłopak. - Theo uśmiechnął się.

45

Nastała kolejna noc w raju. Powietrze było rześkie i czyste, a na niebie połyskiwały gwiazdy, rzucając blask na miasto. John, ubrany w jedwabny szlafrok i zamszowe kaptcie, stał na tarasie wspaniałego apartamentu i spoglądał w noc. Wypił łyk brandy z cienkiego kryształowego kieliszka i westchnął z zadowoleniem. Zapachy nocy owiały go słodkim aromatem.

To była utopia. Miał nowe życie, nową tożsamość i tyle pieniędzy, że nie musiał naruszać podstawy kapitału. Mógł żyć jak król, z nikim się nie dzieląc. I to było najwspanialsze.

Za plecami posłyszał szelest materiału. To kobieta się ubierała. Zawołała go i gdy się obejrzał, posłała mu całusa i wyszła. Była lepsza od poprzedniczek, więc pewnie znowu ją do siebie zaprosi. Tak bardzo pomysłowa w łóżku, pozbawiona wszelkich hamulców. Może jutro do niej zadzwoni. Zaraz jednak przypomniał sobie blondynkę. Jak ona miała na imię? Nie pamiętał. Zaintrygowała go. Przypominała mu trochę Dallas, pewnie dlatego jej pragnął. Wspomnienie z przeszłości. Stowarzyszenie Siewców. Wydawało się, że to było tak dawno, tymczasem minęło zaledwie sześć miesięcy od chwili, gdy wsiadł do samolotu. Dallas i Preston nie żyli, przeczytał o tym w gazecie. Często też zastanawiał się, jak zginęli. Czy to Buchanan ich zastrzelił, czy ten drugi? Jak on się nazywał? Tak, Clayborne.

O ironio, najsłabszy z członków stowarzyszenia przeżył. Biedny Cameron. Cierpiał na klaustrofobię. Ciekawe, jak żyje mu się w więzieniu. Czy jego umysł funkcjonuje normalnie?

Monk też pewnie już nie żył. John widział wtedy krew na jego koszuli. Nie ryzykowałby wizyty u lekarza. Pewnie zaszył się w jakiejś norze jak ranne zwierzę przed śmiercią.

Dopił brandy i odstawił kieliszek na stół. Ziewnął i przeszedł przez salon. Kobieta pozbawiła go sił, a jutro czekał go pracowity dzień. Chciał wcześniej wstać, by być o dziewiątej na jachcie. Rano dokończy pakowania.

Otworzył drzwi do sypialni, wszedł do środka i zapalił światło. W powietrzu unosił się zapach kobiecych perfum. Uśmiechnął się. To dopiero jest życie. Odwrócił się w stronę łóżka, przeciągnął leniwie i rozwiązał szlafrok. Postąpił krok w przód i cofnął się raptownie.

- Nie! - krzyknął. - Nie!

Na satynowej pościeli leżała długa czerwona róża.